Karol Zbyszewski - NIEMCEWICZ OD PRZODU I TYŁU

Karol Zbyszewski

NIEMCEWICZ OD PRZODU I TYŁU - 1

wydanie I - 1939

Karol Zbyszewski, ur. we Frantówce, na Ukrainie, na Humańszczyźnie w 1904 r., był w szkole w Kijowie, a od 1920 r. w Warszawie. Uzyskał na Uniwersytecie Warszawskim magisterium z historii u prof. Handelsmana za prace o Karolu Wielkim (Charlemagne) oraz o konserwatystach francuskich pierwszej połowy XIX wieku. Od 1928 r. pracuje w dziennikarstwie, pisuje felietony i artykuły do "Słowa" wileńskiego, "Prosto z mostu", "ABC", "Czasu" i innych. Pracował też jako nauczyciel historii w gimnazjum w Otwocku, w archiwum MSZ (został zredukowany po pół roku), zarabiał dorywczo różnymi sposobami. Grał w piłkę nożną w "A" klasie, turniejowo w tenisa, startował w zawodach pływackich, jeździł motocyklem po Polsce, do Czech, Niemiec, Francji, Włoch, Węgier, Rumunii, Bułgarii...
Dziennikarstwo, poboczne prace zarobkowe, sport, motocyklowa turystyka pochłaniały moc czasu. Dlatego studia nad tematem pracy doktorskiej o Niemcewiczu i samo napisanie tej pracy, mimo przynagląń prof. Marcelego Handelsmana, trwały 8 lat. Książkę wydał "Rój" (dyrektorem był M. Kister). Ukazała się w lutym 1939 r. Wywołała szaloną burzę, było ponad 50 recenzji, przeważnie potępiających. Ale książka miała ogromne powodzenie i wnet nastąpiło drugie wydanie.
Po katastrofalnym wrześniu 1939 r. Karol Zbyszewski przedostał się do wojska polskiego we Francji. Jako goniec motocyklowy sztabu Brygady Podhalańskiej brał udział w wyprawie na Narwik. Potem, przez czterdzieści kilka lat pracował w Londynie w "Dzienniku Polskim". Miał stałą rubrykę "To i Owo", b. popularną (stale przedrukowywaną w polskich pismach w USA), następnie prowadził całostronicowy dział "Tylon", pisał reportaże, wypełniał dział sportowy, referował konkursy na Miss Polonię itd. Poza tym pisywał artykuły do "Wiadomości" i różnych wydawnictw. Ukazało się w Londynie 7 jego książek i parę broszur. Zmarł w 1990 r.

MŁODYM HISTORYKOM

NIEPRZYJĘTĄ TĘ PRACĘ DOKTORSKĄ

POŚWIĘCAM

PRZEDMOWA

Ślęczałem 7 lat nad tą pracą, spóźniłem się nawet dwa razy na tenis tak mnie pochłonęło zapylone archiwum. Cytuję 193 źródła, ale jasne, że przeczytałem trzy razy tyle książek i przewertowałem stosy rękopisów. Podałem tylko tytuły tych źródeł na które się powołuję - samą esencję.

Skromnie twierdzę, że mam dość wiadomości na napisanie pół tuzina rozpraw doktorskich. Nasłuchałem się ich dużo, wiem jak powinne wyglądać: meeeee - meeee - muuuu... coś pośredniego między sprostowaniem urzędowym, a obwieszczeniem o licytacji.

Pedantyczna dokładność, rozwlekłość, oschłość, zagmatwany styl, zupełne lekceważenie ewentualnego czytelnika - oto zasadnicze cechy. W rezultacie najgorliwsza narzeczona zasypia nad dziełem ukochanego doktusia. Piwnice Towarzystwa Naukowego w pałacu Staszica są wypchane po sufit nietkniętymi nakładami rozpraw doktorskich. Łatwiej namówić profesora uniwersytetu na kupno fujarki niż normalnego człowieka na tezę doktorską. Są to studnie wiedzy z których nikt nie czerpie.

Jako zawodowy dziennikarz jestem przyzwyczajony pisać dla ludzi - nie dla myszy bibliotecznych. Zabierając się więc do Niemcewicza postanowiłem napisać pracę doktorską i jednocześnie rzecz, którą by ktoś jeszcze przeczytał oprócz profesora.

Pierwsza część zamierzenia się nie powiodła. Nie będę figurował w książce telefonicznej jako "dr Zbyszewski" i fryzjer z przeciwka nie będzie mi mówił: - szanowanie panu doktorowi! To są te przywileje stanu doktorskiego o których mamrocze po łacinie Jego Magnificencja rektor przy promocji. Ale nie-dyplomowany generał może wygrać wielką bitwę, więc chyba i nie-doktór może napisać wartościową pracę naukową.

Niektórzy mało rozgarnięci czytelnicy mogą się dopatrywać w mojej książce braku poszanowania dla religii, wojskowości, monarchii, arystokracji, sejmu, moralności - no dla wszystkiego.

Protestuję jak najenergiczniej. Ani mi w głowie żadne "szarganie świętości". Lecz nie

mogę ludzi, co doprowadzili Polskę do upadku, przedstawiać w korzystnym świetle. Bardzo wygodnie zwalać wszelkie nieszczęścia na zły los, fatum, sytuację międzynarodową - ale to nie przekonywujące. Jeśli zdechnie osioł - może istotnie to tylko pech, ale gdy ginie całe państwo, ktoś jednak jest temu winien.

Polska upadła nie z powodu Katarzyny i Prus, lecz z winy Poniatowskiego, magnatów, biskupów i szlachty.

Jestem głęboko religijny i dlatego doceniam ogromny wpływ i znaczenie duchowieństwa. Odmalowując jakąś epokę niepodobna go pominąć. Gdyby w XVIII-stym wieku kler stał na właściwym poziomie nie doszłoby do takiego rozpicia, nieróbstwa, przedajności, spodlenia. Byli nawet anty-papieże, nie tylko zbrodniczy biskupi. Nie należy tego przemilczeć. Tym wspanialej to świadczy o Kościele Katolickim, że mimo okresów niżu swych kapłanów nic nie stracił ze swej powagi i świetności. Pobożność szlachty z tej epoki nic nie była warta. Klepało cały dzień pacierze takie uosobienie siedmiu grzechów głównych, wykraczając w międzyczasie przeciw wszystkim dziesięciu przykazaniom boskim. Ta czysto zewnętrzna, powierzchowna pobożność, zwana fideizmem, została przez Rzym przykładnie potępiona.

Cokolwiek podaję - jest oparte na źródłach. Oprócz tytułu nic tu nie wymyśliłem.

- *A czy wszystkie dialogi są autentyczne? - niepokoili się koledzy-doktoranci na seminarium.*

No, źródła nie zawsze są na tyle szczegółowe. W każdym razie rozmowy takie powinny były się odbyć.

Karol Zbyszewski.

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA

(odpowiedź recenzentom)

W ciągu dwóch miesięcy doczekałem się wyczerpania I-go nakładu, kilkunastu rzeczowych recenzyj i przeszło 50 wściekłych napaści przypominających kubły pomyj.

Jedną sensowną uwagę zrobił mi profesor Skałkowski (uczony prawdziwej - nie kukielowej miary), wniosłem odpowiednią poprawkę: Stanisław August roztrwonił bezmyślnie na niewykończone budowle nie k i l k a s e t, lecz - kilkadziesiąt milionów.

Grzymała-Siedlecki wytyka, że nazwałem Poniatowskiego na 59 stronie podstolim. Nie

spostrzegł, że na 195 piszę prawidłowo - stolnik. Przejęzyczenie się. Suponuje, że nie odróżniam Sielc od Siedlec. Doskonale odróżniam - byłem motocyklem i w jednym i w drugich. Ma natomiast świętą rację, że pod Kłuszynem zwyciężył Żółkiewski - nie Tarnowski; poprawiłem to przepisanie się skwapliwie.

W kilkudziesięciu artykułach wytknięto mi tedy konkretnie dwa drobniutkie błędy. Niewiele jak na tyle wrzasku, że "Niemcewicz" nie jest pracą naukową.

RAŻĄCA NIEZNAJOMOŚĆ TEKSTÓW KUKIELA

Z ogromną, pięćsetwierszową filippiką wystąpił przeciw mnie w tygodniku "Zwrot" doktór-profesor-generał-dyrektor Muzeum Czartoryskich Marian Kukiel. "Klio w rynsztoku" zatytułował on swój akt oskarżenia, pomawiając mnie o fałszowanie źródeł; zaraz zobaczymy, że to pan profesor-dyrektor sam zanurzył się w rynsztoku po uszy.

Dawszy obszerną (zupełnie wadliwą) charakterystykę pamiętników Niemcewicza, która ma na celu wpojenie w czytelnika "Zwrotu" przeświadczenia, że Kukiel zna te pamiętniki na pamięć, pisze pan profesor:

"Tak jest z samym Niemcewiczem. Autorowi (czyli mnie - Zbyszewskiemu) szło o jego dzieje seksualne. Niemcewicz jako pamiętnikarz jest bardzo dyskretny co do swego osobistego życia. Autor (czyli ja - Zbyszewski) przyszedł z pomocą. Już w korpusie kadetów obdarzył go okazałą doboszową udzielającą mu ars amandi. W powołanych tu pamiętnikach rękopiśmiennych o doboszowej ani słowa. Jest ona okazałą amplifikacją".

Dobitnie napisane. Nie ma żadnych wątpliwości. - Fe, wstrętny pornograf ten Zbyszewski - pomyśli sobie czytelnik "Zwrotu" - szkaluje lilijnego Niemcewicza, zmyśla bezczelnie i jeszcze daje numerek źródła. Co za łgarz!

Do "dziejów seksualnych" Niemcewicza nie przywiązuję wcale nadmiernej wagi, mam w ogóle odrazę do tych frywolnych tematów i poruszam je li o tyle, o ile zmuszają mnie do tego źródła, ale skoro profesor Kukiel zarzuca mi zmyślanie w tej dziedzinie - wykażę kto zmyśla naprawdę.

Oto dowód namacalny: w pamiętnikach Niemcewicza (Muzeum Czartoryskich, sygnatura 5559), tom I-szy, strona 114, wiersz I-szy od góry, słowo 4-te od lewa (profesorom na poziomie Kukiela trzeba wszystko palcem pokazywać - sami niczego się nie doszukają) stoi jak wół:

"W szesnastym jeszcze roku wieku mego, żona dobosza od kadetów, przystojna kobieta, pierwsza dała mi poznać różnicę między płcią męską i żeńską; skromność i wstydliwość moja tak były wielkie, że cała zasługa tego odkrycia jej się należy".

Jak wygląda teraz sumienność i znajomość tekstów pana profesora? To się nazywa u Kukiela: "w pamiętnikach rękopiśmiennych o doboszowej ani słowa". Czy to przypadkiem nie w recenzji "Zwrotu" nie było ani słowa prawdy? Ale patrzmy dalej Kukiel pisze:

"Amplifikacją są również rzekome spostrzeżenia Niemcewicza w podróżach zagranicznych poczynione na temat dziewcząt pewnych domów etc. Jest to zemsta autora (niby moja - Zbyszewskiego) na pamiętnikarzu".

Znowu wskażę palcem panu profesorowi: pamiętniki Niemcewicza (5559), tom I-szy, strona 200, wiersz 24 od góry, słowo 7-me od lewa (teraz chyba znajdzie):

"Acz byłem w wieku, gdzie żądze miłosne pożerały mię całego, unikałem w Rzymie, bardziej jeszcze w Wenecji, wszelkich związków miłosnych; znałem siebie, wiedziałem, że związki te nie były u mnie przechodnie, że poddawszy się im z szkodą czasu i nauki byłyby mię daleko zawiodły. Cierpiałem męki, niekiedy tylko zdatnymi kobietami zaspakajając burzące się chuci".

"Zdatnymi kobietami" nazywał Niemcewicz prostytutki. To są te jego "rzekome spostrzeżenia". A na stronie 90, a na 107, a cała 114 - pamiętnik jest przepojony rozważaniami erotycznymi, a profesor Kukiel pisze z tupetem: "Niemcewicz jest bardzo dyskretny co do swego osobistego życia - autor przyszedł z pomocą". Zamiast mi zarzucać amplifikacje lepiej się przyznać, że się nic nie czytało.

Charakter pisma Niemcewicza jest wielce nieczytelny; męczyć się, sylabizować 500 stron rękopisu - dobre to dla skromnego doktoranta historii - nie dla profesora. Ja jeździłem specjalnie do Krakowa, do Muzeum Czartoryskich, odcyfrowywać rękopis; pan dyrektor Muzeum mając go pod nosem nie zadał sobie trudu nawet doń zajrzeć Po co? I tak lapnie artykuł pouczając co w nim jest.

Kontynuuję demaskowanie. Kukiel twierdzi, że odmawiając ks. Adamowi znajomości ortografii rozminąłem się z prawdą. W samym muzeum Czartoryskich są stosy listów ks. Adama, a poza tym ileż w innych archiwach! Ale doktór Kukiel zamiast zajrzeć do tych rękopisów, znów sięgnął po swój dar jasnowidztwa i nic nie sprawdziwszy ogłasza *ex cathedra:* ks. Adam pisał bezbłędnie!!!

Tymczasem: "otrzymałem List", "jak mi donosi Poseł", "są to ważne Traktaty" - połowę rzeczowników pisze stale ks. Adam z niemiecka, bezsensownie dużą literą. Pisze również: "zapowrotem twoim", " z powyższego wynika", "wiem zpewnych zrzódeł" i t. d. Jeśli za każdy błąd ortograficzny wskazany przeze mnie dyrektor Kukiel będzie płacił 5 groszy na FON - ufunduje całą baterię.

Pogryzmolonych rękopisów pan profesor tedy nie zna. Zbyt kłopotliwe, zbyt wyczerpujące. Z drukowanymi źródłami sprawa już się lepiej przedstawia - literacki autoportret ks. Izabelli jest wydany, Kukiel przeczytał pierwsze zdanie!! Godny pochwały wysiłek.

"Piękną nigdy nie byłam" - brzmi to pierwsze zdanie. Na tej podstawie pan profesor zarzuca mi przekręcanie wszystkiego - napisałem bowiem, iż księżna uważała się za przepiękną.

Profesor-generał-dyrektor przeczyta jedno zdanie i już wygłasza cały wykład. Skromny doktorant czyta stronicę do końca i dopiero ustala swój sąd. Oto co pisze w dalszy ciągu ks. Izabella:

"...mam piękne oczy, gładkie czoło, zęby białe, uśmiech miły i ładny owal twarzy; kibić mam wysmukłą, nóżkę prześliczną, wiele wdzięku w ruchach; nigdy kobieta bardziej subtelnej nie posiadała zalotności".

Oprócz nadwornego panegirysty rodu Czartoryskich każdy przyzna, że pierwsze zdanie jest fintą. A o zarozumialstwie ks. Izabelli ileż jeszcze wzmianek w pamiętnikach. Lecz jak przekonać profesora co zna tylko jedno zdanie?

Wypomina mi Kukiel, jak drugi Łuskina, błędy korektorskie (o kasztelanowej Kamińskiej było w 1-szym wydaniu - Kamieniecka); nazywa amplifikacją, że napisałem "nocnik pełen ekskrementów", podczas gdy w źródle (drukowanym oczywiście) było "naczynie nocne nieopróżnione". Więc co zawierało? Kompot ze śliwek?

Okazuje się zatem dowodnie, że Kukiel nie czytał wcale rękopiśmiennych pamiętników Niemcewicza, ani listów ks. Adama, ani nawet do końca drukowanych źródeł. Poza czepianiem się o zawartość nocnika nic nie potrafi.

- Więc jakżeż to - zawoła zdumiony czytelnik: - profesor-doktór-generał-dyrektor mówi tonem wyroczni o źródłach, których na oczy nie widział?

A państwo się orientują co to jest profesor?

To człowiek, który wie dużo rzeczy, które trzeba wiedzieć lepiej od niego, żeby wiedzieć, że on nic nie wie.

Właśnie jestem w tej sytuacji wobec Kukiela w sprawach Niemcewicza.

PAPUZIE OKRZYKI

Inni krytycy byli ostrożniejsi od Kukiela i twierdząc, że wszystko, absolutnie wszystko przekręciłem, nie powoływali się konkretnie na żadne źródła. Szkaradna metoda - ale dobrze na niej wyszli, nie zblamowali się ignorancją jak nadworny panegirysta z Muzeum Czartoryskich.

Pocieszny jąkała, co nigdy zdania zakończyć nie umie i w każdym artykule musi wspomnieć o swym koniu, K. W. Zawodziński, krzykliwa sujka Aleksander Bocheński, ciężko nudny Bolesław Dudziński, jakieś anonimy z "Gazety Polskiej", "Zaczynu", "Głosu Narodu", "Świata" i t. d. zarzucają mi, że jestem szkodliwym odbrązowiaczem i że wytykam same czarne strony nie podkreślając dodatnich.

Nikt nie zdoła zaprzeczyć, że bezeceństwa i obrzydliwości, które w mej książce przytaczam są prawdziwe. Zachodzi tylko pytanie: czy jakiekolwiek zasługi na polu kulturalnym mogą zrównoważyć zbrodnię dopuszczenia do rozbiorów? Ja wołam: Stanisław August nie stanął po stronie barzan, ale podpisał I-szy rozbiór; nie walczył w 92-gim roku ale przystąpił do Targowicy; był na żołdzie Katarzyny; za pieniądze gotów był abdykować, podpisywać cokolwiek mu kazano; Kościuszkę uważał za wariata, a insurekcję za przestępstwo... Na to mi odpowiadają: tak, ale założył Szkołę Rycerską, popierał malarzy, zapraszał literatów na obiad, zbudował Łazienki... To jakby zabójcę rodziców bronił adwokat argumentem, że na ich trupy rzucił po niezapominajce!

Więc gdyby Polska upadła za premierostwa Jędrzejewicza przeszedłby do potomności jako zasłużony mąż stanu, bo - założył Akademię Literatury.

Za Benesza i Hachy literatura kwitła w Czechach, przemysł się rozwijał, dobrobyt rósł, kultura jaśniała - a jednak nie przychodzi nikomu do głowy ich usprawiedliwiać. To kanalie co bez boju oddały niepodległość; wobec takiej zbrodni żadne pseudozasługi nie mają znaczenia. Dziś chyba każdy widzi, iż są chwile w życiu państw gdy paktować z wrogiem nie wolno, gdy trzeba się bić. Katarzyna to Hitler XVIII-go wieku. Jak on była zachłanna, brutalna, nienasycona. A Stanisław August i jego otoczenie, jak czescy prowodyrzy, wierzyli, że układnością, posłuszeństwem, ustępstwami załagodzą łapczywego sąsiada.

Kto jest dziś za "dogadaniem się" z Hitlerem za cenę odstąpienia mu Gdańska, Pomorza, Śląska, Poznania i może jeszcze Polesia? Zdrajca, łotr tylko. Lecz Poniatowski i jego sfora co właśnie tak postępowali z Katarzyną mają obrońców. Wierzą, w ślad za małodusznym Kalinką, że Rosję można było ustępstwami ugłaskać. Za sto lat i Hacha znajdzie apologetów.

- Konfiskować Zbyszewskiego! - rży Zawodziński czy jego koń, już nie pamiętam który.

Jeśli mamy zamiar prowadzić politykę Poniatowskich i Hachów - to istotnie. Ale jeśli

chcemy się bić do upadłego - to właśnie moja książka jest dziś pożyteczna i na czasie. Udowodnili to obszernie i świetnie Piasecki, Pruszyński, Straszewicz, Bujnicki, Kuminek, Swinarski, Hulka-Laskowski, Poznański, Duninówna...

Nienawiść zła jest równą cnotą jak miłość dobra - napisał słusznie Piasecki.

To co się działo w Polsce za panowania Kluchosława było uosobieniem zła.

NA ZAKOŃCZENIE

Profesor Skałkowski w wybornym artykule w "IKC" wysuwa całkiem inną koncepcję od mojej o powodach klęski pod Maciejowicami. As dziennikarstwa - Julian Babiński z "Merkuriusza" ma krańcowo różne ze mną poglądy na przyczyny upadku Polski; wysuwają pewne obiekcje Zahora z "Myśli Polskiej", Hel. Romer z "Kuriera Wileńskiego" i t d.

Inteligentnych zarzutów zawsze słucham z przyjemnością. Polemizować z prof. Skałkowskim byłoby dla mnie zaszczytem - mimo subtelnej argumentacji nie przekonał mnie bowiem. Brak miejsca mnie paraliżuje.

Biadolenia pani Apenszlakowej w "Naszym Przeglądzie", że pominąłem zbawienną rolę Żydów w powstaniu kościuszkowskim są śmieszne. Znam materiały i kiedyś wykażę, że udział Berka Joselewicza w insurekcji był zwykłą hucpą.

Oburzały się, coś piętnowały różne Mitznery, Feierglasy et co - nie ma się co nimi zajmować.

Słonimski dawał mi jakieś pouczenia - jeszcze do tego nie doszło, by taki Słonimski uczył mnie historii Polski. Gdy będę pisał życiorys reb Altera z Góry Kalwarii, albo sporządzał wykaz Żydów osadzonych w Jabłonnie podczas wojny 20-go roku - wtedy poproszę go o pomoc i informacje.

Karol Zbyszewski

CZĘŚĆ PIERWSZA

BEZTROSKIE LATA

1.

MÓDL SIĘ I PRÓŻNUJ

Raźno wzięli się do współpracy państwo Marceli i Jadwiga Niemcewiczowie, toteż równo w 9 miesięcy po nocy poślubnej, 16-go lutego 1758 r., przyszedł na świat pierwszy owoc ich działalności - Julianek. Rodzice tak zasmakowali w robocie, że dorzucili mu potem jeszcze 15-ścioro rodzeństwa.

Julianek urodził się w Skokach, pod samym Brześciem. Po paru latach jednak, cała rodzina przeniosła się na drugą stronę Bugu, do Klenik, majątku dziadka Aleksandra, który zmęczony swymi 80-ciu laty chciał dokonać żywota próżnując przy synie Marcelim.

Piękny to był mężczyzna - pan podczaszy Marceli: wysoki, tęgi, z wygoloną czupryną, zawiesistym wąsem, zawsze po polsku ubrany. Ćwiczeniom umysłowym nieobcy - lubił się gmerać w archiwach, głośno czytał dzieciom Kronikę Bielskiego, a gdy podrosły kazał im czytywać gazetę, bo wtedy najlepiej zasypiał.

Główną troską pana Marcelego było utrzymywać dobre stosunki z Panem Bogiem. Do Wistyc - 7 bitych mil - drałował piechotą, by się tamtejszej Matce Boskiej przypodobać. Pacierze klepał cały dzień. Rano, obchodząc gumna, mruczał różaniec przerywając jeno czasem dla dania w ucho leniwemu parobkowi grając w mariasza szeptał litanię; wszyscy domownicy musieli śpiewać godzinki pod jego dyrekcją; w adwent zrywali się państwo Niemcewicze o świcie, po ciemku ładowali z dziećmi w sanie i pędzili do kościoła w Brześciu, tam siadali w ławce z nogami w specjalnym futrzanym worku, Julianek zaś, że siedząc zasypiał, musiał klęczeć godzinami w pobok ławki na zimnej, kamiennej posadzce.

- Mamusiu, czy w piekle *są* często roraty? pytał z płaczem.

W Klenikach było więcej księży niż w przeciętnej katedrze. Przed opatem Rogalińskim dzieci musiały padać plackiem i całować go w nogę! święty to był człowiek. Po obiedzie zasiadał z ojcem na ganku i strzelali do jaskółek z guldynek, każdy celny strzał solenizując pucharem węgrzyna. Przyłączał się do tych ćwiczeń i dziadek Aleksander ze swoim łukiem, co Sobieskiego pamiętał, ale że nigdy nie trafiał, więc odmienił warunki i golił puchar po każdym pudle.

Jeszcze świątobliwszym mężem był ksiądz Obłoczyński - asceta, co się nawet na odpustach u Bernardynów nie upijał. Ciocia Bisia całowała ślady jego stóp w ogrodzie. Kazania miał tak płomienne, że spędzano na nie wszystkich żydów z Brześcia w nadziei, że ich nawróci. Choć gadał po 6 godzin i wymachiwał trupią czaszką - żydy zostawały przy swoim.

Nad nawróceniem żydziąt pracował niestrudzenie i pan Marceli. Nie kupił smaru ani nitki w Brześciu nie palnąwszy przy okazji parchom wykładu teologicznego. Gdy krawcy zjeżdżali do Klenik na generalne szycie, pan Marceli szedł do ich pracowni z biblią pod pachą i nuż tłómaczyć, a przekonywać. Żydłaki oponowały ostro, dyskusja kończyła się paru kopniakami, raz Talmud powędrował w ogień. Jednak co piątek żydziska łagodniały, zdawało się, że Duch Święty przenika im do głowy - uradowany pan Marceli, prócz umówionej zapłaty, dawał im na szabas parę gęsi, kur i worek kaszy. Krawcy wracali z Brześcia w poniedziałek, po dobrych dyspozycjach nie było śladu.

Lepiej poszło panu podczaszemu z nawróceniem swych poddanych - chłopów unitów. Granatowe żupany, pasy, gorseciki, czepki, chustki, trochę kijów - nie oparły się kmiotki tylu dowodom wyższości jednej religii nad drugą i przechodziły gromadnie na katolicyzm.

Dziedzic wybudował naprzód w Skokach kościół obok cerkwi, potem popa przepędził, a cerkiew rozwalił.

W życiu codziennym państwo Niemcewicze zdawali się we wszystkim na Pana Boga. Koń okulał - skrapiali go wodą święconą, pomór świń - odmawiali w chlewie paciorek, burza się rozszalała - wtykali Juliankowi dzwonek loretański w ręce i kazali biegać wokół domu dzwoniąc zapamiętale! Piorunochrony znane już były na świecie, ale w Polsce więcej wierzono w świecę postawioną przed obrazem niż w kawałek drutu umocowany na dachu.

Gdy Julianek zachorował na ospę, bliski sąsiad, podskarbi Flemming, przysłał swego nadwornego doktora, sławnego Mullera; państwo Niemcewicze wyrzucili przez okno wszystkie lekarstwa, zamiast przepisanej kuracji - ofiarowali synka Bogu; skutek był momentalny, Julianek wyzdrowiał, wzamian za co hasał potem przez rok i 6 tygodni w białym, dominikańskim habicie, z czarną mycką na głowie, opasany szkaplerzem. i różańcem. Przekładanie habitu nad lekarstwa nie zawsze dawało tak dobre wyniki - ośmioro Niemcewicząt fajtnęło w pieluszkach.

Gorące umiłowanie ojczyzny było drugim uczuciem rozsadzającym piersi pana podczaszego. Jadąc całym pocztem na elekcję w 64-ym roku, kupił aż nowy kontusz i nowego wierzchowca, którego wiedziono za jego karetą; wrócił z tej szopki wolnoelekcyjnej, odbytej pod karabinami Repnina, uradowany, wołając z właściwym sobie zmysłem politycznym:

- Piasta wybraliśmy! Będzie drugi Sobieski!!!

Nie szczędził też później zbawiennych rad Stanisławowi. Augustowi: - byłeś się królu po polsku ubrał i perukę zrzucił, a wszystko pójdzie w kraju świetnie! - pisał doń parokrotnie.

Król nie posłuchał pana Marcelego i w konsekwencji nastąpiły rozbiory.

Cały klan Niemcewiczów przejmował się żywo sprawami państwowymi. Ilekroć zaszło coś ważnego, zjeżdżali się bracia, wujkowie, stryjkowie (sam pan Marceli miał 6-ro rodzeństwa) do Klenik i debatowano gorąco.

Kiedyś, podczas takiego sejmu familijnego, gruchnęła wieść z Radomia: - biskupów porwano! Pani Jadwiga nie opuściła tak świetnej okazji dla zademonstrowania swych uczuć: zemdlała i klapnęła na podłogę. Asystujące zawsze na sejmach rodzinnych dzieci, wypełzły spod stołu, płacząc otoczyły mamusię.

- Nie może być szczęśliwy Polak, gdy Polska jest hańbiona - wyjaśniono im, to Moskale są winni omdlenia matki. Wcześnie poznał Julianek Moskali. W wolnej Polsce konsystowali oni gęsto, w Klenikach coraz stali na kwaterze oficerowie rosyjscy. Towarzyscy i weseli, często urządzali bale, a że panie z sąsiedztwa stroniły od tych zabaw - posyłali po nie kibitki z eskortą. Przybywały wszystkie, matka Julianka, rumieniąc się po pępek, kicała w objęciach cuchnących stupajek.

Bywały też i męskie zebrania, energicznie zaproszeni sąsiedzi stawiali się w komplecie w Klenikach, gdzie pułkownik pełnił rolę gospodarza. Wina nie lubili Moskale, więc trąbiono tylko wódkę - śmierdziuchę. Jeśli ktoś ominął kolejkę - wlewano mu siłą do gardła podwójną porcję. Sołdaty wezwane na salę tańczyły trepaka, gwiżdżąc przeraźliwie na palcach, rozochoceni oficerowie puszczali się w dzikie tany, musiały hopkać i grubasy w kontuszach. Dla uczczenia któregoś z biesiadników, oficerowie kazali sołdatom porwać go na ręce i rzucać aż pod pułap, trąbiąc mu jednocześnie z całej siły w uszy. Pan Marceli dostąpił raz tego zaszczytu, omal ducha nie wyzionął, leżał potem przez miesiąc jak nieżywy.

Ogłada towarzyska nie była u Moskali przesadna. Pułkownik rozgniewał się na majora przy stole, więc - łup go w pysk; major zaciął zęby, ale wkrótce znalazł okazję i palnął w ucho kapitana, ten niezwłocznie dla rekompensaty wyciął w mordę praporszczyka, tamten sierżanta... kończyło się na sołdatach. Naturalnie za policzek od zwierzchnika nikt się nie obrażał i gdy kolejka obeszła, nastrój był znowu pogodny.

Strasznie nie cierpieli Moskali państwo Niemcewicze, podczas wojny 7-letniej szkodzili im wszystkimi siłami: pani Jadwiga wycierała nos tylko w chustki z portretem Fryderyka, pan Marceli używał tabakierki z jego wizerunkiem, parokrotnie zamówili mszę na intencję zwycięstwa Fritza.

Ostygł w tej miłości do Prus pan podczaszy dopiero, gdy raz przybiegł sołtys ze Starej Wsi zawodząc, że werbownicy szwabscy najtęższych parobków porywają. Popędził

dziedzic - krzyki, prośby nie pomogły.

- Prusacy też kanalie! - stwierdził żałośnie.

Konfederacja barska wzbudziła w Klenikach entuzjazm. Pułaski i ksiądz Marek: jurysta, człowiek otrzaskany w archiwach i człowiek święty w doskonałej z niebem komitywie - czyż mogli być zdatniejsi wodzowie? Że ani się domyślali którym końcem strzela armata, to nie miało znaczenia. Gdy w Brześciu zawiązała się wojewódzka konfederacja, pan Marceli nie podpisał akcesu - ściągało to nieprzyjemności od Moskali, lecz za to z gośćmi nie pito inaczej, jak pod toast:

- Na pohybel Rosjanom!

Julianek piszczał z rodzeństwem chóralnie piosenkę konfederacką:

...lutry, kalwiny

bezbożne syny

z ojczyzny matki

chcą szarpać płatki...

Wprawiając się do bojów z Moskalami, konfederaci chętnie niszczyli dwory kalwińskie. Pan Marceli bardzo to pochwalał, widząc w tym coś jakby pielgrzymkę do Częstochowy przed wyprawą wojenną.

Wciąż przemaszerowujące wojska rosyjskie rekwirowały i grabiły bez pardonu, znosił to cierpliwie pan Marceli rozumiejąc, że po azjatyckiej dziczy nie ma się co przyzwoitości spodziewać, lecz gdy konfederaci wypaśli mu łąkę w Skokach i uwiedli cielaka - wpadł w straszną pasję:

- Ja tu mociumdzieju modlę się za nich, a oni miast rusków moje bydło gromią!

Wziął z sobą Julianka, pojechali do obozu Bierzyńskiego i Franciszka Pułaskiego.

Obóz nie wyglądał groźnie: żadnych wart, w każdym namiocie paru pijanych rycerzy, ani śladu rygoru i karności. Wolny szlachcic przystępował do konfederacji, by się wyzwolić z jarzma moskiewskiego - nie, by znosić jarzmo jakichś zwierzchników; jeśli co zrobił, to

dlatego, że tak mu się podobało, nigdy bo tak mu kazano.

Towarzysze w pancerzach, z rysimi skórami na barkach, obwieszeni medalikami i szkaplerzami, nieraz z bronią pradziadów w ręku, wierzyli święcie w zapewnienia ks. Marka, że w obronie dobrej sprawy wystarczy wyjść w pole - reszty dokona Matka Boska.

Wychodzili więc dziarsko i z fantazją, widząc zaś, że Matka Boska nie rozprasza wrogów - rozpraszali się sami z żywą do Niej urazą, że tak się zaniedbuje w swych obowiązkach. Stanąwszy przed regimentarzami pan Marceli wyłuszczył im swe żale.

- Zatem my i konie mamy zaprzestać jeść? - spytał Pułaski.

- O, dlaczego! ale nie kosztem brata szlachcica, rodaka, przykładnego katolika...

- Wiesz co waszmość? daj na konfederację 100 dukatów, a będziesz wolny od wszelkich rekwizycyj, bez 100 dukatów nie wypuścimy cię stąd.

Wrzask podniósł pan Marceli, że to gwałt nad wolnością, że tacy konfederaci to gorsi od Moskali, że pieniądze są mu potrzebne na poważniejsze cele - wobec nieustępliwości Pułaskiego musiał się ukorzyć i dać rewers. Przeklinając pomysł odwiedzenia obozu i życząc konfederatom ognia piekielnego wracał mrucząc do domu. Bierzyński został niebawem rozbity pod Orchowem, pan Marceli był dumny, że Pan Bóg tak skwapliwie się ujął za krzywdę swego wiernego sługi.

Cel godny wydawania pieniędzy nadarzył się wkrótce: umarł sparaliżowany od pijaństwa dziadek Aleksander. Jezuita, ks. Pierzchlewski, wsadził nieboszczykowi pod język medalik z wizerunkiem św. Ignacego; trzeba było co prędzej zamawiać msze za jego duszę, która siedziała w czyśćcu póki odpowiednia ilość modłów nie została odprawiona. Pan Marceli zebrał ile tylko mógł pieniędzy i porozsyłał do wszystkich kościołów okolicznych.

Gorliwość ta nie zadowolniła nieboszczyka. Przyjechał opat z odległej o 100 klm. Berezy Kartuskiej i rzekł:

- Zacnej pamięci ojciec waćpana ukazał mi się w nocy; narzekał, że syn sknera na srogi afront go w niebie naraził, bo św. Piotr ledwo go ujrzał, warknął: - "50 mszy w Berezie albo raju ani powąchasz..."

Poczciwi księża, choćby z najdalszych zakątków, wnet donosili o każdym pojawieniu się i zachciance nieboszczyka. Dziękował wzruszony tą troskliwością pan Marceli, wszystko wypełniał i za wszystko hojnie płacił.

Pogrzeb udał się doskonale. Zjechało całe województwo, księży i mnichów szło przed

karawanem równo 500. Czoło pochodu docierało do cmentarza, gdy ostatni opuszczali dom. Długość konduktu najlepiej sygnalizowała św. Piotrowi ziemskie znaczenie jego nowego pensjonariusza, gapiąc się z góry na te tłumy wokół trumny, musiał pojąć, że ten Niemcewicz to nie byle łatek.

Dwa folwarki kosztował pana Marcelego pogrzeb ojca, ale ich nie żałował, skoro wzamian zapewnił mu zaszczytne dożywocie tuż obok tronu Pana Boga.

Julianek miał już 12 lat. Alwara umiał na pamięć, tępy korepetytor, chory - ku zgorszeniu pani Jadwigi - na trypra, przelał weń cały zapas swych niewielkich wiadomości, pan Marceli zaczął przebąkiwać o oddaniu go do szkoły jezuickiej. Książę Adam Czartoryski, z pobliskiego Wołczyna, zwrócił uwagę na ładnego, zawsze wesołego i dobrego chłopca, więc zaproponował:

- Oddaj mi go waszmość do korpusu kadetów.

- Kiedy ja bym chciał, żeby z niego wyrósł prawy katolik.

Długo musiał perswadować ks. Adam, wreszcie, bojąc się narazić, obiecał pan Marceli dostarczyć syna do Warszawy.

Padłszy matce do nóg, ucałowawszy tabun braci i siostrzyczek, zapłakany Julianek wgramolił się wraz z ojcem na brykę. Minęli dębinkę, gdzie pół setki drewnianych świętych - dzieło i chluba pana Marcelego - pilnowało drogi, objechali wbród rozwalony mostek, o którego naprawie myślał od paru lat dziedzic, ale zawsze kończyło się na skleceniu jeszcze jednego świętego, mignęły im Skoki na prawym brzegu Bugu, powlekli się piaszczystym traktem.

Na popasie, w karczmie w Janówku, widząc dwóch żydów, pan Marceli rozpoczął zwykłą działalność misjonarską. Nie mógł parchów przekonać:

- Przecie to wyraźnie napisane w Ewangelii! - wołał.

- Uś, potrzebujemy wierzyć, co jakieś kłamcy napisały...

Ujechali już parę wiorst w stronę Sielc, gdy pan Marceli puknął się w głowę i rozkazał woźnicy: - A zawracajże do Janówka!

Żydy siedziały jeszcze przed karczmą, krzyknął im, nie schodząc z wasągu:

- Ewangelię pisali żydzi, mówicie, że to byli kłamcy, zatem sami kłamiecie, boście też żydzi...

I rad, że zmiażdżył ich swą argumentacją, kazał znowu zawracać.

Konfederaci włóczyli się po okolicy, napadali na przejezdnych. Przed wjazdem do lasu, rozdał pan Marceli swe dukaty furmanom i hajdukom, polecając, by je w buty schowali - były to jeszcze dobre czasy, gdy służba mniej kradła od złodziei. Kazał też osie nasmarować by nie skrzypiały, koniom kopyta słomą obwiązać, z batów nie trzaskać - po czym pełni strachu, cichutko, uważając, by gałązki nie złamać, koń nie parsknął, śpiewając na całe gardło litanię do Matki Boskiej, przemknęli przez las niepostrzeżenie.

Po pięciodniowej podróży, 5-go sierpnia 1770-go roku stanęli w Warszawie, Julianek był zachwycony, nigdy nie przypuszczał, że mogą być inne domy niż drewniane, inni mieszkańcy w mieście, jak ponure żydowiny.

2.

WYCHOWANIE PAŃSTWOWE

Korpus kadetów mieścił się w koszarach Kazimierzowskich na Krakowskim Przedmieściu. Wnet zdjęto tam z Julianka żupanik, wymyto go i przyodziano w czarne spodnie i czerwoną katankę. Brzydki młody oficer o poważnym, lecz bardzo łagodnym wyrazie twarzy, raczej małego wzrostu, z ogromnym warkoczem naturalnych włosów zwisających do pasa i przewiązanych czarną wstążką zapytał go o nazwisko.

- Ursyn Niemcewicz Julian.

- No tośmy krewni, ja jestem Kościuszko Tadeusz; staraj że się tu dobrze uczyć, bo wiedza to fundament człowieka.

Wkrótce Szwed - jak przezywano Kościuszkę ze względu na jego upór - wyjechał do Paryża. Stanisław August, ze zwykłym mu znawstwem ludzi, uznał, że nie nadaje się na nic innego jak na malarza i wysłał go na studia w tym kierunku.

W korpusie było 60 uczni; powinni byli płacić po 100 dukatów rocznie, lecz choć wszyscy synowie bogatych rodziców, - nie płacili ani grosza, rodzice uważali bowiem, że wielką łaskę robią królowi oddając swe dzieci do szkoły, której był kapitanem i pozwalając mu łożyć na nią 500 tysięcy złotych rocznie, mogli przecie wybierać - w całej Polsce było podówczas aż 65 szkół!

Dookoła tych 60 uczni kręciło się 40 nauczycieli (z czego połowa złodzieje i durnie) oraz 60 osób służby. Trzeba było paniczom trzepać ubrania, zapinać guziki, specjalne baby od

szorowania podłóg co sobotę myły im głowy.

Zrywał się Julianek na dźwięk pobudki o 6-ej rano, ubierać się musiał piorunem, bo było na to tylko 45 minut, potem msza św., potem 7 godzin lekcji. Do kaligrafii polskiej a francuskiej byli różni belfrzy, historię każdego państwa opowiadał kto inny, nawet o Grecji i mitologii nie wykładał ten sam. Śpiewu uczył oczywiście Włoch, tańca Francuz - rozstawiał na podłodze drewniane formy, trzeba było w nie trafiać nogami, fechtunku również Francuz - Raquillier, musztry pruski feldfebel; komendę wydawał on po niemiecku - i nie dziw, bo w polskim wojsku nikt wtedy nie słyszał o żadnych obrotach, za całą komendę stosowano okrzyki spod Płowiec i Grunwaldu: czuj duch! naprzód wiara! po czym wszyscy rzucali się do ucieczki.

Specjalna machina, sprowadzona zza granicy przez ks. Adama, demonstrowała za pokręceniem śruby obrót planet systemem Kopernika. Była to wielka nowość, bo w Polsce nie wierzono wtedy wcale w Kopernika: - Jakżeż, mówiono, przecie Jozue huknął wyraźnie: - "Słońce stój! - a tu jakiś Kuppiernik bredzi, że ono zawsze stoi... Niesposób było wytłumaczyć, iż Jozue choć świątobliwy żydziak, o astronomii nie miał pojęcia.

Zachęcani do nauki obfitymi morałami, rózgą i płazem szabli - musieli się do niej kadeci przykładać.

Przed obiadem, składającym się z czterech potraw, czytywano kadetom regularnie prawidła bon-tonu przy stole: nie kłaść łyżki wyjętej z gęby na półmisek; nie gmerać widelcem w zębach; nie wyjmować twardych kawałków mięsa z ust i nie rzucać ich na stół; nie wycierać nosa obrusem... Przepisy te były zasadniczo sprzeczne z manierami powszechnie przyjętym mi, toteż stosowanie ich przychodziło kadetom z trudnością. Widelcem w lewej ręce nikt nie umiał operować.

Miłość Ojczyzny, męstwo, rycerskość, honor - nie szczędzono kadetom morałów na te tematy. Tchórzostwo miało być dla nich wyrazem niezrozumiałym. Stanisław August, największy tchórz na świecie, chętnie przebierał się w mundur kadecki i zachwalał chłopcom niezłomną odwagę; Ks. Adam, co w czasie rozbioru bawił się beztrosko, prawił o nieustannej potrzebie służenia Polsce; wicekomendant korpusu Moszyński, gdy raz na kwartał przyjeżdżał po pensję, terkotał o honorze i Arystydesie, choć sam należał do tych magnatów - jurgieltników, o których Saldern mówił, że dając im jedną ręką kiesę złota - drugą można bezkarnie walić w mordę.

Chłopcy byli na szczęście naiwni i trafiały do nich tylko dobre słowa - nie złe przykłady. W innych szkołach w ogóle o ojczyźnie nigdy nikt nie wspomniał, toteż absolwenci korpusu byli później niedościgłymi wzorami patriotyzmu.

Stojąc w bramie swych koszar, często widzieli kadeci wojsko defilujące po Krakowskim Przedmieściu: gemejny moskiewskie o tępszym wyrazie gęby niż koń ich dowódcy, drabanci pruscy z warkoczami na plecach, sztywni jakby kije połknęli - tylko wojska polskiego nie widzieli nigdy ci chłopcy szkoleni na oficerów. Tęsknili za nim; o konfederatach nie mówili inaczej ich przełożeni, jak o bandzie zbrodniarzy, ale oni kochali tych rycerzy ukrywających się po lasach, nadsłuchiwali wieści z Krakowa, Częstochowy, przy modlitwie wieczornej, po błaganiach o zdrowie dla króla, dodawali ukradkiem: - i o Kazimierzu Pułaskim, najdzielniejszym Polaku, Panie Boże pamiętaj...

Pewnego dnia dwóch starszych kadetów uciekło do konfederatów. Oburzony ks. Adam przybył do korpusu we fraku, mówiąc: - Nie mogłem dziś włożyć waszego munduru, gdyż są na nim dwie wstrętne plamy!

Konfederaci porwali króla, ale, że nawet najobrotniejsi spośród nich byli niezdarami, więc nawet wrócił cało. Kadeci, mimo młodzieńczej szlachetności, więcej kochali obsypującego ich dobrodziejstwami króla, niż niszczących majątki ich rodziców konfederatów. Skoczyli po pałasze, chcieli biec na ratunek swego kapitana; w nagrodę za ten animusz zaprowadzono wszystkich na Zamek.

Stanisław August leżał w garderobie przybrany w zielony szlafrok, z głową obwiązaną batystową chustką, jako że w karczmie marymonckiej zadrasnął czoło haftką od rękawa. Tłum pięknych dam otaczał rannego wielbiąc jego bohaterstwo i przytomność umysłu; sprytniejsze szlochały radośnie. Julianek dostąpił zaszczytu ucałowania ręki, która była królewską za to, że zręcznie miętosiła tłuste łono Katarzyny.

Dla zaprawienia kadetów w życiu publicznym wiedziono ich czasem na sesje sejmowe! Było czego się uczyć od posłów z 1773 r. Okrzyczeli Reytana wariatem, bo czyż Polak przy zdrowych zmysłach mógł się opierać woli Stackelberga i dla takiego głupstwa, jak rozbiór kraju głodować w pustej sali przez 36 godzin. Stackelberg dał królowi do dyspozycji 4 ogromne starostwa, posłom i senatorom kilkanaście wiader rubli - za tę cenę wyrzekli się dobrowolnie, bez cienia próby oporu, ćwierci Polski, grzecznie podpisali rozbiór.

Nierównie więcej od utraty prowincji absorbowała sejm kasacja Jezuitów, trzeba było coś obymyśleć dla ich olbrzymich dóbr i bogactw, marszałek Poniński, prymas Młodziejowski i biskup Massalski zajęli się tym najtroskliwiej - najwięcej ukradli; złote kielichy sprzedawali żydom wrocławskim, ornaty domom publicznym na firanki; przed zaprzęgiem prymasa klękali potem pobożni, a gdy on uradowany chciał im dawać swe błogosławieństwo: - eee, nie, mówili, wolimy, by nas koń licowy przeżegnał, ma szory ze sreber, co na ołtarzu, w naszym kościele świeciły.

Massalski grał namiętnie w lombra, normalną jego stawką była wartość monstrancji, jednej nocy przegrywał cały klasztor. Nierozgrabione ochłapy sejm oddał Komisji Edukacyjnej.

Na uroczystym zamknięciu najpodlejszego z sejmów obecny był cały korpus kadetów. Otyły, zatabaczony pod nosem, plugawy Poniński w napuszonej mowie zreasumował świetną działalność sejmu - ostatnim jego wyczynem było uproszenie Katarzyny o pozostawienie wojsk rosyjskich w Warszawie - któż by inaczej utrzymywał porządek.

Kadeci nie przyłączyli się do ogólnych oklasków, tejże nocy metrowie przyłapali na murze koszar Michała Kochanowskiego, kolegę Julianka. Miał pod mundurem ukryty pałasz.

- A dokąd to, fajtasiu?

- Chciałem zabić tego łotra Ponińskiego. Dość jego zbrodni...

Poczciwego chłopca, co czuł lepiej niż dorośli, wsadzono czym prędzej do aresztu.

Śledzenie debat sejmowych było biernym zapoznawaniem kadetów jak służyć krajowi, dla praktyki wysłał król najstarszych do rozgraniczania zabranych prowincji - była to ich pierwsza funkcja publiczna.

Wrócił z Paryża Kościuszko, studiował tam pilnie strategię, sztukę fortyfikacji, chciał teraz służyć ojczyźnie. Stanisław August przyjął go niechętnie - spodziewał się tęgiego malarza, a tu pac - oficer inżynierii. Zmarnowanym młodzieńcem przestał się interesować.

Do życia towarzyskiego zaprawiano kadetów od młodu. Teatr amatorski korpusu wystawiał coraz jakąś sztukę Czartoryskiego: "Panna na wydaniu", "Gracz"... Pisanie tych sztuk niezbyt wyczerpywało księcia: chwytał pierwszy z brzegu utwór francuski, tłómaczył na polski, zmieniał tytuł, imiona osób i podpisywał się jako autor. Wystarczało to zupełnie, by uważano go za świetnego komediopisarza, książę łaskawie przyłączał się do tej opinii. Julianek, smukły, różowy na twarzy *i* nieśmiały, grał stale role kobiece.

Warszawa bawiła się ochoczo, o rozbiorze mówiły tylko zdecydowane prostaki - należało to bowiem do najgorszego tonu, dobrze ułożonych kadetów zapraszano skwapliwie na bale, menuet był bardzo trudny, brakło wykwalifikowanych hopkarzy, kadeci tańczyli go wybornie; chwaliły damy króla, że tak pożyteczną szkołę założył.

Zaproszeni kadeci wdziewali paradne mundury - białe portki, granatowe kurtki z czerwonymi wyłogami, złote galony, strusie pióra - i wzywali pluton rosyjskich żołdaków. Przez tonącą w błocie, pozbawioną chodników Warszawę niesposób było przejść nie umazawszy się jak wieprz. Za parę groszy każdy sołdat brał kadeta na plecy i taszczył,

gdzie kazano.

Julianek lubił bale: obżerał się w bufecie, obtańcowywał panienki, prawił im lękliwe komplementy. Umizgi te nie doprowadzały nawet do skromnej macanki. Prawdziwego flirtu nauczyła go dopiero żona dobosza, jędrna Rzepicha, która bezinteresownie uświadamiała kolejno cały korpus; doboszowa póty manewrowała, aż zgwałciła zgrabnego, 16-letniego chłopca. Juliankowi bardzo się spodobała ta nowa musztra i oddawał się jej z wielkim zapałem.

W tymże czasie utracił niewinność i w literaturze - napisał poemat "Wojna kobiet". Ks. Adam przejrzał te pierwociny, swoim zwyczajem polecił większą pracowitość, rozwagę, staranność, ale, że miał słabość do poetów patrzał na Julianka z coraz większą sympatią.

Latem 1777 r. edukacja została skończona. Julianek był zbyt inteligentny by być prymusem - wyryto jego nazwisko nie na złotej, lecz tylko na srebrnej tablicy, podpisał abszyt, król wręczył mu promocję, koledzy wyściskali, mrucząc sakramentalne: - Pamiętaj, żeś miał honor być kadetem!

Julianek pojechał do domu.

3.

ZMIANA DOMU

W Klenikach zastał straszny bałagan; panu Marcelemu śniło się, że umrze wkrótce w Klenikach, aby więc uniknąć tak przykrego zdarzenia przeniósł się z całą rodziną z powrotem do ciasnego, niewygodnego domku w Skokach. Sen był rzeczywiście proroczy, ziścił się co do joty - z małymi tylko zmianami: Pan Marceli istotnie umarł, ale w trzydzieści parę lat później i nie w Klenikach.

Radośnie powitali rodzice dorosłego syna niewidzianego z racji srogiej odległości (200 klm!) od 7 lat. Zaraz nasunęło się pytanie: co z nim robić? Pan Marceli był porządnym sknerą i ani myślał mu ustąpić kawałka ziemi.

Książę Adam powrócił z Moskwy, gdzie bezskutecznie tuptał wokół Katarzyny w sprawie zwrócenia mu paru starostw leżących w rosyjskim zaborze, i zaprosił Niemcewiczów do Wołczyna; rodzina załadowała się do ogromnej gdańskiej karety (w Polsce od łóżek do wódki wszystko pochodziło z Gdańska) i w asyście wozu z kuchnią, nieodzownej w wyprawie aż o 30 wiorst **[32 km]*, Bogu oddawszy się w opiekę - ruszyła w drogę.

W Wołczynie bawił Stanisław August; zawsze łasy na piękne kobiety asystował pani Jadwidze, wyłącznie z nią tańczył ku oburzeniu innych kwok. Pan Marceli rozumiał, że czyni to przez atencję dla znakomitego rodu Ursynów. Pani podczaszyna nienawidząca dotąd Poniatowskiego za rozbiór, zmieniła zdanie i widziała w nim odtąd najlepszego króla.

Ks. Adam oświadczył panu Marcelemu, że bierze Julianka na swój dwór. - I nie oddamy go waszmościom wprzódy, aż obżenimy, - zapiszczała księżna Izabella.

- Ano wola Boska i księcia pana! - skłonił się pan podczaszy.

Mocno zadowoleni z pozbycia się syna wrócili państwo Niemcewiczowie sami do Skoków.

4

ADIUTANT KOMENDANTA

Czartoryscy spędzali lato to w długim drewnianym domu wołczyńskim, to w starym, murowanym pałacu w bliskiej Różance. Ks. Adam był komendantem wojska litewskiego, Niemcewicza - który ukończył korpus w stopniu gifreytera czyli wodza aż 4-ch kadetów - mianował swym adiutantem.

Funkcja ta nie przysparzała wiele roboty, w Różance był tylko mały oddział gwardii litewskiej sprowadzonej przez księcia dla wypróbowania nowych metod musztry. Rano, gdy była ładna pogoda, książę zasiadał na ganku i ćwiczył żołnierzy, ale że nie znał ani starej, ani nowej komendy, gwardziści nie wiedzieli która prawa, która lewa noga, więc wkrótce wszystko zaplątywało się tak, iż jedynym ratunkiem było pójście na śniadanie.

Gości zawsze mnóstwo, Niemcewicz pokazywał im sławną bibliotekę różańską, uzbieraną przez niezrównanego - w piciu - hetmana Pocieja; z nabożeństwem oglądała szlachta wielkie oszklone szafy zapełnione pucharami w formie niedźwiedzi, kaczek, pistoletów, armat... Pić z coraz innego pucharu uważano za takąż rozkosz jak gwałcić coraz to inną kobietę.

Nie lubiący długo przebywać na jednym miejscu książę wyruszył na objazd amii litewskiej, która liczyła prawie 5000 ludzi.

Pułki po 100 albo 50 żołnierzy stacjonowały latami w tychże miasteczkach; na rynku, pośród tłumu żydziąt oraz kobiet i dzieci śledzących z zainteresowaniem jak mąż lub tata się spisują - czynił książę z powagą przegląd dwóch króciutkich szeregów. Żołnierze nie

znali postawy na baczność, stali jak dziady pod kościołem opierając się na strzelbie z zeszłego stulecia, na szabli lub po prostu na grubym kiju. Oficerów było zwykle więcej niż szeregowych, szlachta kupowała za paręset dukatów rangę porucznika czy pułkownika, z okazji rewii zjeżdżali się wszyscy, bo solidna pijatyka była zapewniona.

Wojsko, choć tak nieliczne, wzbudzało wielki lęk u - spokojnych obywateli. Gdy zalegano mu z żołdem, rzucało się na okolicę, rabując niczym Tatarzy, gdy porucznik potrzebował pieniędzy, a był zajazd w sąsiedztwie - wypożyczał za skromną opłatą cały pułk; sejmiki były żniwem dla żołnierzy, za talara rąbano kogo wskazano. Płynęły więc żale i skargi do komendanta, który je wysłuchiwał ze zwykłą mu uprzejmością i obiecywał złemu zaradzić - naturalnie parę jego słów nagany, spływały po oficerach jak woda po gęsi i ledwo odjechał - wszystko było po staremu.

Wszędzie przyjmowano ks. Adama z wielkimi czołobitnościami - nie dlatego, że był komendantem wojska litewskiego - na co gwizdano, ale że był Czartoryskim!

W Pińsku brygadier petyhorskiej brygady Chomiński osobiście gotował obiady dla dostojnego gościa. Znał się świetnie na kuchni, dużo lepiej niż na wojsku. Niemcewicz odwiedził w Pińsku księżniczkę Ogińską, pannę 93-letnią, na której cnotę daremnie nastawał przed 70-ciu laty Piotr Wielki. Księżniczka oparła się wszelkim zakusom, wytrwała w dziewictwie, czego teraz - trochę po niewczasie - mocno żałowała.

Najdłużej zabawił książę w Słonimiu u hetmana Ogińskiego. Mały, chuderlawy hetman nazywał Rousseau - kolegą, bo tylko oni dwaj na świecie układali muzykę i słowa do oper, smarował palcem okropne pastelowe bohomazy, wymyślił harfę z pedałami, budował kanały, pisał sztuki, wytykał bulwary, reżyserował przedstawienia, grał na cytrze - wszystkim się interesował z wyjątkiem wojska.

Podczas konfederacji barskiej wyruszył w pole na czele trzytysiącznej armii. Pod Stołowiczami wypoczywał po pracowitej nocy u boku grubej panny d'Assert, komponując operę, gdy kapitan Suworow napadł na niestrzeżony całkiem obóz; 700 Moskali rozgromiło doszczętnie 3000 konfederatów, nieprzytomnego ze strachu hetmana przeprowadzili słudzy w nocnej koszuli przez granicę. Odtąd Ogiński zniechęcił się do wojska: - Nie mam szczęścia Czarneckiego! - mówił.

Przegląd pułków hetmańskich, liczących w sumie aż 200 ludzi trwał niecałą minutę. Za to komendant wojsk litewskich musiał siedzieć godzinami w teatrze słuchając, jak chłopi białoruscy deklamują francuskie sztuki hetmana z których nie rozumieli oczywiście ani słowa.

Niemcewicz łypał na dziewczęta. Każda klucha wydawała mu się cudną boginią. Pomny

przyjemności zażywanych z doboszową pragnął wznowić te ćwiczenia, ale skromny i nieśmiały nie sądził by bez ślubu do igraszek małżeńskich dojść mogło. Ciągle się w którejś kochał, ciągle chciał się żenić. Ks. Adam hamował te zapędy tłumacząc, że dla wypicia lampki wina nie kupuje się winnicy. Lafiryndy przyjmowały hołdy nie poczuwając się w zamian do obowiązku dostarczenia godziwych rozrywek. W rezultacie nieprzedsiębiorczy Niemcewicz wciąż był podniecony i wciąż nieczynny.

Wreszcie książę wyjechał ze Słonimia. Niemcewicz wrócił jeszcze zza bramy, zeskoczył z konia, padł plackiem u nóg swej ostatniej bogdanki; przyleciał też potem z pierwszego popasu - by spojrzeć jej tylko w oczy, chwyty te znamionowały czułego i dobrze wychowanego młodzieńca.

Zawadziwszy o Grodno i Kowno książę Adam wrócił na Sejm 78 r. do Warszawy.

5

Z KSIĄŻKĄ WŚRÓD KÓZ

Książę Adam mieszkał w Warszawie na Senatorskiej, w obdrapanym pałacu, zwanym Błękitnym, bo niegdyś był pomalowany na niebiesko farbką do prania. Niemcewicz dzielił z Orłowskim, drugim adiutantem księcia, ciasną izdebkę na poddaszu, lecz miał własnego służącego. Pachołka miał każdy szlachcic - nawet taki co nie posiadał portek.

Co rana asystował Niemcewicz przy wstawaniu księcia, który - jak wszyscy polscy magnaci - przybierał tony Ludwika XIV-go. Tłum ludzi patrzał pobożnie jak na księcia wciągano szlafrok, jak go polewano perfumami, fryzowano, pudrowano... W trakcie tych zabiegów książę podpisywał listy, wydawał polecenia; w takiej też chwili, zauważywszy ziewającego w kącie Niemcewicza, schwycił jakąś książkę ze stołu, mówiąc:

- Mój panie Julianie, a przetłumacz że to na polski.

Była to przenudna historia Jean de Bourbon, spitraszona przez Rousseau; Niemcewicz wziął się gorliwie do pracy, po miesiącu wydał swe tłumaczenie, przypisując je naturalnie Czartoryskiemu. Książę nie zdobył się na przeczytanie tej ramoty, ale zganił styl, niedokładność, formę - wiedząc, że są to chroniczne usterki u początkujących. Potem podarował w nagrodę Niemcewiczowi konia i kazał tłumaczyć drugie dzieło; wybrał je staranniej: najgrubszą księgę z całej biblioteki - historię Małgorzaty królowej Navarry; koń żył, nie było się po co śpieszyć, obróbka tego kloca zajęła Niemcewiczowi parę lat, wydanej wreszcie w 500 egzemplarzach Małgorzaty nikt nie chciał brać do ręki, bo nie takie ględzenia, ale najlepszą nawet książkę polską czytanoby w Warszawie dopiero

przetłumaczoną na francuski.

Niemcewicz pilnie uczęszczał na sesje sejmowe, które przypominały lekcje w szkole. Posłowie - jak sztubacy - mówili co im kazał brzuchaty Stackelberg, król był najposłuszniejszym lizusem; uchwalano same drobiazgi, cały czas schodził na balach i grze w karty - jedynych zajęciach do których się szczerze przykładano.

Polonez stale powodował pojedynki. We wszystkim uznawano pierwszeństwo Moskali, za wyjątkiem tańca - tu budziła się duma narodowa. Gdy tylko oficer rosyjski ruszał w pierwszą parę - zaraz Polak przydeptywał mu pięty. Kublicki, dworzanin Czartoryskich, wyspecjalizował się w tych polodynkach. Prosto z balu, o świcie, jechał do Jeziornej i tam pukał z pistoletu; postrzelił wielu Moskali, sam ledwo łaził od ran, za to miał opinię heroicznego patrioty.

Celebrować przy zielonym stoliku 48 godzin pod rząd uchodziło za normalną partyjkę; biskup inflancki Kossakowski, gdy mu karta bardzo nie szła, odchodził na chwilę, by odprawić mszę św., po czym wracał prędko ufając, że Pan Bóg mu się zrewanżuje i przyśle koronkę.

W Błękitnej ruderze nie szalał faraon. Księstwo lubili klepanie w nocy, ale nie kartami. Księżna Izabella uważała się za najpiękniejszą kobietę na świecie - byłaby nią może istotnie, gdyby nie drobne defekciki jak: krzywy nos, za wielkie usta, obwisłe piersi, czerwone, ciężkie łapy i cera pocentkowana przez ospę. Miała jednak w sobie sex-appeal, mężczyźni czując, że jest to twierdza do zdobycia, szturmowali gęsto i coraz to któryś wdzierał się między wały; książę patrzał przychylnie na te ewolucje małżonki i żeby nie wyjść z wprawy ćwiczył przykładnie na innych obiektach.

W 1769 r., gdy Repin zakochał się w księżnie Izabelli, cała familia namawiała ją do wzajemności, spodziewając się przez coś uzyskać od wszechmocnego ambasadora. I rzeczywiście uzyskano: synka Adama, który potem był ozdobą rodu Czartoryskich.

Obecnie księżna Izabella, matka czworga dzieci, wychodziła po trochu z obiegu; wiedząc dobrze, iż harmonię małżeńską psują nie dorywcze miłostki, ale zbyt częste widywanie się - przemieszkiwała wiele ze swą progeniturą w Powązkach o pół mili za Warszawą.

Powązkom nawet Rousseau nie mógłby nic zarzucić - takie tam wszystko było nienaturalne i sztuczne. W cieniu drzew, zasilane kubłami wody, szemrały po nawiezionych jak na szosę kamykach dziwacznie poplątane strumyki pełne ryb, zmienianych co rano, bo zdychały w zbyt płytkich ruczajach. Wielkie głazy z jednej strony omszone, z drugiej wyciosane na kanapę, pośród trawników groty, zwalone kolumny, ruiny - z objaśniającymi napisami, by kto nie wziął szczątek świątyni Wenery za gruzy po

chlewiku, altanki, obórki... Wałęsały się kozy ze wstążkami na ogonie, z wyperfumowanymi wymionami, bo ogarniętej nagłą tkliwością księżnej przychodziła czasem chętka którąś wydoić, dzieci jeździły na osłach, gołąbki i króliki pętały się wszędzie.

Księżna mieszkała w małej, skromniutkiej chatynce, zupełnie wieśniaczej, ze słomianą strzechą. Tyle, że łazienka w niej była wyłożona saską porcelaną, ściany pokryte arrasami, stoły zastawione szczerozłotymi bibelotami; chatka księżnej Izabelli kosztowała pół miliona, dzieci i guwernerzy mieli każdy swoją kabankę.

Książę Adam uważał, iż korpus kadetów nie jest godzien synów jego żony - nie mieliby równych sobie towarzyszy - toteż nie oddawał ich tam, ale zabierał z korpusu najlepszych nauczycieli i umieszczał przy książątkach. Głównym guwernerem Adasia i Kostusia był pułkownik Ciesielski, człowiek o marsowym wyglądzie lecz, jak wszyscy wojskowi w Polsce, łagodny jak baran.

Ponieważ życie w Powązkach było swojskie, pasterskie, więc służby kręciło się minimalnie - jakieś 15 osób wszystkiego. Goście musieli się przebierać za nimfy i pastuchów.

Niemcewicz często odwiedzał Powązki, księżna polubiła go bardzo gdyż w organizowaniu zabaw okazał się niezastąpionym. Przyjechał król - pokazano mu żywy obraz: Pokój w Chocimiu. Zmontowanie tego widowiska zajęło miesiąc czasu, do odegrania roli Turków sprowadzono żydów z Lublina, młodzież szlachecka, przebrana za hussarię, rozproszyła i biła Turkożydów do woli - wielki bal zakończył to chlubne zwycięstwo. Za Stanisława Augusta nie odnoszono innych.

6

W OCZEKIWANIU NA NOC POŚLUBNĄ

Zimą 79 r. Niemcewicz pojechał z księciem do Białej na ślub przyrodniej siostry Karola Radziwiłła z synowcem biskupa wileńskiego Massalskiego.

Zjazd był ogromny. Księciu dano osobny pokoik, Niemcewicz spał na podłodze, na słomie wraz z innymi gośćmi. O wygody nie dbano u Radziwiłła; książę Karol spał na wąskim, twardym, żelaznym łóżku - całkiem nagi pod skórą czarnego niedźwiedzia, sam kosmaty jak niedźwiedź. Cztery tęgie, pyzate dziewuchy spełniały przy nim rolę szatnych, albo go ubierały, albo - jeśli czuł przypływ energii - same się rozbierały.

Młoda para nie olśniewała: Radziwiłłówna szpetnawa, z dobrze wydzwonioną trzydziestką, zasuszona cnotnisia; Massalski tak szczupły, mały, że prawie karzeł i tak tępy, ograniczony, że zupełny kretyn; był on dowódcą pułku z 80 hultai, który biskup specjalnie dlań utworzył. Oczywiście pruderia z idiotyzmem pobierały się nie z własnej inicjatywy, ale na żądanie biskupa i wojewody, którzy widzieli w tym mariażu nowe uświetnienie swych znakomitych rodów.

Biskup Massalski był tęgą głową. Walnie się przyczynił do pomyślnego ukończenia I-go rozbioru, namawianiem posłów do szybszego podpisywania podziału tak sobie zjednał Stackelberga, iż ten kazał go mianować prezesem Komisji Edukacyjnej. Z tego tytułu zarządzał wszystkimi jej dobrami na Litwie dającymi 600.000 zł. dochodu rocznie. Profesorom nie płacono pensji, w szkołach gdy deszcz padał przerywano lekcje, bo dachy były jak sita, Poczobut daremnie błagał latami o pieniądze na kupno porządnej lunety.

- Na co mu durniowi - mówił biskup - dość kościół miał przykrości z tym wariatem Kupernikiem, obejdzie się bez nowych psot!

I brał najspokojniej w świecie 500.000 zł. do kieszeni, a resztę pozwalał rozgrabiać swoim kreaturom.

Obecnie Massalski był w wielkiej pasji: Radziwiłłówna otrzymywała tylko 200.000 zł. posagu, co istotnie jak na siostrę Nieświeża było mało. Biskup żądał dwóch milionów, książę Karol powoływał się na bardzo wygodny statut rodowy zabraniający ponoć dawania Radziwiłłównom więcej i nie chciał postąpić ani grosza.

Srogie toczyły się spory. Biskup raz słodyczą, układnością, raz logiczną argumentacją, to znów powagą pasterza i autorytetem Pana Boga usiłował przełamać księcia. A książę pękaty, gruby, ze złości czerwony jak marchew, szarpał wąsa długiego do piersi, poprawiał czapę sobolową na wygolonej głowie, przestępował jak słoń z nogi na nogę i sapiąc:

- Nie, panie kochanku, nic z tego! - powtarzał.

Nie był nawet tak skąpy książę Karol, ale uparty, jak sycylijski kłapouch:

- Cóż to, byle klecha będzie mi rozkazywał - warczał - mnie, Radziwiłłowi, siedemnastemu z rzędu wojewodzie wileńskiemu!

Dyskusje trwały, odkładano wesele z dnia na dzień. Jedna Radziwiłłówna była markotna z tego powodu, bo korciło ją rozpocząć manewry nocy poślubnej, poza tym wszyscy byli uradowani - szlachta lubiła ubogie duchowieństwo i mnichów, nie cierpiała możnych prałatów, cieszyła się więc z konfuzji biskupa, a przy tym czas uchodził jak nie można

przyjemniej.

Wstawano późno, koło 11-ej, wnet bieżono na śniadanie. Normalny szlachcic posuwał sobie: łokieć suchej kiełbasy, półmisek zrazów z kaszą, dwa kapłony, zalewał to czterema butelkami wina węgierskiego i - dość! do obiadu nic już nie brał do ust.

Obiad zaczynał się o 12-ej w południe. Zasiadano przy długich wąskich stołach, przybranych w tafle zwierciadlane o złoconych brzegach. Pośrodku kupy konfitur i galaret ułożone w kolory i herby najdostojniejszych gości. Na tych słodyczach sterczały figurki porcelanowe i inne cacka.

Stale brakło naczynia; biesiadnicy wyciągali zza cholewy własne łyżki, talerze i noże - obtarłszy je wprzód w obrus - pożyczano grzecznie sąsiadowi. Wszyscy czuli się prawie na czczo, więc w milczeniu pałaszowano; na początek szła wazka barszczu z rurą, potem micha schabu z grochem, rynienka kapusty ze sztukamięsą... Książę Karol coraz to wołał płaczliwie:

- Panie kochanku, nic nie jecie, nie pijecie, niełaskawi...

- Zdrowie księcia pana! - odkrzykiwała szlachta, spełniając puchary i rada z przynuki.

Zaspokoiwszy nieco pierwszy głód, zwalniano tempo, urządzano atrakcje wesołe a dowcipne:

Młodzież popisywała się rozpłatywaniem indyka w powietrzu - co to było śmiechu, gdy się nie udało i ociekający tłustym sosem indyk padał - bęc na brzuch jednego z widzów; ktoś ucinał szablą szyjkę od butelki, ktoś brał naraz do gęby 3 jajka na twardo i połykał, ci rzucali zręcznie w damy kulkami z chleba - prosto za gors, najwięcej podziwu wzbudzały jednak popisy tęgich gardziołek.

Zwykły puchar zawierał dwie butelki wina, mistrzowie gardzili takim kieliszkiem i brali się do gąsiora co wyglądał na beczułkę. W pucharze takim mieściło się 5 butelek, a w jego nakrywce 3, wirtuoz opróżniał jednym haustem nakrywkę, zaraz potem dwoma łykami sam puchar i z gracją, przez serwetę, oddawał temu w czyje pił ręce. Entuzjazm powszechny. Gracka robota!

- Przedni ma spust!

- I trzeźwy! Tęga głowa, musimy go wybrać na posła!

Starzy biadali, że to już nie te dobre, piękne czasy saskie. Wtedy za opróżnienie duszkiem takiego pucharzyska król dawał zasłużoną nagrodę: starostwo, pensję

dożywotnią, order Orła Białego, dziś - kto co dostanie? Czasem rozczulony magnat da pierścień, albo konia - taki drobiazg za taki wyczyn! Oj ta młodzież obecna, jeszcze trochę, a jak chore babcie herbatę pić zacznie.

Na razie na tę katastrofę się nie zanosiło, wszyscy pili na umór, brzuchy pęczniały w oczach.

Wyższość koafiury polskiej nad francuską występowała w pełni: ci w perukach pocili się, byli prawie nieprzytomni, tym co modą polską mieli wygolone łby kurzyło się jak z komina, alkohol parował, mogli bez obawy pić trzy razy więcej; w tak znakomitym towarzystwie wystrzegano się rzygania na środek stołu - nie należało to do najlepszego tonu.

Radziwiłł dobrze rozochocony zaczynał być rozmowny. - Wasza książęca mość tyleś podróżował, pewnie zza granicy wiele pięknych rzeczy przywiozłeś? - pisnęła jedna z pań.

- Takie, że doktorzy tu ledwo wyleczyli.

- A szlachty dużo za granicą? - pytał kto inny.

- Szlachty, panie kochanku, nigdzie nie ma. W Niemczech same Szwaby, w Czechach piwowary, we Francji kucharze; we Włoszech poznałem ich największego magnata - Ricci, któren na handlu rycyną fortuny się dorobił, to jak mi, panie kochanku, rękę uścisnął - przez trzy dni potem z powodu żołądka wciąż w kuckach siedziałem...

Opowiadał Radziwiłł, że z Rousseau i Wolterem stale i obficie koresponduje.

- Ależ oni już umarli, - ktoś zauważył.

- To szelmowska poczta, jak listy zaległy, bo właśnie wczoraj świeże od nich otrzymałem...

Potem bajdurzył jak był lokajczukiem u księdza i brał baty, jak płynąc do Wenecji zgwałcił syrenę, z którego to romansu powstały śledzie; jak szturmując Gibraltar pocisk armatni oderwał jego koniowi nogi, a jemu głowę, co im nie przeszkodziło wedrzeć się pierwszym do fortecy; jak na polowaniu jadł brzoskwinię, wypluł pestkę, która wpadła mu do lufy, wystrzelił, trafił w grzbiet jelenia, na przyszły rok jeleń ten z krzakiem brzoskwini na grzbiecie hasał; jak podczas pewnej bitwy, gdy Fryderyk II-gi stracił głowę, on objął komendę i zdumiewającym manewrem rozgromił Moskali... Wszyscy słyszeli te bzdury już tysiąc razy, nudziły setnie, ale chcąc się księciu przypodobać słuchano z uwagą i tysiąc pierwszy.

Wielu ludzi uważało Radziwiłła za zupełnego idiotę, szeptano, że nawet pisać nie umie,

była to niecna potwarz, nie lubił się wprawdzie podpisywać, odkładał tygodniami, ale ostatecznie czynił to zgrabnie, z niewielu błędami i czasem bez kleksa. Nie był też głupszy od innych magnatów, a że nie mieszał się do niczego więc i mniej szkodliwy.

Po sześciogodzinnym obiedzie, krótkiej drzemce, po kolacji następował bal. Olbrzymia sala, w której czterokonna kareta mogłaby swobodnie lawirować, jarzyła się od świec. Damy z fryzurami wielkimi jak stogi siana i pełnymi wszy siedziały pod ścianami, panowie w ukłonach prosili je do tańca; książę Radziwiłł, zdjąwszy pas lity złotem i srebrem, szeroki, wspaniały, ale tak ciężki i sztywny, że ruszać się w nim było niepodobna, z wielkim szkaplerzem na piersiach, w którym - mówił - że Unia Litwy z Polską jest zaszyta - sunął w pierwszą parę; za nim barwnym korowodem tłoczył się kto żyw na sali, od tańca nie stronili nawet paralitycy.

Z hałasem, tupotem wirowały pary; po każdym anglezie, kadrylu, mazurze - danser wychylał kielich na cześć swej partnerki; Niemcewicz nie pił wcale wymawiając się brakiem zdrowia, za to w nogach przewyższał wszystkich, odtańczył solo kozaka - zyskał poklask ogólny, winszowano Czartoryskiemu że dobrał sobie tak zdolnego adiutanta.

Rosła ochota, coraz żwawiej, siarczyściej kołowano. Podłoga pełna była dziur od gwoździ w butach tancerzy. Wkrótce kawalerowie byli całkiem mokrzy od potu i cuchnęli porządnie, damy jęły zatykać nosy chusteczkami - na te subtelne sygnały panowie biegli do alkierzy zmieniać bieliznę. W czasie jednej nocy grzeczny tancerz musiał się przebierać kilkakrotnie, ale mimo tych wysiłków zapach na sali nie przypominał w niczym wody kolońskiej. Rozgrywane po kątach mecze między starszymi paniami i panami o to kto więcej razy puknie nie przyczyniały się również do świeżości powietrza.

Prawdziwy smród panował jednak dopiero na korytarzach. Pałac w Białej, jak wszystkie zamki ówczesne, nie miał żadnej ubikacji. Goście najedzeni i opici czuli nieprzepartą chęć do odwrotnych czynności, a że mróz i kundle szalały na dworze, więc użytkowali schody i ciemne korytarze.

Książę Radziwiłł postanowił uraczyć towarzystwo wybornym koncertem. Wespół z hetmanem Ogińskim zasiedli z klarynetami, rozłożyli nuty; hetman grał całkiem dobrze, trzymał się wątku, nagle - bez żadnego sensu - przeraźliwie pisnął wojewoda. Zżymnął się Ogiński, ale grał dalej, Radziwiłł zaś, co nabrał tchu, nadymał policzki i myczał ze wszech sił. Burza oklasków; oficjaliści, drobni szlachcice aż tupali z zachwytu - Radziwiłł nie miał pojęcia o muzyce, nuty widział pierwszy raz w życiu, lecz był za bogaty, by nie celować we wszystkim.

Dobrze o świcie kończył się bal i układano do snu, nazajutrz w tymże trybie zaczynano od początku.

Upłynęło 9 dni. Radziwiłłowi przyszło nagle do głowy, iż sytuacja jest niemiła dla jego siostry, nie zważając tedy na biskupa, ryczącego że nie zezwoli na ślub synowcowi, póki kwestia posagu nie zostanie uregulowana - postanowił nieodwołalnie, iż ślub odbędzie się dziś po południu! Kretyna młodego naturalnie nikt nie pytał o zdanie.

Panna starsza wnet zasiadła przed gotowalnią ze złota i srebra. Wszyscy kawalerowie mieli prawo asystować przy tej ostatniej dziewiczej tualecie, Niemcewicz przepchał się na czoło tłumu, wybałuszył oczy. Srogi zawód: w ciągu 4-ch godzin nic nie przebiło poza pancerz spódnic, staników, szlafroka... w momentach rokujących jakieś nadzieje, rozstawiano parawan. Tualeta polegała na fryzowaniu, szminkowaniu, glancowaniu paznokci, oblewaniu perfumami; mycie jako zabieg szkodliwy dla zdrowia, nie było wcale stosowane.

Już miano siadać do karet, gdy wysunął się biskup mówiąc słodko:

- Obowiązkiem moim, jako pasterza, jest sprawdzić czy owca przystępująca do sakramentu małżeństwa dostatecznie opanowała zasady wiary.

I zwracając się do synowca: - Odpowiadaj! Kto cię stworzył?

Przerażony pułkownik bełkotał: - Pan, pan.... Zapomniałem, jaki to pan mnie zrobił...

- Pan Bóg, głupcze! Ilu jest Bogów?

- Trzech w osobie jednej Matki Boskiej.

- Wylicz mi sakramenty święte.

- Pycha, obżarstwo i pijaństwo, pamiętaj abyś w dzień święty cudzołożył z wołem bliźniego twego...

- Doskonale, panie kochanku - huknął Radziwiłł - doskonale, papież by lepiej przed swym ślubem nie odpowiadał! - i porwawszy na ręce narzeczonego rzucił go do karety, jak kluskę do garnka.

- Jazda!

Ruszyła cała kawalkada; biskup został sam na ganku: - Pies wam mordę lizał, pobłogosławił, to tak szanujecie duchowną osobę! - wściekły odjechał natychmiast do Wilna, przysięgając w sercu zemstę.

Wzdłuż drogi do kościoła stało szpalerem 4000 prywatnego wojska Radziwiłła. Książę Karol dumny był ze służbistości swych żołnierzy: gdy raz szwendająca się po wałach

nieświeskich koza nie dała odzewu na hasło - oficerowie złożyli na nią sąd wojenny i niezwłocznie rozstrzelali. Zostali za to oczywiście nagrodzeni. Za zabicie kijem niedźwiedzia można było w tym wojsku zaawansować od razu na pułkownika, a za głośne śmianie się z dowcipów księcia - na generała. Rangi i krzyże radziwiłłowskie ceniono w kraju tyleż co odznaki wojska litewskiego: te otrzymywano za głupstwa, tamte za dukaty.

W kościele wszystko poszło dobrze; by nie wzbudzać śmiechu powszechnego, ksiądz nie pytał o nic Massalskiego, wyręczał go zakrystian; podczas wiązania rąk udanej parze - na dworze zagrzmiały działa, trąby, strzelby... Trzy guwernantki księżniczki ze wzruszenia padły zemdlone - tknięty tą tkliwością Radziwiłł posłał im zaraz hajduka z oznajmieniem, że asygnuje każdej po 6.000 zł. dożywotnej pensji. Porwały się baby na nogi, krzyknęły: - Dzięki! - i prędko zemdlały ponownie.

Uczta i bal zakończyły ten piękny dzień. Główną atrakcją było iść podglądać przez szpary we drzwiach sypialni co robią nowożeńcy... ustawiano się w kolejkę... Massalski zapomniawszy o technicznych wskazówkach stryja absolutnie ignorował swe obowiązki małżeńskie, niedoświadczona, ale pełna dobrej woli księżniczka była srodze rozczarowana, widzowie wykrzykiwali przez drzwi różne zbawienne rady, proponowali czynne demonstracje - na własnym ślubie nikt by się lepiej nie ubawił.

Po dwóch dniach, gdy wszyscy jako tako otrzeźwieli, książę Adam z Niemcewiczem powrócili do Warszawy.

Przejechali most, minęli świeżo przez kasztelana łukowskiego Jezierskiego wystawiony na brzegu dom z klitek złożony - przez same prostytutki zamieszkały. Stanisław August lubił z Zamku przez lunetę wypatrywać kto ten przybytek odwiedza i jak długo tam funkcjonuje. Przypochlebny kasztelan umieścił na frontonie swego publiczniaka złocony napis:

Mądrego króla są to skutki rządu

że stoją domy, gdzie nie było lądu.

Swawolni młodzieńcy, żadnej świętości nie umiejący uszanować, wnet dopisali pod spodem:

Rozwiązłego króla oto skutki nierządu,

że burdele są tam nawet gdzie nie było lądu

Spotkawszy swego domownika, furmana wiozącego drzewo, książę Adam, który gustował czasem w rozmowie z prostakami, zawołał:

- Co słychać?

- Chwała Bogu wszystko dobrze, po staremu... ot tylko co najstarsza córka księcia pana na śmierć się spaliła...

Niepomyślna ta wiadomość ogromnie zmartwiła księcia, gdyż kochał dzieci swej żony niczym własne. 14-letnia księżniczka Teresa, piękna dziewczyna, z którą Niemcewicz nieraz tańcował, podlazła za blisko komina i spłonęła jak wiór. Księżna Izabella właśnie wypuściła na świat swój ostatni wyrób - Zosię; chora, zrozpaczona, przestała się czesać, myć, wycierać nosa. Ślubowała, iż czwartek - dzień pożaru Teresy - będzie dozgonnie dniem żałoby w pałacu Błękitnym. We czwartki żadnych zabaw, gości, surowy post, słuchanie mszy, jałmużna, pokuta...

Prawie trzy miesiące przestrzegano tego ślubu.

7

WARSZAWA - TULCZYN

Małżeństwo tylko z miłości! - była to naczelna zasada rodu Czartoryskich, a jakaż kobieta może bardziej kochać męża jak jedynaczka, sierota nie mająca nikogo poza mężem na świecie. Książę August, wojewoda ruski, poślubił ostatnią Sieniawską, która była też przypadkowo dziedziczką kolosalnych dóbr; syn jego, ks, Adam, pojął Izabellę, córkę podskarbiego Flemminga, jedyną spadkobierczynię ogromnego majątku. I tak stosując bezinteresowną, a szlachetną zasadę - Czartoryscy w ciągu dwóch pokoleń wydźwignęli się ze skromnego, drugorzędnego rodu na najbogatszych magnatów w Polsce.

Majątki Czartoryskich znajdowały się na Litwie, Podolu, Mazowszu, Polesiu, Ukrainie, w Galicji... stary wojewoda, ani książę Adam nie orientowali się w tej masie kluczów i folwarków, nie pamiętali ich nazw, w wielu nigdy nie byli. Zarządzali tym wszystkim rezydenci, dzierżawcy, poczciwi ludzie co kradli wiele chcieli, ale mimo ich wysiłków

fortuna ta, większa od połowy Holandii, dawała rocznie kilkadziesiąt beczułek złota dochodu.

Wiosną 1780-go roku książę Adam postanowił odwiedzić swe wschodnie posiadłości. Pałac Błękitny trząsł się od przygotowań, cały dwór miał przecie towarzyszyć księciu.

Widząc paziów beczących w kącie, książę zapytał o przyczynę tej powodzi.

- Z rozkazu pana marszałka wsypano nam po 30 rózeg!

Wezwany marszałek Borzęcki wyjaśnił:

- Jakżeż? Trzeba przygotować chłopców do podróży. W drodze może nie stać czasu na prawienie im morałów...

W nagrodę za przezorność podarował mu zaraz książę Adam piękną tabakierę.

Ruszono wreszcie taborem wobec którego karawana przez pustynię jest drobiazgiem. O 4-ej rano wyjeżdżały wielkie, w 7 koni zaprzężone, kryte bryki, pstrokato pomalowane, z literami A ks. Cz. po bokach. Jedna była spiżarnią, druga wielkim piecem do pieczenia chleba, trzecia podręczną kuchnią, inna z korzeniami, cukrem, szafranem, jeszcze inna wyłącznie jako kawiarnia z Greczynem Anastazym, specjalistą od przyrządzania kawy, dziesiąta dla słodyczy z mistrzem Sobolewskim wysłanym w swoim czasie na studia ciastkarskie do Neapolu, jeszcze fajczarnia, garderoba księcia, kuźnia, warsztat rymarski, góry tłomoków, tobołów... Sobieski ciągnął pod Wiedeń z mniejszym bagażem.

Człapało jeszcze kilkanaście wielbłądów objuczonych książkami na mało prawdopodobny wypadek, iż ktoś zechce poczytać; pieczę nad garbusami miał Radzikowski, doskonały znawca hodowli wielbłądziej i tricków beduinów, co nie przeszkadzało, iż jego wychowankowie zdychały z niczym nieuzasadnioną gorliwością. Każdego zdechlaka żegnał rzewną odą.

Książę wstawał o 8-ej, o 11-ej już był gotów. Jechał otwartym koczem w 7 koni zaprzężonym, przy nim konno Niemcewicz, Orłowski, Skowroński i chmara pokojowców z łukami na plecach. Z tyłu kilkadziesiąt pojazdów, bo okoliczna szlachta śpieszyła powitać księcia, a potem przez atencję odprowadzała go kawałek - jakieś sto lub dwieście kilometrów. Toteż orszak Czartoryskiego liczył często do 400 osób.

Drogi przez nikogo nie dozorowane, nigdy nie naprawiane, były nieco uciążliwe. Powóz zapadał w wyboje wielkie jak wąwozy, podskakiwał na korzeniach, nurzał się w piasku po osie, gałęzie przydrożnych wierzb siekły po twarzy. Gdy kocz tak ugrzązł w bajorze, że aż woły dla wydobycia go sprowadzano, albo gdy się przewrócił wyrżnąwszy o kamień -

książę konno dokańczał etap.

Ranny etap wynosił 2 mile. Na popasie wszystko zastawano gotowe. Po gdańskiej wódce i bigosie brano się do obiadu - skromnego że to w podróży - więc zaledwie z 6 potraw. Książę wypalał następnie fajkę nabitą przez wyłącznie do tego przeznaczonego Turka Ali i wachlowany przez murzyna Osmana zagłębiał się w rozmyślaniach politycznych, wyrażanych chrapaniem.

Koło 4-ej ruszano dalej, przebywszy małą milę rozkładano się na nocleg. Jeśli było ciepło książę lubił biwakować swojsko, po pastersku - w czystym polu, nad strumykiem... Rozbijano namioty: adamaszkowy dla księcia, karmazynowy ze złotymi frędzlami na jadalny - 60 osób siedziało w nim wygodnie na skórzanych krzesełkach.

Gdy wypadło nocować w karczmie, wcześniej przybyły Borzęcki wyrzucał won chałaciarzy - kobiercami, makatami migiem wykładano podłogi i ściany, wybijano nowe okna, poszerzano drzwi. W stajni rozwieszano sztychy i kandelabry zamieniając ją na efektowną salę balową, intensywny zapach nawozu nie psuł nikomu ochoty do tańca. Staruszkowie mieli fajki, szachy, kielichy wina - wieczór w stajni niczym się nie różnił od wieczoru w pałacu Błękitnym.

Gdzie tylko była szkoła książę wstępował do niej, egzaminował uczni i profesorów, dawał im moralne nauki. Jako magnata słuchano go nabożnie, niektórzy czasem wiedzieli, że to też członek Komisji Edukacyjnej. Choć nudny, przecież wywierał lepsze wrażenie niż taki Poniński, co wizytując szkoły zadawał nieodmiennie jedno pytanie:

- Gdzie robią najlepsze wino?

Na pożegnanie książę zarządzał 3 dni rekracji, uradowani nauczyciele padali mu plackiem do nóg.

Wjechawszy na Podole książę przypominał sobie, iż jest generałem tych ziem i ma atrybucje wojewody; z wizytatora przedzierzgnął się w administratora, przyjmował deputacje kahalne, upominał parchów by mniej oszukiwali, rozstrzygał spory między szlachtą.

Najwięcej czasu jednak schodziło na odwiedzaniu obywatelstwa. Książę dbał o popularność. Jechał wężem, nakładając masę drogi, by zawadzić o znaczniejsze dwory.

W Bajkowicach u Onufrego Morskiego zatrzymywał się parę dni. Gospodarz dla uczczenia wytoczył baryłkę wina co miało dwa wieki, każdy dostał po kieliszku; Niemcewicz golnął swój jednym haustem - imć Onufry omal nie zemdlał na takie świętokradztwo:

- Pić Lacrima Christi co Batorego pamięta jak zwyczajną śmierdziuchę! O Boże, co się stanie z krajem przy takiej młodzieży!

Nalano Niemcewiczowi drugą porcję i kazano sączyć w skupieniu.

Beczka starego wina była w Polsce w większym poważaniu niż prymas; wiekowe antały przekazywano sobie z pokolenia w pokolenie jako najcenniejszy klejnot rodzinny. Dla podratowania fortuny wydawał szlachcic córkę za starego ramola, żenił syna z garbatą żydówką, ale nie sprzedałby za nic beczułki pradziada. Dzieląc z braćmi spadek rodzicielski Jerzy Czartoryski wolał wziąć beczkę tokaju z czasów Dąbrówki niż folwark wartości 1000 dukatów.

Dla rozerwania Generała Ziem Podolskich umyślił Morski odegrać jakąś dobrą komedię. Nie mogło być lepszej, jak pióra samego księcia - wystawiono Bliźnięta. Pani Morska grała amantkę, a że była młoda i ładna, więc Niemcewicz wykonywał sumiennie swą rolę amanta i na scenie obcałowywał ją dokładnie - czemu ona, źle obsłużona przez leniwego męża, poddawała się z ochotą. Pan Onufry, spełniający rolę suflera, w momentach zbyt czułych wysuwał się do pasa z budki i odciągał Niemcewicza za nogi od swej połowicy.

Wszędzie, gdzie zobaczył ładną mordkę - umizgał się do niej Niemcewicz. U podkomorzego Boreyki w Latyczowie przypuścił szturm do jego ślicznej żony, podkomorzy pilnował dobrze i młodym ani dał ćwierknąć.

Pechowy był pod względem flirtu Niemcewicz, nie trafił do takiego np. Dulskiego, który częstował gości co ładniejszymi dziwkami ze swych wiosek i do konsumowania ich przymuszał niczym do picia.

Kluczył po całej Ukrainie Czartoryski. Dwory drewniane, niskie, długie; meble proste, twarde, w skąpej ilości - ledwo dla księcia znajdywali gospodarze łóżko, inni nocowali w stodole na słomie. Gościnność - rozumowano w Polsce - nie polega na podsuwaniu piernatów pod zadek; karmiono drogich gości niczym wieprze przed Wielkanocą, pojono jak dromaderów przed wyruszeniem w Saharę.

Ceniono ludzi mogących dużo zeżreć i wypić - ale tylko w towarzystwie. W samotności obowiązywała trzeźwość, jeśli kto pił to chyba dla ratowania zdrowia. Wzorem był starosta cudynowski Iliński, serdeczny druh hetmana Branickiego. Patrzano nań powszechnie z szacunkiem; Iliński nóg swoich nie mógł obejrzeć, bo brzuszysko miał większe od kadzi, rano - przy śniadaniu - wypijał 6 butelek burgunda, przy obiedzie pół kwarty mocnej wódki i drugie 6 butelek wina, na kolację jeszcze 6 butli. Oczywiście przy okazji, w kompanii, Iliński pił dużo, lecz w samotności był wstrzemięźliwy i te 18 łyków starczały mu na cały dzień - chyba, że poczuł wielkie pragnienie.

Z Granowa książę Adam postanowił odwiedzić swego kochanego przyjaciela - Szczęsnego Potockiego. Małymi kozackimi wózkami puścił się w nielicznej asyście co koń wyskoczy przez stepy zarosłe trawą wysoką jak gaj, przez polany usiane olbrzymimi dębami; spotkali paru chłopów z odrąbanymi lewą nogą i prawą ręką - byli to lżej ukarani hajdamacy za rzeź humańską. Kawałki te ludzkie śmiesznie kicały przez step - wesołe i zadowolone, że mimo swych defektów mogą się jeszcze napawać słońcem i przestrzenią, ich ofiary były dokładniej uszkodzone.

Gnani strachem - widmo rzezi wciąż jeszcze unosiło się nad Ukrainą - dobrnęli po 9 godzinach do Tulczyna. Na frontonie ogromnego, świeżo przez Szczęsnego wystawionego pałacu złocił się napis: "Obyż tylko wolni i szczęśliwi w tym domu mieszkali."

Posępnie i nudno było w Tulczynie. Wszyscy dworzanie - wzorując się na Szczęsnym - łazili nadęci i napuszeni. Sam Szczęsny od czasu gdy bez słowa sprzeciwu pozwolił ojcu zamordować swą żonę Komorowską - popadł w melancholię. Potrafił godzinami bezmyślnie gapić się na jakiś przedmiot. Skryty, uparty, leniwy, szalenie zarozumiały - wcale nie uważał za wariata swego sąsiada, wojewody bracławskiego, księcia Jabłonowskiego, który kazał wymalować obraz przedstawiający go zdejmującego kapelusz przed Matką Boską, na co Ona z wyrzutem: - Mais couvrez vous donc, mon cousin! *[Ależ drogi kuzynie, nie trzeba!]* Matka Szczęsnego miała bzika na punkcie cnoty, za uśmiech zalotny siekła rózgami swe panny dworskie, szpiegowała je po nocach. Wychowanie w tym duchu syna wydało zwykłe rezultaty - gustował tylko w prostytutkach, poślubił kolejno Józefinę z Mniszchów i Greczynkę Wittową, - obie puszczały się z każdym co na nie miał ochotę.

Szczęsny nie grał w karty, bo odkąd beknął 200.000 dukatów zniechęcił się do tej rozrywki, nic nie czytał, nie pisał, nie robił. Lubił jeść pierogi hreczane ze śmietaną, jeździć konno, patrzeć jak ogrodnicy pracują. Parę dni zeszło Czartoryskiemu na zwiedzaniu folwarków, stadnin, obór... Tulczyn był świetnie zagospodarowany i dawał duże dochody.

Patrząc na cielęta książę Adam i Szczęsny rozmawiali o królu, którego obaj nie nosili w sercu i mieli za kpa:

- Oglądanie się na Moskwę to cała jego polityka - mówił Potocki - wstyd tak się płaszczyć przed imperatorową, więcej on kocha siebie niż Rzeczpospolitą...

Książę Adam potakiwał, a potem na osobności tłumaczył Niemcewiczowi:

- Poznałeś, mój panie Julianie, najlepiej czującego, najszlachetniejszego Polaka, niechże

ci będzie wzorem...

- Wspaniały człowiek! - wołał pełen zachwytu Niemcewicz.

8.

POETA Z NOGAMI W MIEDNICY

Powrotną drogę wytknął książę Adam przez Galicję. W Satanowie, przekraczając granicę, Niemcewicz uronił porcję łez - pierwszy raz widział namacalnie skutki rozbioru. Wszyscy się dziwili, że o takich drobiazgach pamięta.

Spory szmat Galicji należał do Czartoryskich: Oleszyce, Wysock, Pełkinie, Bukaczowce, Dorosławszczyzna, Brzeżany, Sieniawa... miejscowości te, jak cała Galicja, swym ubóstwem, brudem i brakiem kultury wskazywały wyraźnie, iż są rdzennie polskie.

Chłopi trzymali bydło w chacie, gnój zaścielał podłogę - nie wywożono go nigdy w pole, by nie zepsuć gleby; wszyscy mieli kołtuna na głowie - nie obcinali go, by nie umrzeć natychmiast.

Z Brzeżan książę Adam pojechał do Mikołaja Potockiego, starosty kaniowskiego, który na złość bliskim krewnym jemu zapisał niemal całą sukcesję. Z ciekawością przyglądał się Niemcewicz sławnemu staroście: ogromny, czerstwy, z sieledcem aż za ucho, choć lipiec - w watowanym tułubie. Ileż kobiet zgwałcił on w życiu! Tuż obok domu stał drugi, niski, długi seraj w jędrne piersi obficie zaopatrzony, starosta zaglądał tam co dzień i mimo swych 70-ciu lat zawstydziłby jeszcze królika. Był żonaty z córką ekonoma, lubił ją bić i kopać w twarz.

Starym babom kazał Potocki włazić na gęste drzewa i kukać - on zaś cienkim śrutem strzelał im w zadek śmiejąc się do rozpuku, gdy z wrzaskiem spadały. Bardzo tchórzliwy - nigdy nie miał pojedynku, ale bezbronnych ludzi zabił kilkudziesięciu, w chwilach wielkiej pasji uspokajało go to znakomicie.

Z tym wszystkim starosta był wielce pobożny i w obawie, że Pan Bóg nie zna się na żartach i za te figliki żywi doń urazę - postanowił Go udobruchać wybudowaniem kościoła. Sprowadził więc do Horodenki księży misjonarzy, wyznaczył im 30.000 zł. intraty, mularze wzięli się do kielni. Wszystko zepsuła spowiedź wielkanocna; ksiądz usłyszawszy, iż od ostatniej pokuty starosta znowu spłodził czworo a zgładził troje, nie dał mu rozgrzeszenia, co go wprawiło w taki gniew, że kazał na wpół już wzniesiony kościół rozwalić, misjonarzy batami wysiec i won przepędzić. Sam przeszedł na unityzm, na złość katolikom pojechał

do Poczajowa z workami pieniędzy. Bazylianie przyjęli jego złoto, jego dziewki i nawet jego z otwartymi rękami.

Potocki odbywał pilnie praktyki religijne waląc cybuchem swe nałożnice, kańczugiem mnichów gdy nie dość żarliwie się modlili. Przyjąwszy Komunię św. wrócił zadowolony do Horodenki pewien, że z Panem Bogiem nawiązał znów poprawne stosunki. Dziwki jego też były rade z poczajowskich rekolekcyj na pamiątkę których, prócz stosu medalików, poprzywoziły bazylianiątka w zarodku.

Obiad u Potockiego był po staroświecku - potrawy zaprawione szafranem; do stołu usługiwało 6 tłustych dziewuch w gorsetach; lubowano się w Polsce w obfitych kształtach - prawdziwy znawca jeździł tylko spasionymi końmi i nie dotknąłby nigdy chudej kobiety.

Rozmawiano wyłącznie o czasach saskich, jedynych - zdaniem Potockiego - przyzwoitych i przyjemnych, wtedy można było pohulać, umiano to ocenić. Opowiadał z uśmiechem jak raz dla facecji ubił żyda należącego do sąsiada, a gdy szlachciura - sknera stękał, że stracił najlepszego młynarza, on posłał mu w prezencie wóz drabiniasty pełen chałaciarzy z listem: "Za 1 - 50." Albo jak zalegającego z dzierżawą arendarza rozebrał do naga i do chlewa między wieprze wepchnął - skutek był doskonały, bo kahał wnet uiścił należność; albo jak obiecał kiedyś dwóm chłopom wolność i futor temu, który więcej kijów wytrzyma: jeden skonał przy 263-cim uderzeniu, skoczono obwołać drugiego zwycięzcą, ale się okazało, że to już zimny trup - hajducy gamonie przez roztargnienie od pół godziny trzepali nieboszczyka. Drugiej pary zawodników nie udało się znaleźć.

Pocieszne te historyjki niezbyt smakowały Czartoryskiemu, lecz dla kilku folwarków warto było pochichotać. Niemcewicz wymknął się z salonu i popędził konno do Dobrowód, mająteczku o milę odległego, dzierżawionego przez Franciszka Karpińskiego.

Karpiński wydał niedawno swój pierwszy tomik "Zabawki wierszem i prozą", w poszukiwaniu protekcji zadedykował go księciu. Książę Adam książkę pochwalił, a Niemcewicz ją przeczytał - zachwycony naturalnością, wdziękiem wierszy skorzystał z okazji, by poznać ich autora.

Zastał Karpińskiego, moczącego nogi (by mniej śmierdziały) w misie z wodą, rzempolącego na gęśli i podśpiewującego. Smagły, czarny jak kruk, w prostym samodziałowym żupanie grykosiej i elegancki adiutant w pończochach i fraku przypadli sobie od razu do serca. Karpiński był wiecznie z losu niezadowolony, wiecznie narzekał i stękał - Niemcewicz zawsze wesół, zawsze dobrej myśli. Zeszła im noc na czytaniu, deklamowaniu wierszy, w tkliwszych miejscach Karpiński lał łzy jak fontanna.

Nazajutrz spotkali się znów na obiedzie u podczaszego Witosławskiego gdzie książę

Adam z gracją i finezją daremnie uwodził piękną panią Bąkowską, owocniejszą była działalność starosty kaniowskiego, który oczarowany końskim zadem klucznicy - bez długich ceregieli przydusił ją w korytarzu między zupą, a pieczystym.

Zaproszony do Brzeżan pojechał tam Karpiński. Właśnie przypędzono na dziedziniec grupkę chłopów w kajdanach, poddanych księcia, którzy mając dość bydlęcego życia uciekli na Wołoszczyznę; pojmano ich na granicy. Książę Adam, miast kazać im złupić skórę, rzekł łagodnie:

- Nie podoba wam się u mnie, idźcie z Bogiem, jesteście wolni...

Natychmiast, z właściwą prostakom konsekwencją, chłopi padli księciu do nóg błagając, by pozwolił im zostać w Brzeżanach, bo niema szczęśliwszej sytuacji, jak być poddanym u tak dobrego pana. Ledwo książę wyjechał, baty ekonomów zmusiły ich do gruntownej rewizji tego naiwnego poglądu.

Pochlipał Karpiński z okazji tak czułej sceny, ale wnet się nastroszył. Stał tuż obok kreishauptman Gotschalk, kacyk prowincjonalny, który z wypomadowaną i upudrowaną głową, z gwoździkami w lokach i gębie - czekał na chwilę rozmowy z księciem. Austriacka pała, tutaj pokorna i uniżona względem magnata, była arogancka i bezczelna wobec skromnych obywateli jak dzierżawca z Dobrowód. W największe roztopy kazał Gotschalk, pod grozą ogromnych kar pieniężnych, przyjeżdżać o kilkanaście mil do swego urzędu. Czekali nań parę godzin w przedpokoju, wychodził wreszcie w szlafroku, wyrzucał ostro, że śmią siedzieć w czapkach kiedy portret cesarza Józefa wisi na ścianie, pytał czy rozporządzenia władz wykonują sumiennie.

- Oczywiście!

- No to możecie wracać do domu, chciałem się tylko upewnić...

Szlachta nienawidziła urzędników austriackich i mściła się szatańsko. Gdy rząd wyasygnował pieniądze na budowę szos w Galicji, ziemianie dawali inżynierom duże łapówki, by - wbrew planom - prowadzili gościńce z dala od ich rezydencji, w ten sposób urzędnicy jadąc szosą byli pozbawieni widoku dworu i jego właściciela!

Książę Adam wziął Karpińskiego do gabinetu i odczytał mu swą rozprawkę o edukacji kobiet. Karpiński bez żenady wytknął co grubsze błędy. Zadziwiło to przyzwyczajonego tylko do pochwał księcia, ale rychło zrozumiał powód tej krytyki:

- Jesteś młody - rzekł - gust masz niewyrobiony, musisz przyjechać do mnie, do Warszawy - wycyzelujemy twój talent...

Ponieważ zbliżał się czas sejmu książę podrałował z całym dworem do Warszawy.

9.

BUDOWA SALOMONOWA CZYLI BUJDA SALONOWA

I znów w chwilach wolnych od zabaw uczęszczał Niemcewicz na Zamek, śledził z galerii dla arbitrów parodię wolnego sejmu. Zapominał aż czasem o miłostkach i żartach - tak bolesne rzeczy działy się tam - w dole.

Co dzień prawie rezydenci pruski i austriacki składali nachalne noty domagając się w imieniu swych koronowanych złodziei rzeczy poniżających i upokarzających. Król prędko wymyślał sprytną formułkę z której by wynikało, iż Polska czyni te ustępstwa z własnej inicjatywy, przez uprzejmość dla Józefa i Fryderyka, sejm wszystko uchwalał bez sprzeciwu, rad, że zachowano pozory. Gdy zażądał czego Stackelberg nawet nie silono się na formułki - pokornie i skwapliwie wykonywano co chciał. Belzebub w piekle nie był tak słuchany jak chambasador w Polsce.

W tym czasie Niemcewicz wstąpił do wolnomularzy. Moda wymagała tego stanowczo, nie należeć do mularstwa było w równie złym tonie jak nie chodzić do kościoła lub nie mieć kochanki.

Mularstwo nie kryło się wcale, siadając do powozu mówiono furmanowi: - Do loży Doskonałej Tajemnicy! - a on wiózł prosto na Senatorską. W dnie wspólnego ucztowania wystawało przed lożami po kilkadziesiąt karet - każda z herbem swego właściciela, odznaki masońskie noszono widocznie jak ordery, mniej tępe mowy, wygłoszone na posiedzeniach, były drukowane.

Mularzami byli Ignacy i Szczęsny Potoccy, Kazimierz Sapieha, Lubomirski, Moszyński, książę Adam, nawet Stanisław August podobnież jak jego koledzy po fachu Jerzy angielski i Katarzyna. Księżna Izabella, marszałkowa Lubomirska i co rezolutniejsze baby miały damską lożę - Dobroczynność. Biskupi, kanonicy też należeli do lóż. Gdy paru proboszczów wystąpiło w Warszawie przeciw wolnomularstwu gromiąc je z ambon, prymas natychmiast przepędził ich na prowincję jako niepoczytalnych.

Wzorem karczm przydrożnych, silących się na poetyczne szyldy, jak: "Pod Trzema Prosiakami", "Pod skutecznym Jajkiem" - i loże pomniejsze, filie centralnego w Polsce Wielkiego Wschodu przybierały efektowne nazwy: Pod Cnotliwym Sarmatą, Gorliwego Litwina, Dobrego Pasterza, Trzech Braci (należał ks. Adam), Pod Trzema Hełmami (loża Stanisława Augusta), Niemcewicz wstąpił do Tarczy Północnej.

O ile istnienie Towarzystwa Mularskiego było zupełnie jawne, o tyle jego cele i działalność tak świetnie zakonspirowane, że nawet członkowie nie mieli o nich wyobrażenia.

Światowy przekształcał się w Budowie Salomona w Nieociosany Kamień, przenikał Budowę Mularską, nasiąkał Sztuką Królewską, podczas Prac sycił się Warsztatem i Mistrzem, wchłaniał Księgi Budownicze z ust Dozorcy, roztrząsania Wielkiego Brata Przysposobiciela o Światłach Wysokich i Małych, łowił dźwięki Projektów od Młotka, przystępował do Biesiady z Prochem...

Cała ta napuszona gwara oznaczała najprostsze rzeczy w świecie: cywil wstępował do towarzystwa wolnomularskiego, zostawał członkiem kandydatem, studiował statut i ideologię towarzystwa, podczas zebrań gapił się na zarząd i prezesa, słuchał odczytywania protokółów uprzednich posiedzeń przez sekretarza, ględzeń wiceprezesa o moralności i miłości, wniosków zarządu, zasiadał do kolacji zakrapianej winem...

Wypowiedziane normalnie, rzeczy te traciły połowę uroku i całkowicie grozę.

Przechodził potem brat, czyli członek, wtajemniczanie - z proszkiem wdmuchiwanym mu do nosa, z trumnami, sztyletami, pseudo-morderstwami; awansował w stopniach, których było 33, przy czym każdy miał inny lokal (2-gi stopień - 2 pokoje! 4-ty stopień 4 pokoje!! co za pomysłowość!!!), inne obicia, innego patrona, w każdym bracia nosili innego koloru gacie i fartuszki; przyozdabiał świątynię - i to wszystko by wreszcie, jako jedyną działalność, rozdać ubogim nieco zupy rumfordzkiej.

Zgłębianie dziwactw poszczególnych stopni absorbowało cały czas, zawiłość form, mętność ideologii, bzdurny statut pokrywały istotną nicość, uniemożliwiały wszelką akcję.

Ale bo też nikt nie zostawał masonem by coś robić. Bujdowa Salomona była zabawą towarzyską, ciuciubabką dla dorosłych i niczym więcej. Tylko prostaki nie brały w niej udziału. Żadna solidarność, wielka polityka ani się śniły mularzom - nie cierpieli się często, zwalczali, szkalowali...

W salonach - owszem; w polityce Towarzystko Mularskie nie miało żadnego wpływu ani znaczenia.

10.

TRYBUNAŁ RZECZYPOSPOLITEJ

Wielcy magnaci nie lubili długo przebywać w Warszawie; przywykli po swych dworach do

hołdów, czołobitności, placko-padań - brakło im tego w stolicy. Rozumieli, iż Stackelbergowi jako Moskalowi i przedstawicielowi wszechmocnej Katarzyny należy się pierwszeństwo, ale drugie miejsce Stanisława Augusta drażniło ich niepomiernie - taki stolnik, taka hetka...

Książę Adam ze starannego wychowania, dobrych manier, braku charakteru, z zamiłowania do lekkich wierszy i kobiet - był bardzo podobny do Poniatowskiego. Jak on zachęcał młodzież do solidnych studiów, a sam był zbyt leniwy by coś umieć gruntownie. Nie nosił go jednak w sercu, nie mógł zapomnieć, że rodzina jego przeznaczała do tronu, że brat cioteczny go ubiegł nie dzięki większym zaletom umysłu czy serca lecz zgoła innego organu... Pałac Błękitny zawsze ział zjadliwą krytyką i opozycją w kierunku Zamku; Stanisław August, by ułagodzić braciszka, zaproponował mu godność marszałka na trybunale grodzieńskim. Łasy na przewodzenie książę Adam zgodził się chętnie. Nie przyjąwszy, ku powszechnemu zdziwieniu, zwykłego od króla dla marszałkom zasiłku - 40.000 zł., w ogromnej asyście ruszył do Grodna.

Pierwszy raz ujrzał Niemcewicz ten najwyższy sąd Rzeczypospolitej od którego nominalnie nie było apelacji. Składał się on z 20 szlacheckich deputatów i 10 duchownych; bardzo rzadko obradowano w pełnym komplecie, bo rzadko stronom starczyło pieniędzy na obdarowanie wszystkich sędziów, a deputat co nie otrzymał znikąd łapówki nie interesował się sprawą i wolał spać w domu. Wobec sknerstwa stron po kilkanaście dni nie dochodziło do sesji z braku kompletu. Musiał marszałek objeżdżać deputatów i prosić jak o łaskę, by raczyli się zejść.

Deputaci stali bardzo wysoko etycznie: wziąć kozubalca od więcej dającej strony było rzeczą godziwą i zgodną z dobrymi obyczajami, ale wziąć cichcem od obu stron było świństwem i wszyscy takim gardzili. Nie brać wcale było najgorzej - zyskiwało się dozgonną opinię skończonego durnia.

Pracy miał trybunał nawał. Szanujący się szlachcic musiał toczyć procesy, nieraz sprawa o wioskę z 5 chłopów i 3 cieląt trwała bite stulecie, za pieniądze wydane na spojenie i upasienie deputatów, na kozubalce, na mecenasów - można by kupić pół województwa, ale nie chwały z wygrania procesu. Przychylny wyrok trybunału stanowił dumę rodu - jak chorągiew zdobyta na Turkach. Panna mająca w posagu kilka wyroków łatwiej znajdywała męża niż inna z kilku folwarkami. Nikogo nie zrażało, że wyroków przeważnie nie można było egzekwować - trybunał nie miał siły, a zajazd nie zawsze się udawał - chodziło o honor nie o wioskę.

Grodno było przepełnione. Szlachta ściągnęła tłumnie na trybunał - niezrównaną okazję do sutej, darmowej wyżerki. U księcia marszałka co dzień nakrywano stół dla 60 osób; gdy wybuchała zwada na sali i do szabel się brano, adiutant księcia kazał wejść

kilkunastu dragonom i dać salwę w pułap - ze strachu wnet milkły waśnie; gdy pito czyjeś dostojne zdrowie za oknem grzmiały moździerze - w ten sposób wojsko i artyleria były jednak w Polsce potrzebne. Inni dygnitarze też karmili, poili od świtu do świtu. Choć kto i nie miał żadnej sprawy siedział kołem do końca kadencji, wyjeżdżał z brzuchem o ćwierć metra większym.

Młodzież przybywała z najdalszych okolic uczyć się prawa, swady oratorskiej i przekupywania sędziów. Tańczyła nocami do upadłego, grała w faraona, piła - kto wytrzeźwiał do rana szedł istotnie posłuchać rozpraw.

Posiedzenia trybunału miały miejsce na Zamku. Sala natłoczona arbitrami, za długim stołem siedzieli deputaci, marszałek pośrodku; pięciu woźnych myczało bez przerwy:

- Mości panowie uciszcie się! Rozstąpcie się mości panowie! Nie pchajcie się mości panowie! Nie szurajcie nogami, nie łamcie ławek! Mości panowie nie mruczcie...

Nikt nie zważał na te wezwania, gwarzono dalej wesoło, dopiero gdy woźni ochrypli i zamilkli robiło się nieco ciszej.

Książę Adam marszałkował w tak niezwykły sposób, iż wszyscy baranieli ze zdumienia, stuletni mecenasi nie pamiętali nic podobnego. Według statutu litewskiego, gdy raz zaczęto obradować nad jakimś dekretem - deputatom nie wolno było wyjść z sali; miało to niby zapobiec przekupstwu. Książę wygrzebał ten zapomniany przepis i przestrzegał go z całym pedantyzmem, trzymał sędziów po dwa dni w zamknięciu. Przychodzili z piernatami, nie mogli się z nikim komunikować. Oczywiście nie wpływało to wcale na ich cnotliwość - opłaceni z góry, najdłuższe debaty i najlepsze argumenty nie zmieniały zgoła nieodwołalnie przez kieszeń powziętej decyzji. Lecz zdumiewała myśl, iż książę jest jak gdyby przekupstwu przeciwny.

W beznadziejnych sprawach zwracano się nieraz do króla po protekcję. Dla zyskania względów jakiejś damy, czy też przez wdzięczność za już okazane, dla zjednania sobie wpływowego stronnika, dla dogodzenia magnatowi - nie wahał się Stanisław August interweniować u marszałka trybunału prosząc o wydanie wyroku wręcz odmiennego niżby należało, lub - jeśli wobec jasności sprawy groziło to za wielkim skandalem - o odłożenie do następnej kadencji. Nic łatwiejszego od takiego zrzucenia sprawy z wokandy; woźni wypychali wszystkich za drzwi, zamykali je na klucz i wtedy przywoływano strony - naturalnie nikt się nie stawiał, wobec czego marszałek ogłaszał odroczenie. Niewinny ten trick umożliwił ciągnięcie wielu procesów latami.

Książę Adam był głuchy na wszelkie przedłożenia Stanisława Augusta, a że deputaci nie będąc posmarowani nie przeszkadzali - ferował najsprawiedliwsze wyroki w sprawach

królewskich pupilów.

Największą jednak sensację wywołał ks. Adam przyznając rację ubogiemu szlachcicowi, który skarżył dzierżawcę wojewody ruskiego o mordobicie i wyzucie z gruntu. Ponieważ, wedle prawa, za dzierżawcę odpowiadał jego pan przeto ks. Adam skazał własnego ojca na 6 tygodni wieży.

Oczywiście nie było mowy o istotnym zapakowaniu do ula zgrzybiałego wojewody, czy nawet o represjach w stosunku do punktualnie płacącego czynsz dzierżawcy - tego byłoby za wiele, lecz sam niesłychany fakt, że trybunał publicznie zganił magnata wystarczał dla epatowania kraju. Widziano w księciu nie autora taniego efektu - lecz polskiego Catona różniącego się od rzymskiego jedynie tym, że siedział we fraku na krześle marszałkowskim zamiast w todze na nocniku.

Niemcewicz śledził z podziwem wyczyny swego szefa, wkrótce jednak, znudzony sesjami trybunału, począł się wymykać z nowym przyjacielem - Michałem Brzostowskim, starostą pińskim - do okolicznych dworów. Najweselej było w Swisłoczy u referendarza litewskiego Tyszkiewicza, kompletnego wariata. Zacny grubas przebierał się co rano w ornat i odprawiał mszę, a wieczorem w suknie kobiece i haftował robótkę. Niemcewicz służył mu do mszy, udawał, że olśniony wdziękami chce go zgwałcić. Raz, pośrodku stawu, Tyszkiewicz wypchnął z łódki swego nadwornego spowiednika; kapelan był garbaty i nie umiał pływać - tarzali się wszyscy ze śmiechu. Niemcewicz, że nie tylko tych subtelnych żartów, ale i przedstawień, żywych obrazów był czynnym uczestnikiem - tak zjednał sobie wiecznie nudzącego się referendarza, iż gwałtem chciał go zatrzymać w Swisłoczy. Najponętniejsze obietnice nie skusiły Niemcewicza - pojechał za Czartoryskim do Wilna.

Poprzednikiem księcia na stolcu marszałkowskim był tu Piłsudski - stary dziwak nie mający innej ambicji jak by na jego obiadach podawano tyleż potraw co województw w Polsce i każda przybrana w odpowiedni mundur. Książę Adam polecił swemu kuchmistrzowi Gorlitzowi, szkolonemu w kuchni Augusta III-go, dołożyć starań by zakasować wspomnienia piłsudowych obiadów. Kadencja trybunału wypadła znakomicie: dzień w dzień bale, festyny... zapomniano jak wygląda człowiek trzeźwy.

Przyszła wiadomość z Warszawy, że sędziwy wojewoda ruski, grając w whista wieczorem z nuncjuszem, odłożył nagle karty sumitując się, iż nie może skończyć partii gdyż - umiera. W fotelu, pośrodku salonu, otoczony tłumem gości i domowników, skonał 85-letni wojewoda z grzecznym uśmiechem na ustach. Ręką pełną kart przeżegnał nuncjusz i zamknął powieki temu, który dla przeforsowania swej polityki wprowadził po raz pierwszy do kraju moskiewskie żołdactwo. Targowiczanie uczynili to po raz ostatni.

Książę Adam, wzorowy syn całujący zawsze ojca w rękę, nie śmiejący usiąść w jego

obecności bez wyraźnego zezwolenia, popadł w tak głęboką depresję, że nawet bose po szyję dziewczęta nie mogły go rozerwać. Karpiński, Skowroński, Zawistowski - sekretarze księcia, Niemcewicz i Orłowski - adiutanci, odwiedzali znaczniejsze persony, donosząc o smutnej nowinie, którą znało całe miasto od trzech dni. Z kolei, zgodnie z etykietą, wszyscy składali księciu kondolencje, iż tak przedwcześnie został sierotą.

Wilno przycichło. Żałoba magnata zmusiła miasto do udawania wielkiego smutku. Niemcewicz siedział w domu, słuchał zrzędzeń Karpińskiego, grał z nim nieskończone partie szachów, gdy dostawał mata ciskał szachownicę o ziemię. Słodki poeta przysięgał zaperzony, że nigdy więcej z takim prostakiem do gry nie przystąpi. Po godzinie już się ściskali, a po półtorej znów łamali figury.

11.

DWA RAZY W WIEDNIU

Cesarz Józef II-gi zaproponował Czartoryskiemu dowództwo nad polską gwardią galicyjską, którą właśnie tworzył w Wiedniu. Naczelny komendant wojska litewskiego przyjął skwapliwie godność kapitaniszki austriackiego; przyjaciel jego serdeczny - hetman wielki koronny Branicki dziękował przecie pokornie Katarzynie, że mu pozwalała wśród swych stupajek nosić mundur rosyjskiego pułkownika. Kapral armii cudzoziemskiej był w Polsce większą powagą militarną niż swojacki generał.

Książę Adam zawsze podkreślał, że pochodzi w prostej linii od Jagiellonów przeto byle monarszyna to wobec niego pętaczyna - jednak jako właściciel ogromnych dóbr w Austrii był poddanym cesarza, bardzo pragnął mu się przypodobać; zalimitowawszy nudzący go już potężnie trybunał, z maleńką świtą pognał czym prędzej - po nową funkcję i zaszczyt - do Wiednia.

Gwardia galicyjska, złożona z synów najlepszych rodzin szlacheckich, liczyła 60 ludzi; miała ona być żywym dowodem przywiązania zrabowanych ziem do nowego władcy; wielki bałagan, kompletna ignorancja musztry i dyscypliny były w niej dobrze widziane gdyż podkreślały wybornie jej rdzenną polskość.

Niemcewicz był zachwycony Widniem: podobał mu się cesarz - prawdziwy męski władca postępujący wedle swej woli, a nie - jak król w Polsce - kluska posłuszna babiemu ambasadorowi; imponował mu stary matoł Kaunitz, który nawet w rajtszuli, gdzie się co dzień niezdarnie produkował, wzbudzał u posłów cudzoziemskich respekt należny ministrowi. Polskich ministrów na Zamku traktował Stackelberg jak chłopców stajennych.

Zwiedzał Niemcewicz dokładnie miasto i okolice - wydawały mu się cudne; największy jednak entuzjazm wywołały w nim domy publiczne. Pełen temperamentu, wiecznie zakochany i żądny dania dowodów swej miłości - nie miał nigdy odwagi uwieńczyć swe zaloty silnym akordem. Usłużne wiedenki, za skromną opłatą, darzyły go atrakcjami cale innego kalibru niż salonowe podfruwajki.

Po treściwym pobycie, latem 82-go roku, książę wrócił na trybunał do Wilna. Tu w październiku doszła wieść, iż cesarz Józef zachorował na oczy. Doktór nadworny Czartoryskich, Niemiec Goltz, wymyślił jakieś lekarstwo - zbawienne ponoć na wzrok; gorliwy książę Adam wyprawił Niemcewicza z wielką butlą tego płynu extra pocztą do Wiednia. Cesarz przyjął łaskawie wysłannika swego kapitana, obdarował go tabakierką, butlę oddał przybocznemu lekarzowi, znakomitemu Brambilli, który niezwłocznie wylał jej zawartość do pomyj.

Po trzech dniach Niemcewicz ruszył z powrotem. Zabrał ze sobą Michała Zabiełłę uchodzącego za najpiękniejszego Polaka. Zabiełło służył w wojsku francuskim, przehulał całą fortunę w Paryżu, dowlókł się do Wiednia, nie miał za co jechać dalej. Niemcewicz podebrał go z litości, ani przypuszczając, jak wspaniale mu się za to ten notorycznie niepłacący długów bumler odwdzięczy. Całą drogę terkotał Zabiełło o swych sukcesach we Francji - nie wojskowych oczywiście, a buduarowych.

Późnią jesienią skończył się wreszcie trybunał. Zimę spędził Niemcewicz w pałacu Błękitnym. Książę Adam dla odmiany był teraz posłem. Cały sejm zeszedł na debatach czy biskup Sołtyk jest wariatem czy nie. Obłąkany kraj pasjonował się tą kwestią.

12.

SZARA GĘŚ, DWA NOCNIKI I HYMN O SOBIESKIM

Dotychczas książę Adam dostawał pensję od skąpawego ojca, w majątkach rodowych traktowano go jako panicza (był przecie ledwo po pięćdziesiątce). Wiosną 83-go roku wyruszył po raz pierwszy na objazd dóbr jako głowa rodu. Z tej racji taszczył tabor trzy razy większy niż dawniej, do 1000 koni liczący; nie przeszkadzało to starym rezydentom zrzędzić, że ś. p. wojewoda ruski raczej pod ziemię by się zapadł niż z tak niepokaźną garstką podróżował. Książątka Adam i Konstanty towarzyszyli również po raz pierwszy mężowi ich matki. Miano objechać Wołyń i Podole.

Wśród świty księcia był też i pułkownik Molski, zwycięzca wielu bitew na kielichy, pogromca olbrzymich półmisków z pierogami, które po grubych zakładach do cna

oczyszczał - człowiek, jak niemal wszyscy podówczas, bardzo wesoły. Zapałał on wielką miłością do Niemcewicza i postanowił poprawić jego byt. Niemcewicz miał już 26 lat, a był wiecznie bez grosza, bo tata - sknera przysyłał mu tylko 4 dukaty miesięcznie tłumacząc, iż za resztę przeznaczonych dlań pieniędzy kupił parę mszy na jego intencję; książę naturalnie nic nie płacił swemu adiutantowi - zaszczyt przebywania w jego towarzystwie, wikt i opierunek, prezent w chwili dobrego humoru - żaden magnat nie świadczył więcej swym domownikom.

- Czas zdobyć jakąś sytuację, tłumaczył przyjacielowi Molski, musisz się ożenić.

Przystawał na to chętnie Niemcewicz rozumiejąc, że nie ma innej drogi zarobienia pieniędzy; właśnie ciągnęli przez Wołyń, nieopodal dalekich krewnych Molskiego - panien Bogatkówien.

- Stara Pelasia ma dwie córki i przyzwoity majątek, wołał pułkownik, co szukać ananasów - ożenisz się ze starszą, będziesz trzymał 8 koni, tuzin sług, na początek rąbniesz sobie czwórkę dzieci...

Kupili pierścień zaręczynowy, wygłodzili się porządnie by być grzecznymi na wizycie - gości pojono i karmiono bez litości, odmawianie uchodziło za szczyt prostactwa - pojechali sześciokonną kolasą księcia.

Pani Pelasi nie było w domu, ale córki znudzone przydługim dziewictwem przyjęły wuja i kawalera radośnie. W przerwach między jedzeniem panny rzempoliły na klawikordzie i przeraźliwie piszczały. Niemcewicz im akompaniował sypiąc dusery starszej Bogatównie - ciężko szpetnej i ospowatej.

- Nie zważaj na to, szeptał niezmordowany swat, co szkodzi krzywy nos i zad większy od balii - ma 40 włók wspaniałej ziemi! a przy tym jest dużo ładniejsza od swej siostry.

Była to święta prawda, ale żadna pochwała.

Po dwóch dniach wróciła jejmość Bogatko. Wnet się zorientowała w sytuacji i wnet zaprosiła wszystkich do stołu. Zamiast spodziewanej beczki wina znaczonej datą urodzenia dzieweczki, którą dawano zawsze do spicia przy zaręczynach - wjechała szara gęś. Konsternacja Molskiego, Niemcewicza, pannicy łzy stanęły w oczach...

Mama Palesia wyjaśniła na boku pułkownikowi, że akurat odwiedziła zamożnego sąsiada i mariaż swych dzieci postanowili.

- Niech się żeni ten Niemiec z młodszą córką, zaproponowała.

- A cóż to pan Julian ostatni hołopup, by mu młodszą podsuwano, oburzył się Molski.

Odjechali zaraz jak niepyszni. Wkrótce Niemcewicz rozgorzał do zgrabnej Narbuttówny, respektowej księżny Izabelli, prosił ją o rękę. Ojciec jej, stary podkomorzy nie zezwolił, bo:

- Kawaler za młody, bez stanowiska, źle pije, pisze wiersze...

Te dwa wieńce grochowe ostudziły nieco matrymonialne zachcianki Niemcewicza; książę rad był z obrotu konkurów, lubił szczerze swego dowcipnego adiutanta i pragnął go mieć jak najdłużej przy sobie.

W Międzyborzu na Podolu zatrzymano się tydzień. Przybył oddział kozaków z Granowa, na miejscu była wspaniała stadnina Czartoryskich - 1000 klaczy i 150 ogierów - postanowiono zainscenizować wojnę.

W usypanych szańcach, pod dowództwem 10-letniego Kostusia i jego zastępcy siwego pułkownika Ciesielskiego, zamknął się jeden oddział, drugi z 13-letnim Adasiem i pułkownikiem Molskim na czele przystąpił do szturmu.

Niemcewicz bronił fortecy zaopatrzonej obficie w cukierki i torty, walczono piaskiem, grudami ziemi... jednak byli i ranni, gdy pan Siecheń wpadł z koniem na kozaka, ten palnął go tak w łeb, że trzy dni przeleżał nieprzytomny, a kozak nawet tydzień - po porcji kijów, którą mu doraźnie zaaplikowano.

Ostatecznie twierdza została zdobyta, mężna załoga, rycerskim obyczajem, osłabiła ten sukces niszcząc zapasy, ani jeden tort nie wpadł w gęby wraże - wszystkie zostały w porę zjedzone.

Całe okoliczne ziemiaństwo podziwiało te wyczyny. - Stać nas jeszcze na drugi Chocim! mówiono z dumą.

Ks. Adam znał z imienia i nazwiska około 100.000 szlachty - fenomenalna ta pamięć czyniła go wielce popularnym choć pił słabo.

- A gdzież to imć pan Antoni Dembowski? - zapytał.

- Chory na dysynterię, leży w domu.

Wnet posłał książę do Harmak małego, pękatego, łysego jak kolano doktora Goltza. Dembowski był chlubą Podola: grając w mariasza każdą pulę solenizował kielichem, a gdy antałek opróżnił brał go w zęby i przez głowę - za siebie odrzucał. Z dysynterii wyleczył się własnym systemem - zjadł 30 jaj na twardo z octem i jak ręką odjął.

Uczonemu Goltzowi bardzo się ta kuracja spodobała; sam nie wierzył w lekarstwa, zamiast je przepisywać obkarmiał pacjentów różnymi przysmakami pitraszonymi przez jego osobistego kucharza. Głosił też teorię, iż klimat polski wymaga gruntownego upicia się przynajmniej dwa razy w roku: na wiosnę miast wyjazdu do wód mineralnych i na jesieni dla zapobieżenia katarom.

Niemcewicz ocierał się o żonę swego gospodarza, śliczną popadię, w przerwach napisał pieśń o Podolu. Znając dobrze historię Polski łączył każdą miejscowość z jakimi chlubnym wspomnieniem. Ostróg - tu się urodził wielki pogromca Moskali; ogród pałacowy - tu się szwendała księżna Anna, żona Chodkiewicza, pogromcy Szwedów; Zbaraż - tu Jeremi drwił sobie z hołoty kozackiej; Chocim - tu Bisurmanom sprawiono wycisk! Jakaż potężna i wspaniała była dawniej Polska - dziś ostały się jeno łzy i upokorzenia.

Książę zawadził o Bar. W całej okolicy nie szczepiono dzieciom ospy lecz wszywano im w ubranie skrawek habitu ks. Marka (co prawda po ówczesnych szczepieniach dzieci o końskim zdrowiu chorowały ciężko pół roku, a mniej wytrzymałe umierały zaraz). - Oo! myślał Niemcewicz, gdybyż zamiast tego klechy na czele konfederacji stał prawdziwy wódz! Inne byłyby rezultaty!

Pan Marceli zemdlałby słysząc podobne bluźnierstwa. A tak starannie wychowywał swego pierworodnego...

Wracano przez Śniatyn - gdzie przejeżdżającemu cesarzowi Józefowi ks. Adam się pokłonił - i Lwów. Tu poznał Niemcewicz kasztelanową kamińską Kossakowską. Głuchy, stary babsztyl uchodził za najdowcipniejszą istotę w Polsce. Właśnie cały Lwów lubował się jej dwoma ostatnimi kawałami: urzędnicy austriaccy przez butę nie zdejmowali kapeluszy w salonie kasztelanowej; zawiesiła więc w kącie miniaturę cesarza i przy pierwszej okazji hajduk jej prasnął urzędnika w mordę:

- Żeby waćpana nauczyć szacunku dla własnego monarchy! wyjaśniła uprzejmie kasztelanowa wskazując miniaturę. I urzędnik nie śmiał oponować.

Drugi żart był jeszcze subtelniejszy; nieprzyzwyczajona do płacenia podatków stale zalegała. Przyszedł poborca, by zająć coś cennego. Kossakowska kazała mu dać dwa wielkie srebrne nocniki pełne ekskrementów.

Kasztelanowa nie cierpiała Stanisłwa Augusta, lubiła naprawdę tylko Potockich (sama była z domu Potocka), a zwłaszcza Szczęsnego, którego uważała za uosobienie wszystkich cnót.

Na jesień wrócił ks. Adam do Puław. 13-go października obchodzono niesłychanie

hucznie stulecie odsieczy wiedeńskiej. Niemcewicz odniósł sukcesik literacki - mimo obecności poetów o ustalonej marce jak Kniaźnin i Karpiński - on spłodził hymn okolicznościowy, przy iluminacji myczał go chóralnie cały dwór.

13.

WŁOCHY, FRANCJA, ANGLIA ZA JEDNE 300 DUKATÓW

Zasmakował książę w Widniu, spędził tam całą zimę. Niemcewicz w ślad za nim wciskał się w najlepsze towarzystwo; poznał brudasa aroganckiego Kaunitza, cały korpus dyplomatyczny (zaprzyjaźnił się z posłem Szwedzkim Engestromem), tuziny książąt, hrabiów, margrabiów. Książę Adam konstatował z zadowoleniem, że jego młody adiutant bryluje nawet w pierwszych salonach. Oświadczył tedy:

- Potrzebna ci jeszcze, mój panie Julianie, dla wyszlifowania swej ogłady, dla zyskania tematów do rozmów, dla rozwidnienia umysłu - podróż za granicę.

- Kiedy Wielmożny mości sercem najukochańszy ojciec mój dobrodziej nie chce dać pieniędzy.

- Wiem, że to brzydki sknera, ale masz tu 300 dukatów, jedź, a ucz się i korzystaj.

Rymnął Niemcewicz plackiem do nóg dobremu panu. Książę napisał własnoręcznie (z licznymi błędami ortograficznymi) obszerne instrukcje w których mu wytykał: powierzchowność; łapanie się za zbyt wiele rzeczy naraz i niekończenie żadnej; brak głębszej wiedzy; zły akcent francuski; nadmierną kochliwość, lekkomyślność...

Synom swej żony, Kwileckim, Domciowi Radziwiłłowi, bardziej lubianym kadetom - wszystkim młodym ludziom wypominał książę Adam zawsze i nieodmienne powyższe przywary, zamieniał się adresat, nigdy treść; wyjąwszy złą francuszczyznę, książę sam miał wszystkie te wady co do jednej.

10-go marca 1784 r. w towarzystwie Sołtyka, synowca wariata biskupa, ruszył Niemcewicz do Włoch.

* * *

W Tryjeście pierwszy raz w życiu widzi morze: Aaa! Ooo! Stateczkiem wzdłuż Dalmacji, grasuje dżuma, skręt na prawo - Wenecja.

Listy polecające księcia otwierają mu wszystkie drzwi. Wszędzie się szwenda, wszystko

ogląda. Plac św. Marka - tu kazanie publiczne, tam poeta wiersze recytuje na zadany temat, ówdzie prostytutka za bezcen. Włazi na kopułę bazyliki, znajduje wyryty podpis Firleya - XVI wiek, słodkie wzruszenie, wnet sam skrobie swe nazwisko; tylko niepiśmienny Polak zdoła przejść koło zabytku nie osmarowawszy go.

Doża w gronostajowym płaszczu, obrzęd zaślubin morza, ciska złoty pierścień w wodę, nurkowie go potem wydobywają - oszczędność! Jeszcze trochę, a będą rzucać pierścień uwiązany na sznurku.

Pałac dożów, rada 3, rada 10, czcze formy, republika gruchot, przed austriackim żandarmem wielki doża się pręży.

- Oj, to nie my jedni! myśli Niemcewicz.

Biskup - stryjek - wariat umarł, Sołtyk wraca galopem do kraju ratować schedę, Niemcewicz z miasta 6000 podrzutków jedzie sam dalej.

Bononia, Florencja - nie daruje żadnemu kościołowi, muzeum, posągowi...

Rzym! Nie otrzepawszy się z kurzu, prosto z powozu do katedry św. Piotra pędzi. Potem systematycznie, piechotą wszystko obchodzi, ogląda, notuje. Co dzień gdzieś odpust; żeby czasu nie tracić, móc asystować tym podniosłym uroczystościom - Niemcewicz nie zawiązuje romansu, wpada tylko, gdy go bardzo przypili do domów publicznych. Pieniędzy też mu szkoda, wie, że bezpłatna dama zawsze najdrożej kosztuje.

Capitol, Colosseum, w noc księżycową obyczne rozmyślania...

W sierpniu do Neapolu. Lazzaroni leżą pokotem do góry brzuchem. Anglik Riddel wciąga Niemcewicza na Wezuwiusz; wprowadza go do lorda Tilney - zacnego pederasty; przedstawia parze królewskiej.

Widzi burzenie się krwi św. Januarego, wierzy w cud bez zastrzeżeń.

Z dwoma Anglikami (Riddelem i Cunninghamem) serdecznymi przyjaciółmi, choć nie umie słowa po angielsku, oni po francusku tak, że z trudem porozumiewają się po włosku - jedzie do Palermo. Kwarantanna na morzu, główna zabawa z kanonika co wstydzi się intymnej czynności, którą trzeba publicznie, na pokładzie... pilnują go, znosi biedak męczarnie.

W głąb Sycylii ruszają na mułach. Gospody jeszcze brudniejsze niż w Polsce, ludność - sami złodzieje. Za to w najgorszej mieścinie jest doskonały teatr. Kupują lożę, zabita deskami, wyłamują, całe miasto zdumione, najstarsi ludzie nie pamiętają by kto kupił lożę.

Gramolenie się na Etnę, w Katanii najmują felukę, objeżdżają Sycylię wokoło. Syrakuzy. Piją zdrowie Archimedesa, Agatoklesa, pijaniuteńcy; Anglicy się kąpią, Niemcewicz przerażony, nie umie pływać, włazi jednak też do wody po raz pierwszy w życiu.

Na Maltę. Wielki strach, bo pełno korsarzy grasuje, co zobaczą żagiel w oddali - do zatoki uciekają; docierają szczęśliwie.

Kawalerowie maltańscy bogate, bezżenne tłuściochy, nic nie robią - żrą bez pamięci, klepią w karty. Dwa razy do roku urządzają wyprawy na pogan, łapią paru umierających murzynów, wracają z tryumfem.

Dzięki listom polecającym Niemcewicza dobrze przyjęci, u samego wielkiego mistrza fasek bywają, 12 dni rozkoszują się wyspą.

Messyna tylko co po trzęsieniu ziemi, to się im udało dobrze trafić! domy rozwalone, wszystko zniszczone - bardzo ciekawe; włażą na Stromboli.

Niemcewicz kleci wiersze. Wulkany, lazur morza, przepych natury - niestosowne dlań podniety; banalnie, szablonowo, a la Kochanowski, opisuje swą miłość do urojonej dziewicy...

Listopad w Neapolu. Spotyka przyjaciela - Józefa Szymanowskiego, razem spędzają karnawał w Rzymie. Dużo Polaków, trzeba się bronić od pożyczek, bale, maskarady, powszechna wesołość i obłapka. Niejeden kardynał ma kochankę, ale zgorszenia unikano tak starannie, że w teatrze zamiast kobiet-aktorek występują rzezańcy.

Zwolna, oślimi zaprzęgami, zwiedzając co się da po drodze, przez Ankonę, Mediolan, Turyn, telepie się Niemcewicz na północ. Maj 85-go roku zastaje go we Francji.

Dyliżans - cudowny środek lokomocji! Pełno pasażerów, przyjemna gawędka, zysk pożytecznych wiadomości.

Paryż - Mekka, wyrocznia Polaków. Grafoman Bielawski, Dubois - dawny belfer od kadetów wprowadzają go tu i ówdzie. U pani Beauharnais obiady literackie, póki coś na półmiskach - głucha cisza, dopiero gdy puste - poeci komplementa sobie prawią. Bernardin de St. Pierre, Buffon, Marmontel - patrzy z respektem na te zmurszałe sławy.

W Wersalu widzi Ludwika XVI-go na mszy Św., śpi cały czas, podczas nieszporów również. Tłum szepce wzruszony: - król ziewa, król wyciera nos, król chrapie...

- Poczciwy naród, jakżeż kocha swego władcę! - admiruje Niemcewicz.

Pielgrzymuje do grobu Rousseau, nie lubi jego mdłego sentymentalizmu, lecz imponuje mu jego rozgłos.

Obłazi Paryż; żałuje sobie na dobry obiad i dobrą dziewczynę, ale sztychy królów polskich kupuje; Sobieskiego wszędzie najwięcej. Podarował potem całą kolekcję księżnej Izabelli.

Po pięciomiesięcznym pobycie sunie do Anglii. Porządek, solidność wyspiarzy zachwycają go. Włochy i Francja paskudztwem od razu mu się wydają.

Bath, Bristol, Londyn. Bukaty, Litwin przerobiony na lorda, jego mentorem. Poznaje Paoli, starego rewolucjonistę, o którym jako dzieciak czytał drzemiącemu ojcu z gazety. Słucha w parlamencie Pitta, Foxa, Burke'a, Sheridana, Greya - szczyty elokwencji jego zdaniem. Uczy się zapamiętale po angielsku by ich rozumieć.

Książę Walii spotyka go w towarzystwie, słyszał, że świetny tancerz, prosi o zademonstrowanie polskiego narodowego tańca - kozaka. Niemcewicz tańczy z Seweryną Potocką, wszyscy zachwyceni, uczy prysiudów późniejszego Jerzego IV-go.

Cztery miesiące siedzi w Anglii. Przez Holandię - czystą i nudną, przez Niemcy - brzydkie sknery, przybywa do Wiednia na samo Boże Narodzenie 1785 roku. Zastaje księcia Adama, zdaje relację, czyta mu swój dziennik podróży. Książę wielce rad:

- Kochany mój panie Julianie, widzę żeś nie zmarnował swojego czasu i moich pieniędzy.

14.

PERŁY NA KOŃSKIM OGONIE

Przez te dwa lata wiele się zmieniło u Czartoryskich. Wydali najstarszą córkę, 18-letnią, śliczną, słodką Marynię za rudego chama, brutala, rozpustnika, pijaka - Ludwika Wirtemberskiego. Prostak ten był stryjecznym bratem elektora Wirtembegii, jedna z jego sióstr żoną arcyksięcia Franciszka - następcy tronu austriackiego, druga żoną pomylonego Pawła - przyszłego cara moskiewskiego, stary rabuś Fryderyk II-gi był jego wujem.

Urokowi tak wspaniałych koligacji nie zdołali się oprzeć Czartoryscy.

- To dla dobra Polski! piszczała księżna Izabella, trzy zaborcze rody spokrewnione z potomkami Jagiellonów, ach! i bladła z zachwytu na myśl, że będzie rodzoną babką ciotecznych braci cesarzy.

Ludwilkołak maltretował Marynię: potężny kopniak, precyzyjny szturchaniec, za włosy won z łóżka - normalne drobiazgi. Albo hulał, albo musztrował swych pruskich żołdaków; Marynia milczała choć była nieszczęśliwa jak bezrobotna mamka. Długi bez końca, wierzyciele z Berlina ciągnęli sznurem do księcia - teścia, który płacił i płacił.

Lecz za to:

Gdy księżna Izabella przejeżdżała przez Berlin, Fryderyk zaprosił ją na obiad!

Józef II-gi będąc we Lwowie parokrotnie rzekł publicznie do księcia Adama: - mon cher cousin!!

Potoccy, Radziwiłłowie, Zamojscy byli wściekli!!!

Dla takich sukcesów mogła Marynia trochę pocierpieć.

Drugim głupstwem w które wdepnął książę Adam, była sprawa Dogrumowej. Dał się nabrać, uwierzył szantaż - babie, iż chciano go otruć, że król maczał w tym palce. Wydał na proces 36.000 dukatów (jego siostra 70.000, Branicki i hetmanowa Ogińska po 40.000) i przegrał go z kretesem. Zabrał Dogrumichę do Sieniawy, trąbił, że opuścił Warszawę na zawsze. Ex-Cato z trybunału grodzieńskiego żalił się Józefowi na sądy polskie i prosił o interwencję. Należał się przecie od Austrii rewanż za odsiecz wiedeńską.

Na razie obchodzono w Wiedniu z niezwykłą pompą dzień Nowego 86-go Roku. Wszyscy gnali składać uroczyste życzenia i zapewnienia wierności cesarzowi; książę Adam - na złość Polsce - wystąpił z całą okazałością: przeciągnął przez miasto konno, kapiąc od złota i pereł, z ogromną kitą diamentową u kapelusza, za jego czaprak i siodło można by lekko wystawić drugą armię litewską. Za nim cały dwór w komplecie - w żupanach, kontuszach, ferezjach; nieswojo czuł się Niemcewicz w polskim stroju. Oddział kozaków granowskich zamykał pochód.

Zakasował jednak Czartoryskiego bogactwem i przepychem magnat węgierski Esterhazy, byle ulicznik stwierdzał, że perły na ogonie jego konia były większe niż na książęcym; bardzo to zabolało księcia i zraziło do Austrii.

Za to kozacy granowscy robili furorę; z wygolonymi łbami, długimi osełedcami zawijanymi za uszy, opadającymi wąsami - brano ich za Chińczyków. Błagano księcia z największych pałaców by przysłał choć jednego poganina na pokaz gościom. W austeriach karmiono i pojono ich darmo - gospodarz tylko stawał we drzwiach i wołał, że Azjata u niego siedzi, wnet brakło miejsc. Wkrótce kozacy roztyli się jak beczki.

Zamanifestowawszy Polsce, że jej nie potrzebuje i ma dość zaszczytów gdzie indziej -

wrócił książę czym prędzej do kraju.

15.

NA DZIEWCZĘCYM TARGU

Pojechał z Niemcewiczem do Sielc - rezydencji hetmanowej Ogińskiej, o 90 kim. od Warszawy.

Sielce roiły się od gości, fety, bale, teatry nie ustawały ani na chwilę. Hetmanowa ogromna, silna jak tur - talerz srebrny zwijała jedną ręką w trąbkę - nie rozumiała, by dzień mógł zejść bez zabawy. Mały, szczuplutki jej mąż wolał siedzieć w Słonimiu, bał się herod-żony, która raz podczas dyskusji schwyciła go za pas i wystawiła przez okno na pierwszym piętrze, trzymając nad przepaścią, póki nie przyznał jej racji.

Od ładnych i szpetnych dziewcząt kotłowało się w Sielcach, zjeżdżały jak na targ wiedząc, że tu najłatwiej ucapić męża; hetmanowa strasznie lubiła poślubną robotę i swatała niezmordowanie. Książę Adam zapalił się do hożej panny respektowej - Kiełczewskiej, dziewki pyzatej, na schwał - nie to co jego czterdziestoletnia Sabcia po pięciu wystrzałach.

Niemcewicz gorzał co dzień do innej buzi, lecz że jak zawsze brał się zbyt sentymentalnie do rzeczy, akcja nie dawała przyjemnych wyników.

Zjechał Stackelberg przyjmowany jak monarcha. Nikt nie śmiał usiąść gdy on stał, za stołem i w salonie pierwsze miał miejsce, wszyscy płaszczyli, łasili się do niego. Otrzymać order, pensję, zostać wojewodą, biskupem, chorążym czy proboszczem można było przecież najpewniej dzięki niemu. Poparcie prymasa, pani Krakowskiej, króla i ostatniej jego kochanki nie znaczyły tyle co protekcja ambasadora. O uzyskaniu czegoś bez protekcji, dzięki własnej zasłudze, nikt oczywiście nie marzył. Mały, krępy, tłusty, szalenie łakomy i wiecznie chory na rozwolnienie Stackelberg traktował wszystkich arogancko, ziewał w czasie rozmów całą gębą.

Jak kundel pętał się przy Stackelbergu biskup inflancki Kossakowski. Poza zdobywaniem pieniędzy nic go nie obchodziło: jakieś beneficjum, probostwo, koadiutoria - wciąż węszył co by hapnąć, niczem nie gardził; mimo coraz nowych kradzieży - zawsze w milionowych długach. Brewiarza nigdy nie odmawiał - pod pozorem, że oczy go bolą uzyskał dyspensę od papieża (ale pół setki listów pisał i otrzymywał codziennie), postów - jako delikatnego zdrowia - nie zachowywał, czystości - również ze względów higienicznych - nie przestrzegał, mszę św. odprawiał tylko gdy się bardzo nudził, albo gdy miał jakąś sprawę

beznadziejną. Zresztą uważał, że pod tym względem Pan Bóg nie jest stratny, bo wielu księży odprawia po kilka mszy dziennie - gdy otrzymują płatne zamówienia.

W karty za to rzempolił Kossakowski całymi tygodniami, jednak nigdy nie zgrał się jak kolega po fachu, biskup Sierakowski, który aż pastorał u żydów zastawiał. Był ulubionym partnerem hetmanowej w wiście, on też z nią chętnie grywał, bo łatwiej ją mógł oszachrować niż innych.

Po tak długiej absencji wypadało Niemcewiczowi odwiedzić rodzinę. Nie miał grosza w kieszeni - sprzedał swego konia.

- Co za tępota! zawołał Kossakowski.

- A jakżeż opłacić pocztę?

- Kurierzy rosyjscy płacą grosz od konia za milę, jest tu przecie najjaśniejszy ambasador, poproś go o cedułę, wystawi i pojedziesz darmo jako kurier. Wszyscy tak robią...

- Nie będę w Polsce udawał Moskala, pal diabli konia!

Biskup wzruszył ramionami: - O ciemny narodzie, chwała Katarzynie, że niewielu jest takich matołów.

Książę Adam był w duchu wielce zadowolony z dumy swego adiutanta, nie przeciwstawiał się sprzedaży bydlęcia, ale potem w Puławach podarował Niemcewiczowi wspaniałego ogiera.

W Skokach Julianek wywołał sensację. Pan Marceli był raz aż w Gdańsku i z tego powodu uważał się za wielkiego podróżnika. Zjechali bracia stryjeczni, wujki, ciotki by oglądać chlubę rodziny co papieża widziała. Pan Marceli promieniał - zwłaszcza, że ta wspaniała podróż nic go nie kosztowała.

Interesy jego nie szły dobrze - wciąż zajęty nawracaniem, odpustami, spowiedzią, nie miał czasu na gospodarstwo. Przy tym poczciwi księża wszystko odeń wyciągali - na intencję skrócenia przyszłych jego mąk w czyśćcu. Umyślił wydać Julianka za żonę; właśnie była w sąsiedztwie bogata starucha co aż piszczała o męskie narzędzie: - świetna partia, korzystaj, dość tego obijania się na dworze magnackim! przekładał synowi.

Julianek zbyt zasmakował w dystyngnowanym świecie. Nie chciał zostać hrykosiejem. Otrzymał list księcia Adama wzywający go do Puław, prędko się pożegnał i poleciał.

16.

P U Ł A A A...

Od czasu śmierci wojewody ruskiego Puławy były główną rezydencją księcia Adama. Wielki, brzydki pałac, nieudolne naśladownictwo Wersalu, w ogromnym parku spływającym do Wisły. Płot, kundle i służba odgradzały park od smrodliwego miasteczka i zapchlonych żydów.

Więcej było służby w Puławach niż żołnierzy w paru pułkach; po pałacu szwendało się 4 kamerdynerów, 12 lokajów 12 ich pomocników; w kuchni pod chochlą znakomitego Gorlitza manewrowało czterech kucharzy, wspieranych przez 15-tu szturmaków, poza tym specjaliści od pasztetów, sosów, konfitur, ciast, kawy - do każdej niemal potrawy był specjalista. W stajni tuptało 40 furmanów, w ogrodzie gmerało 50 ogrodników, kilkunastu masztalerzy doglądało kulbak sadzonych turkusami, z perłami w strzemionach, pół tuzina szatnych pilnowało fraków, kontuszy, spinek, gaci księcia. Autentyczny Turek miał pieczę nad fajkami, księżna Izabella ochrzciła go przemocą - gdy się upił był gorliwym katolikiem i szedł do miasteczka łupić pejsaczy.

Naturalnie cała ta służba, ubrana w barwę czyli liberię, pochodziła ze szlachty; w najnędzniejszym dworku brzydzono się chłopami i nie uważano za godnych zamiecenia izby, co innego kozacy - oni nieraz przetrzepali skórę szlachcie, więc byli godni; oddział z Granowa stale sterczał w Puławach.

Kosztowało utrzymanie tej hałastry! Samych cieląt szlachtowano 16 dziennie. Kuchnia pochłaniała 65.000 zł. rocznie, marszałek Borzęcki i kuchmistrz Gorlitz brali najwyższe pensje - po 5.000 zł. rocznie. Lokaje dostawali mniej, ale za to kradli więcej. Podatki nie obciążały zbytnio - wynosiły tyle co pensja świnopasa.

Drugą co do liczebności była służba intelektualna. Czartoryszczaków - jak w korpusie kadetów - byle głupstwa uczył kto inny: karzełkowaty, faskowaty, prawie ślepy Piramowicz - religii; ex-jezuita Kniaźnin, z wielkim rudym wąsem, zawsze po polsku ubrany, tkliwy jak gęś, kochliwy jak pensjonarka, pobożny jak kucharka, lejący łzy z racji, że deszcz pada, albo że kobyła zakulała - wykładał literaturę; również ex-jezuita Zabłocki, przeznaczony przez rodziców na biskupa, przez księcia Adama na sawanta, a przez naturę na komediopisarza - uczył historii, kładąc oczywiście specjalny nacisk na dzieje dobrego dziadzia swych wychowanków t. j. na Jagiełłę; Francuz Lhuiller matematyki, Niemiec Groddek greki, pułkownik Ciesielski jazdy konno, dalsze stado belfrów geografii, tańca, rysunków...

Wychowywał się też w Puławach młody Dominik Radziwiłł - przyszły sukcesor księcia

Panie Kochanku. Wprawdzie w Nieświeżu był korpus kadetów, ale tylko dla dogryzienia królowi - nie dla uczenia kogokolwiek. Pieczę nad nieznośnym, po radziwiłłowsku tępym i leniwym Domciem roztaczał zawsze nieupudrowany, ku rozżaleniu księcia Adama, Karpiński. Martwił się, że nie może stosować najlepszego środka edukacyjnego - t.j. rózgi, że mu za mało płacą, że go nie dość podziwiają. Kniaźninowi mówił słodko:

- Szkaradne są twoje wiersze, pisz prościej, wzoruj się na mnie...

A Piramowiczowi łagodnie:

- Niezła waćpana gramatyka, ale za rozwlekła, za nudna i zanadto bez sensu.

Wolny czas od mówienia ludziom pożytecznych prawd spędzał Karpiński na popłakiwaniu, że nikt go nie lubi i nie gustuje w jego towarzystwie.

Często urządzała ta pedlowska czereda publiczne debaty dla swych wychowanków o formie najlepszego rządu, o wpływie literatury na społeczeństwo czy na inny roztropny temat. Zrazu chłopcy gdakali, profesorowie z powagą korygowali błędy; wkrótce jeden ganił co drugi pochwalał - pokłóceni, zapaleni zagłuszali zupełnie swych uczniów, którzy radzi z zamieszania - wymykali się do parku. Przez parę dni cały dwór dygotał od rozkosznej dyskusji, na lekcje nie było czasu.

Duszą tych pyskówek i całego życia mózgowego w Puławach był książę Adam. Trochę oczytany - o każdej sprawie mówił jak wyrocznia. Znał osobiście większość sław cudzoziemskich - nawet do Rousseau podreptał z pielgrzymką choć twierdził, że to tłomok. Z Wielandem i Herderem wymieniał listy pełne komplementów. Mając iście papuzią łatwość do języków - nauczył się ich, nie wiadomo po co, kilkunastu; do pewnego lorda pisywał po hindusku, ogromnie kontent, że nikt tego nie rozumie, co prawda nie wiadomo czy i lord rozumiał. Ortografia we wszystkich językach na poziomie polskiej t. j. jak na członka Komisji Edukacyjnej przystało - ile słów tyle błędów.

Przepadał książę Adam za wierszokletami i wspierał ich szczodrze, Kniaźninowi wyznaczył pensji prawie trzecią część tego co pobierał kucharz Gorlitz - całe 1500 zł. rocznie, czyli 85 dukatów. Cenił uczonych, sypnął parokrotnie biskupowi Naruszewiczowi wiecznie łaknącemu pieniędzy na dwa cele: współpracę z damami i pracę w archiwach; wysłał Albertrandiego na studia historyczne do Rzymu prawie na tak długo jak Sobolewskiego na praktykę ciastkarską do Neapolu; przyjmował łaskawie książki sobie przypisane, pragnął by każdy obiad w Puławach był czwartkowym.

Ludzie nauki i pióra byli wtedy powszechnie uważani w Polsce za prostaków i pomylonych, w żadnym dworze nie wpuszczano ich poza próg kuchni, rozmowę z nimi uważano za poniżającą jak z chłopem, nigdzie (a zwłaszcza w szkołach i akademiach) nie

mogli zarobić na całe portki. Toteż drobniutkie dobrodziejstwa Czartoryskiego, znikome w porównaniu z wyświadczanymi tęgim pijakom, odważnym rębaczom, lub zabawnym facecjonistom przez Radziwiłła, Potockiego czy innego królika, wzbudzały u poetów żywiołową wdzięczność. Magnata co nimi nie gardził i częstował łyżką zupy wynosili pod niebiosa.

Księżna Izabella wydana za mąż jako 16-stoletnia koza, w miarę jak się starzała i przestawała podniecać mężczyzn, podciągała się umysłowo pod wpływem małżonka. Kochała szaleńcze zabawy, ale znosiła i poetów wysławiających jej wdzięki; Kniaźnin smarował odę na jej cześć przynajmniej raz na tydzień.

Uchodziła za wzorową matkę, istotnie nawet 8-mioletnią Zosię czasem widywała. Sama zawsze stękała, że została wychowana w nieuctwie i niedbalstwie przez idiotkę - umieściła więc Zosię pod pieczą panny Petit, chorej, zdziwaczałej staruszki, która właśnie ją, a bodaj i jej babkę uczyła w dzieciństwie. W bibliofilskich Puławach znaleziono dla Zosi tylko podarty katechizm służący kiedyś jej braciom. Dopiero przypadkiem się dowiedziała, że to nie Pan Bóg zapomniał dopełnić swe 10-cioro przykazań, ale w jej katechizmie brakuje kartki z pięciu ostatnimi. Myto ją raz na tydzień - o ile nie zapominano, bito częściej - o ile metrowie byli w werwie.

Rezydentów i gości pełne były zawsze Puławy. Dystynkcja i wytworność obowiązywały. Pani Prażmowska na wysokich obcasach, z talią tak w gorsecie ściśniętą, że jedną dłonią można było objąć, a piersi dostawały do nosa; pani Chrzanowska co się nigdy z białym baranem nie rozstawała, wwodziła go do salonu i spała z nim w jednym łóżku; pani Olędzka znów ukochała wielką gęś - taszczyła ją na wstążce wszędzie za sobą.

Użycie różu nie było powszechne; niektóre elegantki nosiły małą szkatułkę z kryształowym gąsiorkiem pełnym wódki, gdy chciały kogoś olśnić otwierały puzderko, goliły parę solidnych łyków - aż stwierdziły w lusterku od wieka, że policzki się zaczerwieniły. Na głowach kopiaste, obficie przypudrowane peruki; nieraz strojnisia wydłubała z włosów wesz czy pluskiew, kładła ją wtedy zręcznie na stół i - puk! młoteczkiem z kości słoniowej noszonym na szyi specjalnie dla tej egzekucji. Wolano mieć insekta niż czesać się co dzień.

Wisła płynęła pod bokiem, w największy upał nikomu nie przychodziło do głowy się wykąpać, wodę uważano za zgubną i wystrzegano się jej starannie.

Grzeczność polska była w istocie chińska. Żona mówiła do męża: - Mnie wielce miłościwy panie! brat do siostry: - Jaśnie wielmożna sercu memu ukochana pani! syn w chwilach niezwykłej poufałości: - Pani matko! Powiedzieć komuś: "jaśnie wielmożny!" skoro należało się: "Jaśnie oświecony" - było straszliwą obrazą. Zawiłość ta męczyła i utrudniała

konwersację, toteż w Puławach paplano niemal wyłącznie po francusku.

Niemcewicz błyszczał w salonie: nienagannie wyfraczony, nieznużony w lekkim klekocie, tryskający dowcipami, na poczekaniu wpisywał wiersze do sztambucha, tańczył wspaniale, najcięższym kluchom prawił komplementy, niezastępiony w organizowaniu przedstawień amatorskich - był naprawdę pożyteczny w Puławach. Widok jego smukłej, zgrabnej postaci sprawiał wszystkim przyjemność.

Szara brać szlachecka wcale nie gustowała w Puławach. Wprawdzie książę wdziewał kontusz, pamiętał jak czyja połowica, matka, babka z domu, gwarzył uprzejmie, ale pić nie lubił, sprytnych toastów nie wznosił, nikogo do picia nie przymuszał. Szlachta lubiła dwory gdzie nieprzytomnych wyciągano spod stołu i siłą lano jeszcze do gardła.

Nie było też w Puławach pojedynków na kielichy, ani wesołych igraszek jak np. łyknąć duszkiem kwartę gdańskiej wódki i wnet potem wleźć po drabinie na dach stodoły. Dopieroż zabawa gdy się ktoś ze szczytu zwalił jak kłoda! Albo sprowokować do bójki dwóch zalanych w pestkę i patrzeć jak w zęby sobie trafić nie mogą...

Zamiast tych wybornych żartów wciąż uprawiano w Puławach nudne wierszydła, przemądrzałe rozmowy.

Wsławił się książę Adam na cały kraj tym, że polecił Goltzowi, gdy narzekał, że wszyscy są w pałacu zdrowi, leczyć chłopów okolicznych! Raz jakaś chłopka miała umierać, bo piżma nie było, książę kazał kozakowi pędzić co tchu do Warszawy i przywieźć czym prędzej. Dla życia zwykłej wsiowej baby ryzykować ochwacenie rasowego, arabskiego konia - zdumiewało, przerażało to szlachtę.

Szanowała księcia, padała mu do nóg, ale go nie kochała.

17.

SEJMIK W KAMIEŃCU

Od Stanisława Augusta otrzymali:

Branicki - wielką buławę koronną i olbrzymie dobra białocerkiewskie;

Szczęsny Potocki - województwo ruskie;

stara Sapieżyna - ex-kochanka króla - sumy znacznie przewyższające cały budżet wojskowy z ostatniego ćwierćwiecza.

Wycisnęli króla jak cytrynę, bardzo byli rozgoryczeni, że niczego więcej nie mogą się odeń spodziewać. Równie żywą czuli do Stanisława Augusta urazę:

Ignacy Potocki - bo nic nie dostał;

hetmanowa Ogińska - bo wdzięki jej zostały niegdyś wzgardzone;

książę Adam - bo w sprawie Dogrumowej nie miał racji.

Z tych państwowych względów można ta szóstka uprawiała zażartą opozycję. Zbliżał się sejm 86-roku, umyślili obsadzić go swymi posłami, nie dać przeprowadzić żadnego wniosku który by król popierał, ubliżać, przeciwić, przeszkadzać mu we wszystkim. Z tak głębokim programem politycznym podzielili między sobą kraj na okręgi, Czartoryski podjął się agitować na Podolu.

Pod koniec maja wyruszył książę Adam. Towarzyszyli mu księżna Izabella, dzieci, dwór w komplecie, w Puławach zostali tylko stróże. Pierwszego dnia, ujechawszy trzy mile, natrafiono pod Markuszewem na gęste krzaki zatarasowujące drogę. Co za granda? Wylazła zza rowu szpetna wiedźma, machnęła laską, buchnął ogień z ziemi, rozsunęły się krzaki. Rozradowani podróżni ujrzeli puszystą łąkę z rzeczułką pośrodku, przeszli przez most z kory brzozowej, stanęli przed chatką holenderską; bydłostrzeżki w bieli pląsały, pasterz piszczał na kobzie, cielęta z kokardami wierzgały, stoły zastawione obfitym podwieczorkiem. Tańczono całą noc na łące, wypoczęto u państwa Witosławskich, aranżerów tej miłej niespodzianki. Drogi oczywiście nikt potem nie naprawił, przejezdni nałamali kół w strumyku, wreszcie jakoś wysechł.

Po kilku tygodniach tak urozmaiconej podróży dobrnięto do Kamieńca gdzie miał się odbyć sejmik.

Było w Polsce wiele głośnych, czczonych klasztorów, ale tylko jedna sławna forteca - Kamieniec! militarna chluba narodowa, kraj czuł się bezpieczny pod jej osłoną. Książę Adam zwizytował ją dokładnie.

Stanęli w krzywym szeregu drżący staruszkowie. Ponieważ za nieobecnego żołnierza żołd jego pobierał dowódca, więc oficerowie cieszyli się śmierci podwładnych i nie kwapili z werbowaniem następców. A że starcy łatwiej umierają niż młodzi przeto trzymano ich najchętniej.

Zresztą od wieku było spokojnie. Komendant de Witte służył w Kamieńcu od 70 lat, nie słyszał przez ten czas innych strzałów jak na wiwat. Zniedołężniali żołnierze oprowadzali księcia po lochach pokazując z dumą zapasy prochu i ładunki - z czasów Sobieskiego! Na murach stały stuletnie żelazne armaty, gruchoty na nic niezdatne. Rzeczpospolita

drzemała spokojnie w cieniu spleśniałej twierdzy, która w istocie była już tylko muzeum.

Wyraziwszy Wittemu swe uznanie za wzorowy stan fortecy i załogi generał ziem podolskich wziął się energicznie do kaptowania szlachty, co było dość nużące.

Wioski szlacheckie, rozsiane wśród chłopskich, nie różniły się od nich niczym. Ten sam smród, niechlujstwo, cielęta i prosiaki w izbie baraszkujące z gołymi dziećmi, źle uprawne pola. Ale chłop był zawsze markotny, bez uśmiechu, apatyczny, wystraszony - szlachciura zadzierżysty, pełen animuszu. Broda zawszona, podarty kontusz pod którym nie było bielizny, buty z obcasami - bo chłopa na podkówkach, choćby ciągnął wieprza - przy szabli, jeśli bryczką to podkutą - bo chłopskie nie, żyda zdzielał gandziarą (batem) przez łeb, chłopa zmuszał ustępować z drogi i kłaniać się.

Tylko wypatrywały patrona te szlachciny, jak ex-dziewice swe wdzięki tak oni sprzedawali swe głosy, sejmik był ich żniwem; drogo kosztowały kandydatów na posłów tej sejmikowe kokoty.

Wyżerka była u księcia nieustająca: stoły zastawione gorącą kiełbasą, schabem i kapustą, beczki wina i miodu - pustoszały w mig. Drzwi od prywatnych pokoi księcia nie zamykały się: właziły szaraczki w cuchnących dziegciem butach, klapały panu do nóg, całowały w brzuch, przysięgały wierność i prosiły: - o pozwolenie polowania i wypasania łąk, wyrębu lasu, o przyjęcie syna do służby, o danie posagu córce, o poparcie w sądzie, wyrobienie orderu, potrzymanie dziecka do chrztu, użyczenie rasowego ogiera, o wybudowanie stodoły, o zgładzenie teściowej i tysiące innych kłopotliwych drobiazgów. Niemcewicz i sekretarze księcia wszystko skrzętnie notowali.

Wychodząc wierni stronnicy porywali - ten flintę ze ściany, drugi karabelę, ów czapkę, tamten pas słucki, dziesiąty lustro, choć but z kąta, choć laskę, książkę w ostateczności - byle nie wyjść z pustymi rękoma. Naturalnie książę nie protestował, łupiestwo bowiem świadczyło o wielkiej sympatii wyborców.

Tymczasem zjechał do Kamieńca książę de Nassau Siegen, Szwab z pochodzenia, żonaty z Polką-Sanguszkową, awanturnik co przepuścił miliony, wsławił się pod Gibraltarem, służył kolejno Francji, Hiszpanii, Rosji, Neapolowi, Austrii. Teraz otrzymał polski indygenat i pragnąc się zań królowi wywdzięczyć postanowił przeforsować posłów Stanisławowi przychylnych. Bardzo hojny, spełniał jednym tchem ogromne puchary, poił szlachtę do nieprzytomności - od razu zyskał znaczną popularność. Rozgrywka zapowiadała się gorąco.

Książę Adam widząc, że to nie przelewki, kazał sprowadzić szlachtę z Galicji. Kłaniający mu się w pas i udający pokornego de Witte przeszedł cichaczem na stronę królewską i

psocił co sił; rozstawił kordon wojska na granicy, nie puszczał nikogo pod pozorem ochrony Podola przed austriackimi złodziejami, werbował szlachtę z Ukrainy, obiecywał rubla na głowę po udanym sejmiku, przebierał chłopów za szlachtę, dostarczał Nassauowi transportów dobrego wina...

Jednak było jasne, że Czartoryski będzie miał większość za sobą, de Nassau i de Witte umyślili więc fortel.

W przeddzień sejmiku rozpuścili wieść, że partia królewska obsadzi katedrę gdzie też odbędą się wybory. Zatem 18-go sierpnia stronnicy Czartoryskiego zapełnili ją zwartym tłumem. już o 4-ej rano, czekali z utęsknieniem na łatków z wrażego obozu, by ich rozsiekać lub przynajmniej wyrzucić przez okno.

A Nassauowcy zgrupowali się najspokojniej u Dominikanów, gdzie wprawdzie nigdy nie odbywał się sejmik, ale co prawnie było całkiem dopuszczalne. Przeor otrzymawszy 20 dukatów nie przeszkadzał, wystawili warty, rechotali w kułak.

W południe podkomorzy Lipiński, który miał sejmikowi marszałkować, a również należał do zmowy królewskich, zaprosiwszy Czartoryskiego, Nassaua i de Witte ruszył z pompą zagaić sejmik.

- Oho, katedra przepełniona, rzekł, widać pobożni się modlą, nie będziemy im przeszkadzać...

I mimo wrzasku księcia Adama pobiegł do Dominikanów, gdzie ogłosił otwarcie sejmiku.

Zgrzytając siekaczami został generał ziem podolskich w katedrze, za późno było na zdobywanie szturmem Dominikanów, był bezsilny; dla ocalenia chociaż pozorów dekonfitury kazał wybrać sześciu posłów co wnet zostało dokonane. U Dominikanów poszło równie sprawnie - jednomyślnie okrzyczano posłami 6 drabów wskazanych przez de Nassaua. Instrukcje posłom i tu i tam dała szlachta jednakowe: przestrzegać, by broń Boże cła na wino nie nałożono! Inne materie nikogo nie interesowały.

Opróżniły się kościoły; ciasnymi, niebrukowanymi uliczkami, grzęznąc po kostki w błocie, przewalał się zbity tłum wąsatych twarzy, krzywe pałasze zwisały na bandulierach. Huknął gdzie niegdzie strzał, powstawała rąbanina, ale w tłoku trudno było celnie w kałdun ugodzić, a grubo watowane czapy, specjalnie na ten dzień przeznaczone - sejmikówki, chroniły głowy. Ubywał kawałek nosa, przybywała szrama na gębie - o takie drobnostki nikt nie miał pretensji, przecie to był sejmik - nie rekolekcje.

Uradowany z niewątpliwego zwycięstwa Nassau Siegen wytoczył na pagórek tyle beczek dla swych stronników, że wkrótce - zalani w sztok - padli jak bale na murawę. Nie

zmarnowali okazji ludzie Czartoryskiego: dopadłszy pagórka ściągali spodnie z nieprzytomnych i ciach - ciach - szablą po gołych zadkach, rozcinali je artystycznie na gwiazdy czteroramienne. Zacny książę Adam, naśmiawszy się do syta, wezwał żydków-krawców, żwawo pozszywali zbolałe tyłki. Ostatecznie sejmik wyszedł na złe tylko kilku niedojdom co umarli z przepicia.

Wesoła, paląc z pistoletów na znak ukontentowania, wracała szlachta do domów.

- Aleśmy was w pole wywiedli! drwili królewscy.

- Aleśmy was na kotlety posiekali! cieszyli się Czartoryscy.

Wspomnienia o tym rozkosznym sejmiku długo żyły na Podolu.

* * *

Wściekły był książę Adam. Sejmik kosztował go tysiące dukatów, został haniebnie wykiwany, ośmieszony. Nie pojechał przezornie na sejm do Warszawy, istotnie podczas rugów uznano wybory bez marszałka w katedrze kamienieckiej za prywatną schadzkę, zaproszono do obrad posłów nassauowych, a jego przepędzono. Branicki na czele opozycji podniósł szaloną wrzawę, błysnęły szable, przerażeni ministrowie wleźli pod tron, struchlał król, dopiero, gdy Stackelberg tupnął nogą, zgromił krzykaczy - zapanował pewien ład.

I tak zeszły normalnie te 6 tygodni przedostatniego wolnego sejmu Rzeczypospolitej - na przygotowanie którego stracił król i opozycja 6 miesięcy - w nieustannej wrzawie, burdach, kłótniach, na spieraniu się o głupstwa, na niczym...

Strasznie bolało księcia Adama, iż nie brał udziału w tym bałaganie. Magnat nie rozumiał, by w Polsce coś się bezeń mogło obejść. Znów więc prosił "kuzyna" cesarza Józefa, by interweniował u Katarzyny, by najjaśniejsza poleciła Stackelbergowi, by pilnował, by król nie znęcał się nad nim - Adamem Czartoryskim, oddanym sługą dworu austriackiego.

18.

PRZED DRZWIAMI HAREMU

Po sejmiku pociągnęli Czartoryscy do Chocima, który już był w Turcji. Basza przyjął ich z honorami, zaprosił na obiad, ale że Mahomet uznał wcinanie wespół z poganami za szkaradny grzech - podano go im osobno. Janczarzy wnosili dziesiątki potraw, przesuwali je tak szybko przed nosem biesiadników, iż nic uchwycić, ani nawet palca umaczać w

sosie nie mogli - po czym zabierali je z powrotem.

- Co za nieznośna etykieta! wołał rozżalony Niemcewicz. Źli i głodni wrócili do salonów, rozwalony na poduszkach basza zapytał uprzejmie jak smakował obiad.

- Wyglądał wcale apetycznie, kwiknęła łakoma księżna Izabella.

- Jak to wyglądał?

Wyjaśniono baszy co i jak, uśmiał się do łez: żadna turecka etykieta, tylko chytry manewr służby, która galopowała z przysmakami, by je potem sama połknąć w kuchni. Zaraz kazał dać janczarom porządną chłostę i zrobić im lewatywę. Obiadu to nie zwróciło.

Niemcewicz i wszyscy panowie płonęli chęcią obejrzenia dobrze zaopatrzonego haremu. Nie pomogły molestacje, basza wpuścił jedynie księżnę Izabellę i Wittową.

Słynna z urody Wittowa była Greczynką, poseł i rajfur Stanisława Augusta - Boskamp - wiózł ją ze Stambułu do Warszawy jato wielki specjał, bo była patentowaną dziewicą. Tymczasem nie król użył, a młody de Witt, syn komendanta Kamieńca, który się z nią ożenił. Zofia puściła go później kantem dla Szczęsnego Potockiego, którego zresztą zdradziła z jego własnym synem. Dla dogodzenia jej Szczęsny sklecił Zofiówkę i zażywał tyle środków podniecających, że aż od nich umarł. Sama Wittowa umarła z paskudnej choroby wenerycznej.

Teraz była w pełnym rozkwicie swej piękności, cały garnizon kamieniecki bardzo ją sobie chwalił.

W haremie obie panie patrzyły ze współczuciem na baszową trzódkę, iż musi się zadawalniać obsługą jednego chuderlawca. Naczelna żona tonęła w łzach.

- Czego pani chlipie?

- Bo wczoraj porodziłam trzecią córkę.

Basza zadysponował stanowczo syna, a tu - pac! znowu dziewczyna. Ze strachu skłamano mu, ufając, że na razie nie sprawdzi. Biedna matka prosiła polskie damy o niewyprowadzanie go z błędu. Naturalnie ledwo wyszły z seraju Wittowa lapnęła:

- Winszujemy, śliczna pana nowa córeczka...

Basza wpadł w furię, a potem do pokoju żony; - na złość mi robisz! wrzasnął i palnął ją w ucho. Z alteracji żona wyzionęła ducha, basza zmarkotniał na całe pół dnia.

- No, jakież są te Turczynki? pytał Niemcewicz.

- Eeee, grube, białe, miękkie kluchy, odparła księżna Izabella. Nie macie czego żałować... szkaradne babska...

Znając kobiecą obiektywność w ocenianiu cudzej urody, mężczyźni utwierdzili się w mniemaniu, że należy bardzo żałować.

Z Chocima ruszono na Ukrainę; pola Cecorskie natchnęły Niemcewicza, skomponował na kulbace doskonałą dumę o hetmanie Żółkiewskim, w 27 lat później włączył ją do swych Śpiewów historycznych.

Znowu Tulczyn. Książę Adam był w takiej przyjaźni i tak pod urokiem Szczęsnego, że przyoblekł cały swój dwór w mundury przyjacielskie wojewody ruskiego. I Niemcewicz nosił barwy szczęsnowe!

Zawadzili potem o Białącerkiew. Hetman Branicki, pogromca Barszczan, nie umiał - jak wszyscy zresztą wówczas Polacy - ani słowa po rosyjsku, co mu nie przeszkadzało głośno wołać w Petersburgu: "- Je suis Russe!" Mąż potiomkino-katarzynowego bękarta był największym pijakiem, burdą i draniem w Polsce; od 20 lat co dzień kończył obiad pod stołem. Gdy wesół - to wulgarny, gdy uprzejmy - to płaski pochlebca, nie tyle wymowny co krzykliwy, Niemcewicz patrzał z niesmakiem jak Branicki przy stole grzmocił po pysku swych rezydentów, a po chwili becząc ściskał i całował.

Książę Adam delektował się towarzystwem hetmana, Niemcewicz skoczył na dwa dni do Kijowa; ruiny Złotej Bramy wprawiły go w wielki zachwyt, a Ławra w wielką złość, bo brudne popy co mu pokazały zeschły szkielet światowo Golinducha, Ełpidyfora, Priskyłły, Agafoniki czy innej Akaki - wyciągały łapę po datek.

- W rzymskich katakumbach są większi święci i tańsi! mruczał oburzony.

Branicki wtajemniczał Czartoryskiego w zamiary polityczne opozycji: Katarzyna przemyśliwuje o wojnie z Turcją, daje do, zrozumienia, że łaskawie i Polskę przyjmie w roli skromnego sojusznika. Stanisław August promienieje - z posłusznego pieska zaawansuje na pomocnika swej pani. Już jego fagasy szerzą mnóstwo argumentów za wdaniem się w wojnę: Polska wyjdzie z marazmu, wyszkoli armię, zaczną się z nią liczyć, zyski terytorialne, wdzięczność Rosji... Potockiemu, Branickiemu - wiernym podnóżkom najcnotliwszej imperatorowej - ani w głowie było przeciwić się jej w czymkolwiek, ale królowi mogli i uważali za swój magnacki punkt honoru.

- Nic Polska nie skorzysta, huczeli, brać się do poważniejszej rzeczy, nie do wojny!

Szczęsny przekładał cichcem w Petersburgu, iż Rzeczpospolita tu niepotrzebna, bo na szlaku do Turcji leży nie Polska, lecz jego prywatne dobra. Przez nie szłyby rosyjskie wojska, z nich aprowizacja, na nich magazyny - a on wszystkiemu przychylny, we wszystkim usłużny. Jako sojusznik on - Potocki - będzie pożyteczniejszy niż ten marny Poniatowski.

Książę Adam bystrością polityczną nigdy nie grzeszył, nie orientował się zupełnie w całej sprawie, lecz wystarczało, iż Stanisław August jest za wojną, by on był jej stanowczo przeciwny. Wróciwszy jesienią do Puław radził Niemcewiczowi napisać coś w duchu protestu.

W dwa miesiące sklecił Niemcewicz pierwszy swój utwór sceniczny: długie dramacisko "Władysław pod Warną". Przypominał jak to Polacy rzucili się ongiś bez żadnej racji na spokojnych, poczciwych Turczynów i jak za karę ponieśli sromotną klęskę.

Temat dramidła był sprytnie dobrany, ale forma klasyczna i nieprzebrany zasób cnót bohaterów czyniły go nudnym do mdłości. Proroczy, jak Jeremiasz, Karambey, cnotliwi jak garbate dziewice Tarnowski i Zawisza, 19-letni Władysław mądry jak stuletnia papuga, załamująca ustawicznie gnaty królowa Elżbieta - tryskali wzniosłą szlachetnością, prawili same morały, byli tak doskonali, że w Duchu Świętym prędzej by się kto wady doszukał. Jeden Hunyad, zdrajca i potwór, nie mógł uratować sytuacji. Wszyscy w Puławach bardzo chwalili rozwlekłe sztuczydło, nikt go do końca nie przeczytał.

Zarówno z Władysława pod Warną, który zasłużenie nie doczekał się żadnego rozgłosu, jak i z Ody do wojska polskiego stojącego nad Dniestrem, którą smarnął Niemcewicz w rok później w Paryżu - wynikało jasno, iż woli sto razy wrażych pogan niż sprzymierzonych prawosławnych.

- Dobry Boże, marzył po cichu, żebyś tak pomógł półksiężycom błysnąć na moskiewskich cerkwiach...

19.

POCZWÓRNA BZDURA

W marcu 87-go roku Niemcewicz upuściwszy nieco dukatów Czartoryskim machnął się znowu do Paryża.

Wlazł z nogami do towarzyskiego koryta. Zaprzyjaźnił się bardzo ze świetnym Chenier; odwiedzał panią Cosvay, piękną, dowcipną malarkę, literatkę, śpiewaczkę - tyle zalet

posiadająca kobieta była naturalnie nieznośna - toteż mąż chętnie spławiał ją z Londynu; malowała złe portrety Niemcewicza tuzinami; poznał Denon - przyszłego towarzysza Napoleona w Egipcie, Alfieriego - słynnego, piskliwego tragika włoskiego, Jeffersona - posła amerykańskiego, przyszłego prezydenta Stanów...

Latał po salonach, muzeach, teatrach; elegancki kawaler musiał być subtelnym i sentymentalnym - na każdej pastorałce Niemcewicz ronił łzy, na Szekspirze urządzał powódź.

- Charmant jeune homme! kwiczały zrussowaciałe damy.

Księżna Izabella z synem Adasiem - do którego mówiła zawsze: - mój panie Adamie! i marszałkowa Lubomirska bawiły również w Paryżu. Niemcewicz asystował im grzecznie, słuchał cierpliwie księżnej, która nabrała manier męża i co otworzyła usta to wygłaszała moralizatorskie kazanie, a co napisała list to jakby testament, rozweselał narwaną marszałkową, która go nazywała Oursini, żartował ze swej dawnej flamy - Narbuttówny, obecnie pani Dembowskiej, że się w karecie nie mieści z powodu ciąży.

Przyjechał z Kijowa rozwścieczony na Moskali Ignacy Potocki. Wyruszył tam, aby się łasić do Katarzyny, by zjednać sobie jej względy, tymczasem carowa przychylna dla Branickiego, miła dla ks. Józefa Poniatowskiego, któremu raczyła powiedzieć, że jej stryja w młodości przypomina, tak serdeczna dla Szczęsnego, że już szykował się skoczyć do jej łóżka, a stamtąd na tron polski, uprzejma dla tłumów przyklękających przed nią magnatów - na niego i Kazimierza Sapiehę, siostrzeńca Branickiego, patrzeć nie chciała, ani razu nie dopuściła ich przed swe boskie oblicze. W ślad za carową ostatnie stupajki dworskie odwracały się do wzgardzonej dwójki plecami. W rosyjskich kołach przyjęto potiomkinowskie definicje.

- Potocki, c'est un scelerat! Sapieha - un pisseur! *[Potocki to łotr! Sapieha - sraluch!]* Boleśnie kopnięci, zapałali do Rosji straszną nienawiścią i tylko myśleli jakby się zemścić. Jedynym dla Ignacego Potockiego rezultatem podróży kijowskiej było, że w drodze, w karecie przegrał do Branickiego 50.000 dukatów; hetman odprzedał rewers za dziesiątą część żydowinom, a ci zabrali Potockiemu najpiękniejszy majątek.

Opowiadał mistrz Ignacy Niemcewiczowi jak Stanisław August czekał pokornie w Kaniowie na Katarzynę, niczym karbowy w kredensie na swą panią, jak żartowano zeń, iż stracił 5 miliony złotych i 3 miesiące czasu, by widzieć carową 5 godzin i rozmawiać z nią 3 kwadranse o pogodzie, jak po obiedzie wyrwał paziowi laskę i podał ją z ukłonem Katarzynie, a gdy ona mu w zamian podała kapelusz, rzekł:

- Och, z tej cudnej ręki już raz drogocenniejsze nakrycie głowy otrzymałem! jak płaszczył

się przed Potiomkinem, jak wracał potem do Warszawy wesół i dumny, jakby co najmniej wygrał srogą bitwę lub odzyskał Białoruś...

Zżymał się Niemcewicz, za te upokorzenia rosła w nim niechęć do Moskali, wspólna awersja do wstrętnego narodu zbliżyła go, była podwaliną wielkiej przyjaźni z Ignacym Potockim.

Magnatołki polskie wpadły na świetną myśl: a gdyby tak obalić króliszona, samemu ująć władzę...

Jakiż to byłby ustrój? Słyszeli coś o jakimś Rzymie, Cezarze, duo, triumwiracie... zagmatwane, przestarzałe historie... ale mole książkowe od czego? Dać któremuś kilka dusiów - niech skleci stosowną konstytucję. Książę Adam przypomniał sobie abbe Piattolego - uczonego nędzarza, który spędził jakiś czas w Puławach - za pośrednictwem Niemcewicza zaangażowano go do skomponowania odpowiedniego dzieła.

Szczupły, drobny, niezmordowany w pracy włoski księżyna nie znał Polski, jej historii, społeczeństwa, ale żwawo spłodził obszerny memoriał. W tym czasie pisano konstytucje od ręki - jak receptę na rozwolnienie.

U marszałkowej Lubomirskiej odbywały się częste narady: debatowano nad piattolowym projektem, wedle którego Polską miał rządzić quatuorwirat w składzie: Szczęsny i Stanisław Potoccy, Seweryn Rzewuski i ks. Adam, poza tym uczciwe wybory, wzmocnienie władzy i porządku - ale magnaci nic nie mieli stracić ze swych prerogatyw.

Ignacy Potocki dyskutował rzeczowo, skrzeczała zapalczywie marszałkowa, każdy z obecnych wtrącał swoje trzy grosze, nawet 17-letni Adaś zabierał głos. Była to zabawa w konstytucję, coś jak te publiczne belfersko-chłopięce popisy w Puławach. Znudzona księżna Izabella wolała się zająć czymś realniejszym - zaabsorbował ją magnetyzm.

Niemcewicz był łącznikiem między Piattolim a ks. Adamem, donosił mu szyfrem o postępach poczwórnej bzdury, przekładał skamlania Włocha o garstkę chociaż miedziaków - bo na upranie gaci już nie ma, prośby o wyznaczenie stałej pensji, w zamian za którą odda się ciałem i duszą Czartoryskim.

Ksiądz nie znoszący ołtarza i adiutant nie cierpiący szabli przypadli sobie do serca. Rozprawiali z lubością o sztuce i literaturze, zapewniali się o wiecznej przyjaźni. Piatolli znał cały Paryż i wszędzie wprowadzał nowego druha.

Spędził potem Niemcewicz parę miesięcy w Londynie, prawił swym znajomym z ogniem o Polsce, o podłościach moskiewskich, jak ojciec żydów, tak on nawracał Anglików na polonofilstwo.

Wrócił przez Paryż, w styczniu 88-go roku, ze spartolonym projektem Piatollego pod pachą - stanął "hrabia" Niemcewicz w Puławach.

20.

OŻYWCZY POWIEW

Wiosną 88-go roku książę Adam i Niemcewicz skoczyli do wód pyrmonckich na kurację, wrócili prędko, bo dbali o swe zdrowie i należało działać przed nadchodzącym sejmem.

Wojna rosyjsko-turecka zaczęła się w najlepsze. Pułki kacapskie przemaszerowywały przez Polskę, werbownicy porywali ludzi na Ukrainie. Szczęsny Potocki przeciwstawiał się temu z niesłychanym męstwem, co odbił paru brańców to paruset wyprowadzono za jego plecami. Widząc, że neutralność Rzeczypospolitej została złamana Turcy też włazili na jej ziemie.

Nawet najtępsza szlachta się przeraziła; zrozumiała, że Polska, wobec wojny za miedzą, musi powiększyć swą śmiesznie małą ilość wojska. Chwila była stosowna, nachajkowy dozorca się odwrócił - niewolnik mógł odetchnąć; nikt nie przewidywał jak doniosłe będą wypadki, nikt nie miał rozległych planów, nikt nie mówił, ani nawet śnił o zrzuceniu jarzma moskiewskiego. Ale wszyscy chcieli aukcji wojska, wszyscy czuli, że moment jest do tego jedyny, że sejm nie może zejść na zwykłej pyskówce. Jakiś ożywczy powiew szedł przez kraj - chciano posłować nie tylko by się obżerać w Warszawie, lecz by i coś zrobić dla Polski.

Kandydatów na posłów było trzy razy tyle co zazwyczaj - i to spośród najwybitniejszych ludzi, nie same normalne opoje. Marceli Niemcewicz, zasilający króla ustawicznie nieproszonymi radami, teraz błagał go o wyforytowanie na posła w Inflantach - przez kompasję nad starym wiekiem moim, pisał, młodzi mają czas, niech poczekają... Bystrzejszym od podczaszego mielnickiego ani powstało w głowie, że nie ma czasu, że to będzie ostatni sejm Rzeczypospolitej.

Stanisław August tuptał i krzątał się jak zawsze - forsował ludzi sobie i Rosji oddanych, chciał sejmu łagodnego, który by uchwalił spłacenie jego prywatnych długów oraz popierał jego politykę zjednywania wielkiej Katarzyny pokorą i uległością.

Opozycyjne magnatołki, niezmordowane lizusy wszechmocnej carycy, zapomniawszy o planach quatuorwicusiady, wzięły się też sprężyście do sejmików.

Szczęsny chciał przewodzić, znaczyć...

Rzewuski - buławie hetmańskiej dawną władzę przywrócić,

Branicki i stare babsztyle - doskwierać królowi;

Czartoryski - być na pierwszym planie;

Stackelberg był zupełnie spokojny: od 16-tu lat rządził Polską jak swym folwarkiem, tyle sejmów trzymał za mordę - nie wątpił, że i z tym da sobie radę, tyle piśnie ile mu pozwoli. Nie przykładał się do wyborów, obojętne mu było kogo będzie teroryzować.

Szeroki ogół braci szlachty - ciemna tabaka w rogu - wiedział tylko, że należy wojsko powiększyć, bo Rosja na to zezwala; szykowano się do kreskowania na "królewskich" czy "magnackich" zależnie od wpływów i jakości wina, ale w instrukcjach dla jednych i drugich widniało to samo: aukcja wojska.

By uniknąć nieporozumień przezorni wyborcy zaznaczali jednocześnie: tylko broń Boże żadnej aukcji podatków! 2 grosze z łanu i tak uciemiężają straszliwie szlachtę. Jeśli już niezdarny król stanowczo bez pieniędzy nie potrafi wystawić armii, to zabrać część dochodów biskupom, krakowskiemu zwłaszcza. Dobra pojezuickie Komisji Edukacyjnej odebrać, na wojsko obrocić. Młodzież niech się kształci po klasztorach, a Komisja - o ile koniecznie chce funkcjonować - niech mnichów-belfrów nadgląda... Po wytrąbieniu pół beczki wina statyści sejmikowi mieli radę na wszystko.

Ignacy Potocki i ks. Adam postanowili wykierować Niemcewicza na posła. Sami kandydowali w Lublinie (na Podole książę po ostatniej chryi był obrażony), w Brześciu stawali Sapieha i Matuszewicz, wszystkie przyzwoite okręgi obsadzili ludzie o wielkich nazwiskach lub zasobach. Książę Adam bardzo lubił pana Juliana, ale nie na tyle, by rozsupłać dlań mieszek - dał mu listy polecające i wyprawił na Inflanty.

21.

KROWY I POSŁOWIE

W pierwszym rozbiorze Rosja hapnęła całe Inflanty, Polsce została tylko mała łączka za Dźwiną, nie było na niej nawet szałasu, sejmikowano pod gołym niebem na trawie.

Ledwo przybył Niemcewicz porwał go w objęcia Michał Zabiełło, ten przystojny oficer francuski, którego zgłodniałego i bez grosza przed 6 laty z Wiednia do kraju przytaszczył.

- A waść tu czego? pytał.

- Przecież nie dla kupna siana, chcę spróbować zostać posłem...

- Ha! i Zabiełło puknął się w głowę.

Za pozwoleniem miejscowej moskiewskiej stupajki przyczłapało zza kordonu 50 zbiedzonych szlachciurów, mieli oni wybrać 6 posłów.

Kandydatów było 16-tu, z czego połowa znani, stateczni obywatele, reszta hołopupskie bubki - wśród nich Niemcewicz.

Starosta inflancki Plater przeczytał list od króla, w którym Stanisław wymieniał miłych sobie kandydatów - Badeniego (stały poseł łąki), Karwowskiego, Prozora, Platera i polecał ich łaskawym głosom drogich ichmościów.

Poza krajem wola królewska była bardzo szanowana, od czasu rozbioru inflancka łąka stale desygnowała posłów wskazanych przez Poniatowskiego; na listy Czartoryskiego nikt nie chciał patrzeć, Niemcewicz zwiesił smutnie głowę, Inflantczycy już otwierali gardła, by okrzyczeć stanisławowskich kandydatów.

- Za pozwoleniem, chwileczka! wrzasnął Michał Zabiełło.

- Czego tam? Nie przeszkadzać! Już postanowione!

- Jeszcze wysłuchajcie listu Potiemkina.

Szlachetki co drżały przed dźwińskim łupikijem struchlały na dźwięk nazwiska sławnego satrapy, zdrętwieli i zdjęli czapki...

Donośnym głosem odczytał Zabiełło pismo w którym Potiemkin zalecał na posłów Michała Zabiełłę, Weyssenhofa, Trębickiego, Niemcewicza...

- Kogo? Kogo? przepytywano, bo były to nazwiska powszechnie nieznane.

Wielki Potiemkin, najpracowitszy nałożnik wielkiej Katarzyny, kazał!!!! Co znaczył Stanisław August wobec Potiemkina? Skonfundowany Plater nawet nie śmiał zipnąć; bez żadnych dyskusji, jednomyślnie i z ochotą wybrali inflantczycy do polskiego sejmu tych co kacapidło im wskazało. Uradowany Niemcewicz wygłosił mówkę dziękczynną, po czym wyborcy wrócili do Rosji, tłumek kandydatów do Polski, a krowy na opróżnione pastwisko.

Niemcewicz nic nie rozumiał z tej cudownej promocji. Zabiełło wytłómaczył mu co i jak: jeździł do Kijowa pokłonić się Potiemkinowi, paryskimi kawałami, opisami swych miłosnych chwytów bawił wiecznie znudzonego potentata. Pisnął raz, że ma ochotę posłować, dostał ów list z in blanco na dalsze 5 nazwisk. Tam, na łące, dopisał

Niemcewicza - przez wdzięczność za powrót z Wiednia.

- Więc to dzięki Potiemkinowi zostałem posłem, rozmyślał Niemcewicz.

Wesół jak ptaszek wpadł do Skoków, obwieścił swój sukces. Pan Marceli aż stęknął: jego Stanisław August nie chciał zaprotegować, rodzony syn go ubiegł. Klęska kandydatów królewskich pocieszyła nieco pana Marcelego:

- Dobrze tak starej prukwie, wołał.

Julianek obiecał rodzicom, że im wstydu milczeniem nie przyniesie, że kilkanaście oracyj wygłosi i zaraz po skończonym sejmie - a więc w grudniu, styczniu najdalej - przyjedzie zdać im dokładną relację.

Pani Jadwiga żegnała z dumą swego pierworodnego posła, mówiąc:

- No, nareszcie będziemy mieli sejm do rzeczy!

CZĘŚĆ DRUGA

MOWĄ I PIÓREM

22.

BAL MASONÓW

Niemcewicz ukończył korpus kadetów jako gefreyter, obecnie był majorem Pieszej Gwardii Litewskiej; by móc posłować podał się do dymisji. Przez te 10 lat uciążliwej służby wojskowej może i wdział mundur 10 razy - na maskarady czy dla zaimponowanie jakiejś kuchcie.

W Puławach zastał Szczęsnego prezentującego się w świeżo kupionym mundurze jenerała artylerii. Potockiego nic artyleria nie obchodziła, nabył jeneralstwo jedynie, by nie dostało się księciu Józefowi Poniatowskiemu, który zdradzał wielkie zainteresowanie wojskiem. Jeden Poniatowski na tronie, drugi na prymasostwie, jeszcze trzeci w armii - to byłoby stanowczo nie do zniesienia. By zapobiec tej katastrofie Szczęsny nie zawahał się złożyć województwa ruskiego i wybulić kupy pieniędzy; wszyscy wynosili pod niebo jego

patriotyzm.

Przywódcy opozycji zjechali się do Puław dla obmyślenia taktyki na sejmie. Wobec wojny z Turcją Rosja i Austria pragnęły porządku w Polsce, by mieć ewentualnie od niej sukurs. Boska Katarzyna polecała tedy Branickiemu i Szczęsnemu nie szczekać na Stanisława Augusta, nie zwalczać go we wszystkim. Kaunitz podobny pater noster wypalił Czartoryskiemu. Wobec perspektywy zgody z królem magnaci nie umieli sobie wyobrazić co będą robić na sejmie. Podpili należycie i nic nie uradziwszy ruszyli do Warszawy.

Pod koniec września stolica zaczęła gwałtownie pęcznieć, ściągała elita z całej Polski. Posłowie stawali w klasztorach, lubieżniejsi po prywatnych stancjach. Wielki sezon polityczny otworzył wielki bal publiczny tajnych wolnomularzy.

Sala nabita; panie w cieniutkich, przezroczystych, greckich chlamidach, podniesionych z jednej strony powyżej kolana, bez koszul pod spodem, piersi do połowy odkryte (ale poziomo - nie pionowo), gołe nogi obmotane czarnymi, aksamitnymi paskami po uda, na palcach bosych stóp w trepkach kapucyńskich pierścionki połyskujące diamentami.

Posłowie tłoczyli się wokół Hailesa, posła angielskiego, Engestroma, szwedzkiego, i innych dyplomatów, którzy objaśniali im sytuację polityczną. Damy kokietowały Stanisława Augusta, nie mógł się od starych kwok opędzić. Szczerzyły białe zęby co bardzo cenił; nikt wtedy nie znał szczotki do ust, dla przypodobania się królowi elegantki tłumnie odwiedzały jego dentystę Lefevre'a, kazały sobie wstawiać piękne przednie siekacze, płacąc arcysłono za tajemnicę - zabiegi koło zębów uchodziły bowiem za rzecz śmieszną i nieprzyzwoitą.

Pilniej niż zęby obserwował Stanisław piękne nogi tj. pulchne i tłuste. Choć wzrok miał doskonały używał lornetki, małpowały go więc panie i co druga wierciła binoklami lub perspektywką.

Szmer nagle przebiegł salę: - ambasador! ambasador przyjechał!

Poprzedzana przez dwóch laufrów, trzaskających bez przerwy z harapów, zajechała przed pałac kareta w 6 białych koni zaprzężona. Umilkła muzyka, rozstąpił tłum - wśród szpaleru kornie schylonych głów przeszedł nadęty Stackelberg, rozwalił się w fotelu na specjalnie dlań przygotowanym podium, obok siadły panie Ożarowska i księżna Maciejowa Radziwiłłowa z którymi na zmianę raczył uprawiać miłość; mężowie tych dam bardzo byli z tego dumni i radzi - do zaszczytów i bogactwa nie widzieli pewniejszej drogi jak przez łóżko ambasadora.

Młodzi posłowie przysuwali się do podium, Stackelberg witał ich łaskawie, wołał do biskupa Kossakowskiego:

- Podaj no Ekscelencjo krzesło panu posłowi!

I biskup, jakby nie czując obelgi, przysuwał stołki skonfundowanym młodzikom. Ambasador lubił upokarzać nadskakujących mu dygnitarzy.

Pchano się doń, modlono o słówko, spojrzenie. Pisarz litewski Tyszkiewicz ze łzami w oczach dziękował za tabakierkę z wizerunkiem wszechpotężnej Katarzyny otrzymaną za dobre urzędowanie. Wszyscy mu zazdrościli tego widomego zaszczytu. Stanisław August tkwił w kącie pod ścianą, nikt nie zwracał nań najmniejszej uwagi.

Młodziutka Krystyna Radziwiłłówna odtańczyła solo kozaka. Gromkie oklaski, Kazimierz Sapieha krzyczał na całe gardło:

- Brawo autor, brawo!

- Wiwat autor! podchwyciła sala, Stackelberg dziękował uśmiechem, wiedziano powszechnie, że Krysia jest owocem jego intensywnych ćwiczeń z księżną Radziwiłłową, kasztelanową wileńską. Dość było zresztą spojrzeć na krótką, przysadzistą, pyzatą dziewczynę - wykapana ambasadorówna.

Łakomy Stackelberg co przeszedł obok lokaj z tacą - kiwał nań, pożerał lody, ciastka, konfitury, wkrótce uczuł gwałtowną rewolucję wewnętrzną; zatykając rękoma niebezpieczne miejsce wybiegł prędko wśród niskich dygów i ukłonów.

Bal stracił główną atrakcję, wszyscy zaczęli się wynosić.

23.

NIEPRZYZWOITA OFERTA ROSJI

Poniżające trzytygodniowe czekanie Stanisława Augusta na czworakach w Kaniowie na Wielkoduszną Katarzynę, jego polityka przymilania się Rosji - wydały wreszcie owoce: wspaniałomyślna imperatorowa zgadzała się na sojusz z Polską, raczyła przedstawić w nocie jaka będzie jego forma:

Polska ma wystawić 12.000 wojska, zostanie ono podzielone na trzy oddziały, nad którymi dowództwo obejmą Branicki, Szczęsny i Stanisław Potoccy. Oddziały te zostaną przydzielone do różnych korpusów rosyjskich, będą podlegać generałom rosyjskim. W żadnych zdobyczach terytorialnych Polska nie uczestniczy. Oba państwa mają przy zagranicznych dworach wspólnych przedstawicieli - Rosjan oczywiście jako że są

bieglejsi w dyplomacji. Z biegiem czasu Rosja zwróci Rzplitej koszt wystawienia owego wojska.

Ostatni tłomok rozumiał, że to parodia przymierza. Śmiesznie mała ilość wojska, jego rozproszkowanie wśród moskiewskiego, naznaczenie dowódców, brak widoków na jakiekolwiek korzyści - taki "sojusz" równał Polaków z Kozakami i Kałmukami. Przyzwyczajona do wzgardy i policzków Polska nie była wymagająca - jednak chciała wystawić armię - nie zaciężne roty, chciała być traktowana jako państwo - nie jak podbita prowincja.

Projekt rosyjski wywarł fatalne wrażenie. Dla ludzi niezatrutych rublami jasnym się stało, że mimo wszystkich słodkich zapewnień Rosja chce nie podźwignięcia Polski, nie jej odrodzenia, powrotu choćby w części do dawnej świetności, ale odwrotnie - chce ją do reszty pogrążyć, wzmóc nad nią swą suwerenność. Jeśli teraz, podczas ciężkiej wojny, gdy Polska mogła być pożyteczna, Rosja wysuwała tak hańbiący projekt - to czegóż należało oczekiwać po jej zwycięstwie nad Turcją? Przytomni ludzie zdawali sobie sprawę, że powolność względem Rosji, ufanie jej - prowadzą do nieuniknionej aneksji. Lecz, że czuli się słabi, nie mieli znikąd poparcia, więc przeciw północnemu niedźwiedziowi nie śmieli powstawać.

Wciąż wzrastająca supremacja Rosji w Polsce złościła Prusy; widziały dobrze, iż wkrótce to państwo lenne zostanie przez Moskwę całkowicie pożarte. Im nawet ogryzek by się nie dostał; Prusy postanowiły podważyć wszechwładne wpływy rosyjskie, oderwać Polskę od Rosji, uczynić ją swoim wassalem. Chwila obecna - wobec zaabsorbowania Rosji i Austrii wojną - była bardzo dogodna. Po Warszawie kursowały wieści, że Prusy wkrótce wystąpią z poważną deklaracją. Oczekiwano jej z ciekawością i nadzieją.

Rozdźwięki między Prusami i Rosją kształtowały sytuację międzynarodową niesłychanie korzystnie dla Polski.

24.

GŁÓWNI AKTORZY

Państwowe dochody Polski wynosiły rocznie 18 milionów, prywatne króla - 10 milionów złotych; wojsku można było nie płacić, bez armat się obejść, ale nałożnice monarsze musiały otrzymywać żołd akuratnie, nowe bohomazy w Łazienkach przybywać. Stanisław August miał długów powyżej uszu, bał się, że przy pierwszej o tym wzmiance opozycja wrzaśnie: - Veto! i sejm rozjedzie się po kościach nie uchwaliwszy mu żadnego sukursu. Szermując tedy potrzebą ustanowienia wojska i podatków prosił usilnie przełaskawą

Katarzynę o pozwolenie zawiązania konfederacji.

Carowa, przyzwyczajona, że Polacy leżą przed nią plackiem, upewniana przez Stackelberga, że i obecny sejm będzie mu posłuszny jak piesek - zezwoliła. - Ostatecznie, myślała, jeśli te niechlujne Polaczyszki zdobędą się naprawdę na wystawienie nieco wojska - tym lepiej, nic to nie będzie kosztować, a w razie kiepskiego obrotu wojny z Turcją może się przydać...

7-go października, jak zawsze w pierwszy poniedziałek po świętym Michale, nastąpiło otwarcie skonfederowanego sejmu. Marszałkiem obrano prawie jednogłośnie Stanisława Małachowskiego, zwanego polskim Arystydescem, co nie było znowuż tak wielką pochwałą; każdego nie przyłapanego na grubszym złodziejstwie zwano wtedy w Polsce - Arystydesem. Było ich w całym kraju aż kilkunastu.

Małachowski nie drżał przed Stackelbergiem, nigdy nie krygował się przed nim, potępiał służalczość względem Rosji. O zagranicy miał słabe wyobrażenie, ale wiedział, że Ameryka istnieje. Nie błyszczał inteligencją, dowcipem, uczonością - nawet najtępsi posłowie nie czuli się przytłoczeni jego rozumem; zjednywało mu to popularność. Nową myśl pojmował ciężko i powoli, lecz przetrawiwszy ją należycie i uznawszy za dobrą - nie wyrzekał za nic w świecie. Zdrowy rozsądek zastępował u niego zmysł polityczny, upór - siłę woli. Nie znosił kart, w które nie grywał, jurgieltów, których nie przyjmował, domów publicznych, których nie odwiedzał, dowcipów, których nie rozumiał. Był leniwy, rozlazły, łagodny, wyglądał poważnie, surowo, wzbudzał respekt, zaufanie, trochę się go bano. Łatwo można było znaleźć marszałka o lotniejszym umyśle, większych talentach, ale niesposób prawszego, uczciwszego, stalszego. A były to wtedy cenne zalety w tych czasach, kiedy najobrzydliwsze łajdactwa traktowano jako dowcipne figielki, kiedy najgorszej szui nikt nie śmiał ręki umknąć, kiedy na jurgieltników patrzono przyjaźnie, kiedy uczciwość uważane za głupie prostactwo. Nie darmo w Saksonii złodziei nazywano uczciwymi Polakami.

Stanisław August wcale się nie ucieszył z wyboru Małachowskiego. Kryształowych charakterów nigdy nie lubił. Stokroć wolał brata Stanisława, kanclerza Jacka Małachowskiego, zdeklarowanego, zaprzedanego Rosji cymbała.

Jeszcze mniej mu się podobał wybór Sapiehy na marszałka Litwy; Kazimierz Nestor był synem jego dawnej nieznośnej kochanki, która przysporzyła mu mało rozkoszy, a wydębiła zeń masę pieniędzy. Obsypywany od kołyski niezasłużonymi zaszczytami - jenerał artylerii, komandor maltański, starosta przeński, kawaler czerwonej wstęgi - Kazio był - tak jak wszyscy Sapiehowie - hałaśliwy, narwany, męczący; wsławił się dotychczas olbrzymią ilością długów, procesów i romansów. Ponieważ był siostrzeńcem Branickiego, sądzono, iż politycznie będzie pionkiem w jego ręku.

Król był zły, a Szczęsny wściekły. Raczył wejść do sejmu jako poseł - nie senator, raczył wyrazić życzenie zostania marszałkiem, był pewien, że obiorą go z podskokiem radości, a tu wołano jakiegoś Małachowskiego - pętaczynę, nie mającą i dziesiątej części jego włości. Ta karygodna samowola była pierwszym kamieniem obrazy Szczęsnego na sejm.

Hetman Rzewuski, stwierdziwszy, iż w akcie konfederacji nie ma słowa o przywróceniu wszechwładzy buławie, czyli o jedynej - jego zdaniem - koniecznej reformie, nie podpisał aktu. Siedział na uboczu z pianą w sercu. Że był wstrętnym sknerą więc nie miał stronników, nie zwracano nań żadnej uwagi.

Książę Adam węszył czego chce większość i był zdecydowany chcieć tego samego.

Zdezorientowany Branicki nie wiedząc przeciw komu wypadnie się awanturować - pił bez przerwy.

25.

STO TYSIĘCY

13-go października otyły poseł pruski Buchholtz złożył notę sejmowi, w której jego pan, opasły Fryderyk Wilhelm, uprzejmie, po mnóstwie komplementów, proponował zawiązanie z Polską przymierza.

Sejm oniemiał z radosnego wzruszenia. Do nich taka nota? Do nich co od 25 lat otrzymywali od państw sąsiednich nie noty, ale aroganckie rozkazy brutalne jak kopniaki. I to od Prus! Od tych Prus, co samowolnie poszerzały o kilometry granice zaboru, co bezprawnie nakładały takie cło na zboże spławiane Wisłą, że zabiły cały handel; jeszcze tak niedawno nie można było utrzymać w Warszawie wysokiego lokaja, bo werbownicy szwabscy porywali dorodnych mężczyzn w biały dzień ze środka ulic. Zdawkowe, obyczne zwroty grzecznościowe noty dyplomatycznej wydały się sejmowi anielskim kwileniem, wnet kazał ją wydrukować i rozrzucić po kraju, by i obywatele mieli frajdę. 50 posłów podrałowało do Buchholtza złożyć mu podziękowania; ledwo nie wysłano poselstwa dziękczynnego do Berlina. Pierwszy kamyk pruski w folwark Katarzyny zrobił wrażenie lawiny.

Sejm nabrał otuchy i fantazji. Debatowano o pomnożeniu wojska; małostkowy - jak zawsze - król radził mało - 30 tysięcy, inni bąkali o 40-60 tysiącach. Gdy 20-go października poseł Walewski zalecił 100.000, cała sala, olśniona, że jest to - Sto tysięcy! Sto tysięcy! ryczano zewsząd. Cyfra największa, a więc i najlepsza, porwała się na nogi.

Protest Żmudzina Górskiego utonął w ogólnej wrzawie, taka była chęć służenia ojczyźnie, że gdyby ktoś biegły w matematyce wspomniał o milionie - uchwalonoby milion; aukcja przeszła jednomyślnie. Posłowie padali sobie w objęcia, leli łzy radości, zdawało im się, że niezliczone hufce już stoją za oknami - na placu. Zapał ogarnął nawet Stanisława Augusta:

- Kochany narodzie, skrzeczał, życie dałbym za ciebie z ochotą!

Senat przystąpił do ucałowania ręki monarszej, co widząc Małachowski zakrzyknął, że i sejm pożąda tej łaski.

- I Litwa też! wołał Sapieha.

- Czekam na was z obu rękoma, kwiczał, smarkając nimi na razie nos, król.

Więc rzucili się hurmem posłowie, arbitrzy co zleźli z galerii, nawet woźni; cmokano na cześć armii te łapska, które wolały podpisać rozbiór niż imać miecza.

Entuzjazm był olbrzymi; gdy przyszło do uchwalenia podatków, zmalał bardzo, a gdy do płacenia zamienił się w odrazę.

26.

PIERWSZE STARCIE - PIERWSZE ZWYCIĘSTWO

Na papierze była wielka armia, powstała kwestia kto ma nią zarządzać?

- Oczywiście Departament Wojskowy, głosili król i wszyscy prawomyślni.

Ale Departament był Wydziałem Rady Nieustającej ustanowionej przez Rosję i z samych jej niewolników złożonej. Przez kilkanaście lat niszczył wojsko systematycznie. Powierzyć mu tworzenie armii oznaczało to samo co powierzyć je Rosji. Średnio rozgarnięty baran nie uwierzy, by wilk w jego obronie zakładał na siebie potrzaski.

- Nie chcemy Departamentu! Precz z nim! krzyczała opozycja.

I oto sejm składający się dotychczas ze stronników króla, Branickiego, Szczęsnego, Czartoryskiego, z posłów co - jak utarło się od wieku - byli klientami jakiegoś magnata, co mieli nie rozumować, a tylko iść ślepo za swym panem, ten sejm zawsze skłócony, rozdrobniony na dziesiątki grupek - podzielił się nagle na dwa wyraźne obozy: za Rosją i przeciw niej. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów sejm różniły nie możne osobiste

ansy, nie małe świństewka, konszachty, ale arcyważne, polityczne zagadnienie: dogorywać pod moskiewskim butem czy próbować się spodeń wykaraskać? Z jednej strony chłystki nie widzący poza spódnicę wszechpotężnej carowej, jurgieltnicy drżący o swe pensje, tchórze; z drugiej ludzie, którym zbrzydło jarzmo, którym kołatało coś jeszcze żywiej w piersiach na dźwięk - Polska!

Opozycja żądała stworzenia Komisji Wojskowej w miejsce obrzydliwego Departamentu, wytrącało to wszelkie wpływy na armię Stackelbergowi i jego pachołkom, chambasador ostro zaoponował stwierdzając, że naruszy to gwarancję rosyjską, zachęciło to bardzo opozycję.

Stanisław August dygotał ze zgrozy; w obszernych perorach błagał, by nie obrażać Rosji, by nie obalać cząstki rządu przez nią łaskawie narzuconego, tłómaczył, iż Rosja od lat same dobrodziejstwa świadczy Polsce, iż handel z nią jak najkorzystniejszy, iż niesposób sobie wyobrazić życzliwszego, łagodniejszego, uczynniejszego sąsiada.

Ględził bezładnie i podle Szczęsny Potocki, zerwanie z Rosją podkopywało jego znaczenie i plany kariery - wydawało mu się to dostateczną racją, by sejm zaniechał tej drogi. Biskup Massalski przestrzegał, by nie drażnić wszechmocnej Katarzyny, wtórował mu prymas, wołając:

- Ufajmy imperatorowej! Zobaczycie, że najjaśniejsza pani pokorą i uległością naszą zniewolona, zabrane prowincje z powrotem nam da...

- Fe, panie kochanku, to nieładnie, kiedy kobieta zniewolona daje, wtrącił Radziwiłł.

Kasztelan wojnicki Ożarowski, mający od Moskwy 2.000 dukatów rocznej pensji, dowodził słodko:

- Niepotrzebna nam Komisja, bo dla wojska zabezpieczenia... - pieczenia, pieczenia! krzyknięto zaraz niby echo z galerii, a do kapelusza rzucono mu miedzianą kopiejkę.

Stawali mężnie w obronie Departamentu garbaty książę Sułkowski, pobierający 3000 dukatów jurgieltu rocznie, Gurowski - 2.400, Raczyński, biskup Kossakowski, wojewoda łęczycki Dzierzbicki - po 1.500, inni senatorzy, no i król - największy łapownik; wszyscy uczciwie spełnili swą powinność rublobiorców, każdy po przemowie patrzał potulnie na Stackelberga w loży: - a co? nie wypraszam pieniędzy za darmo?

Ale i opozycja się zawzięła; poseł chełmski Suchodolski, dotąd człowiek Branickiego, nie najmądrzej, lecz najgłośniej i najobficiej zwalczał Departament mimo furii hetmana, który w nim zasiadał; mówili przeciw niemu Kublicki i Niemcewicz - wbrew Czartoryskiemu, który upominał, by nie gniewać aliantki; powstawał ostro Suchorzewski, Weyssenhoff -

wszyscy nieznani, maluczcy, niezwiązani finansowo z Rosją posłowie. Król, magnaci, biskupi byli zdumieni i oburzeni: ich właśni ludzie wyłamywali!

Po tygodniowym potopie wymowy, gdy już po raz trzeci ci sami głos zabierali, a po raz trzechsetny powtarzali te same argumenty - opozycjoniści jęli krzyczeć:

- Turnus! Turnus!

- Nie ma jednomyślności, nie mogę nań zezwolić, rzekł król.

- Na co tu jednomyślność, sejm przecie skonfederowany, ad turnum! wołano.

- Solwuję sesję do jutra! oznajmił król i uciekł do swoich pokoi wśród gradu przekleństw; - diabli nadali tę konfederację, mruczał, przydałoby się porządne veto...

Zawrzało w sali; poseł inflancki Kublicki wypadł na środek Izby i wyciągnąwszy szablę z pochwy: - Ucinać łby pieczeniarzom! wrzeszczał.

- Nie chcemy obradować z tą opłaconą senacką hołotą - krzyczano - a do Małachowskiego, porwawszy go na plecy i zmierzając ku drzwiom:

- Prowadź nas do innej sali, bez tych grandziarzy wnet dojdziemy do ładu.

Zląkł się król tych rozsądnych zamierzeń, a że nawet w złym nie umiał być wytrwałym, zezwolił nazajutrz na turnus. Głosowano jawnie, każdy wchodził na mównicę i głośno oznajmiał białą czy czarną gałkę rzuca, affirmative czy negative; przy okazji, choć to nikogo nie interesowało, każdy uzasadniał swój postępek. Drżeli pod wyłupiastym okiem Stackelberga wybrańcy wolnego narodu, senat w komplecie dał negative, skompromitowany Departament zyskał większość 35-ciu głosów (149 za - 114 przeciw).

Niemcewicz zażądał tajnych, decydujących kresek. Teraz tchórze nabrały śmiałości; gdy Stackelberg nie mógł ich kontrolować - odważali się chcieć dobra Polski, ciskali cichaczem białe gałki do wazy. Książę Adam był jednym z takich.

O 4-ej rano, po 16-stogodzinnym posiedzeniu, wśród głuchego, pełnego napięcia milczenia - obliczono gałki. Wniosek za Komisją Wojskową przeszedł 18-tu głosami większości!

Buchnął w strop krzyk radości. Posłowie rozbiegli się po Warszawie głosząc wieść tryumfalną:

- Sejm postąpił wbrew woli Stackelberga!!

Przerażony król, zamiast się kłaść spać, zasiadł do pisania listu do Katarzyny, sumitując się za to co zaszło.

27.

POSŁOWIE PRZY GROCHÓWCE

Przed 180-ciu laty hetman Żółkiewski, wracając spod Kłuszyna, defilował przez Warszawę z carem Szujskim na postronku - nie wywołało to w stolicy takiego podziwu i zachwytu jak obecnie obalenie Departamentu. Sejm polski śmie przeciwstawiać się Rosji! Jurgieltnicy są w mniejszości! Niesłychane!

Warszawa była całkowicie po stronie opozycji. Popularność Szczęsnego znikła jak śnieg wiosenny. Przyjaciele pozrzucali mundury o jego barwach przed pałacem Potockich. Gdy Szczęsny, chcąc odzyskać oklaski, oświadczył pompatycznie w sejmie, że wystawi swoim kosztem pomnik Czarnieckiemu, że ofiaruje 10.000 sztuk broni - zbyto obietnice te milczeniem. Naturalnie nigdy ich nie dotrzymał.

Opozycjoniści nazwali się skromnie patriotami, cnotliwą większością. Do stronników Rosji tytułowanych dotąd zawsze przez Katarzynę - wzorowymi patriotami, przylgnęło miano pieczeniarzy. Wyśmiewano się z nich, że u króla, prymasa i ambasadora się tuczą.

Traktierni było w Warszawie zaledwie kilka, jadali tam co najwyżej furmani; nędzny szlachciura, cóż dopiero poseł, uważali za wielką ujmę płacić za wikt - oznaczałoby to, że nie znają nikogo, że nikt ich nie zaprasza. Patrioci mieli co dzień parę stołów do wyboru - u Czartoryskiego, Małachowskiego, Ignacego Potockiego... tylko, że przy talerzu grochówki nie znajdowali, jak pieczeniarze, rubla w serwecie.

Litwa zbierała się u swej wyroczni - u Radziwiłła. Na podwórzu, na szaragach wisiały dziki, łosie, niedźwiedzie i sarny przywożone z Nieświeża; sanna była dobra, więc transport krótko trwał i mięso mało śmierdziało. Posłowie zasiadali przy wąziutkich stołach, raczyli się wódką gdańską, kiełbasą, kołdunami, chrapami łosia, ostrygami, zapijali winem i piwem. Radziwiłł wyłuszczał swe credo polityczne:

- Skoro, panie kochanku, naszą białą gęś ma drzeć czarny orzeł ościenny - niech już lepiej drze ten o jednej głowie...

- Racja! zdrowie króla pruskiego dobrodzieja! huczeli posłowie wychylając kielichy.

- Kto by się po nim spodziewał tak sprytnej kalkulacji? mówił zdziwiony Niemcewicz.

Wkrótce jednak sejm znudził księcia, postanowił wyjechać. "A gdzie będziemy jadać obiady?" myśleli zmartwieni posłowie litewscy, więc w krzyk:

- Nie opuszczaj nas, panie, zginiemy tu biedne sieroty bez twoich rad.

- He, panie kochanku, muszę jechać.

- Czemuż to? Co tam tak pilnego?

- Zakładam morze w Nieświeżu!

I mimo molestacyj książę rzeczywiście wyjechał. Dla Radziwiłła myśleć nad sprawami państwa dłużej niż 6 tygodni było ponad siły.

Litwa przylgnęła wobec tego do Czartoryskiego i Sapiehy, Patrioci wyzwolili się spod wpływu króla, Szczęsnego, Rzewuskiego - za to przewodzili im teraz Ignacy Potocki, ks. Adam, Sapieha, Małachowski. Szlachta nie umiała się obejść bez magnatów.

28.

SEJMOWŁADZTWO

Sejm pracował pełną gębą. Mrozy następowały, więc stutysięczną armię na papierze należało czym prędzej ubrać. Gdakano o tym zapamiętale: wysokość kasku, kolor munduru, szerokość spodni, grubość podeszew - roztrząsało plenum sejmu. Posłowie co nie odróżniliby prochu od kaszy spierali się do upadłego o pakowność patrontaszy, o długość piki.

- Kurtka dragona winna mieć 9 guzików! wołał hetman Tyszkiewicz.

- Przenigdy, w razie alarmu nie zdąży się zapiąć, 7 guzików wystarczy, oponował pisarz koronny Kazimierz Rzewuski, mający się za wielkiego znawcę wojskowości odkąd ruskie sołdaty pogwałciły mu wszystkie dziewki folwarczne.

- Dragoni Fryderyka mieli po 9 guzików pod Molwitzami i dzięki temu atak ich rozstrzygnął o zwycięstwie.

- Widocznie atak był po południu i zdążyli się ubrać.

- Ustanówmy 8 guzików i niech będzie zgoda, proponował Małachowski.

- Nie mogę przystać, bez 9 guzików to żaden dragon.

- Jeden więcej niż 7 to każda bitwa przegrana. Proszę o turnus.

I szedł turnus, a hetman Tyszkiewicz mruczał: wybuliłem 500.000 złotych za mój urząd i jeszcze mnie za autorytet nie uważają, co za bezczelność!

Od Radziwiłła wpłynęła propozycja wystawienia 10.000 żołnierzy pod warunkiem, że zawsze będą pod dowództwem Radziwiłłów i zawsze w ich dobrach będą stancjonować. Sejm rozlał się w podziękowaniach. Podnoszono w napuszonych perorach niebywałą w dziejach ofiarę, nadludzką miłość ojczyzny księcia, szczodrość nawet u Persów niespotykaną. Niemcewicz też nic nie zrozumiał i wygłosił panegiryk. Już chciano biust Radziwiłła ulokować w izbie.

Aliści Szczęsny i Branicki oświadczyli, że na takich warunkach i oni chętnie po 10 tysięcy wojska wystawią. To już było podejrzane. Paru posłów zadało sobie trud pomyślenia i z konsternacją pojęli, że te wspaniałomyślnie ofiarowane pułki byłyby po prostu prywatnymi kohortami. Panowie dezygnowaliby na oficerów swoje kreatury, a za lokację w ich dobrach Rzeczpospolita płaciłaby im 100 tysięcy dukatów rocznie, co stanowiłoby piękny zarobek. Tak to pod pozorem prezentu ojczyźnie szkaradne magnatołki chciały podwójnie grubo skorzystać. Chwalcy zawstydzeni swą tępotą, zamilkli, o hojnych ofiarach nie piśnięto więcej.

Ustanowienie podatków na wojsko było najpilniejszą sprawą, toteż sejm najniechętniej się do niej zabierał. Nawoływał o nie daremnie Niemcewicz, a że jasnym było, iż szlachta nałożone podatki ściągnie całkowicie z chłopów - barwnie odmalowywał nędzę kmiecą, wnosił by dalsze obarczanie ich zostało ustawowo wzbronione. Nie był to właściwy sposób do zachęcenia skąpych posłów.

- Wyrodku szlachecki, zgrzytał wojewoda sieradzki Walewski, nie wstyd ci za chamami się ujmować!

Książę Adam mitygował Niemcewicza, tłómacząc, że brzydka to rzecz przelewać podatki na chłopków, ale nic zabronić szlachcie nie wolno. O oswobodzeniu włościan też nie pora myśleć - naprzód ich oświecić, a po kilkunastu stuleciach - wyzwolić. Rozsądne wywody przekonały Niemcewicza, wycofał swe chłopomańskie wnioski.

Plugawy Poniński radził zaciągnąć na armię większą pożyczkę w Holandii. Słuchano grabarza pierwszego rozbioru z uwagą - nikt się w Polsce tyle nie nakradł co on, więc uchodził za autorytet finansowy. Kasztelan łukowski Jezierski, właściciel reprezentacyjnego publiczniaka nad Wisłą widzialnego z okien izby, przypominał

chełpliwie, iż zarządzając honorowo dobrami prymasa Podoskiego uciułał sobie w dwa lata 200.000 złotych - zatem też jest tęgim ekonomistą i może dać niejedną dobrą wskazówkę.

Na razie ci światli finansiści wnosili o zalimitowanie sejmu, bo kontrakty dubieńskie nadchodzą; ojczyzna nie ucieknie, a tam dobre tranzakcje odbędą się bez nich...

Porwał się na to Niemcewicz: - Sejm nie ma czasu na limitę, za wiele innych spraw czeka, można raz dla ojczyzny dać uciec paru dukatom!

Patrioci siedzieli w Warszawie kamieniem, liczba łapczywych pieczeniarzy topniała co dzień - umykali do Dubna w nadziei, że lepiej się tam obłowią niż przy królu.

Nowa kwestia pochłonęła sejm: Polska nigdzie nie miała posłów zagranicznych; Bukatego w Londynie, Wojdę w Wiedniu, Debolego w Petersburgu - uważano za prywatnych agentów Stanisława Augusta, tamtejsi ministrowie rozmawiali z nimi co najwyżej w przelocie na korytarzu. Sejm zdecydował wysłać reprezentantów do Anglii, Austrii, Prus, Rosji...

- I do Rzymu, i do Turcji, dorzucił Ignacy Potocki.

- I do Hiszpanii i do Holandii, wtrącił się jak zawsze Suchodolski.

- I do Szwecji, i do Chin, i do Syjamu, wrzasnął Suchorzewski, nie mogąc ścierpieć, by jego wieczny rywal wykazał większą znajomość geografii.

Potem uchwalono, że tych przedstawicieli Polski będzie mianował sejm - nie król, potem ustanowiono komisje do spraw zagranicznych, potem wysłano noty do posłów cudzoziemskich, potem czytano breve papieskie...

Prebendowski, przewodniczący Rady Nieustającej, chodził co wieczór do Stackelberga zdawać relację co na posiedzeniu rządu postanowiono - obecnie mógł tylko mówić o pogodzie, nic nie miał do meldowania, bo sejm wglądał we wszystko, akaparował całą władzę. Sejm rządził.

29.

JEDNOOKI SŁOWIK

Poseł pruski Buchholtz był leniwy i łakomy bezgranicznie; oba te nałogi szanował tak dalece, że własnego stangreta nie śmiał oderwać od miski, ani obudzić na koźle - czekał

cierpliwie aż skończy. Od lat jadał u Stackelberga obiady, klepał z nim w whista, popierał we wszystkim, słuchał go ślepo; obecnie, gdy kazano mu z Berlina zwalczać ambasadora, zniszczyć jego wpływy - Buchholtz zbaraniał, nie umiał, nie był w stanie. Mentalność jego nie mogła się tak szybko zmienić jak pruska polityka.

Prusy potrzebowały w Warszawie rzutkiego, czynnego przedstawiciela, który by wyrwał Polskę z moskiewskich kleszczy. Z własnej inicjatywy, ot tak - dla przyjrzenia się polskiemu sejmowi - przybył do Warszawy jeszcze w październiku drugorzędny dyplomata pruski - Lucchesini.

Miał 36 lat, był średniego wzrostu, chudy, czarny, z orlim nosem - nie ulegało wątpliwości, że matka jego miała do czynienia tylko z Włochami, może co najwyżej jeszcze z jakimś Hiszpanem, Arabem czy cyganem. Łypał jednym okiem, bo drugie stracił przy doświadczeniach chemicznych co do wyrobu złota, nieprzyjemny wypadek ukrócił jego naukowe zapędy. Niesłychanie żywy, zręczny intrygant i plotkarz, nie potrzebujący prawie wcale spać, a więc dość pracowity, mogący gadać omal tyleż co poseł sejmowy - Lucchesini szybko zawojowywał Warszawę.

Korpus dyplomatyczny w Polsce składał się z miernot, które u siebie w kraju uchodziły za kompletne zera, w Warszawie uważały się za wiele znaczące jednostki, socjeta stołeczna widziała w nich wszechmocnych geniuszy. Pierwszą osobą w Polsce musiał być cudzoziemiec; w miarę jak opadał Stackelberg - wznosił się Lucchesini. I ten dyplomłatek bez oficjalnego stanowiska, ten obserwator, pomagier Buchholtza stał się motorem całej antyrosyjskiej roboty.

20-go listopada wpłynęła druga nota od Prus otwarcie nawołująca do zerwania z Moskwą, w zamian za co Fryderyk Wilhelm gwarantował Polsce całość, samodzielność i wolność. Nikt nie wyobrażał sobie, by Polska mogła istnieć bez protektora, czując Berlin za sobą, podszczuwani, ośmielani przez Lucchesiniego patrioci nabierali ducha; każdy podszept Włocha był dla nich ostrogą, po której stawali dęba - przeciw Moskwie.

Mnożyły się w sejmie mowy antyrosyjskie; wystarczało by Stackelberg był za czymś, by forsowano coś wręcz przeciwnego, mądrze czy głupio - mniejsza, grunt, że nie po myśli ambasadora. Niemcewicz uspokajał pieczeniarzy, że Katarzyna na pewno wielce rada z działalności sejmu, boć wszystko ku dobru Polski zmierza, a to - wedle ich zapewnień - jedyna troska imperatorowej.

Lucchesiniego, jak i dwór berliński, nic Polska - jako taka - nie obchodziła. Pracował wyłącznie dla dobra Prus. Pierwszym jego zadaniem było wyzwolić Polskę spod jarzma rosyjskiego, drugim - uczynić ją wasalem Prus. Mimo woli zupełnie obecna jego działalność była dla Polski zbawienna. Bez tych przyjaznych not, krzepiących słówek,

sejm nie odważyłby się wierzgać w stronę Moskwy. Lucchesini pokazał patriotom jak otworzyć klatkę. I zachęcił do wyjścia z niej!

Jako szczery Polak Niemcewicz uwielbiał cudzoziemców. Lucchesini od razu przypadł mu do serca, zaprzyjaźnili się bardzo, widywali prawie co dzień. A przy tym Lucchesini miał żonę...

30.

OBALENIE GWARANCJI

Patrioci nabrali rozpędu, zmierzali nieustępliwie do ostatecznego zerwania kacapskich pętów. Narzucona przemocą przez carycę w 75 r. Rada Nieustająca, choć obecnie bezsilna i bez żadnego znaczenia, przecież była oficjalnie jeszcze władzą. Nienawidzono, gardzono tym tworem moskiewskiej gwarancji; przedmiot powszechnych drwin - Zdrada Nieustająca, vice-sejm, Szkarada Nieustanna jak ją przezywano - chyliła się do upadku. Podpiłowywano ją co dzień ze wszystkich stron. Obalenie Departamentu wojskowego zapoczątkowało zniesienie rządów rosyjskich, obalenie Zdrady Nieustającej było logiczną konsekwencją. Cała uczciwa Warszawa pragnęła tego gorąco.

Padła wreszcie 19-go stycznia. Sesja zaczęta o 10-ej rana trwała do 5-ej świtu. Wygłoszono 60 mów. Przerzedzone kontraktami dubieńskimi i strachem przed niepopularnością szeregi posłów szturmaków moskiewskich stawiały słaby opór. Czuły się zmiażdżone, pokonane. Król bełkotał w obronie Szkarady, niedołężnie podkreślał, że nie wolno jej tknąć, bo Rosja za nią stoi. Dorzucił tym tylko drew do ognia. Podły kasztelan żarnowiecki Szydłowski, widząc, że Zdrada stracona, próbował nakłonić sejm do przeprowadzenia uchwały w grzeczny dla przepotężnej Katarzyny sposób, chciał, by specjalną notą zawiadomiono Stackelberga...

- Nic z tego! ryknął Niemcewicz, wolny naród nie ma żadnej potrzeby tłómaczyć się komukolwiek ze swych czynów!

Przystąpiono wreszcie do turnusu. Dworska czeladź tak była zniechęcona, że nawet nie głosowała. 62 drabów wstrzymało się; za Zdradą Nieustającą opowiedziało się tylko 11 bezwstydnych rublohapów - sami senatorzy. 120 głosowało przeciw.

Zmordowani posłowie wyszli na ciemne Krakowskie Przedmieście; u Bernardynów biły ponuro dzwony żałobne, ktoś zauważył:

- To na pogrzeb gwarancji rosyjskiej!

31.

KOPNIAKI I ŁAPÓWKI

Przez te 17 lat kacykowania w Polsce zawróciło się Stackelbergowi kompletnie w głowie: na Zamku nie siadano do stołu póki on nie przybył, król wybiegał na jego spotkanie aż na schody; naznaczał wojewodów, biskupów i stangretów; trybunały zmieniały swe wyroki na jego rozkaz; sejmy nic nie uchwalały, bo taka była jego wola; posłowie cudzoziemscy przedstawiali się wpierw jemu niż królowi; miętosił najpiękniejsze damy, magnaci stawali przed nim na czworaki...

Teraz co noc naklejano na pałacu, który kazał sobie podarować Rzeczypospolitej, kartki: dom do wynajęcia.

Pułkownik Morski, poseł podolski, odwiedził ambasadora; rad powitał go Stackelberg myśląc, że przybył złożyć mu czołobitność:

- Eee nie, rzekł Morski, przyszedłem meble obejrzeć... może coś kupię...

Na balu wesoła panienka pokazywała uczonego pieska: - Służyć, Stackelberżuś! Idź do kąta! Leżeć Stackelberżuś! i posłuszny kundel wszystko sprawnie wykonywał.

Jakiś dowcipniś zajął jego krzesło w teatrze i nie ustąpił mu go.

Uliczna gawiedź nie pryskała, jak dawniej, na bok przed jego białymi końmi, harde fajtasie gwizdały przeraźliwie.

Przedpokoje, dawniej zawsze pełne petentów, teraz świeciły pustkami. Nikt nie przychodził z pokłonem.

Tylko Stanisław August, prymas, panie Krakowska i Podolska - godne ich siostry - oraz sfora jurgieltników płaszczyli się nadal przed Stackelbergiem. Nie pocieszało go to wcale, jego dobrze płatni lokaje też byli bardzo pokorni...

Po obaleniu Zdrady Nieustającej stracił resztki przytomności. Dusiła go bezsilna wściekłość. Żądał od króla, by wyjechał z Warszawy, zawiązał w Dubnie nową konfederację - pod osłoną wojsk rosyjskich. Szczęsnemu podobał się ten projekt, gotów był już jechać, ale perspektywa opuszczenia miękkiego łóżka, kuchni, kochanek przeraziła Stanisława. Bał się zresztą zawsze energicznych decyzyj, po raz pierwszy w życiu odmówił spełnienia woli ambasadora.

Dotychczas być na żołdzie moskiewskim uważano za wielce zaszczytne: - widać coś znaczy i jest wart, skoro przenajświętsza carowa mu płaci! mówiono.

Obecnie publiczna opinia zwróciła się całkowicie przeciw rublohapom, w salonach drwiono z nich, na ulicy furmani wołali do siebie:

- Z drogi, pieczeniarzu, patriota jedzie! Posłowie zaczynali i kończyli swe perory w sejmie od przysięgi, że pieniędzy moskiewskich nie brali.

Ci co brali - nie wyrzekli się ich. Ale już nie pysznili się tym, tłómaczyli rzeczowo: - biorę pieniądze, bo trzeba niszczyć protektorkę wszelkimi sposobami.

32.

PRZEZ SZARAWARY - DO ZBAWIENIA OJCZYZNY

Patriotyzm i polskość stały się modne, zakasowały Rousse'a; lafiryndy salonowe zamiast o łące i baranach trajkotały o sejmie i posłach. Piękne damy pchały się na galerię sejmową jak dawniej do alkowy Stackelberga. Nie bardzo rozumiały o co chodzi, ale gdy kto głośno, a rubasznie przeciw Moskwie gadał - posyłały mu pocałunki, rzucały cukierki i oklaskiwały gorąco. Wieczorem, w salonach, dziewice wieńczyły kwiatami tych, co rano najodważniej mówili. Niemcewicz nieraz był obiektem wianuszków.

Gdy w sejmie głos zabierał pieczeniarz było jeszcze weselej. Arbitrzy mruczeli, kaszlem, sykaniem, szyderstwami tłumili jego perory. Skoro już zanadto Rosji kadził, ciskano weń zgniłymi jabłkami lub gruszkami twardymi jak kamyki Ożarowski oberwał raz tęgiego guza i płacząc pokazał go marszałkowi.

- Przejdzie do następnej mowy, pocieszył go Małachowski.

Obawa przed drwinami, miraż popularności, wciąż czyniły w pieczeniarzach wyrwy na korzyść patriotów.

Gdy sejm zaczął debatować jak ubrać żołnierzy - krzyknięto, by po polsku, damy z galerii zakwiczały, by kraj cały wdział kontusz. Nazajutrz Kazimierz Sapieha ukazał się w żupanie, żółtych butach, z podstrzyżoną głową; księżna Izabella ucięła mu publicznie kosmyk włosów i schowała jako relikwię do medalionu, panny sławiły go jako bohatera narodowego.

Zrzucano fraki, mundury przyjacielsko-przypochlebne Szczęsnego, Radziwiłła,

Branickiego, kontusz - mundur dobrego patrioty - szerzył się błyskawicznie. Panny mówiły do kawalerów: - Albo włożysz kontusz, albo ja nigdy nie zdejmę koszuli!

Księżna Izabella najgoręcej propagowała powrót do polskiego stroju, ujrzawszy raz swój salon pełen wyłącznie kontuszowców pisnęła upojona:

- No, Polska uratowana, najważniejsza reforma już przeprowadzona!

33.

JEDEN DZIEŃ OBRAD

Sejm obradował w długiej, prostokątnej sali. W głębi, na niegustownie ornamentowanym tronie o 7-miu stopniach, siedział król otoczony dworakami obwieszonymi orderami (przeważnie rosyjskimi) jak cyganie na jarmarku. Poniżej tronu, w szerokich krzesłach - senatorowie; pierwszy od prawej brat króla, prymas cały na ponsowo, z wysoką laską, z krucyfiksem na wierzchu, w ręku. Tym krzyżem sygnalizował pieczeniarzom jak się mają ustosunkować do mówcy: Chrystus zwrócony twarzą ku tronowi oznaczał: - dobrze gada! tyłem: - bez sensu!

Popod ścianami, na wąskich, niewygodnych ławkach - posłowie. Każde województwo osobno, dość było spojrzeć, by wiedzieć kto skąd.

W drugim końcu sali, naprzeciw króla, sterczeli dwaj marszałkowie z hebanowymi laskami, za nimi ministrowie, a z tyłu loża dla posłów cudzoziemskich. U góry biegła wokół sali galeria dla publiczności, dwie loże specjalne dla pań służyły tylko starym grzmotom, młodsze wolały męskie towarzystwo.

Posłów i senatorów było razem 206. 30-letni Niemcewicz nie należał wcale do najmłodszych. Zamożne paniątka zaczynały karierę polityczną od posłowania; po uwiedzeniu damy z towarzystwa i wojażu za granicą był to nieodzowny etap dobrej edukacji. Obecnie książę Sanguszko, Michał Czacki liczyli po 20 lat, po dwadzieścia parę miało całe mnóstwo.

Terminy sesyj oznaczał król, chętnie oznaczałby je raz na tydzień, ale posłowie robili gwałt, że chcą obradować. Tkwić na tronie po kilkanaście godzin z rzędu bez ruchu bardzo męczyło Stanisława Augusta - zachorował. Gdy się zjawił po 10-ciu dniach sejm wycmokał go po rękach - w podziękę, że raczył wyzdrowieć; kasztelan łukowski Jezierski zgłosił wniosek by król mógł spać u siebie, a sejm celebrować bez niego. Zląkł się Stanisław roztropnego projektu, jeszczeby zauważono, że jest istotnie całkiem

niepotrzebny - żywo zaprotestował, obiecał na przyszłość nie kwękać.

Sesje zaczynały się o 9 - 11 rano, albo o 4-ej po południu. Spóźniający się tylko o godzinę uchodzili za bardzo punktualnych. Na rannych sesjach zawsze było kilku posłów co po przepitej nocy jeszcze nie wytrzeźwieli, na popołudniowych tacy co już przy obiedzie zalali się w sztok.

Marszałek Kazimierz Sapieha często przychodził pijany, rwał się wtedy do głosu i - mówił lepiej i sensowniej niż na trzeźwo. Ranne sesje trwały krócej, gdyż koło 3-ej król, zmorzony głodem, solwował je nieubłaganie.

- Tremo droższy ci niż ojczyzna! wołano.

Stanisław August pędził do jadalni ciekaw jak mu też tam dziś genialny kucharz Tremo ulubioną baraninę przyrządził.

Sesja zaczynała się od wstępnej mówki Małachowskiego, który zwięźle przedstawiał materię, o której należy dziś debatować, po czym każdy z posłów plótł o tym, co mu do głowy przyszło.

Niezmordowani w gadulstwie byli posłowie. Jak bić się na sejmiku, uchlać w gościnie, wycałować na reducie - tak świętym obowiązkiem było mówić na sejmie. Dworowanoby do śmierci z posła co na sejmie nie odezwał się ani razu i jeszcze jego wnuki miały opinię straszliwych tobołów.

Silono się na styl kwiecisty, zawikłany; prócz Sapiehy i Suchodolskiego nikt nie wygłaszał mów - czytano je z arkusika; wielu zamawiało je u bakałarzy - specjalistów, co się po placu Zamkowym kręcili, kosztowało to parę złotych.

- Prześwietne skonfederowane Rzeczypospolitej Stany, Najjaśniejszy Królu, Panie mój Miłościwy! zaczynał nieodmiennie każdy mówca i powtarzał ten zwrot w ciągu swej perory kilkanaście razy, co nie przyczyniało się do zwięzłości. Potem wyrażał swe ukontentowanie z powodu zapadłej ostatnio uchwały; winszowano parę tygodni sejmowi stu tysięcy, następnie komisji wojskowej, następnie obalenia Zdrady Nieustającej. Z kolei czynił mówca głęboką uwagę, że Polskę kochać nade wszystko należy, zapewniał, że gotów dla niej wszystko poświęcić, dalej, że nie chce się chwalić - ale dla nauki młodszym - musi wspomnieć o swych takich, a takich usługach, krajowi oddanych, dopiero gdy wszyscy zasnęli, przechodził do rzeczy.

Nikogo nie zrażało jeśli przedmówca wygłosił identyczną opinię, jeśli wniosek, który popierał, już został uchwalony, wykoncypowanej oracji nie można było zmarnować, dukało się ją choćby o miesiąc za późno, gdy wszyscy o danej kwestii zupełnie

zapomnieli.

Co innego było głos zabrać a co innego zostać wysłuchanym. Ten przywilej należał tylko do ludzi o wyjątkowo silnym gardle; w sejmie panował nieustanny gwar, hałas, trzeba było wszystkich przekrzyczeć - inaczej mamrotało się jedynie do sąsiadów.

Suchodolski o piersiach jak miechy kowalskie i hipopotamim gardle zagłuszał całą Izbę - gdy mówił zatykano uszy palcami i jeszcze go słychać było. Nie dziw, że zyskał opinię najlepszego mówcy. Bolało to bardzo Suchorzewskiego, lecz w ryku nie mógł mu sprostać.

Suchodolski nadużywał swego talentu oratorskiego; co dzień, w każdej kwestii zabierał głos; rozłościli się raz posłowie, że im dojść do słowa nie pozwala, kopniakami wypchnęli go z ławy. Dał nura, wychynął niespodzianie na innej ławie i stamtąd zagrzmiał; musiano czekać, aż skończy. Zażarty wróg Rosji, kat dla pieczeniarzy - póki sejm pracował destrukcyjnie oddawał patriotom wielkie usługi.

Pewnego dnia Stanisław August ujrzał w ławie chełmskiej 12-letniego chłopca spisującego pilnie diariusz.

- Co to za fajtaś? spytał.

- To syn Suchodolskiego.

- Współczuję memu następcy, jeśli syn wda się w ojca! westchnął król.

Patrioci namówili chłopca, by wlazł pod krzesło kasztelana Ożarowskiego i puścił stamtąd drewnianego bąka. Dobre dziecię nie kazało się dwa razy prosić.

Tok obrad był niesłychanie powolny. Żadnego porządku dziennego, żadnego regulaminu. Marszałek w środku debat nad podatkami nie śmiał przerwać ględzącemu o portkach żołnierskich, gdy skończył i nikt go nie poparł, dziękował, że zezwala do początkowej materii wrócić.

Posłowie, co się już wypowiedzieli, wołali: - turnus, turnus! Na to reszta: - nie pozwalamy! Małachowski udziela jeszcze temu głosu, jeszcze tamtemu; turnus był niepopularnym środkiem, imano się go w ostateczności, póki można wniosek przekręcano, zmieniano, zniekształcano całkiem, byle jednomyślność uzyskał.

Gdy już wszyscy na coś się godzili, marszałek pytał trzykrotnie:

- Czy jest jednomyślność, waćpanowie?

Posła sochaczewskiego Lasockiego, zawsze odmiennego niż cała Izba zdania, proszono nieraz godzinę nim ustąpił i na jednomyślność przystał.

Ale zdarza się, że różnica poglądów jest tak wielka, iż uzgodnić nie sposób.

- Chyba niech turnus rozstrzygnie, mówi marszałek.

- Prosiemy!

Górski domaga się głosu, marszałek nie udziela mu go, on wrzeszczy, że wolność zgwałcona, że to bezprawie, że zaraz sejm opuści. Paru posłów odzywa się za nim, to sejm wolny - nie tyrański, chce mówić - nie można mu zabronić, może chce coś bardzo ważnego zakomunikować. Marszałek udziela więc głosu. Górski w ozdobnej perorze domaga się turnusu. Musiał to powiedzieć, by nie sądzono, że jest temu przeciwny. Małachowski podaje formułkę wniosku, nad którym trzeba głosować. Krzyk: - Źle ułożony turnus!

- Obrady źle prowadzone!

- Marszałek stronniczy!

- Marszałek noga!

Ze łzami w oczach usprawiedliwia się Małachowski, chciał jak najlepiej, tak zrozumiał... Już ma obrońców, już ktoś wygłasza tyradę na jego cześć - cnota, prawość, szlachetność znane, jeśli zawinił to z głupoty, nie ze złej woli.

Huczne oklaski. Małachowski kłania się i dziękuje.

Poseł poznański Bniński przypomina sobie nagle, że oddał projekt do laski, że miał być dziś czytany. Żąda by zabrano się do tego. Lasocki protestuje, nikt nie chce słuchać projektu. - Owszem, chcemy! wołają koledzy Bnińskiego. Kilkunastu mówców wypowiada się w tej sprawie, wszyscy stwierdzają, że szalenie kochają Polskę i dlatego trzeba...

Ostatecznie staje nad tym, że Bniński odczyta swój projekt, ale deliberować się nad nim nie będzie.

Znów mowa o turnusie. Suchodolski proponuje, że odczyta wniosek w swojej definicji. Zrywa się Suchorzewski - on też ułożył formułkę, lepiej niech sejm wysłucha jego redakcję. Wrzawa, gwałt, ci chcą, tamci nie. Ryczy Suchodolski, piszczy Suchorzewski, Małachowski dla świętego spokoju decyduje, iż przeczytają obaj. Czytają i znowu harmider:

- Ten lepszy!

- Właśnie, że gorszy!

- Marszałka najlepszy!

Małachowski ogłasza, że wycofuje swój projekt, wzywa w imię miłości Ojczyzny Suchodolskiego i Suchorzewskiego, by jeden z nich uczynił to samo - żaden nie chce, z uporem obstają przy swoim.

- No to turnus musi rozsądzić!

I sejm głosuje jaka ma być forma stylistyczna wniosku. Nad samym wnioskiem głosować się będzie dopiero jutro.

Turnus to bardzo długa ceremonia. Każdy senator i poseł jawnie oddaje swą gałkę przy okazji obficie tłómacząc, czemu za tym nie owym. Dwustu gałkujących - dwieście deklaracyj. Kasztelan Jezierski plecie kwadrans, uzasadnia swe afirmative - wreszcie kontent, że wszyscy się śmieją - daje przez omyłkę - negative. Zwracają mu uwagę, chce się cofnąć, za późno. Więc zamawia kreski sekretne, tak każdy turnus szedł dwa razy i trwał dwanaście godzin.

Gorliwość posłów była tak wielka, że w jednym miesiącu składano po 300 projektów ustaw. Nie dyskutowano wcale nad większością, ale nie umiano przeszkodzić odczytaniu. Rozsądniejsi widzieli, iż tempo obrad jest niemożliwie powolne. Niemcewicz wciąż nawoływał do streszczania się, podczas dyskusji o klasztorach postawił żartobliwy wniosek, by mnisi uczyli w swych szkołach małomówności. Znudzony król prosił o umiar w elokwencji - boć ojczyźnie żaden z niej pożytek. Wzruszeni tą troskliwością o Polskę posłowie rzucili się całować rękę monarszą - wypełniło to pół posiedzenia. Wczoraj jedna gęba mogła sejm rozpędzić, a dziś nawet wypowiedzieć by się jej nie dano! nikt nie śmiał żądać tak strasznej tyranii, za to utarło się, iż co dzień wygłaszano parę mów potępiających nadmierne gadulstwo.

Gdy sejm był kilkunastogodzinną wrzawą dobrze zmęczony, gdy jeść się wszystkim chciało - Małachowski podsuwał zręcznie najważniejsze projekta: o podatku, zakupie broni, o rekrutowaniu... Przechodziły jednomyślnie, bo krzykacze ochrypli i zasnęli.

Zima 89-go roku była niezwykle ostra. W wielkiej sali zamkowej o jednym kominku marznięto jak na Kamczatce, posłowie tupali nogami, zabijali ręce, kichali, prychali, lało się z nosów. Z powodu mrozów skracano posiedzenia, potem przeniesiono je do innej, małej sali. Najedzeni grochem, schabem i kapustą posłowie wydawali dźwięki nie tylko ustami, raz sługus otwierając z zewnątrz luft od Izby - padł bez zmysłów, gazami rażony.

Ledwo się go docucano.

34.

NÓŻ W UKRAIŃSKIM BRZUCHU

Na Ukrainie, w Niewierkowie, służba wyrżnęła do nogi swych państwa. Był to oczywiście nieprzyjemny incydent dla Wyleżyńskich, ale pozbawiony wszelkiego znaczenia dla Polski - zwyczajne miejscowe nieporozumienie.

W Warszawie wyobrażono sobie, że to nowa rzeź humańska; egzaltowane babiszony rozsyłały znajomym straszliwe noże wycięte z papieru - że niby takimi hajdamacy prują brzuchy szlachcie! Jurgieltnicy przerażeni pożyteczną działalnością sejmu - dla zmarnowania czasu - umyślnie wciąż ględzili o buncie, którego wcale nie było. Przez pół roku wałkowano w sejmie, że warto pomyśleć nad powzięciem zamiaru wydania roztropnych zarządzeń. W międzyczasie szlachta ukraińska i miejscowe władze, z własnej inicjatywy, powiesiły i poćwiartowały kilkuset wędrownych kupców kacapskich, chłopów i popów.

Ta plotkami wywołana krwawa pacyfikacja nie przysporzyła Polsce miru na Ukrainie.

35.

ŚWIĘTOKRADZTWO W CHLEWIKU

Wśród tygodni zmarnowanego czasu sejm miał wyskoki i rozsądnej działalności. 26-go marca szał poświęcenia ogarnął posłów. W dziesięć minut uchwalili na podatki 10% od dochodu i podwójny grosz ze starostw. Izba huknęła trzykrotnie chórem: - Zgoda! po czym rzuciła się mlaskać łapy królewskie.

Entuzjazm ten nie udzielił się podatnikom, szlachta zeznawała pod przysięgą tak małe dochody, że płaciła ledwie 3%; każdy wolał się obarczyć grzechem krzywoprzysięstwa, niż ciężarem podatków.

Wołał Niemcewicz, by się przyjrzeć Polakom w zaborach - jak tam są duszeni, wyciskani, zwłaszcza w Austrii, lepiej teraz nieco grosza dla wojska wysupłać, niż by potem obcy całą chudobę zabierali; wszyscy przyznawali mu rację i nadal nie płacili.

Spróbowano wziąć się do księży. Kublicki grzmiał:

- Dwa nieszczęścia trapią chłopków: żyd w karczmie i ksiądz w kościele!

Z reguły we wsi po jednej stronie była plebania, a po drugiej karczma; obrotniejsi proboszcze udzielali parafianom ślubu tylko pod warunkiem, że wesele odprawią nie w domu - lecz w karczmie, za co mieli dobry procent od żyda; nieboszczyka, za którego rodzina nie była w stanie uiścić komornego na cmentarzu, chowano w oborze - ksiądz go nie wpuszczał do poświęconej ziemi. Jedyną troską duchownych było napełnianie kieszeni i poza odmruczeniem paru modlitw nie poczuwali się do żadnych obowiązków.

Biskupi byli jeszcze gorsi i wierniejsi Rosji niż popy włochate. 860.000 dusz chłopskich należało do nich, biskupstwo krakowskie dawało pół miliona czystej intraty.

Sejm ustanowił deputację do spraw kościelnych; wszedł do niej Niemcewicz, który wychowany w bałwochwalczym szacunku nawet dla kucht księżowskich nie ośmieliłby się zadrzeć z zakrystianem, cóż dopiero z prałatem. Półtoraroczne obrady deputacji nie przysporzyły Polsce ani grosza na wojsko. Wydzielono biskupom dobra wolne od podatków, zapewniono im po 100.000 intraty rocznie, pochód z nielicznych zabranych majątków miał iść wyłącznie na szpitale. Ogromnych kluczy zakonnych ani tknięto.

Księża wzniecali okropny gwałt, żadnej ofiary nie chcieli ponieść dla ojczyzny; zabranie im wieprzka na armię okrzykiwali świętokradztwem; pierwsi chrześcijanie chętniej oddawali głowę pod topór, niż oni kopę siana ze swych folwarków.

36.

ZMARNOWANA OKAZJA

Miłość ojczyzny, nienawiść do Rosji tak były w modzie, patrioci tak wzrośli w siłę, że zapragnęli publicznie potępić pierwszy rozbiór. Twórcy tej zbrodni żyli w najlepsze, wrzaskliwy Suchodolski zażądał sądu nad ex-hersztem szajki - Ponińskim.

Przerażony król gorąco zakwiczał w jego obronie: prawy to i zasłużony obywatel, pechowe okoliczności winne wszystkiemu, trza rzucić zasłonę na dawne, przykre zdarzenia, nie rozdrapywać ran...

Normalna, przestępcza solidarność. Z dwu szkarad z 72-go r. król był więcej winny niż marszałek; jakiż monarcha na świecie oddał bez strzału jedną trzecią swego państwa! Stanisław bał się, że i jego pociągną do słusznej odpowiedzialności.

Sejm był na to za miękki. Poniński przypozwał z więzienia kolegów po zbrodni:

Massalskiego, Branickiego, Sułkowskiego, Michała Radziwiłła ...razem 60 osób. Połowa obecnego senatu musiałaby stanąć przed sądem i - w razie uczciwego wyroku - dyndnąć na belce. Uląkł się sejm, że zrobi za dużo dobrego i odmówił.

Z komórki, w której go zamknięto - na galarze, Wisłą - uciekł Poniński. Cieszył się szczerze król i dygnitarze, życzyli sobie, by uszedł. Ale pościg powierzyli młodemu, głupkowatemu porucznikowi, który nie rozumiejąc czego się po nim spodziewano tak zapamiętale gonił zbiega, aż go cupnął przy samej pruskiej granicy.

Syna Ponińskiego, oficera, który całą ucieczkę zaaranżował, nie ukarano wcale; uważano za całkiem naturalne, iż oficer więcej kocha ojca - szuję niż ojczyznę.

Dopiero latem 90-go r. Poniński stanął przed sądem sejmowym złożonym z posłów wylosowanych. Złośliwy traf wskazał i na Branickiego; obmierzły hetman, co cały swój majątek otrzymał za rozbiór - bezwstydnie sądził teraz kompana za świństwa, które razem popełniali przed 18-stu laty.

Wyrok na Ponińskiego był nieprzyzwoicie łagodny. Za kradzież balii czy dziurawych gaci darto wtedy przed kościołem Bernadynów pasy, ale za przefrymarczenie prowincyj skazano jedynie na: pozbawienie nazwiska, urzędu, orderów i wieczne wygnanie.

Adam - Toutcourt, jak się sam żartobliwie nazwał, wdział mundur rosyjskiego generała, kryształową karetą rozjeżdżał po Warszawie; pospólstwo rzucało w nią błotem i kamieniami, wnet dano mu szwadron dragonów w asystę, by bronić plugawca przed zdrowym odruchem gawiedzi. Poniński spędził parę dni na Powązkach u marszałkowej Lubomirskiej, żegnała go tam hucznie cała socjeta, wreszcie, otrzymawszy od króla 400 dukatów w prezencie, raczył wyjechać do Jass.

Świetna okazja przetrzebienia rosyjskich pachołków została zmarnowana. Dobrotliwy wyrok na Ponińskiego nie zniechęcił nikogo do zdrady; porządna szubienica dla Branickiego i co zatwardzialszych rublobiorców może by jeszcze uratowała Polskę. Lecz patrioci nie mieli dość energii by wziąć swych znajomych, przyjaciół, krewnych, chlebodawców za szyję.

37.

DLACZEGO Z PRUSAMI

Lucchesini pomstował na Moskwę od rana do wieczora, ubolewał, iż ludzie tak kulturalni jak Polacy są w niewoli u ciemnej dziczy. A Katarzyna? Stara, zdezelowana prostytutka -

nie to co wspaniały, pękający od nadmiaru cnót Fryderyk Wilhelm.

W rzeczywistości Fryderyk Wilhelm pękał od sadła; pyzaty i tępy, szpetny i rozpustny monarcha przeistoczył Potsdam - na wzór Carskiego Sioła - w wielki dom publiczny. Godne te dwory różniły się tylko płcią pensjonariuszy.

Luschesini tłómaczył po salonach warszawskich: - Polska jest zerem! W aliansie z Rosją stanowi 0,1, z Prusami 10! Któraż cyfra większa?

- He, jakież dowcipne wywody! zachwycali się patrioci.

Nie obeszła się pijatyka, czyli w ogóle nie siadano do stołu, bez wypicia zdrowia króla pruskiego. Lucchesini, oceniwszy doniosłość tego momentu propagandowego, rozpowiadał, iż Fryderyk Wilhelm golnął w jego obecności puchar wina za pomyślność Polski.

- A czy wielki był ten puchar? interesowali się statyści.

- 3 i pół butelki właziło weń lekko.

- A czy wypił jednym haustem, czy kilkoma?

- Nie oderwał ust aż i kropla nie została.

- Wiwat! Kochany pan widać naprawdę nam przychylny.

Po pierwszym rozbiorze Polska była jeszcze terytorialnie dwa razy większa od Prus i ze swymi 13 milionami ludności znacznie liczniejsza. A jednak przymierze z państewkiem, którego połowę stanowiły zrabowane Polsce ziemie, wydawało się patriotom złapaniem Pana Boga za nogi. Nazywali Fryderyka: "wspaniałomyślnym pośrednikiem narodów i naszym łaskawym sprzymierzeńcem", wierzyli święcie, że nie ma on innego zmartwienia jak uczynić Polskę mocarstwem rządnym od środka i groźnym na zewnątrz.

Stanisław August i cała rublowa zgraja stękali: - Zobaczycie, jak ten pruski tłuścioch nas oszwabi, przecie on ma swoje interesy - nie nasze dobro na względzie!

Ale że sami nie mieli innego programu, jak całkowite zawierzenie kacapskiej mamasze, więc nie słuchano ich wcale; pieczeniarze za ruble ufali kopiącemu ich brutalnie Stackelbergowi, patrioci bezinteresownie grzecznemu i wiele obiecującemu Lucchesiniemu. Złe zamiary Moskwy były oczywiste, co do berlińskich można się było łudzić; uczciwi ludzie nie mieli wahań - wszyscy przeszli na pruską orientację.

Za to, że Katarzyna nie chciała go mieć posłem w Petersburgu - Lucchesini nie cierpiał jej

naprawdę i szczerze na nią wygadywał. Niemcewicz słuchał tych inwektyw jak anielskiego pienia - człowiek co tak nienawidził carowej nie mógł być dla Polski szkodliwym. Obcował więc z nim z rozkoszą, pani Lucchesiniowa jeszcze się przyczyniła do zacieśnienia tych stosunków.

38.

NIEMCEWICZ KLECI SYNA

Echt Niemka, z mieszczańskiej rodziny Tarrach, wysoka, koścista, kara - Lucchesiniowa była szpetna, ale pełna sex-apełe. Gnuśny w miłosnym fachu mąż wcale jej nie wystarczał, ledwo ujrzała smukłego, cienkiego w pasie, a o mocnych udach Jule'a, westchnęła:

- Ach ten biedny Joachim, znowu zostanie zdradzony!

W dwa tygodnie po poznaniu Niemcewicza już współpracowała z nim energicznie. Pełen temperamentu Jules był wymęczony chronicznym bezrobociem. Subtelny i tkliwy stale wzdychał do ładnych panienek, nigdy nie ośmielał się na męski gest; one rade, że piękny kawaler im asystuje, rozczarowane, że nie dochodzi do niczego "okropnego" - kwiliły o uczuciu, gorącym sercu, kochaniu i tak czas schodził na wstępie do prawdziwego flirtu.

Lucchesiniowa z bitą trzydziestką na karku i po dobrym przeszkoleniu w Potsdamie nie zadawalniała się czczym gruchaniem - ledwo znalazła się z Niemcewiczem na uboczu żądała odeń dowodów szczerej miłości, służył nimi z ochotą.

Nigdy jej nie było dość. W domu patrzyła żałośnie na swe puste łóżko bolejąc, iż nie ma w nim Jule'a pod kołdrą; gdy mąż wyjeżdżał do Szystowej, Reichenbachu czy Berlina, pędziła zaraz na Senatorską, do pałacu Błękitnego, skoro nie zastała Niemcewicza w jego dwóch pokoikach gryzła meble z rozpaczy.

- Joachima nie było w Warszawie przez 16 dni, a myśmy się widzieli przez ten czas wszystkiego 35 razy! wyrzucała Jule'owi.

Była w nim tak zakochana jak to tylko starzejące się babsko potrafi; gdy wyjeżdżał na tydzień do Puław nie myła się wcale, by nie zmyć śladów jego ostatnich pocałunków; wciąż węszyła zdradę, robiła mu sceny zazdrości, wymyślała, potem becząc całowała po nogach. Jej kamerdyner nie mówił tak często: - obiad podany! jak ona: - zabiję się! Poczciwy Niemcewicz przerażał się za każdym razem i błagał o zaniechanie ponurego zamiaru.

Naturalnie Lucchesiniowa chciała uchodzić za nieskazitelną westalkę i starannie ukrywała przed światem swój flircik z Niemcewiczem. Ale przejeżdżając karetą, a zobaczywszy Jule'a na ulicy, przesyłała mu ręką pocałunek; ale w towarzystwie wpatrywała się w niego jak sroka w gnat, a gdy rozmawiał z przystojną kobietą odciągała go w kąt salonu i urządzała gwałtowną scenę; ale w loży teatralnej lubiła przytulajkę i ręce złożone inaczej niż do pacierza; ale jej lokaje biegali po 5 razy dziennie z biletami, pełnymi błędów ortograficznych, do pałacu Błękitnego; ale nieraz się zapominała i przy obcych wołała na cały głos: - Jules! ale te szepty, porozumiewawcze miny...

Spostrzegawczy ludzie wiedzieli doskonale co się święci.

Ludzie niespostrzegawczy też wiedzieli o wszystkim dokładnie, bo Niemcewicz nie był dyskretny i trąbił po całej Warszawie o swym kontakcie z poślicą.

Zaszedłszy w ciążę od niedoświadczonego Jule'a Lucchesiniowa poddała się skutecznym zabiegom i ocalała. Ale gdy niepoprawny kochanek znów ją pogrubił - bez protestu porodziła. Luchesini wybałuszył zdumione oko na niemowlę o wybitnie sarmackim typie, lecz z właściwym dyplomatom zarozumialstwem przypisał ten twór zręczności swych poczynań i uznał za swoje.

Przynaglany przez Lucchesiniowa Niemcewicz zachwycał się urodą i bystrością małego Maurycego, gdy mu się udało nie widywał go tygodniami i też był szczęśliwy.

Uwielbiał dzieci - ale cudze.

39.

POLITYCZNA STRONA ROMANSU

Patrioci oparli całą swą politykę na Prusach. W Berlinie mieli posła - kompletnego matoła, jedynym łącznikiem między Polską, a Fryderykiem był Lucchesini. Mimo murzyńskiej łatwowierności patrioci podejrzewali czasem włoskiego słowika: czy tam Prusacy czego nie knują? Czy nie prowadzą jakichś konszachtów z Wiedniem i Petersburgiem?

Śledzić jednookiego, wydzierać mu jego sekrety i donosić patriotom - któż do tego był stosowniejszy od Niemcewicza. Zażyły przyjaciel posła, czego nie dowiedziałby się odeń wprost, nie wywęszyłby sam, winien był uzyskać od kochanki. Obarczono go misją szpiega poselstwa.

Pełen entuzjazmu dla sprawy narodowej, rad, że może służyć krajowi nawet tą poślednią

częścią ciała, Niemcewicz gorliwie spełniał swą rolę; w momentach szczytowej rozkoszy wyślizgiwał się z uścisku i szeptał do Lucchesiniowej:

- A co zawierał ostatni kurier do twego męża?

Głuchonieme kuchty w Warszawie szeptały o romansie poślicy z posłem inflanckim, a wszystkowiedzący jednooki nie miałby o nim pojęcia? Ten człowiek bez żadnej etyki i skrupułów, co dla kariery i pieniędzy zdradziłby każde państwo, sprzedałby własną matkę, nie wyrzekłby się dobrego interesu z powodu takiego drobiazgu jak wypożyczenie żony.

Chytry Luchesini ocenił wartość Niemcewicza jako trąby berlińskiej. Informował go osobiście, obficie i chętnie, dawał mu ciekawy materiał do gazety, prosząc czasem w zamian o zamieszczenie wiadomostki w pewnym duchu...

Rzeczy na których rozpuszczeniu specjalnie mu zależało powierzał pod największym sekretem swej połowicy - pewien, że tą drogą trafią najniechybniej do patriotów.

Niemcewicz miał zatem zawsze mnóstwo świeżych informacyj. O jakiejś porażce Moskali ze Szwedami, propozycjach tureckich, wyskokach rewolucji w Paryżu, skandaliku wiedeńskim - wiedział niezawodnie pierwszy; o Prusach i ich polityce wiedział też dużo, ale nigdy nic kompromitującego, nic co by mogło zachwiać jego wiarę w kryształowość sojusznika.

Prusy śniły o zagarnięciu Gdańska i Torunia, Prusy chciały mieć Polskę słabą, posłuszną i pokorną, Prusy na zjeździe w Reichenbachu, kongresie w Szystowej, wszędzie - prowadziły politykę egoistyczną, oportunistyczną, bez oglądania się na dobro Polski. Prusy z góry zakładały, że sojusz z Polską póty istnieje, póki jest dla nich korzystny.

Nie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawy Niemcewicz; powszechnie uznany za speca od Prus, stale działał po ich myśli, rozgłaszał wyłącznie rzeczy im przychylne, był najzapaleńszym, najbardziej ślepym wyznawcą przymierza. W miłości zwyciężył kochanek, w polityce bezapelacyjnie mąż-rogacz. Niemcewicz jako tuba poselstwa pruskiego był bez zarzutu, a jako penetrator tajemnic poselstwa do luftu. Zdrada Prus zaskoczyła go jeszcze bardziej niż innych.

Flirt kościstej Lucchesiniowej z jurnym Niemcewiczem nie wyszedł tedy Polsce na dobre. Ostała po nim pamiątka, Maurycy Lucchesini, jako 18-letni porucznik w 7-mym pułku dragonów francuskich zginął podczas kampanii napoleońskiej w 1808 r. Ani jednej łzy nie uronił Niemcewicz po tym chłopcu - owocu swej politycznej działalności. Za niecną zdradę pruską znienawidził Lucchesiniową, żałował, iż starej megerze dostarczył tyle przyjemności.

40.

NOWY PODZIAŁ SEJMU

Walka z Rosją była wygrana: rublobiorcy zdziesiątkowani, ingerencja kacapska zlikwidowana, król zagłuszony, Stackelberg mógł już tylko rozkazywać swej kucharce.

Wielu zajadłych, krzykliwych, dotąd pożytecznych patriotów jak Suchodolski i Suchorzewski, uznało, że sejm zrobił swoje, winien zakończyć swój żywot, a Polska rządzić się nadal tymiż prawami. Bardziej rozgarnięci patrioci pojmowali, że Polska stoczyła się do obecnego stanu bezsilności i poniżenia nie z powodu Rosji, lecz fatalnego ustroju. Postanowili dać Polsce nowy, sensowny.

Zniesienie wolnej elekcji i liberum veto, ukrócenie hetmanów, wzmocnienie władzy dziedzicznego monarchy - oto cele, które dzięki Ignacemu Potockiemu, Staszycowi, Kołłątajowi przyświecały drugiej edycji patriotów.

Dotychczasowy podział - za Rosją i przeciw niej, stał się nieaktualny; sejm rozpadł się na dwa nowe stronnictwa: zwolenników starego bałaganu i wyznawców reformy. Wciąż dotąd pijany Ksawery Branicki wylazł spod stołu, stanął na czele zacofańców, wylękniony Stanisław August zbliżył się do postępowców.

Wśród powodzi spraw rozpatrywanych przez sejm kwestia ustroju była dominująca. Ustosunkowanie się do niej było linią graniczną rozdzielającą wyraźnie członków izby. Ten podział przeniósł się z sali zamkowej na całą Polskę.

41.

DOBRE, ALE NIE NADZWYCZAJNE

Oczywiście w Puławach nie stawiano pod względem literackim Niemcewicza na równi z Kniaźninem czy Karpińskim; owca i pastuch nie wyciskali zeń łez i elegii. Że jednak umiał smarnąć czterowiersz w sztambuchu, uczcić kundla, piękną panią, lub rocznicę jakiejś bitwy odą, więc i jemu przyznawano tytuł poety. W Polsce jeszcze były autorytety: jak Nieśwież pasował na myśliwca, Białacerkiew na pijusa, Sanguszkowie na znawcę koni, tak Puławy na literata. W Warszawie nikt nie znał przed sejmem żadnych wierszy Niemcewicza, ale utarło się mieć go za poetę.

Wulkany, morze, groty, hoże dziewki nie wykrzesały z Niemcewicza nic prócz banalnych stękań - zaduch izby sejmowej, ryki posłów, noty, turnusy wydzierały mu raz po raz majstersztyki spod pióra; jego muza była płodna tylko w gorączkowej atmosferze, potrzebowała podniety chwili.

Jął pisać bajki; w sposób przejrzysty, w formie nieskomplikowanej przedstawiał sytuację, swój pogląd, kończył morałem. Poczciwość króla pruskiego, bezeceność Branickiego, jałowość gadaniny sejmowej - stanowiły tematy bajek, były one zawsze aktualne jak dziś artykuł wstępny w przyzwoitej gazecie.

Krążyły na małych karteluszkach, czytano je, chwalono dowcip autora, ale przecie niegorsze drobiazgi pisali Trembecki, Węgierski, Naruszewicz... Warszawa była zasypana politycznymi wierszykami - tą prasą ówczesną. Oprócz analfabetów wszyscy coś popełniali, bajki Niemcewicza nie były żadną rewelacją.

42.

TRYUMF POSŁA

Niemcewicz nie był głębokim myślicielem, samodzielnym twórcą nowych koncepcji. Przylgnął całą duszą do programu reform Kołłątajo-Ignacowych, a że rozumiał jak nikt znaczenie propagandy, chciał by ich hasła przeniknęły całe społeczeństwo. W roli popularyzatora stał się niedościgłym.

W czasie krótkiej limity, ustanowionej po dwóch latach dla wyboru drugiej porcji posłów, przyszło mu do głowy napisać sztukę wychwalającą patriotów i wyśmiewającą zacofanych vetolbicieli.

W połowie października 90-go r. zasiadł do Powrotu Posła, 7-go listopada odniósł go do drukarni, 9-go wyszedł spod prasy pierwszy egzemplarz. W trzy tygodnie powstała najlepsza polska sztuka teatralna i najlepszy utwór polityczny od czasów Rzepichy.

Stuprocentowo aktualny, treściwy i zabawny Powrót Posła żywiej przemówił do szlachty niż tomy zawiłych elukubracyj Kołłątajowych. Bzdury starosty czyniły strawnymi mądre tyrady Walerego. Parodia wypadła dużo udatniej od apoteozy, podobnie jak występek jest zawsze ciekawszy od cnoty.

Dwa wydania rozeszły się w mig. 15-go stycznia 91-go r., w teatrze Bogusławskiego, odbyła się premiera. Szalony sukces! Ze sceny, z której pleciono zawsze francuskie banały w nieudolnej przeróbce grafomanów stojących na poziomie Czartoryskiego - wiało

nagle dowcipem, życiem, sensem... Starosta bredził autentycznymi powiedzeniami Branickiego, Rzewuskiego, Suchorzewskiego, każde słowo trafiało. Gdy padał lepszy koncept publiczność niemilknącymi oklaskami i okrzykami: - fora! fora! zmuszała aktorów do powtórzenia go po raz drugi. Odtwórca starosty - Świeżawski - grał tak doskonale, iż z parteru ciśnięto mu, modą ówczesną, worek złota. Aktorzy woleli ten dowód uznania od kwiatów.

Starostę wzorował Niemcewicz na staroście piaseczyńskim Piaskowskim - starym pijaku, którego andronów często słuchał na obiadach u hetmanowej Ogińskiej. Pod wszystkimi postaciami komedii dopatrywano się zresztą żywych wzorów; książę Józef zajechał przed pałac Błękitny, przymusił Niemcewicza wleźć do jego kariolki zaprzężonej w 4 ogniste ogiery, którymi pędząc jak szatan powoził stojąc, obwoził go po Warszawie - była to zemsta za kretyna Szarmanckiego uznanego za kopię księcia.

Król, Małachowski, ministrowie, cała stolica pchała się do teatru. Powrót Posła szedł niewiarogodnie długo, bo prawie dwa tygodnie, myślano, że się to już nigdy nie skończy. Na prowincji robił również furorę: w dworskich teatrach gdzie chłopi reżyserowani kijem grali francuskie sztuki - teraz dawano warszawską komedię.

Stanisław August pisząc do swych kreatur przy obcych dworach, streszczał im obszernie Powrót Posła do Ojca (z właściwą sobie tępotą nawet tytuł przekręcił) - były to najsensowniejsze ustępy z jego korespondencji politycznej.

W dwa dni po premierze Suchorzewski oskarżył w Sejmie Niemcewicza o bezczeszczenie wolnej elekcji i drwiny z pactów conventów, żądał oddania go pod sąd i zamknięcia teatru. Gromki śmiech był jedyną reakcją izby. Zacofańcy się wściekali, na bezlitosne ośmieszenie można było odpowiedzieć tylko dowcipem - w tej dziedzinie nie mogli sprostać Niemcewiczowi. Różne mydłki z zarozumiałym niedojdą Bielawskim na czele smarowały płytkie paszkwile, wnet znalazły się stada obrońców.

Patrioci tryumfowali; Powrót Posła wart był więcej niż wejście 100 patriotycznych posłów do sejmu, była to walna bitwa wygrana przed opinią publiczną.

Niemcewicz za jednym zamachem zyskał kolosalną popularność, sławę pierwszego pióra w Rzeczypospolitej.

43.

GAZETA I SZMATA

W Polsce wychodziło tylko jedno pismo periodyczne: Gazeta Warszawska, wydawana przez starą zakutą pałę, ex-jezuitę, księdza Stefana Łuskinę.

Cztery malutkie kartki grubego papieru, wołowy druk, a treść...

Że Wolter umierając kazał się krowim łajnem namaścić i połknął dużą łyżkę stołową tego specjału; że wielka księżna rosyjska Anastazja raczyła zajść w ciążę, a potem umrzeć rodząc truposza; że łaskawą Imperatorową tak rozsierdził ten wypadek, iż musiano jej aż krew puszczać; że w Styrii cielaka z ludzką głową pasie pastuch z krowim łbem.

To z dziedziny polityki zagranicznej, a ze spraw wewnętrznych:

JWP wojewodzina przy ofiarnej pomocy swego męża JWP wojewody osiągnęła stan błogosławiony rokujący na oko co najmniej trojaczki.

Suczka z czarną tylnią nóżką do której była mocno przywiązana JWP starościna wabiąca się Pupusia zaginęła; poczciwy znalazca w imię Najświętszej Panny proszony ją odprowadzić za co w niebie sowicie będzie wynagrodzony.

Bezecni żydzi co dwa worki żytniej mąki młynarzowi ukradli onegdaj przykładnie kołem połamani zostali, rozpalonymi kleszczami poskubani, z dwu pasów skóry należycie obdarci. Dobra nauczka na przyszłość.

Tępy Łuskina nie cierpiał nowych myśli, idei, potępiał wszelką chęć reform. Jako wzorowy konserwatysta wolał najgłupszą rzecz, która już była niż najmądrzejszą której jeszcze nie było. Nienawidził papieża, bo skasował Jezuitów, uwielbiał Katarzynę i Fryderyka co na złość Watykanowi zakon ten utrzymali. Co krótsze ukazy carowej drukował z nabożeństwem. Patriotów uważał za wariatów, a ich działalność za szatańską. Jedyna gazeta w Polsce była rozsadnikiem ciemnoty i najdurniejszy człowiek jeszcze mógł zdumieć od jej czytania.

Zawsze myślący o oddziaływaniu na masy Niemcewicz postanowił wydawać gazetę. Gazetę, która by donosiła nie o porodach, poronieniach i pogrzebach, ale o wypadkach politycznych, która by szerzyła ducha patriotycznego.

Kasztelan raciąski Mostowski miał drukarnię, poseł brzeski Weyssenhoff dobre chęci - zaczęli we trójkę wydawać Gazetę Narodową i Obcą. 1-go stycznia 91-go roku ukazał się pierwszy numer.

Wielki skowyt wzniósł Łuskina. Jego szmacianka przynosiła mu pokaźne zyski, bał się je utracić przy konkurencji. Nie wyobrażał sobie, by w jednym kraju starczyło czytelników dla 2 pism. W 73-cim r. uzyskał on prawo cum iure exclusivo wydawania gazety. Uważał że

ma na to monopol jak cyganie na kradzież koni. Parę prób księgarzy Grolla, Dufoure'a i innych wydawania pism zlikwidował w zarodku, teraz też groził sądem, karą doczesną, a potem piekielną.

Młodzi redaktorzy się nie ulękli, byli przecie członkami stronnictwa przeważającego w sejmie, więc taki drobiazg jak dawne prawo nie mógł ich powstrzymać.

Podobnie jak Warszawska, Gazeta Narodowa i Obca wychodziła dwa razy na tydzień - w środy i soboty - w te dnie bowiem przychodziły do Warszawy pocztą gazety zagraniczne, było więc z czego ściągać. Format kilkakrotnie większy od łuskinowego świstka, wiadomości bez tytułów, ani jednego podpisu, jednostajny, drobny druk, żadnych interliniów, dwuszpaltówek, urozmaiceń graficznych; w dzisiejszym pojęciu była to gazeta śmiertelnie nudna i zupełnie niestrawna.

Mostowski robił wyciągi z francuskich dzienników, Weyssenhoff z niemieckich, Niemcewicz prowadził kronikę krajową - dział ten stale się rozrastał, doszło do tego, że sprawom polskim poświęcano prawie połowę tej ilości miejsca co rewolucji francuskiej.

Celem Gazety było urabianie opinii publicznej, ale wszelkie artykuły, jasne wypowiadanie swego sądu oburzyłoby niesłychanie czytelników, odstręczyło od pisma. Uważano, że nawet furman na koźle może wygłaszać swe zapatrywania polityczne - nigdy dziennikarz. Od pochwał, krytyk i napaści są paszkwile i ulotki; gazeta winna sucho i bezstronnie informować o wypadkach - nic więcej. Musiał się Niemcewicz do tych śmiesznych pojęć zastosować, lecz nie po to zadał sobie trud założenia Gazety, by głupców dalej pozostawić własnemu rozumowi. Pod postacią listów otwartych do kantoru (redakcji) od zmyślonych osób drukował swoje poglądy. Były to ukryte na końcu gazety artykuły wstępne. Poza tym dobierał umiejętnie wiadomości, przemycał w nich słowa uznania lub potępienia. Ponieważ szlachcic czytał gazetę od nagłówka do adresu drukarni, a wierząc w jej bezstronność wykuwał wszystko na pamięć, przeto niepostrzeżenie przesiąkał jej zapatrywaniami.

Powodzenie Gazety było ogromne; wciąż wzrastał nakład, pierwsze numery trzeba było odbić po raz drugi, bo późniejsi prenumeratorzy chcieli mieć komplet - w głuche wieczory odczytywano sobie na prowincji rocznik Gazety jak dobrą powieść.

Skoro były dwa pisma musiały też być wzajemne połajanki. Łuskina nazywał Gazetę Narodową kontrabandową i złodziejską, a jej wydawców szelmami i nieukami. Wynajdywał błędy zecerskie i naigrywał się z nich. Co tydzień wylewał kubełek inwektyw na patriotycznych bezbożników. Niemcewicz nie pozostawał dłużnym, rzadziej, ale celniej dogryzał Łuskinie, że wydaje gazetę dla akuszerek, bo wynikom ich działalności najwięcej miejsca poświęca. Dowcipne te polemiki ożywiały pisma, rozweselały czytelników i były

fundamentem popularności prasy w Polsce.

Mimo arcypożyteczności Gazety Niemcewicz z przyjaciółmi nie słyszał słów zachęty. Stanisław August czytał ją pilnie, okropnie się złościł gdy znalazł coś nie po swojej myśli, wciąż mówił redaktorom:

- Jesteście posłami, macie talent, nosicie szacowne nazwiska, nie przystoi wam babrać się gazeciarstwem. Skończcie z tą bzdurą!

Tegoż mniemania był książę Adam:

- Mój panie Julianie, tłómaczył, to zgroza by rzecz napisana w niedzielę - już we środę ukazywała się w druku! Gazeciarz tworzy w pośpiechu, więc zawsze będzie płytki i mierny. Platon nigdy z żadną gazetą nic nie miał wspólnego i proszę - jaki dobry rezultat!!

Wypaplanie w sejmie jałowej, przez nikogo nie słuchanej mowy przynosiło zaszczyt i powszechne uznanie - sprytne spreparowanie numeru, który czytały tysiące i wywierał wpływ zbywano pogardliwym lekceważeniem.

Wobec powszechnego braku zrozumienia znaczenia prasy niesłychanie było trudno o materiał. O krajowe wiadomości nie mógł się Niemcewicz doprosić; - po co? na co? co to ciekawego? mruczeli wszyscy. Podczas wojny 92-go r. Niemcewicz błagał króla, by mu komunikowano biuletyny przesyłane z placu boju do jego kancelarii - naturalnie nigdy niczego się stamtąd się dowiedział. Cudzoziemcy, jako bardziej rozgarnięci, byli uczynniejsi. Engestrom i Castrom z poselstwa szwedzkiego, Anglik Hailes, Lucchesini i jego zastępca Goltz udzielali mu skrawków swych kurierów. Lucchesiniowa, gdy się dobrze spisał w nocy, dostarczała mu całych raportów. O wypadkach zagranicznych Gazeta Narodowa informowała zawsze grubo wcześniej od Warszawskiej. Z prasy cudzoziemskiej też czerpano pełnymi rękoma. Toteż mimo wszelkie wysiłki, Gazeta była więcej Obcą niż Narodową.

Gazeta dawała spore zyski, należało się z tym kryć, bo zarabianie piórem wywołałoby w salonach zgodny okrzyk: - pfe! W Polsce jedynie prostak mógł pieniądze zarabiać. Dystyngowanemu człowiekowi godziło się je tylko - dostawać.

Mostowski i Weyssenhoff wkrótce ostygli w zapale, zrzadka trącali piórem. Cały ciężar pisma dźwigał Niemcewicz dobrawszy sobie do pomocy zdolną, lecz marną kreaturę - ex kleryka Szymańskiego.

Niemcewicz to pierwszy polski prawdziwy dziennikarz.

44.

SOJUSZ Z PRUSAMI

Patrioci parli całą siłą do zawarcia trwałego przymierza z Prusami. Nie wyobrażali sobie Polski bez gwarancji obcego mocarstwa.

Układy szły powoli, omal nie zostały zerwane gdy Fryderyk Wilhelm zażądał szczerze Gdańska i Torunia, podjęte na nowo gdy przewrotnie zapewnił, że wcale tych miast nie pragnie. Stanisław August przeszkadzał naprzód wszelkimi sposobami, robił drobne intrygi, zagroził nawet, że wyjedzie na rok do Włoch zostawiając sejm własnemu rozumowi.

- Kto opuszcza posadę może ją stracić na zawsze! syknął Lucchesini, który chciał koniecznie doprowadzić do przymierza jako do korony swej działalności.

Stanisław August nie umiał nawet w złym być wytrwałym. Widząc powszechny owczy pęd ku Prusom, zrażony tyranią Stackelberga, który domagał się odeń promowania Ożarowskiego - męża swej kochanki - na podskarbiostwo, opróżnione przez Ponińskiego, oraz Kossakowskiego - najwierniejszego swego podskakiewicza - na biskupstwo krakowskie, zniechęcony nagłym sknerstwem Katarzyny - przeszedł zwolna do pruskiego obozu. Perypetie Ludwika XVI-go, branego przez swój ukochany lud za twarz, również skłaniały go do szukania zgody ze społeczeństwem.

29-go marca 1790-go r. zostało ostatecznie podpisane przymierze. Prusy o 200-stotysięcznej armii i Polska o niespełna jeszcze 50-ciotysięcznej warowały sobie dokładnie w trakcie rozmiary pomocy wojskowej i finansowej w razie napaści na któreś państwo. Zbyt korzystne to było dla Polski, aby mogło być dochowane. Dla Prus, będących w naprężonych stosunkach z Rosją i Austrią oraz chcących szantażować całą Europę, przymierze było chwilowo na rękę; Polska nic na nim nie traciła, ale naiwnością patriotów była wiara, że bezinteresowna obrona Rzplitej przed Moskwą i wdzięczność jej obywateli jako jedyna zapłata Prusom wystarczą.

Fryderyk Wilhelm rozdał polskim dygnitarzom 7 tabakier ze swym portretem wartości 8000 dukatów, Stanisław August ofiarował Lucchesiniemu wstęgę błękitną z gwiazdą brylantową ocenianą na 4500, oraz przesłał Herzbergowi prezent za 1000 dukatów. Wszyscy byli bardzo zadowoleni.

Stackelberg stracił resztki przytomności, zaczął publicznie, jak dorożkarz, wymyślać na patriotów. Pogrążał ostatecznie wpływy rosyjskie, w kwietniu - po 18-stoletnim kacykowaniu - został odwołany.

Król, który przed rokiem, gdy Niemcewicz chciał wnosić na sejmie o wyproszenie Stackelberga z Warszawy, skłonił go przerażony przez ks. Adam do poniechania zamiaru - teraz odetchnął. Tyle awanii, chamstw od ambasadora przez tyle lat schował do kieszeni...

Jął bąkać, że cała polityka zerwania z Rosją i zbliżenia z Prusami wyszła z jego inicjatywy, jest jego dziełem. Ględził o tym tak uporczywie, aż wreszcie sam w to uwierzył.

Dla zupełnego scementowania przymierza król przemyśliwał o przejściu na żołd pruski. Nazywał to zaciągnięciem pożyczki! Na początek, jako zadatek przyjaźni, prosił Fryderyka o milion dukatów. Ledwo go wyciągnięto spod spódnicy carowej - już chciał nurknąć do niemieckiej sakwy. Od skąpego Fryderyka naturalnie nic nie dostał, ale okazał, że za pieniądze można go kupić jak prosiaka na targu.

45.

ZAWIĄZKI SPISKU

W 90-tym r. sejm liczył aż 500 chcących zbawić ojczyznę ludzi, ojczyzna miała więc z niego coraz mniej pociechy. 500 ozorów mełło bez ustanku, ustanowienie porządku obrad zajęło parę tygodni, skarżono się potem na krzywdzącą uchwałę zabraniającą jednemu posłowi skrzeczeć o jednej kwestii więcej jak dwa razy i na Małachowskiego, który gdy jeden poseł zabrał głos w tejże sprawie po raz dziewiąty w imię regulaminu prosił go by to było po raz ostatni. Nawet tak gorliwy patriota jak malutki poseł wileński Korsak często przeszkadzał piszcząc spod ławy niczym katarynka:

- Skarb i wojsko! Skarb i wojsko!

Bezładnie, zaczynając, przerywając, znowu do tego wracając przecież sejm coś nie coś konkretnie załatwiał. Dopuścił, mimo oporu biskupów, metropolitę ruskiego do senatu; postanowił by księży unickich do głębszych niż dotychczas studiów zmusić - tak by przynajmniej każdy czytać i pisać umiał; uchwalił sprzedać pałac Stackelberga - kupiony w swoim czasie na rozkaz ambasadłora od Ponińskiego za milion 40 tysięcy zł.; ustanowił komisje cywilno-wojskowe dla spraw podatkowych i rekruckich. Sejm mianował też generałów, pułkowników, majorów - jeszcze trochę, a zabrałby się i do wyznaczania ordynansów. Każdy poseł był pewien, iż oddaje armii największą - usługę fortragując jakiegoś swego znajomego na oficera. Nie wszystkich protegowani spisali się tak dobrze jak Niemcewicza, który zalecił Kościuszkę.

O wprowadzeniu nowego ustroju też nieco myślano. Specjalna deputacja do formy rządu

wzięła się gorliwie do rzeczy - zaczęła od wypożyczenia z biblioteki królewskiej wszystkich książek traktujących o jakichkolwiek ustrojach i przeczytała je sumiennie. Sądzono wtedy, wzorem filozofów francuskich, że wystarczy przestudiować 200 różnych konstytucji, by ułożyć 201-szą - idealną.

Biskup Krasiński, dawna sprężyna konfederacji barskiej, przedstawił projekt 658 artykułów liczący. Samo odczytanie zajęło 5 dni! A potem na poszczególne artykuły tracono całe posiedzenia. Nawet sensownie debatowane i nienajtępsze zapadały uchwały, ale tempo było tak straszliwie powolne, iż ludzie umiejący na palcach liczyć szybko wykalkulowali, że i Matuzalemowi nie starczyłoby czasu na przeprowadzenie konstytucji tą manierą - paragraf po paragrafie.

Wybitniejsi posłowie, prowodyrzy patriotów, przestali uczęszczać do sejmu, pokazywali się tam rzadko i na krótko - natomiast zbierali się prywatnie u Małachowskiego i radzili nad formą nowej konstytucji.

Stanisław August mocno nie lubił Ignacego Potockiego, Małachowskiego, Kołłątaja - w ogóle silnych, stałych charakterów. Ale Branicki i jego sfora ciemnych krzykaczy byli mu jeszcze wstrętniejsi; w ambasadzie rosyjskiej, gdzie Stackelberga zastąpił milczący, nie wysuwający nosa na zewnątrz, prostak Bułhakow, nie miał żadnego oparcia; uległszy patriotom w dziedzinie prusofilskiej polityki zagranicznej, by nie zostać całkowicie odosobnionym, nie widział innego wyjścia jak związać się z nimi i na terenie spraw wewnętrznych. Za pośrednictwem Piattolego nastąpiło zbliżenie.

Mały Piattoli, zręcznie wkręcony na Zamek przez Czartoryskich, którzy sądzili, iż będzie tam dla nich szpiegował, pozyskał całkowicie zaufanie króla, stał się czymś w rodzaju jego szefa gabinetu; pisał dlań co dzień drobnym maczkiem olbrzymie raporty polityczne - prosząc pokornie na zakończenie o parę groszy na upranie gaci; donosił mu o plotkach, nastrojach na mieście; wieczorami usypiał czytaniem mądrych książek. Był mu naprawdę oddany. Ruchliwy i wścibski, namiętny amator roboty konspiracyjnej, zapalony wyznawca każdej reformy ustrojowej, przez dawnych przyjaciół Niemcewicza i Potockiego spiknął się z patriotami, z równym zapałem kombinował nową konstytucję jak ongiś chimeryczny quatuorwirat.

Patrioci, ze smutnego doświadczenia, nie ufali królowi. Piattoli zapewnił ich o lojalności Stanisława Augusta, o zachowaniu przezeń sekretu; króla o dobrych zamiarach patriotów. Zdołał przełamać obustronną niechęć.

KONSTYTUCJA PO FRANCUSKU

W ciasnym mieszkaniu Piattolego na Zamku, począwszy od stycznia 1791 r., odbywały się zebrania. Przychodzili na nie Małachowski, Potocki, Kołłątaj, ks. Adam, Sołtyk, Warnecki, redakcja Gazety Narodowej w komplecie - Mostowski, Weyssenhoff, Niemcewicz i jeszcze kilku co rozgarniętszych.

Ukrytym korytarzykiem przyczłapywał ze swych pokoi Stanisław August w towarzystwie ulubionego szambelana Wilczewskiego - głuchoniemego idioty.

Zarysy konstytucji przyjemnie zadziwiły króla; on, który przez sejm obecny został zredukowany do roli kołka w tronie, teraz, wedle projektu, miał się stać władnym monarchą, zostać wzniesionym w górę jak monstrancja. Normalni spiskowcy przemyśliwują jak pozbawić swego króla władzy, że tu jednak spisek został zawiązany w momencie gdy król żadnej władzy nie miał - patrioci uparli się go nią obdarzyć. Dla poprawienia sytuacji - zrobić wszystko na odwrót niż jest - umysł ludzki nie zdobędzie się nigdy na nic innego.

Nikt też dotychczas nie okazywał Stanisławowi takiego szacunku, zaufania w jego rozum co obecnie ta elita patriotów. Ich zapał, rzeczowość zjednały go ostatecznie. Przestał kwiczeć o swym przywiązaniu do pactów conventów, co dotąd ostentacyjnie w sejmie robił, natomiast otwierał tajne posiedzenia u Piattolego, mówiąc:

- Czas nam wyleźć z tego błota! Wierzajcie mi, najwyższy czas!

I był święcie przekonany, że to on sam zaprojektował nową konstytucję i zwabił do tej pracy patriotów. Tym niemniej przy każdej śmielszej myśli, rewelacyjniejszym paragrafie jęczał:

- To nie przejdzie, znam ja lepiej od was mój naród - to nie przejdzie!

Wszyscy dodawali mu otuchy, zapewniali, że murem przy nowym projekcie stać będą. Gdyby króla słuchali już teraz, jak mieli zamiar potem - nic by w ogóle nie ważyli się odmienić.

Pomysłów były całe masy, każdy miał jakieś ideje. Ks. Adam co zebranie występował z nową konstytucją; by nie zrażać nikogo, udawano, że to bardzo zajmujące i pożyteczne. W rzeczywistości konstytucja była dziełem 5-ch ludzi: opierała się w zasadniczych zrębach na koncepcjach Kołłątaja, układał ją Ignacy Potocki, redakcję powierzono Piattolemu. On jeden spośród tej polskiej elity umysłowej pisał bez błędów ortograficznych i miał wykształcenie prawnicze; rozbijał materiał na paragrafy, ujmował w treściwe zdania. Piattoli nie umiał słowa po polsku, konstytucja została więc naprzód napisana po

francusku. Przetłómaczenie jej na polski zajęło miesiąc czasu.

47.

ROZTROPNE POSUNIĘCIA

Do spisku starano się wciągnąć jak największą ilość osób - w kwietniu brało udział w zebraniach około 60 posłów. Oczywiście zgoła nie potrzebowano ich wkładu myślowego, ale stwarzając pozory, że to oni układają konstytucję jednano sobie sojuszników.

Na zachowanie tajemnicy specjalnie baczono. Raz wpadł adiutant króla Gołkowski opowiadając, że zaczaił się przed pałacem Bułhakowa i gdy przyszedł kanclerz Małachowski na pogawędkę z ambasadorem spuścił mu w bramie solidne lanie.

- Jak można, co to za obrzydliwe metody, oburzył się Stanisław zawsze wyrozumiały dla łotrów, może kanclerz chciał omówić z Bułhakowym jakąś sprawę korzystną dla Polski...

- Dobrze tak zdrajcy! wykrzyknęli rozsądniejsi.

A marszałek zwiesił smutnie głowę, bo znał na tyle brata, że wiedział, iż raczej chłopak nie tknie ładnej dziewczyny w lesie niż Jacek rubla w domu ambasadora.

Przed samą limitą patrioci przeprowadzili w sejmie prawo o mieszczanach: zezwolono im kupować dobra, uwolniono od sądów ziemiańskich, mogli dochodzić do wszelkich godności. Pośpieszono się z tą ustawą, bo dbano nie tyle o naprawienie krzywdy co o pozyskanie Warszawy; przy forsowaniu konstytucji chciano mieć ulicę za sobą. Małachowski, Potocki, Niemcewicz - wszyscy wybitniejsi posłowie wpisali się do ksiąg miejskich. Wprawdzie dopiero po 3 latach - przecież patrioci zaczęli być zręcznymi taktykami. Manewry te były świetne: rozentuzjamowanym mieszczanom święci pańscy wydali się łatkami wobec patriotów, daliby się za nich porąbać.

Widmo rąbania mroziło wodę w żyłach króla, szlochał nieustannie:

- O Boże, co będzie, jeśli Branicki ze swoją watahą opoi rzuci się na nas? A co jeśli opozycja rozsieka mnie szablami? Rozpędzą nas, zakłują. Lepiej odłóżmy wszystko... Czuję, że nie dożyję do śmierci...

Niemcewicz i Piattoli wysilali cały swój kunszt krasomówczy, by utrzymać resztki ducha w szpetnym tchórzu.

18-go kwietnia Małachowski limitując sejm na 2 tygodnie świąteczne życzył posłom

wesołego jajka i dobrego trawienia. Z ukrytą radością patrzyli patrioci na rozjeżdżających się zacofańców, całą nadzieję teraz pokładali w ich zamiłowaniu do obżarstwa; - nie oderwą się od święconego, nie wrócą na czas! - myśleli.

Uchwalenie konstytucji wyznaczono na 7-go maja. Sekret był zachowany wyśmienicie, nikt niepowołany nie wiedział o niczym, nawet przedstawiciele obcych państw - taki Engestrom, wypróbowany przyjaciel Polski, baron Goltz zastępujący Lucchesiniego - nie byli poinformowani. Jedyny to raz kiedy patrioci w stosunku do Prus zagrali prawidłowo; o ile bowiem Prusy popierały wydatnie obalenie Rady Nieustającej, o tyle ustanowienie nowej konstytucji - logicznej konsekwencji - nie cieszyło ich wcale. Rządnej, silnej Polski nie życzyły sobie zgoła.

Karol Zbyszewski - NIEMCEWICZ OD PRZODU I TYŁU

Karol Zbyszewski

NIEMCEWICZ OD PRZODU I TYŁU - 2

wydanie I - 1939

48.

RUBLOCHAPY W AKCJI

Rozpity hetman Branicki, chytry biskup Kossakowski i mrukliwy Bułhakow naradzali się wciąż; węszyli, podejrzewali, spodziewali się gromu, ale nie wiedzieli dokładnie co, kiedy, jak... Na wszelki wypadek skaptowali sobie najwrzaskliwszą sójkę sejmową - Suchorzewskiego, poczciwego durnia żądnego nade wszystko rozgłosu. Początkowo zażarty wróg kacapii, szedł społem z patriotami i oddał im krzykiem niejedną usługę; teraz trójka hultajska wciągnęła go do gry w karty i Suchorzewski, chociaż grał jak dębowa noga stołowa, nie wstawał od faraona bez 300 - 400 czerwonych złotych. Bułhakow wydał mu się bardzo sympatycznym człowiekiem.

Branicki i Kossakowski szeptali mu ustawicznie:

- Jesteś najdzielniejszym obrońcą wolności w Polsce! Póki ty żyjesz nie zakują nas w kajdany absolutyzmu!

Ograniczony Suchorzewski święcie uwierzył, że kraj nań liczy jako na strażnika swobody.

Branicki sprowadził też do Warszawy paru chwackich rębaczy sejmikowych, upijał się z nimi w swej melinie na Foksalu, po czym ryczeli spod stołu: - Kiszki wypatroszymy tym co ośmielą się tknąć veto!

Znakomitością wśród tej bandy był Janikowski: mały, przysadzisty, o karku bawoła, atleta, świetny szermierz, szuler, beczka bez dna. Stuletnia dewotka tylu pacierzy po kościołach nie odklepała co on tam podczas sejmików łbów rozpłatał. Do burdy i rąbaniny rwał się

zawsze jak kaczka do wody.

Na wieść o przybyciu Janikowskiego król tak się przeląkł, że zaraz musiał zmienić bieliznę, po czym wyrzęził:

- Bez asysty całego pułku nie pokażę się w Sejmie, a i tak wyniesiecie stamtąd tylko moje zwłoki.

- Może zjednać sobie tego draba hojnym dukadatkiem, podsuwał Piattoli.

Bankier Tepper, wzruszony świeżym prawem miejskim, chcąc się patriotom wywdzięczyć asygnował 10.000 dukatów do ich dyspozycji. Ze zwykłą zręcznością król uznał, że nie ma dla tej sumki lepszej lokaty jak kieszeń Branickiego. Przeforsował przesłanie jej hetmanowi; wyobraził sobie, że będzie za to cicho siedział. Branicki naturalnie pieniądze skwapliwie przyjął i tylko szydził:

- Cóż te hołopupy sobie myślą, żem przekupny błazen? że pójdę na służbę do mieszczucha Teppera? Jeszczem nie wariat by więcej ufać jego sakwie niż carskiej.

Wszyscy przyzwoici ludzie już byli wciągnięci do spisku. Przyjaciół, domowników króla, jako najpodejrzańsze kreatury, zostawiono na ostatek. Stanisław August nie wytrzymał, przedwcześnie wypaplał się przed rodziną. Wnet było po sekrecie, Bułhakow wiedział wszystko, rozsyłał kurierów na prowincję, wzywał zacofanych posłów. Gdyby istniały radio i samoloty cała sprawa wzięłaby w łeb.

Patrioci na gwałt przyśpieszali termin konstytucyjnego zamachu; z 7-go maja przełożono go na 5-ty, potem na 3-ci. Udatny wybuch miny zależał tylko od pośpiechu, każda godzina była droga.

49.

OSTATNIA NOC ANARCHII

2-go maja, w poniedziałek wieczór, już nic nie ukrywano. Patrioci zebrali się jawnie w pałacu Radziwiłła, przybyło dużo niewtajemniczonych - ze zdumieniem patrzyli na radość tamtych, słuchali wiwatów na cześć dnia jutrzejszego.

- Co jest? Z czego się cieszycie? pytali.

Odczytano z trybuny tekst konstytucji; wybuch entuzjazmu, krzyki wesela jak podczas najobfitszej uczty. Zacofańcy skrzeczą:

- Trzeba przedyskutować projekt! Prosimy o głos!

- Tu nie Sejm! Żadnej dyskusji! Przechodzi unanimitatem! Dość przez trzy lata się nagadaliśmy!

Zagłuszeni protestowicze grupują się w kącie, po cichu radzą: - nic tu nie wskóramy, lepiej cało się wycofać...

Lecz niektórym udziela się zapał, zostają, łączą z patriotami. Przy trybunie posłowie podpisują akces do Ustawy Rządu (oficjalna nazwa konstytucji), tak - na wszelki wypadek - by nie móc się już cofnąć, by pociągnąć innych. Małachowski, Potoccy, Linowski, Zajączek, Niemcewicz... już figuruje przeszło pół setki parafów. Ks. Adam nagle odmawia:

- I bez tego możecie na mnie liczyć, mówi.

- Ale nazwisko Waszej Książęcej Mości będzie magnesem dla reszty, przekłada Niemcewicz.

- Mój panie Julianie, wiem chyba lepiej od ciebie co czynić należy, podpiszę Ustawę po jej uchwaleniu.

Kaprys magnacki. Jednak książę dał się ubłagać i podpisał nazajutrz - przed samą sesją.

Stanisław Potocki, generał artylerii koronnej, leci do arsenału; mieszczanom wydaje się broń, armaty są wyszykowane, wojsko ma stać od świtu w pogotowiu, z nabitymi muszkietami. Wszystko jest dobrze obmyślonej trzeba się zaasekurować przed burdami i rębaczami, pierwszy raz od stuleci nie oni będą decydować.

W pałacu Bułhakowa też narada. Ambasador wściekły gryzie palce, pijany Branicki wrzeszczy, że szablami Sejm rozniesie, Kossakowski podjudza Suchorzewskiego: - musisz przeszkodzić zbrodniczej uchwale! syczy.

- Musisz się stać drugim Reytanem! woła Branicki, który pierwszego Reytana skopał nogami i bez obrony Prusaków byłby rozsiekał.

Bułhakow dolewa posłowi kaliskiemu wina, proponuje krótką partyjkę. Po dwóch godzinach Suchorzewski wstaje odurzony, z pełnymi kieszeniami.

- Obronię ojczyznę przed despotyzmem! przysięga.

Branicki odwozi go swą karetą. Na Krakowskim Przedmieściu mijają tłum patriotów wysypujących się z pałacu radziwiłłowskiego.

- Podła hołota, mruczy hetman, ale im jutro pokażemy!... Głowy spisku, choć już grubo po północy, nie idą do łóżek, w mieszkaniu Małachowskiego reżyserują rozstrzygające posiedzenie. Większość zapewniona. Wszystko odbyć legalnie. Opozycji dać się wygadać. Nie marnować czasu replikami. Do turnusu nie dopuścić. Obstawić rębaczy Branickiego. Nie przystać na żadną odwłokę. Konstytucja musi być dzisiaj zaprzysiężona.

- A więc o 11-ej, z pomocą Boską...! żegna marszałek.

Wyszli. Jasno już całkiem było na dworze, ciche i puste ulice, wróble świergotały tarzając się w kurzu, Warszawa jeszcze spokojnie spała. Niemcewicz wdychając pełną piersią świeże powietrze poranku i przeskakując zręcznie kałuże, wołał:

- Oto świta najpiękniejszy dzień w dziejach Polski!

50.

WIELKI DZIEŃ

Znużony Niemcewicz spał jak deputat w trybunale. Gdy się wreszcie ocknął i spojrzał na swą cebulę: - a do ciężkiej Katarzyny! wrzasnął, już jedenasta! Nieumyty i na czczo wybiegł z domu.

Puste i głuche przed paru godzinami ulice teraz zalegała gwarna ciżba. Wojsko w pełnym rynsztunku upierało się robić porządek i naturalnie wzmagało tylko zamieszanie; pułk Działyńskiego stał szpalerem na Krakowskim, armaty u wylotów przecznic. Mieszczanie wybałuszali oczy, nastrój był wesoły, ale nikt nie wiedział o co chodzi. Przepychając się do Zamku Niemcewicz słyszał urywki rozmów:

- Król Jegomość kipnął.

- Eeee nie, to carowa Jejmość fajtnęła.

- Podobno wszystkich posłów patriotów chciano dziś w nocy wymordować.

- Nic nie wita ludzie, dziś na Zamku król Jegomość Konstantucję podejmuje.

- Aha, Konstancję! To ta nowa dziwka za którą król szaleje.

- Widzisz Kleofas, król o 9 lat starszy od ciebie, a jeszcze taki roboczy; ciebie jak nie prosić - nigdy, nic. Kara boska - nie mąż.

- Cóż król, ino żre, wyleguje się, to i w miłości fachowiec. Ta Konstancja też pewnie na zadku gładsza niż ty na gębie...

Sala sejmowa uderzyła Niemcewicza niezwykłym wyglądem: dwuszereg ułanów stał po ścianą; oddział gwardii, z księciem Józefem na czele, za tronem; drugi oddział poza marszałkami. Wąsaci rębacze - patrioci byli gęsto rozsiani na galerii wśród arbitrów, znajdowało się ich również sporo na dole, każdy opozycjonista miał ich po kilku wokoło siebie. Posłowie w mundurach wojewódzkich, z szablami u boku; sejm był uzbrojony jak pułk ruszający do bitwy.

Stanisław August siedział skulony na tronie, ubrany w ulubiony mundur kadecki (Fryderyk II-gi słusznie nazywał go z tej racji: le roi en ecole) i rzucał przerażone spojrzenia. Wprawdzie nic mu nie groziło, ale jego zajęcza natura drżała nawet wobec przyjacielskiej szabli.

Sesja już była rozpoczęta. Suchorzewski tak głośno ryczał, że ma wielkie i okropne rzeczy do wyjawienia, iż wreszcie, dla świętego spokoju, marszałek udzielił mu głosu. Ponieważ jednak nie był wczoraj w pałacu Radziwiłła, więc nic nie wiedział i plótł wielkie a okropne bzdury. Krzyknięto mu:

- Głupia małpo Reytana! i wciągnięto z powrotem do ławy.

Matuszewicz przeczytał depesze od polskich posłów zagranicznych; przedstawiały czarno sytuację, wynikało z nich, że Polska jest odosobniona, a nowy rozbiór całkiem możliwy. Przygnębiły one słuchaczy, o co właśnie reżyserom chodziło. Gdy wszyscy już byli porządnie zasmuceni, Ignacy Potocki wyszedł na środek, wywodził, iż póki w kraju jest bałagan najgorsze nieszczęścia są nieuniknione, gdy zaś Polska będzie miała dobrą konstytucję, żadni wrogowie nie będą straszni.

Z kolei za konstytucją cedził wolno, z namaszczeniem Małachowski; tkliwie, łzawo mamrotał król; wreszcie odczytano samą konstytucję.

- Zgoda! Zgoda! huknęła sala, zdawało się, że nie ma wcale przeciwników, dopiero gdy ucichli entuzjaści, z różnych kątów zaskrzeczeli oponenci:

- O skarbie radźmy! O wojsku! kwiczał Korsak, furda konstytucja, skarb i wojsko ważniejsze.

Ktoś przypomniał o postanowieniu sejmu, iż pierwsze dwa tygodnie każdego miesiąca będą poświęcone wyłącznie sprawom skarbowym - zatem dzisiejsze debaty nad konstytucją są bezprawiem. Książę Czetwertyński stwierdził, iż wszelki projekt przed uchwaleniem przez sejm musi być rozpatrzony w deputacji, wydrukowany i na trzy dni

posłom do namysłu oddany. Inny zacofaniec protestował z jeszcze ważniejszego powodu: bo nie słyszał nigdy o żadnej "władzy wykonawczej" i nie widział jej potrzeby; skoro Polska przetrwała chlubnie 800 lat bez konstytucji to i drugie tyle doskonale się bez niej obejdzie.

Suchorzewski odpocząwszy po pierwszym występie dał drugie przedstawienie: wywlókł na środek swego 6-cioletniego wylęknionego syna i wznosząc szablę krzyczał, że go natychmiast zetnie, by biedne dziecię nie zaznało tyranii. Gęgnęły przerażone damy na galerii, paru naiwnych posłów skoczyło ratować, głupie chłopczysko, które brało jeszcze swego ojca na serio - zaszlochało głośno. Wyprowadzono Suchorzesiątko z sejmu, umarło ze strachu w parę dni później.

Powstał tumult. - A cóż, panie Ksawery, chwila dogodna, machniemy? proponował Janikowski.

- Wara! burknął Branicki, który stracił cały rezon na widok wojska.

Na żądanie opozycji odczytano pacta conventa. Ożarowski, najpodlejszy jurgieltnik, przypominał, iż będąc na elekcji Stanisława Augusta słyszał jak zaprzysięgał pacta.

- Ani myślę, dodawał, zwalniać Waszą Królewską Mość z tej przysięgi; odwrotnie - usilnie proszę o dochowanie jej wierności.

Mocno protestowali Mielżynski, Złotnicki - szczęsnowa kreatura i bułhakowa - kanclerz Małachowski. Hieronim Sanguszko wysunął ugodowo, by dziś konstytucję przyjąć, a potem - w normalnym toku obrad - skorygować ją i przerobić. Kazimierz Sapieha prosił o powtórne odczytanie projektu, by móc się zorientować jakie wnieść poprawki. Patrioci nie wytrzymali w programie milczenia i replikowali coraz obficej; znowu boleśnie dukał król...

Marszałek za miękki jak zawsze, ze swą dziecinną obawą unikania nawet pozoru gwałtu, udziela głosu każdemu mydłkowi z opozycji; już upłynęło 7 bitych godzin, terkot nie ustaje, grozi, że sprawa ugrzęźnie i sesja - jak dziesiątki innych - przez upór paru gadułów, skończy się na niczym. Protestowicze prą właśnie do tego.

Gdy zacofańcy wysuwają coraz nowe obiekcje, gdy przywódcy patriotów tracą głowę, wdają się w niepotrzebne dyskusje, wzmaga się zamęt, czas ucieka, gdy sytuacja wygląda coraz beznadziejniej - nagle wstaje Michał Zabiełło, poseł inflancki z rozkazu Potiemkina, i zagłuszając perorującego przeciw ustawie opozycjonistę, woła:

- Prosimy Waszą Królewską Mość, abyś wezwał stany do zaprzysiężenia konstytucji i najpierwszy ową przysięgę wykonał!

Zdarzało się, iż armia dziesięciokrotnie liczniejsza od garstki wrogów stała naprzeciw niej od rana, wodzowie przegrupowywali szyki, ustawiali coraz pomysłowiej, przestępowali z nogi na nogę, a na ruszenie do ataku nie mogli się zdecydować; zapadał zmierzch i świetna okazja uchodziła zda się bezpowrotnie. Wtem jakiś ciura, straciwszy cierpliwość, wyskakiwał z szeregów, rozpuszczonym koniem szarżował bezmyślnie - całe wojsko za nim na oślep, i choć bez porządku, planu - samą swą masą znosiło w mig nieprzyjaciela.

Tym ciurą co przesądził o zwycięstwie był teraz Zabiełło. Stropiony opozycjonista milknie, król podnosi rękę na znak, że chce mówić (po raz czwarty!), Suchorzewski wyobraża sobie, że podnosi ją do ślubowania, więc rzuca się do tronu na czworakach wrzeszcząc:

- Nie przysięgaj, boś już raz Bogu i Ojczyźnie przysiągł... Słyszą to arbitrzy, uradowani krzyczą co sił:

- Wiwat król! Wiwat konstytucja!

Patrioci zachwyceni urojoną decyzją monarszą wybiegają z ław, hurmem lecą do tronu; Suchorzewski pada w tłoku, trochę go nadeptują, zostałby stratowany, lecz ogromny Kublicki chwyta go jak piórko i zgrabnie ciska w kąt.

Zwarty tłum wokół Stanisława Augusta; zdumiony widzi, że niesposób zwlekać, podpychany dziesiątkami rąk wgramala się na tron, woła do biskupa Turskiego:

- Przeczytaj mi, Mości Biskupie, rotę przysięgi! A powtórzywszy za Turskim formułkę, wzywa:

- Kto tak kocha ojczyznę, jak ja - proszę za mną, do kościoła, na ślubowanie...

Najgorszy z patriotów jeszcze kochał Polskę sto razy więcej niż król - wszyscy tedy pchnęli się do katedry; w izbie sejmowej zostało kilkunastu rozwścieczonych gałganów: kanclerz Małachowski, hetmani Branicki i Ogiński, biskup Kossakowski, Czetwertyński, Sanguszko... i taka paczka nicponi omal nie przeszkodziła uchwaleniu konstytucji!

W katedrze podnoszono uroczyście brudne palce do góry. Kazimierz Sapieha urażony, że jego - marszałka Litwy - nie wciągnięto zawczasu do spisku, przemógł ambicję i oświadczył:

- Nie będę się przeciwił ogółowi, byle więcej tej konstytucji w sejmie, nie roztrząsano - jestem za nią.

Zaprzysiągł. Okropnym przeciwnikiem gadulstwa (cudzego oczywiście) był Sapieha.

Korsak przysiągł gdy mu obiecano, że od jutra sejm znów o skarbie i wojsku radzić będzie. Oficerowie, arbitrzy, wszyscy obecni w katedrze ślubowali. Cmokano króla po rękach, lano łzy radością ściskano się, winszowano...

Zadyndały dzwony kościelne w całej Warszawie; salwy armatnie, żołnierze palili z karabinów, miasto rozbrzmiało krzykami wesela. Środkiem Krakowskiego Przedmieścia niesiono na rękach marszałka Małachowskiego; wszystkie okna obsadzone, kobiety machają chustkami, oklaski, wiwaty, każdy poseł patriota przedmiotem owacji. Po dawnemu nikt nic nie wie, ale do późnej nocy ulice zatłoczone, falujące rozentuzjazmowanym tłumem. Raz wraz zrywają się okrzyki:

- Niech żyje Konstancja!

- Teraz już nam Moskwa nie straszna!

- Znów teraz będziem państwem całą gębą!

- Podobno jej nie Konstancja, a Konstytucja.

- Wszystko jedno, najważniejsze, że cały sejm ją w zgodzie uznał. Skończyły się nasze biedy.

- Dobrze teraz będzie żyć narodowi! Mięso podrożeje...

- Widzisz go drania - rzeźnika; właśnie, że z tą konstytucją mięso potanieje o cały grosz na funcie.

- Nie kłóćta się ludzie, bo dziś wielkie święto. Będzie lepiej - konstytucja wszystko mądrze urządzi.

- Niech żyje konstytucja, opiekunka nasza!

- Wiwat! Niech żyje!

51.

KONSTYTUCYJNE UPOJENIE

O smutnych depeszach zagranicznych, choć przedstawiały sytuację Polski prawdziwie, zapomniano momentalnie. Wszystkim się zdawało, że uchwalenie konstytucji bardziej zabezpieczyło kraj niż nowy Grunwald i Kłuszyn.

Warszawa była wesoła jakby się cała urżnęła. 4-go maja sejm nie obradował, dzień był pogodny, ciepły, śmietana towarzyska zeszła się w Ogrodzie Saskim, który był nadal własnością króla saskiego. Szwadron dragonów, powołany jeszcze przez Augusta III-go, sprawował straż. Nowych dragonów nie wolno było werbować, więc siwi, 75-letni staruszkowie z mieczami u boku stali przy bramach i przyjmowali napiwki. Stary tabetyk Essen, poseł saski, był ich wodzem.

Pod okiem tedy żywych pomników najgorszego w Polsce rozgardiaszu wałęsał się barwny tłum po szerokich alejach. O 11-ej rano pojawiła się Gazeta Narodowa i Obca z dokładną relacją, pióra Niemcewicza, o wczorajszym posiedzeniu; rozkupiono ją w mig. Roznoszono też pękami konstytucję wydrukowaną na karteluszkach jak ulotki. Chwytano je również łapczywie, każdy czytał, nic nie rozumiał, posyłał znajomym na prowincję.

Patrioci mieli już na palcach grube złote pierścienie z napisem: "fidis manibus" lub "3-ci maj". Niemcewicz wyrzucił tabakierkę z Bastylią i wyrytymi na odwrocie prawami człowieka, którą nosił ód chwili wybuchu rewolucji francuskiej, błyskając swą obrączką mówił:

- To lepsze i przyzwoitsze!

Kazimierz Sapieha przepasał kontusz bandoletem z owalną blachą pośrodku z napisem: "Król z narodem! naród z królem!" ze swą zużytą, obrzękłą, pijacką gębą był on strasznie szpetny, ale że całował publicznie kobiety w piersi, klepał je poniżej krzyża i opowiadał sprośne kawały - okrzyczały go najpierwszym kawalerem, wzorem dla innych mężczyzn pod względem stroju i dobrych manier. Srebrzyły się więc blachy na wszystkich brzuchach, rzemieślnicy nie mogli nadążyć, cena skoczyła do 4 dukatów.

Panie przypinały sobie do kapeluszy niebieskie wstęgi z tymże napisem, nosiły też białe szarfy ze złoconymi słowami: "Król, prawo, ojczyzna!". "3-ci maj" - ryto na szablach, guzikach, tabakierkach, ładniejsze damy haftowały to sobie na nocnych koszulach.

Żaden dzień nie upłynął teraz spokojnie. Konstytucję fetowano po polsku: gardłem i brzuchem. 8-my maja, imieniny królewskie, obchodzono jak nigdy dotąd. Od 11-ej do 2-iej Zamek stał otworem dla każdego, można było żreć ile wlezie. Marszałek Stanisław Małachowski również rozwarł swe spiżarnie, wieczorem każdy stołeczniak był cięższy o 3 kilo. Rzęsista iluminacja (polegała na tym, że we wszystkich oknach stały zapalone świeczki), transparenty, łuki triumfalne, wszędzie cyfry królewskie splecione z konstytucją i mądrymi sentencjami.

Stanisław August objeżdżał miasto soliterką, oglądał, słuchał wiwatów, pękał z próżności.

Mieszczanie wydawali wspaniałe bale, obiady, spraszali socjetę i kraśnieli z dumy gdy jakiś półmagnat grzmocił ich w kark mówiąc: - No, panie bracie, napijmy się...

Wypiwszy należycie za zdrowie konstytucji dobrzy patrioci pokrzykiwali: - Powiesić Kossakowskiego! Branickiego na latarnię! Niestety, tylko po pijanemu głoszono te zbawcze hasła, na trzeźwo nikt nie miał odwagi.

Poznając bogatych mieszczan Niemcewicz konstatował, że ich tryb życia jest równie wyszukany co wielu magnatów. U bankiera Teppera pito jedynie herbatę zagotowaną na angielskich węglach; bieliznę posyłano do prania do Paryża, jeśli poczta się spóźniła panny Tepper chodziły w brudnych koszulach, ale wyszorowanej przez miejscową praczkę nie wdziały; ostrygi przywożono extra-pocztą z Hamburga; łykano wyłącznie wina francuskie po 7 dukatów beczułka, u sknerów węgierskie - 4-dukatowe; polskie miody uważano za prostacze pomyje - odsyłano je do kuchni; meble gdańskie, talerze i nocniki wyłącznie saskie; choć jeden kamerdyner musiał być Francuzem; zazdroszczono powszechnie Wincentemu Potockiemu z Niemirowa, iż ma stangreta co służył u Ludwika XVI i czyta romanse (po francusku) na koźle.

Bankierzy stołeczni srodze utyskiwali, że Polska sprowadza rocznie 36.000 beczek wina z Francji, drugie tyle z Węgier, że import w ogóle jest dziesięciokrotnie większy od exportu, przeto łatwiej o pieniądze polskie w Paryżu, niż w Warszawie. Biadolili, a sami uważali, że siedzieć można tylko na gdańskim zydlu. W Polsce był taki brak monety, że kursowały jeszcze pieniądze bite za Jana Kazimierza. Okropnie wytarte - powodowały ciągłe waśnie i spory.

Weselenie się z powodu konstytucji było ostatnim krzykiem mody. Wytworne damy, widząc kogoś naburmuszonego w swym salonie, waliły go wachlarzem po łbie piszcząc:

- Nie wolno być w złym humorze; mamy konstytucję, kraj uratowany! Czy pan nie kocha kraju?

Wesołość przenikała wszędzie, nawet do poważnego sejmu. Niemcewicz wygotował sobie mowę, spisał ją na arkusiku i poprosił o głos. W tejże chwili zażądał go również ks. Adam. Naturalnie Małachowski oddał mu pierwszeństwo. Czartoryski wystąpił i odczytał słowo w słowo całą mowę Niemcewicza - wyciągnął mu ją bowiem ukradkiem z kieszeni.

Gdy umilkły oklaski, marszałek oznajmił:

- Imć pan poseł inflancki Julian Niemcewicz ma obecnie głos.

- Dziękuję, nie mam już nic do powiedzenia, odparł czerwony jak piwonia.

Figiel książęcy podobał się wielce. Wkrótce potem młody poseł czernihowski Michał Czacki wyciągnął tępemu koledze z kieszeni mowę, którą za pół dukata napisał mu jakiś pijar. Tłomok nic nie zauważył i rozpoczął:

- Najjaśniejszy królu, prześwietne rzeczypospolitej skonfederowane stany! tu sięgnął do kieszeni po tekst swej perory i nie znalazłszy jej kontynuował: - a żeby was jasna cholera... Śmiano się do łez z tej obrazy majestatu. Przyjeżdżający spóźnieni posłowie kręcili głowami, mówiąc: - Eskamotowaliście konstytucję, niech już będzie... - i podpisywali akces.

Król osobiście konferował z opornymi, przekonywał, obdarzał pierścieniami. Kończyło się orderem, tytułem lub pieniędzmi - wywierały one większe wrażenie, niż jego wymowa. Niemcewicz był bardzo czynny w tym zjednywaniu : rozpisywał się w Gazecie, ułożył bajkę o dwóch strumieniach, biegał nawet do Suchorzewskiego, perswadował; uparty kaliszanin nic nie chciał słuchać i wyjechał do Wiednia naradzać się ze Szczęsnym jak obalić konstytucyjną tyranię.

Moda nakazywała wielbić konstytucję. Ci co ją wielbili nie znali jej, nie rozumieli ani trochę więcej od tych co załamywali gnaty i jak Suchorzewski pletli o uświęceniu despotyzmu. Można było wypić za zdrowie nowej ustawy, ale przeczytać i przemyśleć ją - na taki wysiłek już się nie zdobywano. Na prowincji szlachta wznosząc kielichy, mówiła: - No, chwała Bogu, mamy konstytucję! Byle teraz wszystko zostało po staremu to i będzie dobrze.

Raz w salonie na Zamku marszałek wielki koronny Mniszek unosił się nad doskonałością ostatnich ustaw; zirytowany Stanisław Poniatowski, bratanek króla, warknął:

- Głupie ustawy; czego się tu cieszyć, że każda łachmyta skoro płaci 500 dukatów podatku może szlachectwo otrzymać.

- A to jakim sposobem? Gdzież jest tak bezczelne prawo?

- Właśnie w tych wychwalanych przez wielce wielmożnego pana ustawach.

- Nie podobna! to oszczerstwo!

- Zapytajmy się kogoś.

- Tak, ale kogo? Ignacego Potockiego tu nie ma...

- Zapytajmy się mego stryja, uwierzysz mu waćpan?

- Oczywiście, Jego Królewska Mość umie ponoć całą konstytucję na pamięć.

Pobiegli do Stanisława Augusta, który miętosił jakąś panią w rogu salonu. Nie przerywając pożytecznego zajęcia król poświadczył, że istotnie w prawie o mieszczanach jest taki paragraf. Mniszek zastygł ze zgrozy, a Poniatowski podrwiwał:

- Otóż ci śliczne ustawy i śliczna konstytucja; lada dzień twój lokaj, mości marszałku, będzie ci równy.

Jako minister spraw wewnętrznych Mniszek miał jednak głowę nie tylko do noszenia peruki, więc odzyskawszy zmysły odparł:

- Nie dojdzie do tego, bo primo: skąd mój lokaj weźmie 500 dukatów? secundo: gdy zobaczę, że je ma, to mu je zaraz zabiorę; po trzecie: możemy stosować wszystkie ustawy za wyjątkiem tego jednego zbrodniczego punktu.

Owczy pęd zaganiał wszystkich w szeregi konstytucji. Janikowski latał po mieście z dobytą szablą gotów rozsiekać każdego co piśnie słowo przeciw niej. W sejmie tajnych kresek żądali teraz uparci zacofańcy, w jawnym turnusie patrioci mieli przytłaczającą większość, w tajnym przewaga ich nieco malała.

52.

PŁAWIENIE SIĘ W OPTYMIZMIE

Konstytucja była dobra, ale pierwszy rząd na jej podstawie uformowany - fatalny. Król ze swą maniacką chęcią zjednania wszystkich powołał do Straży zagorzałych podnóżków Rosji: Branickiego, Kossakowskiego, głupca Tyszkiewicza - hetmana litewskiego, bezwolnego Chreptowicza; Jacek Małachowski rozłoszczony, że naród śmie coś uchwalać czego on nie pochwala, złożył pieczęć kanclerską, - król, brat - marszałek i sejm póty go błagali aż raczył ją przyjąć z powrotem. Rząd, co miał bronić konstytucji, składał się przeważnie z ludzi, co tylko myśleli jak ją obalić. Wzięto złodziei na stróży nocnych i uważano to za bardzo dowcipne posunięcie.

Patrioci wyczerpali się zupełnie 3-cim majem i obecnie popadli w lekki letarg. Sądzili, że najważniejsze zrobione i jak ongiś konfederaci barscy założywszy ręce czekali aż Matka Boska pognębi wrogów, tak oni w tejże pozie spodziewali się tegoż po konstytucji.

W polityce zagranicznej nadzieja była matką patriotów. Widzieli Rosję zaabsorbowaną wojną z Turcją - wierzyli święcie, że będzie to druga wojna stuletnia. Niemcewicz radośnie

rozdmuchiwał w Gazecie każdy sukcesik pogan, a zwycięstwa Moskali zbywał pogardliwym: - Udało się łatkom...

Marszałek Małachowski, uchodzący za wielkiego znawcę Islamu, bo jego bratanek jako sekretarz poselstwa polskiego w Stambule odwiedzał tam wszystkie domy publiczne, zapewniał sejm w sierpniu 91-go roku:

- Turcy to wspaniały naród! Nie zawrą oni pokoju z Rosjanami aż im dokładnie przetrzepią skórę...

Akurat w tym czasie Rosja i Turcja układały cichaczem preliminarze pokoju.

Ludzie niesłychanie przewidujący i szalenie pesymistyczni mówili:

- Jeśli wojna Katarzyny z eunuchami się nawet kiedyś skończy i jeśli nawet Rosja odważy się na nas rzucić - to przecie Prusy staną murem za nami, nie dadzą nam krzywdy zrobić.

6-letni berbeć nie wierzy tak ślepo w bociana jak ci 60-cioletni mężowie stanu w Fryderyka Wilhelma. Co za wstyd, że ten mol Herzberg, którego Fryderyk Wielki używał do strzepywania kurzu w swej bibliotece i ten kłamczuch Lucchesini co w kilkanaście lat później jako poseł pruski w Paryżu nawet przez lokajów Napoleona nie był brany na serio - tutaj potrafili wszystkich otumanić i oszwabić.

2-go czerwca sejm rozpełzł się na wakacje. Ojczyzna bezpieczna, a żniwa za pasem. Król wyprowadził się do Łazienek, był w świetnym nastroju, wszystko przecie układało się bardzo pomyślnie:

Suchorzewski błaznuje w Wiedniu, Kaunitz uznał go za kretyna; wybornie! Zatem Austria pochwala konstytucję!

Niemcewicz komunikuje, że przeczytał ukradkiem u Goltza szyfrowaną depeszę z Berlina pełną zachwytów i serdeczności dla Polski. Kochane Prusy! (Dawać się nabierać na tak prostacze kawały - oczywiście depesza była specjalnie pisana w tym celu, by wpadła w ręce Niemcewicza).

Książę Adam wyjeżdża do Drezna zapraszać Fryderyka Augusta na tron polski po najdłuższym życiu Poniatowskiego. Brawo! Otóż i unia z Saksonią! (A bojaźliwy Sas odmówił Czartoryskiemu).

Rosja się ponoć pieni na konstytucję. Głupstwo. Stanisław August ma i na to radę: porozmawia z Engelhardówną, żoną Branickiego, wytłumaczy jej, przekona, ona z kolei wpłynie na papę Potiemkina, a on ugłaszcze grubą mamę Kasię...

Stanisław ufał absolutnie w swój dar wymowy, w tę politykę szeptów na kanapie. Polska zapadła w beztroski, letni sen.

55.

STARY GRAT, BABI CHWAT, STAŁY SWAT

Z domu nie wyniósł Niemcewicz miłości do kraju - nie cierpiano tam Moskali i rozpusty. Dwór Czartoryskich był zawsze ogniskiem opozycji, o panu stolniku Poniatowskim mówiono tylko z przekąsem, po sprawie Dogrumowej z nienawiścią. Niemcewicz jako patriota od urodzenia - nie po warszawsku od chwili gdy się to stało modne, nie mógł darować królowi jego służalstwa, psiego przywiązania do Katarzyny, łatwości z jaką uległ pierwszemu rozbiorowi. Zapalnego, uznającego jedynie szybkie i stanowcze decyzje poetę, drażnił ślamazarny, oklapły, tchórzliwszy od starej baby król.

Z chwilą gdy Stanisław August zbliżył się do patriotów - Niemcewicz od razu przylgnął doń całym sercem. Ledwo z tronu padło przyzwoitsze słowo, wołał z zachwytem:

- Król kocha Polskę! Król nie tylko Rosji, ale i Polsce służyć gotów!

Po 3-im maju podziw zastąpiło uwielbienie. Konstytucja zmieniła pozycję króla w państwie na lepszą - Niemcewicz uwierzył i w jego osobistą transformację na ideał. Wszędzie trąbił pochwały starego. A że był poetą, dowcipnym, kochliwym i zupełnie oddanym, więc Stanisław August polubił go bardzo. Widywali się często.

Pani Podolska (Zamoyska), siostra króla, goszcząc Stasia u siebie, zapraszała zawsze i Niemcewicza by brata bawił. Po kolacji czytywał głośno dziennik swej podróży do Włoch, Stanisław August wzdychał:

- Ach, jakżebym chciał tam pojechać! Słońce, obrazy, rzeźby, artyści, jędrne kobiety, czarowny kraj...

Swoim zwyczajem nie szczędził też bezpłatnych porad: - Szkoda twego talentu, panie Julianie, na skrobanie w głupiej gazecie. Weź się lepiej za coś pożytecznego, na czasie - ot przetłumacz na polski "Podróż do Grecji" Anakarsicza.

Odwieczna to niania Polaków upatrywać w byle literacinie cudzoziemskiej większy talent niż w młodym rodaku. Gdy w 50 lat później Słowacki przysłał Niemcewiczowi Kordiana do oceny, Człowiek-Polska skrzywił się okropnie: - Co za nonsensa! Papuga, papież, Mont-Blanc, bzdury! I czemu ten gamoń upiera się samodzielnie pisać zamiast przetłumaczyć

wartościową sztukę. Tyle ich teraz grają w Paryżu...

Na razie Niemcewicz usłuchał króla i nawet przełożył wstęp do greckiej ramoty. Tak *go* to znudziło, że cisnął dzieło do szuflady. Pamiętał zresztą dzieje "Królowej Navarry", która mu zabrała trzy lata pracy, a którą zaczęło czytać trzy osoby.

Jeździł też Niemcewicz do Łazienek na obiady zwane czwartkowe dlatego, że odbywały się nieraz we wtorki lub środy. Nie podawano flaków, ale ulubioną przez króla baraninę. Przed każdym nakryciem stołu stała karafka z winem francuskim i druga z wodą ze źródła na Zakroczymskiej ulicy. Była to jedyna znośna woda w Warszawie, przeto źródło przedzielono kratą na dwie części: dla Zamku i dla miasta.

Stanisław August jadł mało, pił tylko jeden kieliszek wina; jeśli rozmowa nie zainteresowała go z punktu - wynosił się po kwadransie, markotni biesiadnicy musieli również zgłodniali opuścić zastawiony stół ku wielkiej radości łakomych lokai. Toteż dla uniknięcia tej katastrofy literaci już podczas zupy wywlekali najciekawsze tematy, tryskali najnowszymi dowcipami. Rozochociwszy się król opowiadał brodate kawały z czasów Popiela i w dodatku wcale nie sprośne. Choć zawsze te same, zawsze wzbudzały salwy śmiechu.

O każdej kwestii Stanisław August mówił jak wyrocznia, choć od 25 lat żadnej książki nie przeczytał; robiono dlań tylko z nowych dzieł króciutkie wyciągi, które mu ustnie streszczano. Nie przeszkadzało mu to skromnie stwierdzać:

- Od Ludwika XIV-go różnię się jedynie większym zamiłowaniem do lektury!

Zaufany w swój dobry gust tyranizował artystów. Bacciarellemu kazał malować wszędzie oczy podobne do swoich - wyłupiastych. Bacciarelli był posłuszny, ale po śmierci Stanisława, mimo starości, zaczął malować znacznie lepiej. Stanisław August lubił przychodzić do jego pracowni gdy szkicował piękne damy, skontrolować czy prawidłowo trzyma pędzel. Rozgarnięty Bacciarelli zaraz się ulatniał, a król kontynuował seans z modelką.

Muzyków zawsze chwalił lub ganił choć po dźwięku nie odróżniał bębna od organów. Rozmiłowany w budownictwie rysował plany, dawał wskazówki architektom; gdyby go słuchali, nigdy cegła na cegłę by nie trafiła. Wydał dziesiątki milionów i w rezultacie dziesięciokrotnie przerabiany pałac Ujazdowski obrócono na koszary, a Zamek pozostał szpetną stodołą. Tylko liczne kochanki ocaliły Katedrę; marzył, żeby ją rozwalić, sklecić coś innego na jej miejscu. Jakby mało pustych placów było wtedy w stolicy! Szczęściem kobiety pochłonęły pieniądze przeznaczone na wandalizm. Maleńkie Łazienki to ostatecznie jedyny owoc tych olbrzymich sum, za które przeciętny cieśla potrafiłby

upiększyć całą Warszawę i jeszcze ufundować piramidę dla Pragi.

Powierzchowny we wszystkim Stanisław August nawet nie zdołał zgłębić zasad whista, acz ta gra była mniej skomplikowana od dzisiejszego durnia. Siadał do stolika, łapał bezmyślnie kartami, przebijał asa atutowego dwójką i zgarniał lewę.

Partnerzy dworsko milczeli, protestowali dopiero gdy chciał zgarnąć również ich pieniądze.

Stanisław August władał biegle sześciu językami, tyle z tego było pożytku, że każde głupstwo mógł powtórzyć na sześć odmiennych sposobów.

Podobnież jak o swym rozumie było doskonałego mniemania o swym cielsku. Widząc gdzieś swój portret zbyt podobny, czyli szkaradny, wypraszał go zaraz od właściciela i niszczył. Miał szczęście, że nie znano fotografii - nie nadążyłby w destrukcji.

Za duża głowa, długi kadłub, wystające siedzenie, króciutkie nogi - Stanisław August człapał z namaszczeniem, wypinał brzuch, leniwy w gestach, uśmiech i łzy na zawołanie. W mowie wykwintny, maniery wytworne - czasem ugościł lokaja kopniakiem, prasnął w gębę, zwymyślał po dorożkarsku, ale czynił to tylko gdy był w złym humorze i żaden cudzoziemiec nie widział.

Służba nie narzekała, bo kolejka rzadko przypadała - dwór liczył przecie 275 osób płatnych i drugie tyle honorowo funkcjonujących, tj. takich, co o wiele lepiej zarabiali, bo otrzymywali prezenty i kradli. Przepracowanie zatem nie groziło.

Jak przystało na mecenasa literatury król wyznaczył kucharzowi Tremo najwyższą pensję - 800 zł.; ukochany, podziwiany szambelan Trembecki pobierał 720 zł.; dobra baranina wyprzedziła świetne wiersze. Sekretarze załatwiali tylko sprawy państwowe więc mieli po 600 zł.

Pragnąc być wielkim monarchą Stanisław August wzorował się pilnie na Katarzynie.

Jak przez jej łoże przepływał potok tęgich drabów, tak przez jego strumień hożych dziewcząt. Tylko, że Katarzyna nie ufając złudnym pozorom i bojąc się zmarnowanej nocy posyłała naprzód upatrzonego wybrańca do swej przyjaciółki, pani Portassow, wielkiej znawczyni miłosnych ćwiczeń. Dopiero gdy pani Portassow zasygnalizowała:

- Zdatny! Wyborny pracownik!

Carowa przepędzała starego kochanka i rozpoczynała harce z nowym. Stanisław August nie stosował tego przezornego systemu, ryzykował, bez próbnych referencji zaganiał

coraz to inną łanię do swej alkowy. Jak wszyscy kobieciarze ożenił się wreszcie ze starą, brzydką, trochę garbatą złośliwą wydrą.

Jenerałowa Grabowska była podłym babskiem całkowicie Rosji zaprzedanym, wrażliwa jedynie na ruble i klejnoty. Mieszkała tuż obok Zamku, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej, siedziała cały dzień przy piecu z gębą buldoga, robiła sceny królowi, że nie jest dość uległy Katarzynie.

Szarmanccy panowie, którzy chcieli koniecznie coś o niej dobrego powiedzieć, nie znajdowali nic innego jak to, że ma twarde piersi.

Stanisław August przybiegał do żony ilekroć był zmęczony lub go brzuch rozbolał, poza tym zdradzał ją ile tylko wlazło. Teraz zadurzył się bez pamięci w jasnowłosej Lulli.

Margrabina Lulli, 18-letnia lafiryndka, uciekła z Paryża z jednym kuferkiem i starą ciotką. Ładna, zgrabna i pełna francuskiego fajeru zawróciła całkowicie głowę królowi. Był pewien, że ta śliczna dziewczyna zakochana się w jego grubych gnatach - nie w szkatule. Jenerałowa Grabowska woziła Lullę swą karetą, patrzyła obojętnie na szał Stasia, bolało ją tylko, że obsypuje przybłędę perłami.

Dla zabawienia Lulli Stanisław August urządzał ciągle w Łazienkach bale i przedstawienia. Niemcewicz, jako dawny reżyser w Puławach, podziwiał szczerze żywy obraz: Przyjazd Kleopatry.

Po stawku łazienkowskim, rozpychając stada kaczek, płynęła rzymska galera o atłasowych żaglach i srebrnych mach. Porządnie rozebrana Kleopatra leżała obok Antoniusza. Półnadzy wioślarze myczeli powiślańskim akcentem odwieczną egipską pieśń: "Hej płyń flisaku z pszenicą do Gdańska"...

W teatrze na wyspie pląsały egipskie girlsy. Układ tańca i tresura były dziełem prymasa Michała Poniatowskiego, który wolał musztrować baletniczki w garderobie niż zakrystianów w katedrze.

Na murawie tańczył lud egipski reprezentowany przez spędzonych autentycznych, wyszorowanych kmiotków. Stanisław August lubił, by parobcy miętosili dziewczęta po krzakach; bez tego nie wyobrażał sobie prawdziwej sielanki. Ponieważ młodzi zachowywali się zbyt przyzwoicie dyrygował osobiście:

- Nuże, pogłaszcz ją, ale nie po dłoni, i nie po łokciu ciamajdo...

Stanisław August tak cenił małżeńską robotę, że swatał nieustannie. W Polsce, z reguły, obie rodziny narzeczonych uważały, że ich dziecię popełnia obrzydliwy mezalians. Król

interweniował, pośredniczył, namawiał. Skojarzył tysiące małżeństw i pysznił się tym więcej, niż Bolesław Chrobry zdobyciem Kijowa.

Główną troską króla były jednak sprawy finansowe. Choć przez oszczędność nawet msze za dusze swych rodziców kazał opłacać Skarbowi Państwa, choć Rzeczpospolita spłaciła już dwa razy jego długi - miał ich znowu ponad 11 milionów. Zapożyczył się u żydów, jako procent zwolnił ich od wszelkich podatków co było dla nich oczywiście świetnym interesem, a dla skarbu katastrofalnym.

Przykładał się do konstytucji licząc, że patrioci przez wdzięczność, iż zajmuje się sprawami państwowymi, zajmą się potem jego prywatnymi, ale widział teraz ze zgorszeniem, że nadal potrzeby wojska uważają za najpilniejsze i wszystko w nie pakują. Żywo się więc interesował projektem stworzenia banku polskiego - wnet by zeń zabrał całą gotówkę, a jako kapitał zakładowy pozostawił swoje weksle, skamlał nadal przez Goltza o zasiłek od Fryderyka, na razie - mimo solennej obietnicy złożonej jeszcze w styczniu, iż ordery i godności będzie odtąd nadawał tylko za istotne zasługi - handlował nimi po dawnemu jak przekupka kiełbasami na rynku.

Za 10-20 dukatów sprzedawał tytuły chorążego, cześnika, podkomorzego; za 30-50 starosty; czerwoną wstęgę orderu św. Stanisława można było nabyć za 100, po ostrym targu nawet za 80 dukatów. Najwyższe odznaczenie - Orzeł Biały - też był na ladzie.

- Ach Wasza Królewska Mość, jakżeż można sprzedawać Orła Białego za 200 dukatów! monitował Piattoli.

- Ha, pewnie że to zgroza, że to za tanio, ale co robić gdy sknery więcej nie dają, - odpowiadał król.

Niebieską szarfę dostawano i za darmo. Mieli ją Ankwicz, Rzewuski, Kossakowski, Massalski... Gdy tylko ktoś zasługiwał się należycie Katarzynie, zyskiwał jej uznanie - zaraz Stanisław August przesyłał mu order. Wszystkie polskie szuje były przepasane wstęgami.

54.

ULICA WYBRUKOWANA ZA POKUTĘ

Najzagorzalsi wrogowie Stanisława Augusta przyznawali zgodnie, że za jego panowania Warszawa doszła do niebywałego rozkwitu, przerażającym ogromem, bogactwem, wyrafinowanymi urządzeniami stała się dla pozostałych miast polskich niedościgłym

wzorem.

Liczba mieszkańców wzrosła podczas Sejmu Czteroletniego do fantastycznej cyfry 120 tysięcy! Domów murowanych przybyło w ciągu ćwierci wieku aż 30!! Drewnianych jeszcze więcej, lecz ciągłe pożary trzebiły je prędzej niż skryby nadążały wnieść do ksiąg. Dla zwalczenia plagi ognia marszałek kazał zamurowywać wszystkie okna wychodzące na cudze posesje. Bardzo to był dowcipny pomysł, ale ilość pożarów się nie zmniejszyła.

Kto nie miał własnej karety człapał po straszliwym, nigdy nie wysychającym błocie. Nie domyślono się jeszcze wprowadzić fiakrów, a lektyki były niepraktyczne: tragarze padali latem z powodu bajor, zimą z powodu lodu, i zawsze z pijaństwa; pasażerowie wyłazili z wywróconych lektyk posiniaczeni jak z magla.

Niektóre ulice miewały po kilka nazw, inne za to żadnej. Tablice z napisem ani numery domów oczywiście nigdzie nie figurowały. Zresztą, były niepotrzebne, dawało się pejsatemu żydłakowi - faktorowi parę groszy i od razu prowadził dokąd chciano.

Miejscami ulice miały nawet fatalne bruki. Olizara za pojedynek skazano na rok wieży - zamieniono mu to na karę wybrukowania całego odcinka; księża zadawali to też czasem jako pokutę - zamiast pielgrzymki do Palestyny. Niestety warszawiacy za mało grzeszyli.

Chodników nie było; łażono środkiem ulicy, obok rynsztoku; miało to tę dobrą stronę, że pomyje wylewane przez schludne gosposie za okno tylko z lekka obryzgiwały.

W nocy stolicę zalegała iście chłopska ciemnota. Latarnie kazano aptekom i szynkom wystawiać - zapalali jakieś ogarki; proszono też uniżenie magnatów by raczyli przed swymi pałacami poświecić, uważali to sobie za ujmę, bo do jaśnie państwa każdy i bez tego trafić powinien.

Spacerując samotnie w tych ciemnościach łatwo było oberwać w zęby lub zostać ograbionym. Dobra nauczka by się nie szwendać nocą! W dzień tłumy żebraków zalegały ulice - było to intratniejsze zajęcie niż lokajowanie.

Straży wałęsało się dużo, ale tylko tam gdzie jej nie potrzebowano. Niedołężnych zbójów co dali się pojmać wieszano uroczyście przed Bernardynami, pobożni prędko wybiegali z kościoła oglądać zajmujące widowisko.

Klasztory nie tkwiły w kontemplacji i były w bliskim kontakcie ze społeczeństwem. Dominikanie sprzedawali wino, gdy wszystkie knajpy już były zamknięte u nich zawsze można go było otrzymać. Trynitarze fabrykowali na Solcu swój sławny miód, gospody co go od nich brały miały na szyldzie duży czerwony krzyż - takiż jak zakonnicy nosili na habicie.

Benoni wyrabiali świetne piwo i mieli w ogródku swego klasztoru sławną z cudów kaplicę; nie godziło się pobierać opłaty za wstęp od tłumnie uczęszczających wiernych więc obrotni Benoni otoczyli ogródek murem zostawiając wejście jedynie przez traktiernię. Można było odmówić litanię w kaplicy dopiero po wychyleniu kufla piwa w karczmie.

Życie towarzyskie kondensowało się całkowicie w pałacach magnackich gdzie stoły wiecznie ugięte pod michami schabu i koszami wina wabiły szlachtę. Spryciarze chełpili się, że samych gospodarzy nie znają - za to świetnie wyroby ich kucharzy. Wielcy panowie tuczyli te sfory nierobów, by mieć potem asystę. Szczytem nieprzyzwoitości dla magnata było tryndać się samemu po mieście. Wspominano z uznaniem, że gdy książę Radziwiłł jechał odwiedzić króla w Łazienkach - już wstępował do pałacyku, a ogon asysty jeszcze tarasował Krakowskie Przedmieście. Książę pokazując przez okno tłumy szlachty depczące trawniki, rozgniatające łabędzie, mówił:

- Wasza Królewska Mość wybaczy, panie kochanku, że tych kilka moich najbliższych sług z nadmiaru afektu aż tu za mną przy drałowało...

Gdy Radziwiłł szedł do teatru to obowiązkowo całą salę wypełniała jego asysta. Żaden aktor nie ściągał takiego kompletu.

Wszystkie wyższe stanowiska państwowe zajmowali wielcy panowie. Nie wiedziano co to urzędy, godziny urzędowania; jeśli magnat w przystępie pracowitości raczył jakieś papiery rozpatrzeć, podpisać - to rano, podczas ceremonii wstawania. Najważniejsze sprawy załatwiano nie przy biurku lecz przy gotowalni.

Panie też przyjmowały gości od świtu. Krótki fartuszek na biodrach, różowy gorset, piersi jeśli możliwe - odkryte, palce bosych nóg upstrzone pierścieniami. Aktorka Truskolawska musiała dla kontrastu zapinać się pod szyję, uchodziła za niezrównaną piękność, bo widziano tylko jej oczy.

Wśród młodzieży najmodniejszą była tężyzna. Pojedynkować się o nic, przegrać pół majątku na jednej karcie, dosiąść wściekłego ogiera, uwieść 6 kobiet jednej nocy, wypić antał wina - oto wyczyny, które określano jako tężyzna i które bez zastrzeżeń podziwiano. Książę Józef, Eustachy Sanguszko, Wielhorski, dwaj Rzewuscy wodzili w tym rej.

Niemcewicz nie należał do tężyzny. 34-letni panowie mieli wówczas zazwyczaj wielkie brzuchy i już wnuków w drodze. Niemcewicz nie był zawadiaką, nie miał ani jednego pojedynku, nie lubił pić, nie dotykał kart, bo bał się przegrać, wolał karetę od ogiera i obsługiwał tylko jedną kochankę. Gdzie mu więc było iść z tamtymi w paragon.

55.

REWIA A LA WIELKI FRITZ

Lato 91-go roku było bardzo upalne. Wszyscy wyjechali na wieś, Niemcewicz został sam i porał się z Gazetą, w wolnych chwilach chorował na modną wówczas febrę; lekarze - konowały nazywali tak te dolegliwości, z których nie umieli wyleczyć, czyli wszystkie.

Cała Polska interesowała się tylko wojskiem. Stare babcie przy piwie opowiadały sobie nie kto z kogo się rodzi, ale gdzie jaki pułk stancjonuje. Kraj chełpił i cieszył się swą armią jak chłop nowonarodzoną jałówką.

Książę Józef odbył wielką rewię pod Brasławiem, Kościuszko pod Lublinem; Gazeta zamieszczała o nich tasiemcowe relacje. Gdy ogłoszono rewię pod Gołębiem, 2 mile od Puław, Niemcewicz nie wytrzymał i pojechał.

Trakt do Puław jako bardzo uczęszczany był w dobrym stanie. Bryczka wywróciła się zaledwie parę razy, ale żaden koń nogi w wykrocie nie złamał. Ze względu na żar załoga bryczki w każdej karczmie odświeżała się wódką. Używano jej powszechnie zamiast mazagranu i oranżady; uczeni doktorzy tłómaczyli, że wódka rozgrzewa ciało od wewnątrz i wobec tego powietrze jako o niższej temperaturze wydaje się chłodne i przyjemnie orzeźwia. Teoria ta wielce wszystkim przypadała do gustu.

Do Gołębia było 100 klm., już po 20 godzinach jazdy Niemcewicz stanął na miejscu.

Rewią dyrygował książę Wirtemberski, który na wniosek Niemcewicza otrzymał indygenat, a za protekcją Czartoryskiego dowództwo. Szwabski drągal musztrę znał gorzej od sierżanta, po polsku słowa nie umiał wykrztusić, ale że był siostrzeńcem wielkiego króla pruskiego i zięciem wielkiego magnata polskiego, więc krzyczano, że to szczęście dla kraju mieć takiego generała.

Na rewię zjechały naturalnie całe Puławy. Czereda panienek, przebranych za wieśniaczki, obsypywała wojsko kwiatami, cukierkami i kiełbasą. Rozegzaltowana księżna Izabella piszczała:

- Ja tak lubię być Polką!

I dowodziła, że kocha swych synów tylko dlatego, iż są Polakami. Patrzała czule na Wirtemberga - pewna, że dała Marysi doskonałego męża. Rudy cham bił swą żonę więcej niż swego konia, ale księżna Izabella nie grzeszyła spostrzegawczością.

Niemcewicz płakał z radosnego wzruszenia. Oto, wbrew małodusznym, zapatrzonym w

Rosję, pesymistom - defiluje armia litewska, armia prawdziwa, karna, liczna, umundrowana, uzbrojona. Oto rewia poważna, wspaniała, a la Fryderyk II-gi! Przypomniał sobie te szopki pośród rynku na których tak niedawno asystował z ks. Adamem; te pułki po 50 oberwanych staruszków trzęsących się między stadem bab, dzieci i żydziaków. Wydawało się to złym snem. Ach, nie straszna już Polsce dzika Katarzyna i jej barbarzyńskie sołdaty.

Rewia trwała parę godzin, bale i zabawy parę dni. W Puławach spiżarnie, piwnice, dziewczęta - wszystko leżało otworem dla umiłowanego wojska.

56.

POSIEDZENIA PODRĘCZNIKOWE

Wyznaczony przez sejm jeszcze przed paru laty na komisarza do badania czynności Komisji Edukacyjnej, Niemcewicz wciągnął się w pracę organizacyjno-naukową. Lubił dla odmiany od tej gorączkowej atmosfery w której ciągle kołowrotkował zanurzyć się w towarzystwie poważnych ludzi w poważne zebranie, uczenie rozważać uczone zagadnienia. Przejął od ks. Adama duch mentorski i chęć kształtowania młodzieży.

Został członkiem Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych; gdy Ignacy Potocki, pochłonięty sprawami państwowymi, nie miał czasu przewodniczyć posiedzeniem - zastępował go Niemcewicz.

Dostojne grono zbierało się raz na tydzień i z namaszczeniem czytało nowe podręczniki - korygując, przygotowując je do użytku szkolnego. Gruby, zawsze brudny, pijar Kopczyński, autor wielu dzieł gramatycznych, siedział na końcu stołu i pilnował, by wszyscy mówili zgodnie z jego przepisami.

Niemcewicz: - Najsamprzód więc dziś panom...

Kopczyński: - Nie mówi się "najsamprzód" - lecz zwyczajnie "naprzód".

Niemcewicz: - Naprzód więc panom przedstawię... Kopczyński: - Przedstawię? to bez sensu; trzeba powiedzieć: stawię przed wami!

Niemcewicz: - Naprzód stawię więc dziś przed panami obydwie nowe prace, które...

Kopczyński: - Co za obydwie? Chyba obiedwie.

Niemcewicz: - Obydwa słowa są prawidłowe i obydwu można używać.

Kopczyński: - Obydwa, obydwu! Pan Bóg zatyka na to palcami uszy. Należy wymawiać: obadwa, obudwu!

Niemcewicz: - Zapewne ksiądz ma rację, ale ja...

Kopczyński: - Ma rację! avoir raison! po co ten obrzydliwy francuszczyzm? Ksiądz ma po sobie słuszność - oo, tak będzie prawidłowo.

Niemcewicz: - Ależ ja przez księdza nie jestem w stanie wyłożyć o co idzie, bo...

Kopczyński: - Znowu! Nie jestem w stanie - je ne suis pas en etat! Powiedz że waćpan raz w życiu poprawnie: nie udolnym ja do tego.

Niemcewicz: - Oooo...

Kopczyński: - No nareszcie bezbłędnie pan usta otworzył.

W ciągu 4 lat Towarzystwo przeczytało i zaakceptowało 4 podręczniki: Zoologię - Czempińskiego; Mechanikę - Koca; Fizykę partykularną - Zabłockiego i O Wymowie - Piramowicza. Wśród szerszego ogółu ani zawrotne tempo, ani sama praca nie znajdywała uznania; starzy ludzie mruczeli:

- I na co to? Wygląd zwierząt, prawa fizyczne czyż się zmieniły od stu lat. Uczyliśmy się z ówczesnych książek i chwała Bogu żyjemy szczęśliwie do dziś. Niepotrzebne te wszystkie nowalie.

57.

DROGA DO TARGOWICY

Szczęsny Potocki wałęsał się po Europie czekając kiedy też Polska się opamięta i dla przebłagania go rozpędzi znienawidzony sejm, wreszcie klapnął w Wiedniu. Tam rąbnęła go obuchem w łeb wiadomość o 3-cim maju. Dla dumnego magnata co uważał się za trzecią osobę na świecie (pierwsza Pan Bóg, druga Katarzyna) był to straszliwy cios; z wściekłości nie wiedział co zrobić, by jak najwięcej Polsce dokuczyć: wyemigrować, wstąpić do klasztoru, czy powiesić się...

Hetman polny Rzewuski podszepnął mu: - obalić bezecną konstytucję, pokazać Polsce żeś mocniejszy od niej!

Wszystkich czcicieli rubla w Polsce zaczął gwałtownie brzuch boleć, wszyscy zaczęli

jeździć do Karlsbadu na kurację. Po drodze chyłkiem zbaczali do Wiednia, bili przed Szczęsnym pokłony wołając:

- Tyś naszym wodzem! Ratuj nas i naszą wolność!

Defilowali Ożarowski, Kossakowski, Czetwertyński, Hulewicz... Tępy jak drewniana piła Szczęsny rychło uwierzył, że jest polskim Mojżeszem i musi wyprowadzić naród z niewoli konstytucyjnej. Coraz zarozumialszy mówił:

- Ufajcje mi. Ja!! czuwam...

I zgraja wracała do kraju pokrzepiona na duchu. Wierzyła w Potockiego. Najbogatszy był dla niej zawsze i najmądrzejszy.

Król, Ignacy Potocki, marszałek Małachowski napisali do Szczęsnego płaczliwe listy zaklinając do zgody, do powrotu.

Utwierdziły go one tylko w pysze; ha! więc jest jednak niezbędny!

Odpisał brutalnie i z błędami ortograficznymi, że na rewolucję gołowładców przystać nie chce, że jest szczerym demokratą więc z hołopupami bratać się nie będzie.

Jednocześnie napisał pokornie do Potiemkina zapewniając o swej wierności, całkowitym oddaniu carowej i błagając uniżenie o pomoc i ratunek. Ogromne chłopisko, co najlepiej dogodziło Katarzynie i dzięki temu z podoficera gwardii zaawansowało na feldmarszałka, wezwało obu magnatów do siebie, do Jass; pomknęli jak kundle na które się gwiźnie.

Przybyli w połowie października - akurat na pogrzeb Potiemkina. Dziki drab czując się chory ruszył bezmyślnie w podróż; sądził, że wiew stepu go uzdrowi; w drodze, konając, wyskoczył z karety, na czworakach w trawie - zdechł. Potocki i Rzewuski zbaranieli. Co robić? Co teraz będzie? Cały ich rozum polegał na skamlaniu o pomoc Rosji.

* * *

Śledzono w Warszawie kroki Szczęsnego i Rzewuskiego. Nie wiedziano co knują, co zamierzają, ale przytomniejsi zdawali sobie sprawę, że niczego dobrego się po nich nie można spodziewać.

Wystąpił w sejmie Zabiełło wnosząc by stany rozkazały obu panom powrócić natychmiast do kraju, zaprzysiąc konstytucję, wziąć się do pracy w wojsku - jeden był przecie hetmanem, a drugi jenerałem artylerii.

Wnet zaskrzeczeli w obronie podejrzanych Czetwertyński, Rzewuski, Kazimierz Sapieha,

książę Adam... Stanisław August perfidnie tłómaczył, że Szczęsny - wzór dobrego patrioty - bawił w Wiedniu dla wydębienia od cesarza Leopolda jakiejś sumki w zamian za jakieś starostwo zabrane mu przez Józefa II-go.

- A do Jass po co się wybrał? krzyknięto.

- Potiemkin chciał kupić folwarki na Ukrainie, Potocki chciał sprzedać, ot zwyczajne interesy majątkowe...

- Rzewuski nie posiada dóbr na Ukrainie, czego też jeździł?

- Pojechał dla kompanii, dla służenia dobrą radą...

Król, ks. Adam, Sapieha nie byli aż tak ograniczeni by nie rozumieć, że konszachty tych dwóch kreatur z Rosją wielkie zło Polsce przynoszą. Ale za jeszcze stokroć większe zło uważali chętkę szlacheckiego sejmu rozkazywania dygnitarzom co się nazywali Potocki i Rzewuski! Solidarność magnacka szła u nich przed miłością do kraju.

Ostatecznie sejm zmiękł, postanowił, że Komisja Wojskowa napisze uprzejmie do swych nieposłusznych podwładnych wzywając ich do łaskawego powrotu w trzymiesięcznym terminie.

* * *

Znużona przewlekłymi wojnami ze Szwecją i Turcją, trochę przestraszona szumnymi reformami wojskowymi sejmu, stara Katarzyna pragnęła na razie spokoju, chwilowo wcale nie zamierzała wtrącać się do Polski. Wyobrażała ją sobie zjednoczoną jak monolit w przywiązaniu do konstytucji, odkładała ciężką rozprawę na później. A że zabrakło Potiemkina, głównego źródła awanturniczych pomysłów, że sama była zgnuśniała i bliska grobu - łatwo mogło w ogóle nie dojść do niczego. Błagalne jęki dwóch możnowładców o interwencję nasuwały zbyt dobrą okazję wmieszania się do spraw Polski by ją można pominąć. Pobudziły złą staruchę do czynu. Na miejsce Potiemkina przysłała do Jass najzdolniejszego swego ministra, leniwego bezgranicznie Bezborodkę.

Potocki i Rzewuski wnet ożyli, nabrali ducha. Nie wyłazili z przedpokoju kacapa, chcieli z wojskiem rosyjskim iść na

Warszawę - zaraz, natychmiast! Bezborodko ich hamował: trzeba wyczekać moment, przygotować plan, zebrać armie, tłómaczył.

Hetman Branicki, zadłużony na 10 milionów, przycwałował do Jass użerać się o spadek po Potiemkinie. Zaprzedał przecie Moskwie dla kariery i złota prócz Polski i siebie

samego, żeniąc się z krótkonogą, pękatą, wulgarną, odrażającą Engelhardówną, która była szczytem bękarctwa, bo oficjalnie nie miała ani ojca, ani matki. Olbrzymie dobra białocerkiewskie, otrzymane przez Ksawerego za udział w I-szym rozbiorze, były jej posagiem od Katarzyny, teraz po Potiemkina wniosła mu znów kolosalne dobra. Żaden ród w Polsce nie doszedł do bogactw w tak podły sposób jak Braniccy.

Hetman łasił się do Bezborodki, obcałowywał Szczęsnego i Rzewuskiego, zaręczał o swej gotowości współdziałania z nimi w obaleniu ustawy 5-go maja. Jednak bał się już teraz jawnie zrywać z Polską, wołał do końca siedzieć na dwóch stołkach.

- Gdy wszystko będzie gotowe - dajcie mi znak, przylecę i stanę przy waszym ramieniu! obiecywał.

Tamci dwaj zamierzali zdradę, on jeszcze krzywoprzysięstwo na dodatek. Nie zrażało go to wcale. Po miesięcznym pobycie wrócił do Warszawy, rozpytywany co robią Potocki i Rzewuski w Jassach prawił:

- Nic nie robią. Polują, ucztują, dziwki macają. Bezborodki na oczy nie widzieli, polityka ani im w głowie. Wszystko babskie ploty. Najpoczciwsi to obywatele, daj Boże Polsce więcej takich...

Słuchano tych bezczelnych kłamstw hetmana, członka Straży, prezesa Komisji Wojskowej, nikt mu nie wierzył, ale nie wsadzano go do wieży.

Sejm wystosował do opornych magnatów jeszcze parę listów zaklinających do powrotu - odpowiadali coraz urągliwiej i nachalniej. W styczniu Stanisław Potocki pojechał do Jass z odręcznym pismem Stanisława Augusta, pismem czułym, kornym, błagalnym. Spotkał tam Kniaziewicza wysłanego przez Kościuszkę, razem prosili, razem nic nie wskórali. Właśnie 3 dni przedtem - 10-go stycznia - Rosja zawarła ostateczny pokój z Turcją, armia była wolna, gotowa do nowej wojny. Szczęsny nie krył już zupełnie swych zamiarów, kipiąc z niecierpliwości, wołał do Bezborodki: - Zaczynajmy!

* * *

27-go stycznia 92-go roku, o 12-stej w południe, Małachowski chciał zalimitować sejm. Akurat tego dnia upływał 3-miesięczny termin dany łotrom z Jass do powrotu. Zawsze za miękki marszałek pragnął tym wybiegiem uniknąć dyskusji na ich temat.

Oparł się temu Niemcewicz, wygłosił wspaniałą mowę, najpiękniejszą, najmocniejszą z tych kilku tysięcy, które wydukano podczas sejmu czteroletniego.

- "Rzeczpospolita, mówił, prowadzi układy z dwoma ludźmi - poddanymi swymi! - jak

równy z równymi. Zamiast się usprawiedliwiać, butnie odpowiadają, gromią nas żeśmy się ośmielili dźwignąć Polskę..."

Trafnie odmalowawszy całą obrzydliwość tych postaci, przypomniawszy wszystkie dobrodziejstwa, które są Polsce winni - zakończył grzmiąco:

- "Żądam kary, kary surowej bo przestępstwo ogromne i gorszące. Kary nieodwołalnej, bo przestępstwo jawne, bo nic na obronę jego powiedzieć nie można...

I pókiż będą w Polsce te uprzywilejowane rody, którym wszystko bezkarnie czynić wolno. Czas obalić te bałwany zabobonności..."

Zdawało się, że po tak grzmiącej mowie, najłagodniejszym wnioskiem może być: skonfiskowanie dóbr zdrajcom, zdarcie z nich kilkunastu pasów, przykładne powieszenie. Tymczasem Niemcewicz wniósł, by uznać stanowiska hetmana polnego i generała artylerii za wakujące i mianować nowych ludzi. Góra porodziła mysz!

Wnet zagdakał prymas o zasługach Szczęsnego, o męstwie Rzewuskiego; stękał król przypominając, że to on ułożył konstytucję, on ją kocha najbardziej, on raczej trupem padnie niż o krok od niej odstąpi - a jednak trzeba dla jej przeciwników wyrozumiałości, cierpliwości, łagodności; ględzili książę Czetwertynski, książę Sapieha, Plater, biskup Kossakowski...

Sołtyk złożył wniosek by zdrajcom prolongować termin powrotu do 1-go marca.

Po 10-ciogodzinnym wałkowaniu przystąpiono do turnusu. Senat wyobraził sobie, że małoduszni są w mniejszości, więc w ślad za prymasem i Branickim opuścił izbę pozorując wstrzymanie się od głosowania tym, że to nie sejmowa, a sądowa sprawa.

- Hu, hu, do Jass, hu, hu! żegnali ich patrioci.

Jeszcze paru posłów uciekło w dyrdy, ani jednego Potockiego nie było na sali - w izbie co liczyła 500 członków została niespełna setka osób. W jawnym głosowaniu przeszedł tchórzliwy wniosek Sołtyka 59 - na 37; w tajnym zwyciężyli jednak mężczyźni 51 na 43.

Pozbawienie zdrajców tylko urzędów, a więc nieprzyzwoicie łagodne załatwienie sprawy wywołało w kraju szalone zdumienie. Bluźnierstwa i świętokradztwa zdarzały się w Polsce, ale nigdy publiczne potępienie magnata i zabranie mu czegokolwiek. Wystraszony król zapraszał Rozana i błazna Hulewicza doskonale udającego szczekanie psa - kreatury Szczęsnowe - sumitował się przed nimi, że bezczelna uchwała przeszła; chciał by donieśli swemu panu o jego bólu i wiernej przyjaźni. Asekurował się tym na wypadek zbrojnej interwencji Rosji i dojścia Szczęsnego do władzy.

Na Niemcewicza sypano gromy. Cala socjeta patrzała nań z obrzydzeniem. Książę Adam napisał doń ostry list z Drezna z besztaniami, wyrzutami za czarną niewdzięczność. Tylko szeroki ogół niższych sfer był uradowany, popularność Niemcewicza jeszcze wzrosła.

* * *

Przeklinając gołowładców sejmowych co śmieli im odebrać uczciwie kupione rangi wojskowe - Szczęsny i Rzewuski wyjechali w marcu do Petersburga. Powiadomiony o tym Branicki jął zaraz piszczeć, że interesy spadkowe jego żony wymagają podróży do Rosji. Stanisław August wiedział, że to kłamstwo, ale nie śmiał się przeciwić, bo zakaz wyjazdu mógłby rozgniewać Katarzynę. Wziąwszy więc od hetmana z ochotą dane słowo honoru, że wróci na każde zawołanie - pozwolił mu jechać.

W kwietniu hultajska trójka spotkała się w Petersburgu. Złożyli carowej następującą suplikę:

Wielka Katarzyno, podobna bogom bardziej jeszcze przez chęć czynienia dobrze, niż przez posiadaną od nich nieograniczoną władzę. Tobie jednej przystało być bogiem przyjaznym wolności polskiej...

Naród polski skonfederowany wzywa Cię jako Boga przyjaznego wolności i błaga o jej obronę. Wielka dusza Twoja nie odmówi...

Bałwochwalczy ten adres skamlający o zbrojną interwencję, prócz trzech hersztów, podpisali Suchorzewski, Hulanicki, Grocholski, Kamieniecki - razem 14 wyrodków. Carowa przyjęła go radośnie, była dla zdrajców najuprzejmiejsza, wciąż zapraszała na dwór, wyróżniała, obdarowywała. Rozmawiała z nimi oczywiście tylko po francusku, bo, jak wszyscy wówczas Polacy, słowa po rosyjsku nie umieli, nawet Branicki choć żonaty z kacapką. Zresztą sami Moskale wstydzili się swego barbarzyńskiego języka i w salonach używali go jedynie gdy już koniecznie chcieli zakląć siarczyście.

Katarzyna hołubiła zdrajców, bo bez nich nie odważyłaby się napaść na Polskę. Teraz była zdecydowana.

* * *

Wychowanek szkoły kadetów Deboli (którego tchórzliwy król wobec niechęci Katarzyny nigdy nie ośmielił się mianować oficjalnym posłem Polski w Petersburgu) pisał od kwietnia alarmujące listy, donosił o translokacjach wojsk rosyjskich na zachód, o wielkich przygotowaniach, o zabiegach Szczęsnego i hetmanów...

Stanisław August mimochodem, półgębkiem, bagatelizując napomknął sejmowi o tych

wiadomościach. Prosił by w stosunku do Rosji panowie posłowie nie używali słów grubych ani nawet ostrych; by o wszechpotężnej imperatorowej odzywali się tylko z najwyższym szacunkiem. Zataił wyczyny trzech zdrajców, na uboczu za to każdemu tłómaczył:

- Potocki, Rzewuski i Branicki są zagorzałymi demokrata mi, fanatykami wolnej elekcji, veta, swawoli szlacheckiej. Najjaśniejsza Pani nienawidzi rewolucji, tępi demokratyzm, uznaje tylko absolutyzm. Zatem nie obali naszej konstytucji, która przecie właśnie wzmacnia monarchię. To byłoby niezgodne z Jej żelazną logiką, z Jej kryształowym charakterem...

Wierzono mu. Strusia polityka była przecie odwiecznie narodową, polską. Zresztą nie miano teraz czasu zajmować się błahymi petersburskimi plotkami. Za miesiąc wypadała rocznica 3-go maja. Uczcić ją godnie, wspaniale - cóż mogło być ważniejsze w danej chwili.

58.

WIELKI CZWARTEK STANISŁAWA AUGUSTĄ

Król obudził się o 8-ej rano, ziewnął parę razy, spojrzał na ogromny portret Katarzyny wiszący na wprost łóżka i prędko się przeżegnał.

- Jak też Najjaśniejsza spędziła noc dzisiejszą, rozmyślał, i z kim? Mówią, że Zubow jest leniwy i źle wywiązuje się ze swej służby...

Przeszedł w szlafroku do garderoby natłoczonej już ludźmi. Podczas gdy kamerdynerzy zlewali go perfumami i smarowali czoło maścią (by zmarszczek nie było) słuchał raportów sekretarzy.

Polityczne go nie zajęły. Uaaa... zawsze to samo; za to rozwiesił uszy gdy któryś szepnął:

- Wczoraj wieczorem widziano Julię Potocką w towarzystwie ks. Sanguszki...

- Ooo, a gdzie?

- Przechadzali się po ogrodzie Saskim, potem wsiedli do jego karety i pojechali na Krakowskie.

- Dziarskiego ma Pepi przyjaciela!

Ubrawszy się król podążył na drugi koniec zamku do pokojów markizy Lulli. Siedziała

przed lustrem, służebne czesały jej długie, złote włosy, murzyn i piesek kotłowali się na dywanie.

Stanisław August klapnął na fotelu, służące, murzyn, stara ciotka i piesek zniknęli za drzwiami.

- Nie pocałujesz mnie Lulu na dzień dobry?

- Non Stanislas, jesteś okropny.

- Czemuż to kochanie?

- Już od tygodnia obiecujesz mi nowy sznur pereł i wciąż go nie widzę.

- Sejm wszystkie pieniądze pakuje w wojsko, nic mi nie daje...

- To byle żołdak ma wszystko co mu potrzebne, a ja gniję w nędzy. Brudny chłop droższy ci niż ja.

- Ależ skądże Lulu!

Zbliżył się do niej, pogłaskał odsłonięte ramiona, odepchnęła go:

- W Wielki Czwartek? Nie można rozpustniku. Gdybyś choć miał perły...

Klnąc niepoczytalny militaryzm sejmu zeszedł Stanisław August na dziedziniec. Była już 11-sta rano. Zazwyczaj słuchał Mszy św. w Kolegiacie do której przechodził zamkowym korytarzem. Ale że w Wielki Czwartek odbywał spowiedź, chciał by jak najwięcej ludzi mogło go obserwować. Pojechał do kościoła św. Krzyża.

Przez kryształowe szyby swej soliterki patrzał z pobłażliwym uśmiechem na zamieszanie uliczne. Odwiecznym zwyczajem, na pamiątkę Męki Pańskiej, żacy warszawscy tłukli żydów w Wielki Czwartek, Wielki Piątek i Wielką Sobotę. Straż marszałkowska nie przeciwstawiała się pięknej tradycji, żydzi wzniecali srogi wrzask, ale ani im do głowy nie przychodziło siedzieć w domu. Bogobojni mieszczanie nie handlowali w te wielkie dnie - były to więc ich benefisy. Dla podwójnego zarobku można było znieść parę kuksańców, żałowali, że tak nie jest krągły rok.

Św. Krzyż był pełen wiernych. Patrzyli z zainteresowaniem na biczowników, ludzi o obnażonych plecach i głowach całkowicie osłoniętych kapturami z małymi tylko otworami na oczy. Każdy miał batog w ręku i smagał innych co sił w ramieniu. Krew aż tryskała na siedzące w ławkach kumoszki.

- Masz za grzechy swoje! Masz, a masz! wołali biczownicy i ogarnięci wzrastającą skruchą, prali się do utraty tchu. Wejście króla położyło kres tym pobożnym ćwiczeniom. Ociekający krwią kapnicy poszli do żydów cyrulików po plastry, a Stanisław zasiadł przed głównym ołtarzem na wspaniałym krześle.

Obok, na taburecie, ksiądz kapelan Woronicz. Krzesło było wysokie, taburet niziutki, by należycie przysunąć ucho do ust króla - ksiądz musiał przyklęknąć. W ten sposób wysłuchał spowiedzi. Choć jedyna w roku - trwała zaledwie 3 minuty, gdyby była rzetelna - trwałaby przynajmniej tydzień. Po komunii św. król przeszedł do zakrystii. Rzędem na bocznej ławie siedziało 12 starców żebraków z obnażonymi prawymi nogami. Były już starannie wyszorowane i skropione perfumami, teraz dla pozoru szambelani polewali je wodą ze srebrnej konewki, po czym Stanisław August zarzucał na każdą serwetę. Nazywało się to, że myje nogi biedakom. Jeden starzec o długiej po pas brodzie zwrócił jego uwagę.

- Wiele masz lat? spytał.

- Na św. Michała będzie 106.

- Jakżeż robisz, żeś tak krzepki i zdrów?

- Nigdy wina i kobiet nie używałem Miłościwy Panie.

- Toś kiep! Po co żyć w takim razie.

Postny obiadek bez ukochanej baraniny i nawet bez odwaru z rosołu zasępił trochę Stanisława. Rozchmurzyły go przecież dykteryjki niezastąpionego pochlebcy - Trembeckiego. Leniwy brudas był zatwardzialszy od żebraków i nie mył się nawet w Wielki Czwartek.

Po obiedzie, w gabinecie, król rzekł do marszałka dworu, wiernego i ograniczonego Kickiego:

- Dziś, dla godności pokuty, chciałbym zrobić jakiś dobry uczynek. Pieniędzy mamy mało, więc na jałmużnę nie starczy, ale są chyba jacyś zbrodniarze w prochowni; każ waszmość wypuścić dwóch najgorszych.

Szukał jakiegoś papieru na stole i nie mógł znaleźć. Zirytowany dał policzka lokajowi - od razu pomogło - list się odnalazł; jął go bić coupe - papier mrucząc: - a masz niecnoto za chowanie się!

Szyfrowana korespondencja ze swymi posłami zagranicznymi zajęła mu parę godzin;

donosił im skrupulatnie o wszystkich plotkach warszawskich.

Na wieczerzę udał się król do pani Grabowskiej. Bardzo podniecona opowiadała mu, że widziała dziś Bułhakowa, i że przygotowania do obchodu rocznicy 3-go maja wprawiają go we wściekłość. Siostry króla zaskrzeczały natychmiast:

- Do zguby nas doprowadzi ten sejm, jego polityka lekceważenia Przenajświętszej Imperatorowej!

Pani Grabowska wyłuskiwała wszy z peruki, kładła je na stół i pukała w nie młoteczkiem z kości słoniowej:

- Tak samo trzeba tępić sejmowych jakobinów! mówiła z przekonaniem.

Gdy król wrócił do swych komnat kamerdynerzy zdjęli zeń niebieski frak, wysypali z kieszeni ołówek, kalendarzyk, lornetkę, małą wagę, scyzoryk, szpulkę nici, guziki i wiele innych drobiazgów, które uważał za równie niezbędne. Dziwiło to zrazu dystyngowanych panów, bo oni nosili po kieszeniach tylko pół tuzina jaj na twardo, ale moda się przyjęła i u wszystkich spiżarnię zastąpiła rupieciarnia.

Drobny Piattoli referował co przeczytał ostatnio. Szybki jego warkot usypiał króla. Stanisław August spojrzał mętnie na portret carowej: - Chwała Katarzynie, jeszcze jeden dzień dobrze zeszedł! wymamrotał i zachrapał niczym żołnierz stojący na warcie przed Zamkiem.

59.

KWIECIEŃ - OSTATNI MIESIĄC POKOJU

Petersburg dygotał od przygotowań; Platon Zubow, najpotężniejszy mężczyzna w Rosji, bo kochanek Katarzyny, Popow - głupowaty ex-sługus Potiemkina, leniwy Bezborodko - miotali się jak w ukropie. Chodziło przecie o rozbiór Polski - najwspanialszą okazję wzbogacenia się.

Latali kurierzy, prowincjom polecono dostawić rekrutów, generałowie Kochowski i Kreczetnikow otrzymali rozkaz zgrupowania wojsk na granicy Rzeczypospolitej, polskich zdrajców wyprawiono na Ukrainę, by zawiązali tam konfederację, gromadzono pieniądze, pułki i amunicję.

- Kiedy wszystko będzie gotowe? pytała Katarzyna.

- W połowie maja.

- Napisać do Bułhakowa, by 14-go maja w południe, wręczył królowi Poniatowskiemu deklarację o wypowiedzeniu wojny.

* * *

Warszawa trzęsła się od przygotowań; wszyscy ganiali jak koty z pęcherzami. Chodziło przecie o rocznicę 3-go maja - najlepszą okazję do olśnienia świata wspaniałą uroczystością.

Cały obchód wyreżyserował aż do najdrobniejszych szczegółów król. Podczas pierwszego rozbioru nie był tak czynnym i zapobiegliwym. Napisał do papieża z prośbą o przełożenie św. Stanisława z 8-go maja na 5-ci, by kraj miał jednego dnia podwójne święto. Papież nie zezwolił.

Sala zamkowa wydała mu się za mała, kazał przerobić kościół św. Krzyża na cyrk, ławy i trybuny wznieść aż pod sufit. Sprowadził Włocha z Neapolu do wyszkolenia kapeli z 200 grajków, czterokrotnie odbywał regularne próby generalne w kościele; dyrygował osobiście cieślami przy kleceniu trybun; - jak Piotr Wielki przy budowie statków! mówił z zadowoleniem.

Latali kurierzy; prowincjom polecono przysłać delegacje hołdownicze, generałowie Wurtemberg i książę Józef otrzymali rozkaz przybycia z licznym wojskiem na defiladę po Krakowskim Przedmieściu, szykowano fajerwerki, beczki wina i torty.

Stanisław August wezwał Niemcewicza i prosił go o napisanie komedii okolicznościowej.

Mimo sejmu, redagowania gazety, Towarzystwa Elementarnego, ożywionego życia salonowego - znalazł Niemcewicz ostatnio czas i na napisanie kilku bajek, hymnu do piękności, przetłumaczenie długachnej noweli Boufflersa o Alinie, królowej Golkondy. Obiecał więc i sztukę dostawić.

- Masz jeszcze drogi panie Julianie bez mała 3 tygodnie czasu, starczy ci to? niepokoił się król.

- Będzie gotowa Najjaśniejszy Panie!

- Piszże jak najprędzej, a pamiętaj, że 3-go maja wieczorem musi być grana w teatrze.

PONIATOWSKI U BOGUSŁAWSKIEGO

Nadszedł wreszcie wielki dzień. Warszawa wyległa na Krakowskie Przedmieście. O pół do dziesiątej rano Stanisław August, ubrany jak dziewczę do pierwszej komunii w jasne szary, przejechał karetą o ścianach z kryształowych tafli nad którą złoceni geniusze trzymali koronę. Był blady i wystraszony - wciąż wierzył, że knują nań zamach, że przymkną go jak Ludwika XVI-go. Całą noc pisał testament i jęczał.

W kościele św. Krzyża król zasiadł na tronie, który stał przed ołtarzem, tam gdzie krata oddziela prezbiterium od nawy. Tron był zwrócony do nawy tak, że ludzie zamiast ołtarza i tabernaculum widzieli tron i Stanisława. Trybuny skrzypiały od przepełnienia. Rząd, sejm, książę Józef i Wurtemberg na czele 250 wyszlifowanych oficerów, delegacje ze wszystkich województw i miast, piękne damy...

Po solidnej porcji mów (delegatom prowincjonalnym, ku ich wielkiej rozpaczy, nie pozwolono nic gadać - składali tylko adresy wykaligrafowane na pergaminie), po mszy św., kazaniu i dwugodzinnym koncercie Te Deum - ruszyli wszyscy do odwiecznie ulubionej przez dygnitarzy szopki zakładania kamienia węgielnego. Tym razem pod przyszłą świątynię Opatrzności. Wojsko prezentowało broń, grzmiały działa. Nad rozplanowaniem korpusów i baterii na wypadek wojny z Rosją nigdy tak dokładnie nie myślano jak obecnie gdzie ustawić jakiego żołnierza, jaką armatę. Porządek i mnogość wojska uspokoiły króla, przestał drżeć o swe sadło.

Niemcewicz, mimo zachwytu jaki w nim wzbudzały te uroczystości nie na czasie, wymknął się z kościoła do teatru. Miał wielką tremę, czy wobec znikomej ilości odbytych prób, przedstawienie pójdzie składnie.

Zastał Bogusławskiego przy ustawianiu dekoracji. - No, jak tam? Czy aktorzy zdrowi? pytał.

Dyrektor zaprowadził go za kulisy do małego pokoiku zamkniętego na klucz. Otworzył - w gronostajowym płaszczu z koroną na głowie, siedział na zydlu ze złą miną Owsiński.

- Jak to? dopiero południe, a waszmość już przebrany? dziwił się Niemcewicz.

- Bo to taka wstrętna pijanica, tłómaczył Bogusławski, nie ma dnia by się nie zalał, a w znaczniejsze święta - jak dziś, to zawsze podwójnie. Przetrzymałem go siłą, niech króla przed królem zagra na trzeźwo.

- Jakobinie plugawy, króla śmiałeś zamknąć w komórce, skończysz na szubienicy! - zahuczał grobowym basem Owsiński.

- Każę waszmości przynieść suty obiad, obiecał wybiegając Niemcewicz.

Teatr zaczynał się w Warszawie o 6-ej. Sala wyglądała wytwornie: damy w lożach były w sukniach o barwach narodowych, panowie w jasnych frakach; szatni nie było, więc płaszcze rozwieszano po ścianach, a ostrożniejsi siadali na swoich.

Czekano półtorej godziny na króla, nie doczekawszy się podniesiono kurtynę. Przyjechał w połowie pierwszego aktu - zaraz zaczęto sztukę znowu od początku.

Kazimierz Wielki to zanudzająca, trzyaktowa, wierszowana piła. Kazimierz, królowa, Spytko z Melsztyna, Odrowąż, Niemira, Hanna są tak mądrzy, cnotliwi i pełni zalet, że aż korci dać im dla rozruszania kopniaka. Jedyny czarny charakter - magnat Powała - przypominał Branickiego; wciąż prawił o dawnych dobrych czasach, gdy mieszczan się tłukło, a chłopów katowało; statut wiślicki uczynił z dzikiej, słabej Polski państwo potężne i szczęśliwe.

Marne sztuczydło miało jednak ogromne powodzenie. Świetnie pasowało do chwili, Niemcewicz ze swym niezawodnym zmysłem aktualności naszpikował je sytuacjami i powiedzeniami, które wzbudzały momentalny oddźwięk. Gdy pijak Owsiński, czyli Kazimierz Wielki wołał do Powały z patosem:

- W potrzebie stanę na czele narodu mego i wystawię go...

Stanisław August wychylił się z loży i krzyknął:

- Stanę! i wystawię się!

Huragan oklasków był mu podzięką. Zachęcony tym król po chwili, przy słowach pijaka:

- Chociażem stary, choć z głową siwą, pójdę z dobrymi Polakami i albo trupem padnę, albo zostawię Polskę szanowaną i niepodległą...

Znów zarżał:

- Tak, tak! Brawo, fora!

Więc Owsiński powtórzył kwestię, a sala huczała od oklasków. Stanowczo najlepszy aktor był nie na scenie lecz w loży.

Autora wywoływano, wiwatowano na jego cześć. Za swe dwa tygodnie szaleńczej pracy Niemcewicz nałykał się przez dwie minuty owacji.

* * *

Następne dnie upływały równie beztrosko i przyjemnie; Król wydał obiad dla delegatów z prowincji, potem podejmowali ich Ignacy Potocki i Sapieha; bal szedł po balu, fortuny przechodziły z rąk do rąk przy kartach; 13-go maja municypalność stołeczność urządziła ucztę - monstre na 500 osób, cały sejm upił się do nieprzytomności.

61.

KONIEC CZTEROLATKI

18-go maja Bułhakow wręczył królowi nachalną deklarację moskiewską, 21-go król odczytał ją sejmowi. Wojna była dla ogółu gromem z jasnego nieba - nie spodziewano się, nie wierzono w nią...

Stanisław August wnet zaterkotał po swojemu:

- Sprawę należy załatwić raczej piórem niż orężem; nie jest do wiary ażeby tyle światła i wielkomyślności posiadająca monarchini chciała odrzucić wszelkie przedłożenia...

I tłómaczył jak, przez kogo ułagodzić Katarzynę, jak wykazać swą skruchę... Rozległy się z ław pomruki. Przywołany nimi do porządku, jak chłopak co dostał klapsa, zaraz Stanisław wykrzyknął:

- Leczem na wszelkie hazardy wojenne gotów - stawię się i wystawię się!

Miał wrażenie, że jest nadal w teatrze wobec komedii. Nazwisk zdrajców, którym Rosja jak Potockiemu i Rzewuskiemu wyznaczyła oficjalnie po 10.000 rubli pensji, nie chciał wymienić.

Odpowiedź na brutalną deklarację moskiewską zredagowali Ignacy Potocki, Piattoli, Weyssenhoff i Mostowski. Odpowiedź wypadła skandalicznie: nie silna, odważna, męska, lecz - mdła, płaska, lękliwa, tłómacząca się z uchwalenia konstytucji jak z przestępstwa, sumitująca się za powiększenie wojska, za zrzucenie gwarancji. Niewolnicza, upokarzająca ta odpowiedź zamiast wzbudzić zapał wywołała apatię i poczucie niższości.

Ignacy Potocki, jako twórca przymierza z Prusami, pojechał do Berlina prosić Fryderyka Wilhelma o wykonanie traktatu czyli przyjście Polsce ze zbrojną pomocą. Opasły Fryderyk ani o tym myślał, miał już w kieszeni tajną umowę z Moskwą, zapewniającą mu udział w II-gim rozbiorze.

Jego ministrowie kłamali, starali się pozbyć Potockiego; na audiencji brzuchaty monarcha

wybąkał tylko: - Okoliczności się odmieniły...

Prusy zdradziły Polskę obrzydliwie, przy pierwszej okazji. Ignacy Potocki nie zdobywszy się nawet na rzucenie mu w twarz właściwego słowa:

- Podli! - wrócił przygnębiony do Warszawy. Przez 4 lata rozlazły i powolny sejm teraz działał szybko. W parę dni uchwalono jednomyślnie: zwiększyć o 10 procent podatki na szlachtę i kler, podwoić pogłówne żydów, przycisnąć mieszczan i chłopów, urządzać zbiórki publiczne. Proszono króla o udanie się do obozu wojska, obiecał solennie, dla zachęty przeznaczono mu dwa miliony na ten cel; upoważniono króla do ogłoszenia pospolitego ruszenia; ustanowiono sąd extraordynaryjny, który bez długich ceregieli miał karać zdrajców śmiercią. Niestety, sąd ten nie wydał ani jednego wyroku.

Kazimierz Sapieha, siostrzeniec Branickiego, dawniej pionek w jego ręku, teraz najgorliwszy patriota, wołał:

- Przestańmy pisać prawa, a pójdźmy je bronić! 29-go maja sejm zwaliwszy wszystko na barki króla, po 4 latach i 562 posiedzeniach - zalimitował się. Stanisław August solwował sesję o 4-ej rano. Opuszczając salę zamkową Niemcewiczowi ani powstało w głowie, że był na ostatnim posiedzeniu sejmu niepodległej Polski.

62.

NONSENS PRAWORZĄDNOŚCI

Filozofom francuskim XVIII-go wieku zdawało się, iż kraj może być potężny dopiero gdy ma dobrą konstytucję. Nie rozumieli, że istotą rzeczy jest kto rządzi, a nie jakie prawa obowiązują.

Przy swym dawnym, fatalnym ponoć ustroju, Polska była za Batorego i Władysława IV mocarstwem. Żona i za wielki brzuch spowodowały niepowodzenia Sobieskiego - nie zły ustrój.

Najgłupsza konstytucja będzie doskonała podczas rządów mądrych ludzi, a najmądrzejsza będzie okropna podczas rządów głuptasów.

Patrioci postawili Polskę na nogi. Wiosną 1788-go roku Polska była próchnem, bałaganem, zahukaną biedotą. Wiosną 1792-go Polska była całkiem przyzwoitym państwem z 60-ciotysięczną armią i dość zasobnym skarbem.

Patrioci dokonali wielkiego dzieła. Lecz, że byli nieodrodnymi synami XVIII-go wieku

zdawało im się, że grunt to konstytucja spisana na arkusiku, który każdy może nosić w kieszeni. Uważali za swą wiekopomną zasługę nie obalenie protektoratu Rosji, stworzenie armii, wprowadzenie ładu, ale ustanowienie konstytucji.

Że sejm uchwalił konstytucję 3-go maja to ostatecznie nie było jeszcze nieszczęściem.

Katastrofą natomiast było, że sejm się jej przytrzymywał, że uważał, iż ona obowiązuje, że nie śmiał jej pogwałcić. Teraz, gdy kacapia wypowiedziała wojnę, zdrowy sens wskazywał, że sejm, który Polskę z błota wyciągnął, który był sprężyną wszystkich rozsądnych poczynań, winien być czynniejszym niż kiedykolwiek, winien ująć władzę krzepciej w dłonie i nie oglądając się na żadne ustawy ani prawa, winien przedewszystkim energicznie prowadzić wojnę.

Tymczasem sejm wyrozumował sobie, że konstytucja jest po to, by ją obserwować. Oczywiście zdrowy sens rozumował doskonale, a rozumowanie było bez sensu.

Sejm zajrzał do Konstytucji i - o zgrozo! postąpił zgodnie z nią.

Zalimitował się, całą władzę przelał na króla. On teraz rozkazywał armii, on mianował dowódców, on dyrygował Radą Wojenną, on mógł zwołać pospolite ruszenie, on był zwierzchnikiem komisji skarbowej, on kierował polityką zagraniczną, on decydował o armistycjum, kapitulacji, pokoju! Od czasu Chrobrego żaden monarcha polski nie miał tak absolutnej władzy.

Wydaje się, że patrioci postradali zmysły. Przez 28 lat widzieli słabość, chwiejność, małoduszność, kłamliwość Stanisława Augusta - teraz w najkrytyczniejszym momencie powierzali mu losy kraju. Czyż naprawdę nie rozumieli, że tchórz od urodzenia nie staje się bohaterem na starość, że wieczne popychadło Katarzyny nie ośmieli się nagle stawić jej czoła, że służalcza natura, która zniosła jeden rozbiór i tysiące policzków nie stanie się ni stąd ni zowąd szlachetną i mężną, że wygodniś i łakomczuch raczej wojnę przegra niż narazi się w obozie na noc na twardym łożu i na złą kolację.

Patrioci nie pozwolili sobie na żadne wątpliwości ani obiekcje. Konstytucja głosiła, że w czasie wojny sejmu nie ma, król sam rządzi - patrioci wykonali bezduszny przepis konstytucji. Przy Batorym czy Sobieskim ten ustęp ustawy majowej byłby świetnym, przy Poniatowskim należało go koniecznie pominąć.

Pozostać, schować konstytucję do szuflady, króla zamknąć w komórce, porwać całą Polskę do broni, prowadzić - jak izba francuska - wojnę do upadłego, do zwycięstwa - uczyniłby to sejm półtora roku przedtem i kraj uratował. Dziś byłoby to złamaniem konstytucji. Gwałcić umiłowany twór! Za nic!! Nikomu nie powstało to nawet w głowie.

Czteroletnią wspaniałą działalność zakończył sejm katastrofalnym głupstwem. Patrioci kochali więcej konstytucję niż Polskę.

63.

POLSKA MA WSZELKIE DANE BY ROZGROMIĆ KATARZYNOWE TAŁAŁAJSTWO

Komisja Wojskowa, o powstanie której staczano tak pyskate boje, niewiele była warta.

Składała się z 18 matołów, z których połowa była nadomiar zdrajcami; Komisja nieudolnie rozlokowała wojsko, zacofanym systemem porozdzielała armaty po pułkach choć na zachodzie już łączono artylerię w większe baterie, dostawa amunicji szwankowała, nie miano żadnych planów, nie wiedziano co gdzie jest.

Głównodowodzącymi zostali najgodniejsi tj. najlepiej urodzeni, czyli królewscy bratankowie.

Naczelny wódz na Ukrainie - 30-letni książę Józef - był w wojsku austriackim pułkownikiem, w bitwie pod Sabaczem jakaś kulka drasnęła go w udo. Wystarczyło to by w Polsce, gdzie od wieku żaden oficer inaczej jak od ciosu butelką od piwa w łeb nie został ranny, uznano go za bohatera. Przystojny, czarny, mocno łysiejący książę Józef mieszkał wspaniale, ubierał się wytwornie, tańczył bajecznie, całował cudownie, spółkował niezrównanie, powoził fenomenalnie, przegrywał z wdziękiem tysiące dukatów stryjowskich. Ponieważ na domiar na rewii w Brasławiu skoczył na koniu przez 7 armat - opinia Warszawy była zgodna, że tak znakomitego wodza jeszcze Polska nie miała!

Głównodowodzący na Litwie, rudy Wurtemberg, pił i tłukł żonę w stolicy, zaabsorbowany tymi pożytecznymi czynnościami nie wyruszał do armii. Chodziły głuche wieści, że podejrzanie koresponduje z Fryderykiem Wilhelmem, że zdradza i chce zgubić swe wojsko. Nikt mu nie dowierzał, ale pozbawić go dowództwa znaczyłoby obrazić Czartoryskich. Z dwojga złego wołano zostawić armię Wurtembergowi.

Książę Adam zagroził rudemu, że przestanie płacić jego długi - dopiero pojechał na Litwę.

Pomocnymi mieli mu tam być Judycki, rozlazły generał co postanowiwszy podłubać w nosie przez pół dnia nie mógł się zdecydować w której dziurce, a przez drugie pół którym palcem, oraz postawny Michał Zabiełło co we Francji doszedł aż do rangi kapitana i nawet, podobno, kiedyś, omal, że uczestniczył w potyczce o karczmę. Wielki żarłok, wielki śpioch, w krytycznych chwilach wymagających natychmiastowej decyzji wołał: - un instant, un instant messieurs! i zagłębiał się w indycze rozmyślania.

Dary magnackie, z takim rozgłosem ofiarowywane, okazały się szmelcem. Radziwiłł dał przed trzema laty 6 armat - posłowie litewscy wnosili by za to biust jego ustawić w sejmie - teraz dopiero zauważono, że działa te są bez kół, lawet, luf i zamków.

Szlachta dostarczała jako rekrutów w pierwszym rzędzie wszystkich wsiowych ślepców, idiotów i paralityków.

Magistrat Wilna nakładał cło na proch przywożony z Gdańska do arsenału.

Lubomirski nie dawał wojsku w swych dobrach żywności ani furażu.

Mimo tych i wielu innych mankamentów Polska była najzupełniej zdolna do prowadzenia wojny. Generałowie - stare niedojdy, sztab z bezsensownymi planami, złodzieje w intendenturze, kawaleria bez koni, kulawi w piechocie, zardzewiałe armaty, zbutwiała amunicja, puste składy prowiantury, sabotaż ze strony części społeczeństwa, bezhołowie, zamieszanie - ależ do normalne, uświęcone tradycją rzeczy u stron wojujących. Armia bez bałaganu jest równie nieprawdopodobna jak deszcz bez wody, jeszcze takiej na świecie nie było.

Polska miała około 60.000 regularnego wojska doskonale wyekwipowanego. Armia była młoda, pełna zapału. Zwołując pospolite ruszenie łatwo ją można było potroić. W skarbie świeciło nieco grosza, wszędzie urządzane zbiórki sporo przynosiły. Można było przecież jeszcze obedrzeć kobiety z klejnotów, kościoły z wotów, magnatów ze skarbców, żydów ze wszystkiego.

Skończony dureń Kocbowski wkraczał na Ukrainę z 64-rema tysiącami stupajek, niezguła Kreczetnikow na Litwę z 52-ma tysiącami. Cóż takiego! Zawsze w wojnach z Polską Moskale mieli liczebną przewagę i zawsze byli bici jak sztubacy za kradzież kwaśnych jabłek. Tępe, zabobonne, leniwe, zmęczone wojną z Turkami, kijem przez oficerów analfabetów pędzone żołdactwo kacapskie nie było wcale groźne. Polska miała wszelkie dane, by rozgromić katarzynowe tałałajstwo.

64.

GDYBYŻ GO POWIESZONO CHOCIAŻ NA KWADRANS

Niemcewicz był w gorączce. Rozumiał, że chwila obecna jest decydująca: albo Polska wróci do szeregu prawdziwych państw, albo stanie się znów gubernią rządzoną przez ambasadora-satrapę. Oddał się cały sprawie wojny.

Jako członek Komisji Edukacyjnej napisał uniwersał do młodzieży szkolnej, by błagała Boga o sukcesy oręża polskiego. Komisja nakazała nauczycielom dopilnować uczni w przykładnym uczęszczaniu do kościołów i rzetelnej modlitwie. Obok brata Juliana uniwersał sygnował Antoni Małachowski, Gutakowski, Potocki - wszyscy solidni masoni.

Przeczytawszy go w Gazecie stary pan Marceli Niemcewicz aż mlasnął z zadowolenia:

- No, nareszcie roztropne posunięcie! Teraz mamy szanse pobić Moskali; gdyby tak jeszcze odkomenderowano część wojska do chrzczenia żydów...

Gazeta Narodowa i Obca była całkowicie na usługach wojny. Niemcewicz drukował listy ofiar, sam przyłączając się do każdej składki z paruset złotymi, nazwiska woluntariuszy wstępujących do armii, informacje z placu odwrotu. Ponieważ tych informacji, z właściwą mu złą wolą, król kazał swej kancelarii odmawiać, Niemcewicz komponował je samodzielnie, wymyślił niezastąpioną formułę: "nasze wojska w najlepszym porządku cofnęły się na z góry upatrzone pozycje..."

Z Warszawy wymaszerowały ostatnie pułki; armaty zaprzężone w 3 konie i wozy prochowe w 5 z łoskotem opuszczały miasto. Król w towarzystwie dam wyłaził z Zamku, oglądał na placu armaty, naturalnie nic nie rozumiał, ale mówił z miną znawcy:

- Ta ma śliczny kształt! Oo, a czemuż ta ma taką krótką lufę, pewnie szelmy majstry się upiły i odlewania nie dopatrzyli.

- To moździerz Najjaśniejszy Panie.

- Nie potrzebujesz mi mówić gamoniu, od razu to sam zauważyłem.

Warty zaciągali obecnie mieszczanie. Stał przed arsenałem rozradowany grubas z błyszczącym karabinem, przepasany trzema patrontaszami, cała rodzina schodziła się patrzeć jak tata służy.

- Już czas na obiad, chodź Pafnucy! wołała pani kupcowa.

- Kiedy jeszcze zmiany nie widać.

- No to co z tego? Ty swoje odstałeś. Chodź, bo zupa wystygnie.

- Racja, potwierdzał mieszczanin dobywszy zegarka, ja już swoje ojczyźnie wysłużyłem, nie będę przez tych leniuchów zimnej grochówki jadł. Idziemy!

Dzieci chwytały karabin taty i wszyscy biegli wesoło do domu.

Nie było w kraju tej nienawiści do wroga, bezpardonowości względem zdrajców - koniecznych dla wygrania wojny. Stanisław August napomykał wciąż o załagodzeniu "konfliktu", o niezaognianiu stosunków. Nie dopuszczał do podstawowych reakcyj podczas wojny.

Przełapano list Wurtemberga do króla pruskiego w którym donosił, że w myśl jego poleceń rozproszkowuje wojsko, nie manewruje nim, by ułatwić Rosjanom zwycięstwo.

Skrzywił się Stanisław August: co to za nieprzyzwoite metody rozpieczętowywać listy naczelnego wodza? No, ale trudno - stało się. Pozbawiono Wurtemberga komendy, zamiast powiesić obmierzłego zdrajcę chociaż na kwadrans - dla przykładu innym - dano mu spokojnie wyjechać do Berlina. Księżna Marianna zaraz zażądała rozwodu i zamknęła się z matką w klasztorze Sakramentek. Nie można więc było mieć do Czartoryskich pretensji - dali Polsce rekompensatę!

Bułhakowa nie przepędzono z Warszawy. Siedział i intrygował. Kurierzy jego, niezatrzymywani i nierewidowani, byli łącznikami między Kreczetnikowym i Kochowskim; korespondencja korpusów rosyjskich z Litwy na Ukrainę szła najkrótszą drogą - przez Warszawę.

Bułhakow kosztownymi prezentami zjednał sobie otoczenie króla. O wszystkim co się działo na Zamku, co postanowiono na radzie ministrów, co raportowali generałowie - był doskonale poinformowany i z kolei bez przeszkód donosił Petersburgowi.

Korespondencję króla z Debolim czytywał stale Bezborodko. Niedołężna Polska nie miała przed Moskwą sekretów.

65.

WYPRAWA NA WRÓBLE

Dobrzy patrioci domagali się od króla wykonania obietnicy danej sejmowi, tj. wyjazdu do obozu. Sądzili naiwnie, że gdy Poniatowski przypasze szablę i będzie spał w namiocie na armacie to już tym samym stanie się Batorym. Od jego obecności w obozie uzależniali pomyślny obrót wypadków. Tłómaczyli, że będzie to dla narodu widomym znakiem, iż wojna się rozpoczęła i wszyscy winni stawać w szeregu. Tępy to był naród, który dla zrozumienia tak prostych rzeczy potrzebował tak skomplikowanej demonstracji.

Stanisławowi trudniej przychodziło zdecydować się na wyjazd do obozu niż Sobieskiemu na odsiecz wiedeńską.

- Kiedy ja nie mam pieniędzy! zrzędził.

- Ofiaruję 200.000 zł., oświadczył Małachowski, ale włożę je dopiero do pojazdu w którym wyruszy Wasza Królewska Mość do obozu.

- Gdzie ja założę ten obozek? jęczał król, i czyliż będę w nim miał odpowiednie kanapy, kuchnię, bibliotekę?

Postanowił wreszcie, że w Kozienicach dokąd czasem jeździł na polowania, lecz potem błysnęła mu genialna myśl: - Praga przecież jeszcze bliżej!

Z wielkim hałasem powstał niepotrzebny zgoła obóz na Pradze. Przez trzy tygodnie Kluchosław to nie miał czasu, to się źle czuł, to był piątek, to zapomniał, to czekał na listy, to za późno wstał, to pogoda była niestosowna...

Wreszcie, drżąc całym sadłem, pojechał karetą. W obozie kwadrans przeglądał hufce, trzy kwadranse jadł obiad, dwie godziny spał w namiocie - po czym wrócił na Zamek. Zasiadł w salonie wśród swych sióstr, pań Grabowskiej, Ożarowskiej, kanclerzyny Małachowskiej, Protowej i Sewerynowej Potockich... opowiadał o swej kampanii na wróble. Babie stado będące w komplecie na bułhakowym żołdzie zaskrzeczało natychmiast:

- Mamy króla bohatera!

- Bledną wobec niego Achillesy i Hannibale!

- Nie powinna się Wasza Królewska Mość tak narażać!

- Trudy, niebezpieczeństwa wojenne mogą zaszkodzić twemu zdrowiu Stasiu, a zdrowie twe cenniejsze dla kraju, niż wygrana bitwa!

- Czyż zresztą nasza słaba, nieliczna, niewprawna armia może w ogóle wygrać bitwę z potężną, wspaniałą armią rosyjską?

- Niepodobieństwo!

- A gdyby jakimś cudem i wygrała jedną to przecie nic nie pomoże, bo Moskwa natychmiast wystawi trzy nowe armie.

- Ta wojna to tylko daremny krwi rozlew!

- Tylu młodych, ślicznych, jędrnych chłopców, mogących tak wiele dobrego w innej dziedzinie zdziałać, ginie napróżno!

- Wojna obecna to prywatna wojna między Ignacym Potockim i Szczęsnym Potockim; nie przystoi królowi wdawać się w nią.

- Kraj potrzebuje ładu, spokoju, zgubi go ta pożoga wojenna.

- Jedyny ratunek to zdać się na łaskę wszechmocnej Imperatorowej.

- Przeprosić, przebłagać jej słuszny gniew...

- Najcnotliwsza ta Pani nie chce przecie niczego innego jak dobra Polski.

- Gdy złożymy bezrozumny nasz miecz u Jej stóp - wspaniałomyślnie przebaczy, zostawi nam wszystko jak było...

- Ach Najjaśniejszy Panie, powinieneś przerwać czym prędzej tę najszkodliwszą z wojen.

- Naród będzie ci za to wiekopomnie wdzięczny. Zamiast zgromić kwoki za te bluźnierstwa Stanisław August słuchał ich z lubością. Wypowiadały przecie jego własne myśli i przekonania. Jazgot kilku jurgieltowych wiedźm brał z zadowoleniem za głos całego społeczeństwa.

Na razie jeszcze udawał i pozował. Gorącym patriotom rozpowiadał jak lada chwila wyruszy w pole, poprowadzi pułki z gołą głową i szablą w ręku do ataku, jak zbroczony krwią padnie w chwale - za konstytucję, za ojczyznę! I roztkliwiony wizją swych zwłok w rowie, lał strumienie łez. A łatwowierny patriota obejmował króla za kolana, wtórował mu bekiem.

66.

MISTRZOWSKI KUBEŁ ŻÓŁCI

Targowiczanie zasypywali kraj kłamliwymi odezwami. Rozjątrzony Niemcewicz chwycił za pióro na początku lipca i w parę dni napisał kapitalną broszurę:

Forma prawdziwego, wolnego Rządu przez konfederację Targowicką ułożona.

Jak Powrót Posła jest najlepszą komedią, mowa przeciw zdrajcom najsilniejszym wyczynem krasomówczym tak i ta książeczka najzjadliwszym pamfletem XVIII-go wieku. To arcydzieło publicystyki! W trzech dziedzinach Niemcewicz okazał się mistrzem.

Zwięźle, z pasją przedstawił jak magnaci chcą urządzić przyszłą Polskę demokratyczną:

Posłami, sędziami w trybunałach będą ci, których oni wybrać każą; sejmy uchwalać, sądy wyrokować mają podług ich rozkazów; szlachcic może tylko mieć zdanie zgodne ze zdaniem swego pana; mieszczanom, bydłu i chłopom wolno tylko pić w pańskiej karczmie i pracować na pana; królewskimi prerogatywami są: pierwszeństwo przy stole i podpisywanie przywilejów dla panów na urządzanie jarmarków; starostwa mają należeć do panów; wyższe od stójki urzędy mogą piastować tylko panowie; wojsko niepotrzebne; szkoły zbędne; fabryki zgubne; drukować nic nie wolno prócz panegiryków na cześć magnatów; modlić się trzeba jedynie o zdrowie i pomyślność dla panów...

Świetny ten, pełen ognia pamflet przyprawił księcia Adama o mdłości: - Jak można pisać tak wulgarnie, bez szacunku o szacownych rodach! jęczał.

Potoccy w Warszawie byli zgorszeni, a Potoccy w Targowicy wściekli. Nigdy od nikogo tyle się magnatom nie dostało co od tego magnackiego wychowanka.

Wojna źle szła. Z placów odwrotu, mimo powszechnej chęci żołnierza walczenia do ostatka, przychodziły same smutne wieści. Na Litwie, mimo bitności i zapału młodocianej armii, patentowane fujary Judycki i Zabiełło doprowadzili do kompletnej debandady, cofnęli się z wojskiem w nieładzie do Grodna. Nie było w tym ani cienia zasługi Kreczetnikowa; wystraszony i niezdecydowany przegrupowywał swe siły w nieskończoność, zawsze był gotów do ucieczki.

Książę Józef, wedle wskazań Rady Wojennej, cofał się spod Humania do Bugu! Bezsensowny plan, bo płytki i wąski Bug nie był żadną linią obronną, ślepy karzeł mógł go wszędzie przejść w bród. I co za system by ruchami wojska nie wódz kierował, ale Rada głupców oddalona o 1000 kilometrów.

Trapiły te niepowodzenia Niemcewicza. Napisał pamflet, odezwę do młodzieży, w każdym numerze Gazety nawoływał do broni - uznał, że dość służenia krajowi piórem, pora wziąć się do szabli.

67.

PRZEDSTAWIENIE DLA JEDNEGO WIDZA

Rankiem 16-go lipca Niemcewicz poszedł na Zamek, został wprowadzony do garderoby króla. Stanisław August siedział przed lustrem nieumyty, nieuczesany, bez szminki - wyglądał na stare pudło. Słuchał raportu kuriera przed chwilą przybyłego z Litwy:

- III-cia dywizja cofnęła się pośpiesznie pod Słonim, cały tabor stracony...

- Uaaa, - ziewnął król.

- 4-ty pułk został rozbity, kilkadziesiąt ludzi padło.

- Uaaa.

- Major Różycki i kapitan Biesiadecki zabici.

- Uaaa.

- Po stronie rosyjskiej został zabity Zubow...

- Kto taki? podskoczył król.

- Zubow, Walery Zubow, udało się naszym dragonom go przystrzelić...

- Łotry, zbrodniarze, tupał nogami król, zamordowali szwagra najcnotliwszej Imperatorowej! Tego nieszczęścia jeszcze nam brakowało! Precz, won z moich oczu!

Kurier wybiegł oszołomiony. Zachował pomyślną wiadomość na ostatek i właśnie ona dopiero rozłościła króla. Nie rozumiał.

Wiadomość zresztą była nieprawdziwa. Okazało się wkrótce, że Zubow wcale nie zginął; za dobrze się dekował.

Widząc dezaprobatę na twarzy Niemcewicza, Stanisław August pohamował się i zapytał słodziutko:

- Czegóż chcesz mój kochany?

- Chcę jechać do armii księcia Józefa, chcę się bić!

- Szkoda cię, możesz zginąć, a przedniś poeta...

- Poeci winni służyć krajowi w pierwszym rzędzie.

- Nic tam nie pomożesz, bardzo źle rzeczy idą...

- Lecz łacno mogą się poprawić; Wasza Królewska Mość zwoła pospolite ruszenie, stanie na czele narodu, przybędzie do obozu...

Kluchosław machnął ręką - z zapaleńcami nie warto dyskutować; wprowadził Niemcewicza do sąsiedniego pokoju pełnego tłomoków z mundurami, siodeł, lanc; na podłodze leżały szable, pistolety, karabiny i nawet armatnie koło.

- Widzisz, rzekł król, szykuję się do kampanii! i schwyciwszy jakąś karabelę jął nią wymachiwać wołając: - będziemy się bili! Do ataku, marsz, marsz!

- Ach, Najjaśniejszy Panie, zachlipał Niemcewicz padając mu do nóg, zawsze cię kochałem nad życie, wierzyłem, że kraj uratujesz...

- I nie zawiedziesz się podobnież jak wszyscy co wiernie przy mnie stoją. Zaczekaj tu, napiszę list do księcia Józefa.

Stanisław August przeszedł do swego gabinetu, siadł zasapany pod portretem Katarzyny i zaczął: "Mon cher Pepi. Je fais l'impossible by jak najprędzej stanąć w obozie..." po czym wspomniawszy o swej miłości ojczyzny i chęci przelania za nią krwi rozwodził się o dobroci carowej, o potrzebie jej przebłagania, o korzyściach zaprzestania wojny, o konieczności spłacenia swych długów; na zakończenie tych sześciu stronic zaklinał Pepi by był ostrożny, nie narażał się, nie przeziębiał, nie przemęczał...

Wezwał kuchmistrza Tremo, kazał mu zapakować duży placek ze śliwek - taki jaki lubi Pepi - wrócił do Niemcewicza, mówiąc:

- No to jedź z Bogiem i tym oto moim listem do księcia; wręcz mu też zaraz ten pakiet, a nie zapomnij - zaraz! bo to bardzo ważne; donieś, żeś mnie widział już jedną nogą w strzemieniu, że lada chwila zjawię się wśród armii.

"Nie możemy przegrać wojny, myślał wychodząc Niemcewicz, z tak prawym, dzielnym, stałym w dobrych intencjach królem..."

Powierzył redakcję Gazety swemu pomocnikowi Szymańskiemu, przebrał się w mundur majora. Skoro generałami artylerii byli wtedy magnaci co nigdy w życiu nie słyszeli strzału armatniego - słusznie on był majorem. Bądź co bądź w Korpusie Kadetów nauczył się odróżniać haubicę od bagnetu.

Tegoż dnia wieczorem, na małym wózku, wyruszył do armii.

68.

ARMIA ZAMIENIONA W RAKA

Niemcewicz zastał kwaterę księcia w Dorobusku. Wojsko było rozżalone ciągłym cofaniem się, czteroklepkowy niepiśmienny ordynans rozumiał doskonale bezsens tej taktyki naczelnej Rady Wojennej. Poza potyczką pod Zieleńcami ani razu nie

skrzyżowano broni z Moskalami. Nikt nie został nawet zadraśnięty, zwykła kampania sejmikowa była krwawsza od tej pseudo-wojny. Mieć pod sobą konia zabitego uchodziło za patent na bohaterstwo, co drugi oficer się tym przechwalał, świeżo ustanowionych orderów wojennych, pozłacanych krzyżyków z napisem Virtuti Militari, był w obozie pełen wielki kufer; wszyscy dygotali z chęci otrzymania ich - ale za co? Przecie nawet te chabety ginęły jedynie w wyobraźni.

Książę Józef wykazał zmysł strategiczny, odwagę osobistą, zapał, sumienność - ale wszystkie te zalety które by wystarczyły na utworzenie trzech dobrych wodzów niszczyła z kretesem jedna straszliwa wada: kochał stryja Stanisława i był mu posłuszny!

A w obecnej sytuacji prowadzić i wygrać wojnę można było jedynie robiąc wszystko akurat wręcz przeciwnie niż nakazywał król.

Sztab księcia składał się z młodych, wesołych oficerów. Pletli kawały, żartowali, że to Potocka wojna, wojna Stasia z Kasią - pokłóconych kochanków, że tak czy owak polscy wodzowie zwyciężą boć po tamtej stronie są dwaj hetmani i generał artylerii...

Niemcewicz uznawał tylko dobre i swoje dowcipy, sztabowe wydały mu się zbrodnicze. Wojna była dlań święta, przyjechał do armii jak beduin do Mekki i chciał tu widzieć same doskonałości. Zgromił więc oficerów, palnął im wzniosłe kazanie. Zaczęli się nań boczyć, patrzeć krzywo jak na kontrolera.

Książę Józef był niespokojny o Kościuszkę idącego w ariergardzie, miał mętne wieści o bitwie pod Dubienką.; Niemcewicz oświadczył, że jedzie na zwiady.

Późną nocą dotarł do Kuniowa odległego o 5 mile od Dubienki. Zastał tam Kościuszkę w czarnej rozpaczy, łkającego:

- Straszna klęska! W ciemnościach zdołały ujść ze mną tylko dwa bataliony piechoty i jeden regiment jazdy; reszta mojej dywizji stracona! Ach, ach...

Zaczął pisać do księcia raport o swym pogromie, gdy nagle rozległ się tętent, tupot - do izby wpadł Wielowieyski wołając:

- Więc żyjesz generale? No chwała Bogu! To grunt. Te dwa bataliony piechoty i kawałek jazdy można odżałować...

- One są tu ze mną. Ale za to reszta dywizji...

- Całą dywizję w komplecie szczęśliwie tu przeprowadziłem.

- Ha, więc nikt nie zginął? Zatem odnieśliśmy cenne zwycięstwo.

Kościuszko podarł zaczęty raport i napisał drugi z drobiazgową relacją o swym sukcesie. Dubienka z bezładnej rozsypki stała się mistrzowskim odwrotem i rozsławiła w Polsce wodza tak przemyślnego manewru.

Niemcewicz został przy Kościuszce, którego stateczność i powaga bardziej przypadały mu do gustu. Książę Józef bawił się wojną - Kościuszko ją celebrował.

Swawolny, lubiący dowcipy nie na najwyższym poziomie, ale na takim średnim - poniżej pasa, książę nie miał sympatii dla purytanina z Ameryki. Cnotliwy Kościuszko nie uczęszczał na wystawne obiady księcia, za to rady wojennej nigdy nie opuścił; adiutanci Poniatowskiego podrwiwali zeń po kątach i przezywali pastorem.

Polacy na rozkaz Warszawy cofali się wciąż bez celu i bez powodu. Moskale następowali bezmyślnie i bez żadnej zasługi. Kochowski nie wykazywał nic prócz wyjątkowej niezdarności, nawet Branicki paradujący w jego sztabie w stroju hetmana nie był tam najlepszy. Jeden odważny atak w dobrej pozycji mógł znieść całe to kacapskie stado.

Armia przeszła Piaski, Lublin, zbliżała się do Puław. Sądzono, że gdzieś nad Wisłą dojdzie nareszcie do walnej bitwy. Wszyscy - od naczelnego wodza do ostatniego szeregowca - drżeli z niecierpliwości.

69.

BÓG I KATARZYNA

Kluchosław August myślał z goryczą:

Ta nieznośna wojna trwa już chyba wieki, a 4 tygodnie to na pewno; kosztuje najniepotrzebniej masę pieniędzy, które ja mógłbym o wiele korzystniej, bo na siebie obrócić; pierwszym obowiązkiem zgromadzeń narodowych jest spłacanie długów monarszych! Sejm nie spełnił tego świętego obowiązku; od kogo teraz pożyczyć? od kogo co dostać? Przez te brewerie wojenne jeszcze stracę koronę... trzeba nareszcie skończyć z tą zwariowaną wojną!

Nic nie mówiąc nikomu napisał pokorny list do Katarzyny z przeprosinami, zapewnieniami swej uległości, błaganiami o pokój.

Carowa odpowiedziała surowym, prostackim biletem, że król może liczyć na jej łaskę tylko o ile przystąpi natychmiast do Targowicy! Wobec tak wyraźnej woli bożej Kluchosław

zwołał radę ministrów.

Zeszli się wszyscy na Zamek, rozmawiając o wojnie, czekali aż król wygrzebie się z betów.

Zjawił się nadspodziewanie prędko. Wymuskany, wypinając brzuch, oświadczył wesołym głosem:

- Zgłaszam swój akces do Targowicy! Kto prawym synem ojczyzny - postąpi jak ja!

W prawych patriotów jakby piorun strzelił. Oczy wyszły im na wierzch, usta rozdziawili, zatkało oddech...

A król ze słodyczą klarował, że akces do Targowicy to zakończenie krwawej wojny domowej, to zbawienie kraju od łupiestwa i ruiny, to jedyny sposób uniknięcia drugiego rozbioru i wreszcie - co najważniejsze - to wykonanie stanowczego rozkazu Najpotężniejszej Imperatorowej. Odczytał jej list i powiódł tryumfalnym wzrokiem - jakaż tu może być jeszcze dyskusja.

- Ślubowaliśmy wierność konstytucji! wykrzyknął Sapieha.

- Legnie w gruzach całe dzieło reform, przekładał Małachowski.

- Jakież zapewnienia dała carowa, że nie zagarnie naszych ziem skoro złożymy broń? pytał Ignacy Potocki.

- Najjaśniejsza nie raczy z nami paktować póki zajmujemy wrogą postawę, odparł król, lecz trzeba ufać Jej wielkoduszności...

- Lepiej ufać armatom!

Łamiącymi się głosami ciskali patrioci argumenty, prosili, zaklinali na wszystko co święte... daremnie! Król był nieugięty, wsparli go skwapliwie Chreptowicz, kanclerz Małachowski, obaj bracia i inne rublochapy. Przedawczyki, przez głupotę patriotów dopuszczone do rządu, z uszami pełnymi podszeptów Bułhakowa i kieszeniami jego złota, gardłowali za padnięciem plackiem do nóg Katarzyny jako za jednym zbawieniem.

- Głosujmy, skrzeczał kanclerz, kto za konfederacją 3-go maja, kto za targowicką?

- Tak, tak, głosujmy, kwiczeli zdrajcy.

Zwyciężyli. Okazali się w większości. Ignacy Potocki protestował:

- Konstytucję 3-go maja uchwalił naród, rada ministrów nawet jednomyślnością nie może jej obalić.

Na to król: - W imię konstytucji, mocą której do mnie należy decyzja, rozkazuję - niezwłoczne przerwanie wojny!

Chreptowicz rozwinął arkusik papieru - akces do Targowicy, zdrajcy rzucili się podpisywać.

- A wy? zachęcał król zrozpaczonych oponentów.

- Nie. Za nic!

Kluchosław wstał, wyszedł otoczony podłą zgrają. We drzwiach ministrowie Rzeczypospolitej wznieśli okrzyk: - Bóg i Katarzyna!

- Hańba, jęknął marszałek Małachowski, a za nim Potocki, Sapieha i echo pustej sali. Kołłątaj chyłkiem wybiegł za zdrajcami.

70.

REKORD ZAŁGANIA

Decyzja króla i rady ministrów zyskała pełne uznanie Bułhakowa.

- Wot i prekrasno! zacierał ręce.

Pyzatej Grabowskiej, w nagrodę za systematyczne nawracanie małżonka, ofiarował wspaniałą złotą bransoletę wysadzaną szafirami i brylantami. Inne kwoki zamkowe też zostały suto obdarowane. Gęgały tryumfująco:

- A co? Ledwo wojna skończona i już jakie błogie skutki dla kraju!

Kluchosław, kontent, że nareszcie zdobył się na krok o którym marzył od początku, siedział w swym gabinecie i czytał Plutarcha.

- Ech, ja pechowiec, wzdychał, nie gorszym od Solona, Arystydesa i Leonidasa, ale mój Naruch nie potrafi mnie tak pięknie przekazać potomności jak ten szelma Plutarch...

Do księcia Józefa pisał sążniste listy. Tłómaczył drogiemu Pepi, że musi przecie spłacić swe długi, że musi mieć u kogo nowe zaciągnąć, że przystąpienie do Targowicy było

jedynym rozsądnym i godziwym wyjściem, nakazywał, błagał by i Pepi zgłosił akces. Ja - kończył - nie mam innych trosk poza służeniem krajowi; póki życia wytrwam na posterunku, nie odstąpię skołatanej Ojczyzny, raczej trupem padnę niż dam o piędź ziemi uszczuplić jej granice; bierz przykład ze mnie, Pepi nie składaj dymisji!

Doszły króla zupełnie pewne wiadomości, że drugi rozbiór już jest w Petersburgu postanowiony. Wnet przez Bułhakowa zaproponował Katarzynie, by mu wyznaczyła 100.000 dukatów rocznej pensji - wówczas on abdykuje, wyjedzie do Włoch, nie mieszając się do niczego spokojnie tam dopleśnieje żywota, a ona w Polsce będzie robić co zechce.

Carowa tylko wzruszyła ramionami na tak niedorzeczny pomysł. Też! Właśnie dzięki Stanisławowi robiła z Polską co chciała, był dla niej pożyteczniejszy niż dwie stutysięczne armie z kohortą generałów.

- Dopiero bez tego starego durnia mogą być z Polską trudności! myślała.

71.

ARMIA Z WYTRĄCONYM MIECZEM

W słoneczny ranek 25-go lipca Niemcewicz obudził się w Kurowie (30 klm. za Lublinem) wesół jak szczygieł i jął deklamować barłożącemu się w sąsiednim łóżku 19-letniemu generałowi Ilińskiemu kuplety. Śmieli się obaj do rozpuku gdy wpadł do izby oficer wołając:

- Król przystąpił do Targowicy! Każe nam złożyć broń! Wojna skończona!

Za miasteczkiem rozlegał się tętent, strzelanina. To książę Józef, w przystępie rozpaczy, rzucił się na czele ariergardy na Moskali. W ciągu dwumiesięcznej rejterady mógł znaleźć lepsze okazje do bitwy; za późno się zorientował, że ślepe słuchanie stryja prowadzi tylko do kapitulacji.

Iliński i Niemcewicz dopadli koni, popędzili w pole. Świst kul, ryki, zamieszanie - major Niemcewicz nie rozumiejąc gdzie swoi, gdzie obcy, kogo bić - galopował bezmyślnie. Książę Józef ciskał się na wszystkie strony, chciał zginąć, naturalnie nie było sposobu. Tylko jedna zbłąkana kula trafiła Ilińskiego w głowę - padł jak kłoda. Pan major patrzał osłupiały na trupa 19-letniego generała z którym dowcipkował przed kwadransem.

Była to ostatnia z pół tuzina ofiar wojny.

Zabrzmiały trąbki, załopotały białe ręczniki. Zjechali się na polu Kochowski i książę Józef w otoczeniu licznych sztabów. Tam tryumfalne, harde mordy, tu upokorzone, blade twarze. Ustalono, że armia polska cofnie się do Kozienic, tam złoży broń i przejdzie pod dowództwo hetmanów targowickich.

Tak oficjalnie skończyła się wojna, która w praktyce jeszcze nie była zaczęta.

Czarna rozpacz zapanowała w obozie. Oficerowie, których wczoraj jeszcze za żarty o Potockiej wojnie pomawiał Niemcewicz o brak patriotyzmu, teraz tłukli łbami o ściany, szlochali, klęli straszliwie; kochali Polskę, byli pełni męstwa, chcieli przelać krew za ojczyznę, a najedli się tylko hańby. Niemcewicz głośno pomstował na króla, że usłuchał kwiku głupich bab - nie zewu honoru, że za krótkie doczesne wygody przystał na wieczną bezsławę. Taka złość i zniechęcenie go ogarnęły, że aż usiadł do faraona - byle oszołomić się, zapomnieć...

Cały sztab grał z wściekłą pasją. Przelewało się złoto. Niemcewicz grywający dotychczas jedynie ojcowskim systemem - na pacierze - obecnie stawiał całą swą sakwę; stracił co miał - 500 dukatów, pożyczył od kogoś jednego, odegrał swe 500 i jeszcze 15 plus.

- No, nie wszystko stracone! powiedział sobie wstając spocony od stołu.

Nazajutrz armia przybyła do Puław. Wielki tam panował rozgardiasz, książę Adam z całą rodziną szykował się do wyjazdu za granicę. Szkaradny Szczęsny był na księcia specjalnie zawzięty: nie mógł mu darować, że jego człowiek - Niemcewicz - napadł nań w sejmie, osmarowywał w Gazecie, wyśmiał w broszurze. Teraz, by upokorzyć księcia Adama, Szczęsny, grożąc konfiskatą dóbr, żądał niezwłocznego przystąpienia do Targowicy. Czartoryski nie był królem - miał więc poczucie godności, za parę folwarków nie chciał wypierać się konstytucji do której rękę przyłożył, postanowił emigrować. Ujrzawszy Niemcewicza, sprawcę swej krytycznej sytuacji, uściskał go serdecznie mówiąc:

- Zalałeś, mój panie Julianie smoły za skórę targowiczanom, nienawidzą cię okrutnie. Sybir nie fraszka. Radzę szczerze - zmykaj co rychlej za granicę!

W salonie, zawalonym podróżnymi tłomokami, odbyła się ostatnia narada. Czy można jeszcze coś dla kraju przedsięwziąć?

Histeryczna księżna Izabella wysunęła projekt porwania króla z Zamku, przytaszczenia go siłą do armii. Zapalili się niektórzy do tej myśli, kombinowali, że trzeba wysłać Eustachego Sanguszkę, że on wywabi Stanisława do ogrodu, tam wsadzi go w worek... Plan upadł, zrozumiano, że to nic nie pomoże. Ludzie stateczni nie widzieli rady; wiało

przygnębieniem i apatią; nie było głowy, nie było wodza.

Generałowie postanowili podać się do dymisji. Król pisał do Pepi i wyższych oficerów: "Gdzie ze mną będziecie, tam honor wasz zawsze ocalonym zostanie!" Oczywiście było wręcz przeciwnie, ale że dymisje wyglądały jak publicznie i zasłużenie wymierzony mu policzek - zaklinał ich by nie opuszczali armii.

Niemcewicz gorąco agitował za dymisjami, wołał, że zdrajca ten co się do niej nie poda. Książę Józef, Kościuszko, Wielhorski, Mokronowski, Zajączek i dziesiątki innych zgłosili swe rezygnacje. Było to dobrze, gdyż dzięki tej manifestacji społeczeństwo jasno widziało, że wszystkie wartościowe jednostki potępiają króla, odżegnują się ze wstrętem od Targowicy. Mniej znani oficerowie, co nie uczynili efektownego gestu i zostali w wojsku byli jednak jeszcze zasłużeńsi. Uchronili armię przed zupełnym rozpadnięciem, przetrzymali ją dwa lata, umożliwi li powstanie Kościuszki.

Śpiesznie rozjeżdżano się sprzed pałacu puławskiego; ks. Adam z całym dworem do Wiednia, generałowie z armią do Kozienic, Niemcewicz na swym wózku do Warszawy.

- Do zobaczenia! wołano na ogromnym podwórzu.

Niemcewicz płacząc dodawał: - do zobaczenia na obczyźnie!

W Warszawie Niemcewicz spędził zaledwie kilkanaście godzin. Zabolało go serce na widok Gazety Narodowej i Obcej w której służalczy Szymański wypisywał już panegiryki na cześć Targowicy (co zresztą nie pomogło; 8-go sierpnia, na rozkaz mściwego Szczęsnego, Gazetę zamknięto) widział się z Ignacym Potockim i Małachowskim, którzy również uciekali za granicę, przebrawszy się w domu na cywila - prędko, nim Moskale wkroczyli do stolicy, 30-go lipca wyjechał do Lipska.

CZEŚĆ TRZECIA

Z SZABLĄ W DŁONI

72.

NA EMIGRACJI

Wszyscy pozostający w kraju musieli do 15-go sierpnia podpisać, iż uznają sejm czteroletni i wszelkie jego czyny za despotyczne, bezprawne łotrostwo, a przełaskawą Katarzynę i konfederację targowicką za zbawienne. Wszyscy więc dobrzy patrioci spotkali się już na początku sierpnia za granicą.

Niemcewicz szwendał się po Lipsku, Dreźnie i Berlinie. Spotykał Potockiego, Kołłątaja, którego usługi odrzucił Szczęsny, Weyssenhoffa, Zajączka, Piattolego, Małachowskiego... błąkali się bezczynnie jak on, przygnębieni i zrezygnowani. Nie myśleli na razie o żadnej akcji; nie chodziło im o siebie, lecz o Polskę; niech Targowica rządzi... byli pewni, że rządy te będą fatalne dla kraju, ale póki nie okaże się to dowodnie nie chcieli knuć i przeszkadzać. Cisi, smutni chodzili na dalekie spacery za miasto, czytali starożytników.

W Lipsku Weyssenhoff zaciągnął raz Niemcewicza na jakieś poddasze, do lektora języka polskiego na lipskim uniwersytecie - Samuela Bogumiła Lindego.

23-letni młodzieniec, rodem z Torunia, sposobił się na orientalistę gdy mu nagle zaproponowano katedrę polskiego; przyjął, choć o polskim języku mniejsze miał pojęcie niż o perskim. Czytanki dla niemowląt Vogla, zły słownik i marna gramatyka stanowiły cały jego kontakt z polską literaturą. Wpadł mu w ręce Powrót Posła, dla oswojenia się z językiem zaczął go tłómaczyć na niemiecki.

Właśnie przy tej pracy zastali go ex-posłowie inflanccy.

- Znacie wy może personalnie dowcipnego autora tej świetnej sztuki, tak mianowanego Niemcewicza? zapytał Linde.

- Jam to napisał, odparł uradowany Niemcewicz i od razu zapłonął wielką sympatią do chudego, brzydkiego młodzieńca.

Widywali się odtąd często; przerobili razem Powrót Posła, który wkrótce wyszedł z druku. Zachwycony systematycznością i pracowitością Lindego Niemcewicz namawiał go usilnie, by pojechał do Polski, przetrząsł tam archiwa, biblioteki, zebrał materiał do gruntownego słownika języka polskiego.

- Tak, ja będę to zrobić! - wołał zapalony Linde. Przez Niemcewicza poznał całą emigrację. Ignacy Potocki dał mu gramatykę Kopczyńskiego - studiował ją w uniesieniu. Wciągnął się w to polskie środowisko i polubił je.

Niemcewicz zaczął pisać paszkwil na Szczęsnego; szło mu niesporo - jak zawsze gdy miał dużo czasu. Nudził się potężnie, Prusacy mierzili go, nie mógł im darować obrzydliwej zdrady, zapomnieć, że te butne chamy to dawni hołdownicy Polski...

We wrześniu wyjechał do Wiednia. Popasając w przydrożnej karczmie usłyszał jak furmani rozprawiają o polityce:

- A ten król polski, no, ten Poniatowski, to dopiero bydlak...

- To jest król? To menda!

- Głupi ci Polacy, że go nie powieszą. Zobaczycie, że on sprawi, iż Polski wcale nie będzie.

Dawniej Niemcewicz urządziłby furmanom awanturę - teraz siedział cichutko, pełen wstydu, że nawet szwabscy woźnice trafnie ocenili Stanisława Augusta, pełen strachu, że może spełni się ich przepowiednia.

W Wiedniu poczuł się od razu lepiej. Poza Polską najwięcej kochał na świecie Czartoryskich. Obecnie, gdy ojczyznę stracił, widok księcia i jego synów sprawiał mu podwójną radość.

Książę Adam był w bardzo złym humorze. Większość jego olbrzymich dóbr znajdowała się pod władzą Targowicy, za karę, że nie zgłosił do niej akcesu - skonfiskowano je. W Austrii miał zaledwie kilkanaście tysięcy morgów - z czego więc żyć?

Wystawił cesarzowi Lepoldowi cyrograf, że nie będzie się mieszać do polityki - dopiero z tym dokumentem dwór wiedeński rozpoczął w Petersburgu starania o restytucję.

Wiedeń roił się od cudzoziemców; arystokraci francuscy co uciekli przed rewolucją hałasowali, absorbowali opinię znacznie więcej niż Polacy. Całe współczucie wiedeńczyków skupiało się na nich. Niemcewicz mówił z goryczą:

- Oni emigrowali, bo nie chcieli przystać na przerobienie swej absolutystycznej monarchii na konstytucyjną - my bo chcieliśmy z naszej anarchicznej monarchii zrobić konstytucyjną! O sromotne nonsensa! Czyż może być lepsza forma rządu od angielskiej? A przecie Anglia ma właśnie monarchię konstytucyjną.

Pewna baronowa, mieszanka hiszpańsko-austriacko-szkocka, zakochała się w Niemcewiczu bez pamięci. Miała wielkie czarne oczy, potężny temperament i 10-cioletniego syna, którego starannie relegowała aż do Edynburga. Podobnież jak ongiś rozłożysta doboszowa, później koścista Lucchesiniowa sama narzuciła się Niemcewiczowi, omotała, wciągnęła do swej alkowy. Daremne pałanie do młodych, ślicznych dziewcząt i owocne romanse ze starymi, rutynowanymi grzmotami było widocznie życiowym przeznaczeniem Niemcewicza. Spełniał więc funkcję kochanka ze zwykłą sumiennością, a że baronowa piszczała po wszystkich salonach: - ce cher Orsini! cały Wiedeń wiedział o ich tapczanowych igraszkach. Ukończył też wreszcie Niemcewicz broszurę: "Fragment Biblii Targowickiej - księgi Szczęsnowe". Przedstawiał jak pycha, nienawiść i fenomenalna głupota stworzyły Targowicę. Uosobieniem tych cech jest Szczęsny smażyć się za to będzie w piekle i w męce wiecznie żałować swych zbrodni.

Nie ma w tej broszurze ognia i miażdżącego dowcipu z "Formy Wolnego Rządu"... ale było dość, by doprowadzić hersztów targowickich do gryzienia odcisków z wściekłości. Biblię wydrukowano w Wiedniu, ze względu na majątki Czartoryskich oczywiście anonimowo. Młodzi książę Richelieu i hrabia Langeron, będący na służbie rosyjskiej i często jeżdżący z Austrii do Petersburga jako kurierzy, uczynnie zabierali paki tej bibuły, niby wstążki - przewozili nie rewidowani do Warszawy, gdzie składali je u księżnej Jabłonowskiej. Stamtąd rozchodziła się broszura po całej Polsce. Szczęsny ryczał z furii i zamykał wszystkie drukarnie w kraju.

73.

NIEPEWNY WIDEŃ

Dochodziły do Widnia odgłosy niebywałego powodzenia Kościuszki we Lwowie. Obcinano mu guziki i pukle włosów na pamiątkę, mężczyźni nosili na rękach, a kobiety na wyprzódki ofiarowywały swą rękę; widziano w nim bohatera ostatniej wojny, wołano: - przewódź nam! wszędzie za Tobą pójdziemy!

Przestraszeni tym zapałem Austriacy kazali Kościuszce wyjechać. W grudniu był już we Wrocławiu.

Lwowskie uniesienia mocno dziwiły Niemcewicza. Mówił do ks. Adama:

- Kościuszko to prawy, solidny generał, ale skąd bohater, wódz zwycięski?

I opowiedział jak to było pod Dubienką.

- Proszę cię bardzo, mój panie Julianie, nie rozgłaszaj swych wiadomości, odparł żywo książę, kto wie jeszcze jaka rola czeka Kościuszkę?

Jak wszyscy realni patrioci Niemcewicz rozumiał, że Polskę może uratować tylko czyn zbrojny. Marzył o nim. Paść albo uwolnić ojczyznę! Ale by walczyć trzeba mieć wodza. Gdzie ten wódz? Kto mógłby nim zostać? Nie widział stosownego człowieka, więc zalewając łzami ołówek pisał w elegii - Wiosna:

Czemuż nieba nie raczą bohatera wskazać

Co by śmiał kraj uwolnić i wstyd jego zmazać!

Głupie dzieweczki lwowskie przeczuły wodza w Kościuszce;

Niemcewiczowi, jego krewnemu i najbliższemu przyjacielowi, ani to powstało w głowie.

Ciężko wlokła się dla emigrantów zima 93-go roku. Musieli patrzeć bezsilnie jak tam Polska ginie. W drugim rozbiorze Rosja zabrała 4500 mil kwadratowych, Prusy 1060; Polska została z 3850 milami kwadratowymi i 4 milionami ludności - była teraz malutką, hołdowniczą, rosyjską prowincją.

Rozbiór złamał zupełnie Niemcewicza. Śmierć Urszuli była dla Kochanowskiego w porównaniu - wesołym epizodem. Entuzjasta, optymista, zawsze pierwszy do wszelkiej akcji politycznej - teraz zwątpił we wszystko. Myślał: Padły i zginęły na zawsze takie potęgi jak Babilon, Egipt, Ateny, Rzym - może i Polska tak sczeźnie z mapy świata; może wkrótce - jak w Szkocji - tylko gdzieś, w ciemnym chłopskim zakątku usłyszeć będzie jeszcze można mowę ojczystą...

Tymczasem kacapy wyśledziły, że Biblię Targowicką wydrukowano w Wiedniu. Nadchodziły z Petersburga wyrazy niezadowolenia z tego powodu. Rząd austriacki był tak słaby, iż obawiano się, że wyda Niemcewicza, jeśli tego zażąda Katarzyna. Książę Adam i przyjaciele namówili go, by wyjechał gdzieś dalej.

Choć Gazeta Narodowa nie była rewolwerowym czerwoniakiem dała piękne zyski, z zarobionych na niej pieniędzy miał jeszcze Niemcewicz 700 dukatów, w maju 93-go roku wyruszył do Włoch.

74.

APATIA I ZNIECHĘCENIE

Niemcewicz osiadł we Florencji. Odwiedzał marszałka Małachowskiego, smucili się razem, palili w piecu i patrząc smętnie w ogień wspominali niedawną, świetną przeszłość.

Przychodziły dokładne relacje z sejmu rozbiorowego: Grodno huczało od balów; brzęczały garściami sypane przez Moskali dukaty; biskup Kossakowski, z otrzymanym od Katarzyny - za wierną służbę - złotym krzyżem na piersiach, rozwiązywał posłów z przysięgi 3-ciomajowej, wespół z marszałkiem Ankwiczem i Moszyńskim, zwanym powszechnie Moszyną (pewnie od rosyjskiego: moszennik - łobuz) nakłaniał sejm do niedrażnienia Rosji bezczelnym oporem i szybszego podpisania rozbioru; hetman Szymon Kossakowski rabował Litwę; hetman Ożarowski wedle rosyjskich wskazówek redukował, niszczył armię; król myślał tylko o swych milionowych długach; wszyscy węszyli jeno gdzie, jak się obłowić. Przed Siewersem leżano plackiem; sułtan nie był tak absolutnym panem w swym haremie jak on w Polsce. Radziwiłłowa, Potocka, najprzedniejsze damy obsypywały go

kwiatami, łasiły się, całowały po rękach, oddawały mu się na skinienie, a gdy stary niedołęga był nie w formie - jego adiutantom lub ordynansom.

Takiego spodlenia jak Grodno żaden naród nie ma w swej historii.

Od tych wieści Niemcewicz popadł w kompletną apatię polityczną. W Lipsku, Dreźnie, w Polsce spiskowano, knuto rewolucję. Kołłątaj i Dmochowski pisali rozprawę o konstytucji

3-go maja, Ignacy Potocki obmyślał formy rządu powstańczego, cały kraj był zasnuty siecią emisariuszy. Niemcewicz wiedział o tych poczynaniach, nie przykładał do nich ręki. Nie miał wiary, tak zwątpił w uratowanie Polski, że chciał się osiedlić na stałe we Florencji. Zachęcał do tego i ks. Adama, pisał mu, że za 500 dukatów można tu wynająć wspaniały pałac, a żyć szeroko za 700 rocznie. Ks. Adam nie posłuchał, bo zamiast oglądać z obdartusami arcydzieła sztuki we Włoszech, wolał o nich rozmawiać z hrabiami w Wiedniu.

Niemcewicz pragnął się oszołomić, zapomnieć... Użył w tym celu nie wina i śpiewu, ale intelektualnych kąpieli; doskonalił się w znajomości łaciny i włoskiego, studiował historię Florencji, chodził do teatru i na wykłady anatomii, brał lekcje rysunku u sławnego w przyszłości Grossa.

W grudniu wpadł do Florencji na dwa dni Kościuszko, podróżujący jako baron Bieda, i zamieszkał u Niemcewicza. Od ich ostatniego widzenia przed półtora rokiem w Puławach wieleż się zmieniło!

Kościuszko miał zostać wodzem przyszłej rewolucji. Żadna elekcja na króla nie odbyła się tak jednomyślnie jak teraz upatrzenie Kościuszki na Naczelnika. Przemawiało za nim, że był jedynym generałem co kiedyś naprawdę wojował i to zwycięsko; że był przyjacielem samego Washingtona; był wyraźnie nielubiany przez Stanisława Augusta; był jedynym co wyniósł sławę bohatera ze sromotnej kampanii 92-go roku.

Kościuszko nie miał kontrkandydata. Obóz patriotów był obozem ludzi szlachetnych lecz słabych; nikt nie uważał się za godnego, nikt nie rwał się do władzy; każdy wolał by odpowiedzialność ponosił kto inny...

Po dłuższym namyśle Kościuszko zgodził się stanąć na czele rewolucji; ze zwykłą starannością chciał ją przygotować jak najlepiej, zapewnić jej jak najwięcej szans. Pojechał do Paryża, gdzie przedstawiał Konwentowi noty w sprawie Polski pięknie wykaligrafowane (tym ładnym charakterem pisma, któremu przed 23-ma laty zawdzięczał stypendium od Stanisława Augusta); w Dreźnie układał z Potockim i Kołłątajem stronę cywilną rewolucji, z Zajączkiem wojskową. Ustawicznie wzywany przez emisariuszy do Polski - wyruszył tam we wrześniu.

Właśnie teraz wracał Kościuszko z Podgórza pod Krakowem, gdzie spędził parę tygodni. Teren uznał za niedostatecznie przygotowany. Zajączek zdał mu relację z Warszawy: durni Moskale spokojni, nie wierzą by naród co przed chwilą strawił hańbę grodzieńską nagle się zerwał; Igelstrom rad, że magnaci przed nim klęczą - na motłoch nie zważa; masy pragną by coś nastąpiło, ale są zdezorganizowane; wtajemniczeni, którzy poznają się po spleceniu dłoni dookoła szyi i skrzyżowaniu małych palców, są nieliczni, spisek jest za mało rozgałęziony. W sumie - akcja niewystarczająca.

- Dlatego jestem tu - we Włoszech, tłumaczył Kościuszko, nie dam sygnału wybuchu rewolucji póki spisek nie będzie dość rozprzestrzeniony. Albo robić solidnie, albo wcale. Nie chcę stawać na czele paru straceńców, ale całego narodu.

- Więc kiedy termin? pytał Niemcewicz, bo jak wyjdziecie w pole - przybiegnę i stanę w szeregu.

- Dam ci znać. Im później zaczniemy - tym lepiej. Może za rok, może za dwa...

Kościuszko wyjechał, a Niemcewicz wiódł dalej spokojny żywot. Sprzykrzyła mu się Florencja, na Wielkanoc 94-go roku ruszył do Rzymu kontrolując po drodze Liwiusza czy wiernie przedstawił marszrutę Hannibala.

W Rzymie było dużo Polaków, trzymali się razem. Stanisław Poniatowski, bratanek króla, cyceronował w muzeach, Walewski w domach publicznych. Z Polski mieli mętne wiadomości, nie zdawali sobie zupełnie sprawy z podziemnej roboty. Niemcewicz otrzymał parę listów z Drezna od Ignacego Potockiego i Piatollego, napomykali o rewolucji jako o czymś jeszcze bardzo dalekim.

Bawiący w Rzymie królewicz angielski August de Sussex zapraszał często polską kolonię na wesołe obiady. Zrewanżowali mu się raz składkową, polską ucztą - spitraszoną przez kucharza Walewskiego, rodowitego warszawiaka. Barszcz, kluski, pierogi, kiełbasę z kapustą, schab zalewali chiantim. Toast Walewskiego: detronizacja Stanisława Augusta i zdrowie króla polskiego Augusta de Sussex! wprawił Niemcewicza w zachwyt; prócz nienawiści nic już nie czuł względem Poniatowskiego.

Do spowiedzi wielkanocnej wyszukał sobie księdza Polaka, ex-jezuitę. Słuchał on ziewając o drobnych szkalowaniach, cudzołóstwach - podskoczył za to z oburzenia gdy mu Niemcewicz z lubością szeptał, że przeklinał najgorszymi słowy Katarzynę i wyręczając Pana Boga skazywał ją na ogień piekielny.

- Jak można, syczał kapłan, czcigodna carowa przecie utrzymała zakon jezuicki w swym państwie, przywróci go na pewno w zabranych ziemiach... Opatrznościowa to zatem

monarchini; ciężki grzech popełniłeś, synu!

Ledwo się powstrzymał Niemcewicz by nie kopnąć konfesjonału, pokuty nie odprawił. Przy całej swej pobożności raczej przeszedłby na mahometanizm niż modlił się za Katanalię.

Szkocko-austriacka baronowa pisała co dwa dni tkliwe listy. Donosiła, że będzie we Florencji na początku czerwca, prosiła kochanego Orsini by przyjechał tam na jej spotkanie - spędzą w miłosnym uścisku rozkoszne wakacje. Odpowiedział, że drży w niecierpliwym oczekiwaniu.

W połowie maja, wałęsając się po ulicy, spotkał Niemcewicz poczciwego Bernardyna, który z miną tajemniczą wyciągnął list z zanadrza.

Rewolucja! Racławice!

W domu zastał długi, jak zwykle maczkiem pisany, list od Piattolego ze szczegółami o wybuchu i pierwszym zwycięstwie.

Niemcewiczowi zdawało się, że śni. Jak to, już? Tak prędko? Więc jeszcze nie wszystko stracone? Więc Polska się ocknęła?

Ocknął się i on. Rzeczy w worek, do dyliżansu. Prędzej na północ, do kraju, do szeregu. Przemknął przez Florencję; za parę dni przyjedzie tu baronowa, tu czekają nań jej pieszczoty - ach, prędzej do Polski, tam czekają nań armaty.

Zostawił dla baronowej bilecik: Wrócę gdy Ojczyzna będzie ocalona, wtedy, ukochana, zażyjemy szczęścia! Nigdy już w życiu nie ujrzał baronowej.

W Wiedniu popasał Niemcewicz jeden dzień.

Przeraziło go ubóstwo w jakim żyli Czartoryscy. Przed ośmiu laty książę olśniewał wiedeńczyków przepychem - teraz był zadłużony u sklepikarzy.

- Zginiemy przez ten sekwestr dóbr, jęczał marszałek dworu Skowroński, pusto całkiem w szkatule...

Oszczędny Niemcewicz miał jeszcze 300 dukatów, wcisnął je przemocą w rękę Skowrońskiemu zabraniając mówić o tym księciu.

- Mnie na wojnie pieniądze będą niepotrzebne, tłómaczył, zgubiłbym je i tyle...

Pędząc do Krakowa myślał: - Przeklęta Targowica! zniszczyła Polskę i Czartoryskich!

75.

TRATWĄ PO WIŚLE

7-go czerwca przybył Niemcewicz do Krakowa. Wytrzeszczył oczy na mieszczan o marsowej minie, przepasanych bandoletami ze skórzaną sylwetką Kościuszki i groźnymi napisami. Wolność lub Śmierć! Równość, Wolność, Jedność, Niepodległość! Życie i Śmierć za Wolność!

Panny łaziły z włosami krótko, po szyję, przystrzyżonymi i wstążką na czole. Uczesanie to a la Kościuszko miało oznaczać, że dobra patriotka nie ma chwili na fryzowanie, cały swój czas oddaje służbie Ojczyzny. Istotnie na rynku u ramienia wszystkich przystojniejszych wojskowych zwisały patriotyczne dziewczęta.

Bogatsi ludzie przycupnęli w domu, rzemieślnicy rozpychali się wszędzie. Obiad w traktierni nie smakował Niemcewiczowi, bo obok siedzieli szewc i rzeźnicy rozprawiający o polityce. Miał się za demokratę, ale siedzenie z szewcem przy jednym stole uważał już za anarchię. Rewolucję francuską uznawał za zbrodniczą, a za najgłupsze jej hasło: Równość. Wydrukowane pod nagłówkiem Gazety Krakowskiej hasło: Wolność, Całość, Niepodległość! podobało mu się znaczniej więcej.

W Londynie przyjezdnym pytającym co jest ciekawego do obejrzenia radzono pójść do zoologu, w Krakowie do szpitala; podrałował tam Niemcewicz, z lubością oglądał Moskali rannych pod Racławicami. - No, nareszcie po stu kilkunastu latach usiekliśmy kogoś w bitwie, nie w karczmie! myślał.

Wieczorem rozniosła się po mieście wieść o wczorajszej klęsce szczekocińskiej. Zdradzieccy Prusacy, których dzięki naiwnym zapewnieniom Ignacego Potockiego uważano za neutralnych, przechylili szalę zwycięstwa. Nastrój w tchórzliwym Krakowie stał się od razu minorowy.

Niemcewicz, Sołtyk i jeszcze kilku młodych ludzi chcieli dotrzeć do armii. Ponieważ zależało im bardzo na pośpiechu, więc postanowili jechać tratwą, uznając ją widocznie za najszybszy środek komunikacji.

Zbiegając z tobołkiem nad Wisłę usłyszał nagle Niemcewicz skrzeczący głos:

- Dobry dzień! Jak idzie? Wie pan, ja nad słownikiem pracować zacząłem.

Był to Linde. Powitał Niemcewicza tak naturalnie jakby się wczoraj rozstali, opowiedział

mu, że opuścił Lipsk 6 tygodni po swych przyjaciołach - Potockim i Kołłątaju - był zgorszony, że przez ten czas nie skończyli ze swą rewolucją, nie zaprowadzili porządku i nie otworzyli bibliotek. Wybierał się do stolicy tłómacząc:

- W Warszawie na pewno spokojnie będzie można pracować!

- Właśnie jedziemy do Warszawy tratwą, przerwał mu Niemcewicz.

- To wziąć mnie koniecznie z wami. Ale dlaczego wy mówić: tratwa? to jest z niemieckiego, a po niemiecku jest "die Trafte"; Klonowicz pisał jeszcze - trafta.

- Dobrze, dobrze, lecz śpiesz się pan, jeśli chcesz się zabrać z nami; za kwadrans ruszamy.

- Ja przyjść z paka zaraz.

Tratwa płynęła leniwie, dłużył się czas. Towarzysze opowiadali Niemcewiczowi o insurekcji w Warszawie:

...w kwietniu król potępiał Kościuszkę jako wstrętnego rebelianta, wespół z Ożarowskim starali się zapobiec wybuchowi, doradzali Igelstromowi środki zaradcze; gdy padły pierwsze strzały panowie rzucili się do piwnic, lokaje na ulicę; łajali ich potem panowie, że miast o nich - o ojczyznę dbają; Moskale stracili 4500 żołnierzy i 28 armat - bohaterskie pospólstwo odniosło dużo większe zwycięstwo niż wojsko pod Zieleńcami i Racławicami razem wziętymi; Ożarowski, Ankwicz, wszyscy Rosji zaprzedani schronili się na Zamku; gdy przyszły z Wilna wieści o pożytecznym powieszeniu Szymona Kossakowskiego i innych zdrajców - zawstydziła się Warszawa, postanowiła iść za dobrym przykładem; przerażony król wyprosił z Zamku swych przyjaciół; 8-go maja nikt nie składał mu życzeń imieninowych - dobiegał go tylko z rynku łoskot zbijanych szubienic; 9-go zawiśli 70-cioletni Ożarowski, wytworny Ankwicz, łupieżczy biskup Kossakowski i głupawy Zabiełło; na szubienicach przyklejano dowcipne wierszyki, tłumy chodziły je oglądać, oprawców zapraszano na lampkę wina...

Upatrzywszy chwilę milczenia polityków Linde zabrał głos: - Dlaczego wy mówić - szubienica? Wisiadło, wisiadełko będzie wiele lepiej. Oprawca pochodzi od oprawa, a to znaczyło dawniej zapis w aktach na rzecz żony uczyniony przez męża, co posag wziął.

- Oooohhoooo! wrzeszczał przeciągle oryl, prawoo, bo siedzi wyspa!

Linde się znowu zmarszczył:

- Dawniej pisano wysep, wysepek; a siedź znaczy grzyb; a siedzenie to było siadło,

siedzeniczko; to jak trafta siadło zrobi na wysepek bunty nie strzymają i wszystko rozleci się...

- Co za bunty? zdziwił się Niemcewicz, bunt znaczy zupełnie co innego.

- Oo, ja wiem; bunt trzyma krokwie na dachu; rybacy wieszają sieci na buntach; wiązka futer to bunt; w skrzypcach struny są na buntach...

- Ze też pan może myśleć o gramatyce i słowniku - dziś, gdy dzieją się tak ważne rzeczy.

- Jak to? Pan mi sam tłómaczył w Lipsku, że dobry słownik języka ułożyć to najważniejsza rzecz.

W Kazimierzu pożegnali się; Linde popłynął dalej do Warszawy, Niemcewicz chłopskimi furmankami ruszył na poszukiwanie Kościuszki. Odnalazł go 19-go czerwca w Warce. Kościuszko uściskał serdecznie Niemcewicza:

- Jak z nieba mi spadasz, wykrzyknął, właśnie opuścił mnie przed chwilą Linowski - prawy charakter, ale śledziennik, zostaniesz przy mnie, będziesz zamiast niego moim sekretarzem.

76.

W BOSONOGIM OBOZIE

W towarzystwie chuderlawego Fiszera, młodszego kolegi od kadetów, szwendał się Niemcewicz pełen entuzjazmu po obozie.

Kosynierzy śpiewając krakowiaki, odmawiając litanie, prali w międzyczasie swe sukmany w Pilicy.

- Szorować mocniej kumotrze, zachęcali się wzajem, Naczelnik ochędóstwo nakazuje!

- I samym się umyć, nie zaszkodzi wam, radził Fiszer.

Żołnierze regularni grali w kości, żartowali z chłopów, podszczypywali kobiety, których mnóstwo plątało się po obozie. Wielu z nich było w łachmanach, z szlafmycami na głowach, kule nosili po kieszeniach, bosi...

- Buty łojem smarować, skóra się będzie mniej niszczyć! wołał Fiszer.

- Nasze buty dobre, i tak nie zniszczeją! odpowiadali wesoło.

Aprowiantury nie znano; każdy szeregowiec dostawał żołd - często rosyjskimi monetami - i miał sobie sam kupować jedzenie. Wielu przegrywało od razu swój legung w kości, więc żywność zdobywali potem rekwizycją, wygrani, powodowani zdrowym instynktem oszczędności, też rabowali.

Naczelnik groził arcylicznymi batami za łupiestwo i czasem nawet prawie je stosował. Żołnierz był pogodny i nie przejmował się brakami - zawsze liczył, że coś się da ukraść oficerom, co noc przyłapywano na tym kilku!

Widząc, że słowo: Ojczyzna! niedość zagrzewa kmiotków Kościuszko usiłował porwać ich religią, ciągle była mowa o Panu Bogu w obozie. Czasem rano nie było śniadania, ale msza św. - zawsze! Toteż spokój i ufność panowały wśród wojska.

Ufności nawet za wiele. Walczyli z nią ciągle oficerowie. Żołnierz wysłany do kogoś z rozkazem komunikował go wszystkim napotkanym po drodze; wartownicy przepuszczali każdego ubranego w mundur lub sukmanę, nie podejrzewając by szpieg mógł się zdobyć na tak diabelską chytrość jak przebranie się; w zimne noce czaty rozpalały najspokojniej ogromne ogniska; kawalerzyści puszczali swe konie na łąki, w razie nocnego alarmu łapali je po omacku aż do świtu.

Musztrą nie przemęczano nikogo. Od rekruta wymagano tylko orientacji gdzie prawa, gdzie lewa strona. Nowicjuszom urządzano 5 próbne strzelania po jednym naboju za każdym razem. Amunicji było mało i jeszcze wszyscy siadali na niej z tlejącymi lulkami, należało ją oszczędzać.

- W bitwie wprawicie się ostatecznie w strzelaniu, pocieszali sierżanci swych uczni.

Dzięki zabiegom lekarzy w lazarecie obozowym było pusto. Grube bandaże, przyschłe do ran, oddzierali bez zwilżenia. omdlałych cucili wsadzeniem im łyżki musztardy do ust, gdy ktoś postrzelony w nogę bardzo narzekał na ból - obcinali mu ją niezwłocznie myląc się niekiedy co do nogi. Przeto ranni póki byli przytomni unikali opieki lekarskiej.

Kościuszko ubrany w białą, chłopską sukmanę, przepasany czarnym bandoletem z napisem: "Wolność, Całość, Niepodległość", w krakusce na głowie, skromny i słodki - jednał wszystkie serca. Ziało odeń cnotą! Mówiono mu: - panie Naczelniku! on do innych: - obywatelu!

Kościuszko sypiał w stodole na sianie, zabronił swemu kucharzowi Stanisławowi gotować więcej niż trzy potrawy na obiad, chołodeć litewski był jego ulubionym przysmakiem. Lubił się śmiać i wygłaszać sentencje.

Niemcewicz jadł, spał z Kościuszką, przyrósł doń jak cień. Jego wesołość, nieustanny terkot, optymizm - nadzwyczaj przypadały do gustu pogodnemu z natury Naczelnikowi. Sympatia zamieniła się w gorącą przyjaźń. Przy tym Niemcewicz oddawał wielkie usługi.

Sztab i kancelaria Kościuszki funkcjonowały fatalnie. Przytłaczały go miriady drobniutkich spraw. Sam pisał na karteluszkach, nieortograficznie, bez kropek i przecinków - by armatę przetoczono tu, jeńca odesłano tam, 10 talarów wypłacono temu, porucznik przeprowadził rekonesans tamtędy, kowal podkuł konia, rusznikarze robili cieńsze naboje, kucharze gotowali grubsze kluski, generałowie przyszli na naradę o tej godzinie...

A konferencje ze szlachtą przybywającą do obozu. Gdy Moskale zrabowali dziedzicowi całą stajnię, wynieśli z domu nawet garnki - siedział cichutko i Bogu dziękował, że nie dostał po mordzie na dodatek, gdy powstańcy zarekwirowali mu worek kaszy i prosiaka - pędził rozwścieczony do samego Kościuszki, wrzeszczał:

- To niecny gwałt! Oddajcie prosiaka albo znać nie chcę i waszej insurekcji!

Szlachcic - patriota co wspaniałomyślnie ofiarowywał ojczyźnie wóz siana, kulawego barana lub osobiście się zaciągał - też chciał koniecznie zakomunikować o tym szczęśliwym wydarzeniu samemu Naczelnikowi. Łagodny, pragnący zjednać wszystkich powstaniu, Kościuszko nie odmawiał nikomu widzenia.

Niemcewicz wyręczał go znakomicie. Obiecywał, że rząd szczodrze wynagrodzi, a już Pan Bóg to na pewno, ubolewał, gromił, dowcipkował, chwalił, zalewał szlachcica potokiem wymowy . Pracowity i niezmordowany pisał setki rozkazów pod dyktando Kościuszki, komponował odezwy, stał się niezastąpionym powiernikiem. Naczelnik nie miał przed nim tajemnic.

Ledwo strawiono klęskę szczekocińską i porażkę Zajączka 8-go czerwca pod Chełmem, nadeszła nowa, zła wiadomość: upadek Krakowa. Naczelny tchórz Wieniawski poddał bez wystrzału miasto i 5000 wojska siedmiotysięcznemu korpusikowi Elsnera.

Samych kos stracono 80 tysięcy! Mieszczanin Manderle z setką kumotrów bronił się na Wawelu i tak dokazywał, że go Prusacy wypuścili z bronią w ręku i z honorami. Sklepikarze spisywali się podczas insurekcji lepiej od generałów.

Dla zatarcia złego wrażenia tej szpetnej kapitulacji Niemcewicz spłodził odezwę, w której wspomniawszy pokrótce o zwycięstwach Ateńczyków nad Persami i Rzymian nad barbarzyńcami, rozwodził się z kolei nad ostatnimi najazdami Tatarów, analizował wojny szwedzkie i konstatował w końcu, że Polska zawsze się otrząsała z wrogów, przeto nie wolno tracić nadziei, bo będzie tak i teraz...

Paszkwile lepiej mu się udawały niż wzniosłe odezwy, ale Kościuszko był zadowolony i wydając 24-go czerwca w Przybyszewie te przydługie morały, myślał:

- To uspokoi naród i podtrzyma go na duchu!

77.

CZERWCOWA PRZEWIESZKA

Ludek warszawski był niepiśmienny, zamiast czytać odezwę Kościuszki o Persach i Tatarach słuchał po ciemnych kątach płomiennego Konopkę - zaufanego Kołłątaja. Słuchał i mruczał:

- Dobrze gada, co pomoże jegrów bić kiedy wśród nas zdrajców tyle; trza na gwałt przewieszkę zrobić...

28-go czerwca wieczorem, przed namiot Kościuszki w Gołkowie, przygalopował Kicki - koniuszy - marszałek dworu - szwagier Stanisława Augusta. Pół żywy ze strachu opowiedział co zaszło rano w Warszawie.

Pospólstwo wtargnęło do więzień; 70-cioletniego księcia biskupa Massalskiego co miał 700.000 rocznego dochodu, a mimo to kradł jeszcze pieniądze Komisji Edukacyjnej i brał pensję od Rosjan, co wyróżnił się gorliwością przy sankcjonowaniu przez sejmy obu rozbiorów, co nie pominął nigdy żadnej okazji szkodzenia Polsce - dla braku sznura pod ręką powiesił skotopas Klonowski na biczu chłopskim przed Bernardynami; wstrętnego księcia Antoniego Czetwertyńskiego, mimo, że płakał, całował oprawców po rękach wwindowano na belkę przed oknami własnego mieszkania, żona i córki gapiły się na to zza firanek, a lud tańczył dokoła wisielca krzycząc: - Vivat Czetwertyński!

Zadyndali Boscamp, Roguski, Grabowski, Piętka - szpiedzy, pieski Igelstromowe poskazywane jeszcze w 91-ym r. za różne łotrostwa na dożywotnie więzienie; zawodowi kaci się pochowali, zastąpili ich amatorzy; w zapale pracy powiesili oni niewinnego Majewskiego - głupiego woźnego, co nie chciał pokazać co niesie w teczce oraz Wulfersa, podejrzanego tylko o kradzież aktów kompromitujących króla z archiwum Igelstroma.

Całe miasto upstrzono szubienicami, stały przed Zamkiem i pałacem prymasowskim, lud mruczący od dawna, że Poniatowski zasłużył na los Capeta teraz śpiewał o tym na głos.

Ale nie doszło do spełniania tych poczciwych zamiarów. Ignacy Potocki, Mokronowski,

Orłowski zdzierali gardła zaklinając tłumy do spokoju. Zakrzewski położył się plackiem w pałacu Briihlowskim na wleczonym już pod stryczek Moszyńskim i ryczał: powiesicie go tylko ze mną! Przez miłość do zacnego prezydenta darowano życie przedawczykowi. Odwdzięczył się należycie: gdy w 97-ym r. Zakrzewski wrócił do Warszawy z więzienia petersburskiego - chory, bez grosza, wynędzniały - i przyszedł doń z prośbą o małą pożyczkę, Moszyna nic mu nie dał, lokajom kazał wyrzucić za drzwi swego wybawcę. Biskupa Skarszewskeiego, członka deputacji traktatowej w Grodnie obok Ożarowskiego, Ankwicza, Massalskiego i Kossakowskiego, również tylko bezmyślna energia Zakrzewskiego uratowała od zasłużonego powroza.

O 5-ej po południu rozszalała się straszliwa ulewa. Generał Cichocki, bękart Stanisława Augusta, wyciągnął z arsenału armaty, poobsadzał wyloty ulic wojskiem - strumienie wody i bagnety żołnierzy rozpędziły tłumy.

Nazajutrz przybył do Gołkowa Dembowski z listem od króla. Dotychczas korespondencja Stanisława Augusta z Kościuszką ograniczała się do przypominania o swych zasługach i utyskiwań, że nie ma pieniędzy, że pensji mu nie wypłacają, że z winy powstania Moskale łupią mu ekonomie, że musi, by żyć, stapiać srebra stołowe... Teraz Kluchosław, bardziej przerażony niż Ludwik XVI minutę przed egzekucją, nie plótł nareszcie o swym urojonym patriotyzmie, a po prostu błagał potulnie mości Pana Naczelnika o przysłanie paru pułków do bronienia Zaniku i jego osoby.

Dobrotliwy do nieprzyzwoitości Kościuszko nie czuł wcale nienawiści względem zdrajców. Mówił o powieszonych:

Może dobrze chcieli, może szczerze sądzili, iż przysługę krajowi wyrządzają...

- Jak to? żachnął się Niemcewicz, Massalski chciał dobra Polski?

- Obłąkani, a działający w dobrej wierze są godni litości - nie wzgardy i sznura; można się różnić w opiniach, ale trzeba wzajemnie szanować.

- Co? Więc mamy jeszcze szanować Szczęsnego, Branickiego...

- Dzień wczorajszy to plama naszej rewolucji, to upodobnia ją do ohydy francuskiej, wolałbym dwie bitwy przegrać niż też dzień.

Niemcewicz nie zaoponował, iż rewolucja francuska choć gilotynuje tysiące niewinnych odnosi wspaniałe zwycięstwa, czemużby więc Polska miała paść z powodu powieszenia kilku drabów, co po stokroć na to zasłużyli. Niemcewicz tak już był pod wpływem Kościuszki, że uwierzył, iż stała się istotnie katastrofa. Napisał w jego imieniu surowy list do Rady Najwyższej karcący za niedbalstwo, polecający represje i tkliwą odezwę do ludu.

Przybył do obozu Kiliński. Niemcewicz patrzał z ciekawością na 54-letniego szewca średniego wzrostu, w kontuszu smagłego, błyskającego spod czarnych wąsów białymi zębami, o śmiałych, żywych oczach. Przed 14-tu laty Kiliński przywędrował z poznańskiego do Warszawy bez grosza, lecz, że szył najlepsze w mieście damskie pantofelki, harde prawił klientkom komplementa, młode głaskał po łydkach, a stare jeszcze wyżej - rychło zebrał pokaźny majątek. Energią rzutkością, patriotyzmem wybił się na przywódcę mieszczanstwa. Wspaniałe zwycięstwo insurekcji w Warszawie było całkowicie jego zasługą. On wypchał pospólstwo na ulicę, a pospólstwo nie tylko walczyło bohatersko, lecz i pociągało wojsko - wstyd było żołnierzom się cofać gdy czeladnicy w fartuchach parli naprzód; a potem ta zawzięta tłuszcza uniemożliwiła królowi i jego kreaturom - pułkownikowi Haumanowi, generałom Cichockiemu i Mokronowskiego - wdanie się z Moskalami w układy, zawieszenie broni; przykładne szubienice z 9-go maja odsunęły do reszty króla i jego akolitów od wszelkich wpływów, co było oczywiście zbawienne.

Należycie ocenił zasługi Kilińskiego tylko Kościuszko. Ten szewc poderwał przecie ospały, stroniący od spraw państwowych lud; och, gdyby choć co w setnej wsi był taki szewc - uciekaliby Moskale z Polski w dyrdy...

W nagrodę mianował go pułkownikiem.

Teraz Kiliński opowiadał Naczelnikowi ze zwykłą sobie swadą:

- Chociem symplak, posłuch w Warszawie mam większy niż cała Rada razem wzięta. Póki było spokojnie to mnie Rada lekce traktowała, opinii mej nie była ciekawa. A jak rozruchy to wszyscy bęc przede mną na kolana i skamlą: - uśmierz lud, nie dopuść do wieszań! z wielką ryzyka eksponowałem się, wołałem publicznie; - szanowni i głupi obywatele, nie godzi się...! Uratowałem więźniów co niemiara, ale wszędzie być nie mogłem. Trzeba, panie Naczelniku, jakąś sprawiedliwość na zdrajców zaprowadzić, bo inaczej cały lud się od rewolucji odstrychnie...

- Siebie samego zwyciężaj - to największe zwycięstwo, rzekł Kościuszko.

Wołania o karę na łotrów rozlegały się jednak zewsząd. Nie chciał wywlekać dawnych zdrad, bo to by zawiodło wszystkich dygnitarzy na belkę, lecz pragnąc gorliwym sprawić przyjemność, zaraz w Prackiej Wólce złożył sąd na Wieniawskiego i

Kalkę - haniebnych tchórzy z Krakowa. Skazano ich zaocznie na powieszenie, obaj byli zupełnie bezpieczni w Austrii i uśmieli się serdecznie z wyroku.

Za to w Warszawie nie skończyło się na czczej demonstracji. Sąd kryminalny, który w

ciągu dwóch miesięcy nie zdążył skazać żadnego możnowładcy - obecnie błyskawicznie rozprawił się ze skotopasami. Powieszono publicznie 7-miu najcenniejszych oprawców - amatorów, kilkunastu zamknięto w ciemnicach. Biedakom wolno było umierać za Polskę, nie mieli prawa uśmiercać tych co Polskę gubili. Głównych burzycieli, Konopkę i Dembowskiego, dzięki Kołłątajowi, skazano tylko na banicję, byli to dzielni młodzi ludzie: Konopka został później kapitanem w legionach, a Dembowski generałem w wojsku włoskim.

78.

WARSZAWA W POTRZASKU

Ogromnym łukiem Szwaby i Kacapy ogarniały wojska polskie, spychały je ku Warszawie.

9-go lipca Mokronowski bił się pod Błoniem, Zajączek pod Gołkowem, 10-go Kościuszko pod Raszynem. Odgryzając się na wszystkie strony, jak niedźwiedź do jaskini, cofnęły się polskie korpusy - liczące w sumie 16.000 żołnierzy i 3000 kosynierów - do stolicy.

Mokronowski i książę Józef obsadzili Marymont, Zajączek Wolę, Kościuszko Mokotów, Dąbrowski Czerniaków. 13-go lipca wystrzeliła armata na placu Zamkowym, na ten sygnał 17.000 mieszczan cwałem popędziło na szańce, sądzono, że nieprzyjaciel przystępuje do szturmu.

Na razie tylko zajmował pozycje. 16.000 Moskali pod dowództwem Fersena rozłożyło się od Wisły do Służewia, 25.000 Prusaków przedefilowało paradnym marszem, tupiąc nożyskami, z rozwiniętymi sztandarami, z muzyką przed gapiącymi się z szańców Polakami, rozlokowali się od Szczęśliwie aż do Bielan. Półkole nad Wisłą było zamknięte, zaczęło się oblężenie.

79.

NIEPOTRZEBNY CZŁOWIEK

Pierwsze dwa tygodnie oblężenia minęły spokojnie; Prusacy chcieli zdobyć Warszawę za jednym zamachem, przygotowywali się więc do szturmu solidnie, gromadzili faszynę, sprowadzali ciężkie działa...

Polacy pracowali również rzetelnie. Zaraz po rekolekcjach kwietniowych gorliwy lud stołeczny bez żadnej potrzeby, ot tak na wszelki wypadek, wziął się do sypania szańców;

teraz się przydały, wzmacniano je, sypano nowe. Kościuszko w szarej kapocie podobnej do chłopskiej siermięgi objeżdżał dniem i nocą wały od Bielan do Czerniakowa. Jedno spojrzenie wystarczało mu by oznaczyć kąty profilu szańców, usypano ich koło setki; przed bateriami kazał kopać trzy rzędy wilczych dołów głębokich na 5 stóp, wbijać ostre pale na dnie - przyjemna niespodzianka dla szarżującej kawalerii.

Towarzyszący wszędzie Kościuszce Niemcewicz patrzał ze zdumieniem na Warszawę - jakżeż się zmieniła!

Mnóstwo dworków popalonych; te w których podczas dni kwietniowych chowali się Moskale nie gaszono rozmyślnie; wszędzie ślady kul, pocisków; ogromny pałac Teppera na Miodowej, siedziba Igelstroma, stał bez okien i drzwi, napół rozwalony, lud wołał by go zniszczyć całkiem - jak Bastylię. Na ulicach nie spotykało się pięknych karet na pasach, ani wyfraczonych elegantów - za to dużo wariatów, tchórzy co po piwnicach od strzelaniny, rewizji, rzezi, wieszań postradali zmysły ze strachu. Hoże dziewczęta paradowały w granatowych amazonkach, z krótko ostrzyżonymi włosami pod okrągłym kapelusikiem, na klamrze szerokiego pasa na biodrach cyfra Kościuszki i taki wierszyk:

Polki niosą wdzięczność

Tobie że zdrajcom sypiesz mogiły

Byś tyranów zawarł w grobie

Boże Wielki, dawaj siły.

Chłopcy obejmowali dziewczęta i wtulali im twarze między uda - dobre patriotki rozumiejąc, że czynią to jedynie celem dokładniejszego odczytania wiersza nie broniły krzepiącej lektury.

Widniały gdzieniegdzie na piersiach trójkolorowe kokardy biało, czerwono, niebieskie; po łaźni kwietniowej cała Warszawa je sobie przypięła, król bojący się rewolucji francuskiej do tego stopnia, że zakazał mieszczanom nawet korespondować z Paryżem zabronił oczywiście i tych kokard, teraz, że nic nie znaczył, przypinali je co gorętsi.

Na wszystkich placach ćwiczyły oddziały obdartusów uzbrojonych w piki, klingi szabel uwiązane sznurkami do długich kijów, topory i wałki od ciasta. Ludzie albo rwali się do okopów, albo za Wisłę, słusznie żartowano, że warszawiaków czeka teraz tylko niebo lub

piekło - bo są tylko mężni obrońcy, lub szkodliwi tchórze.

W katedrze odprawiano uroczyste nabożeństwo za żołnierzy poległych w powstaniu. Tłum modlił się na głos: - Ojcze Naczelniku nasz, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w Polsce tak w Moskwie i w Prusach...

A potem: - Wierzę w Tadeuszu Kościuszkę, stworzyciela wiele mogącego powstania Narodu, Wolności, Całości, Niepodległości Polskiej...

Wcale w tym nie widziano przesady i księża mruczeli nowy pacierz razem z wiernymi.

Naturalnie nikt nie zapraszał króla, ale zawsze skory do afiszowania się pierwszy przydrałował. Tu zobaczył go bez żadnej przyjemności Niemcewicz. Zdrada nie wyszła Kluchosławowi na dobre: postarzał się, zgarbił, twarz miał wylęknioną; zasiadł nie w loży, lecz w zwykłej ławce. Wszystkie oczy były zwrócone na Najwyższego Naczelnika, który wszedł w chłopskiej sukmanie, otoczony licznym sztabem. Kościuszko skłonił się Poniatowskiemu, z pałaszem w ręku stanął przy jego ławce. Podczas kazania ksiądz uszczypliwie wytknął królowi, że oto ma tuż przy sobie wspaniały przykład patrioty walczącego do ostatka i że należy jak on zwyciężyć lub umrzeć.

- Właśnie tak uczynię! zaskrzypiał król; rozległy się chichoty w całym kościele.

Stanisław August był teraz niepotrzebnym człowiekiem. Lokaje jego wzbudzali w mieście groźne pomruki: - do wojska, gałganie, albo na belkę! Rozbiegli się, wstąpili do szeregów. Po pustych salach Zamku wałęsał się jeden, oddany szwagrowi Kicki. Nikt króla nie odwiedzał, zdrajcy przycupnęli, a patrioci ignorowali go ostentacyjnie. Wyjątki co chodziły doń na obiad musiały o tym wpierw meldować Ignacemu Potockiemu.

Stanisław August nie wierzył zupełnie w powstanie, w możliwość zwycięstwa, całą insurekcję uważał za zbrodniczy wyczyn szaleńców. Ale nie mógł ścierpieć, by coś się w Polsce działo bez niego. W 92-im r. błagano go na kolanach o wyjazd do obozu - bezskutecznie, teraz, gdy nic odeń nie chciano tylko by siedział cicho i nie przeszkadzał - zamęczał Kościuszkę, że chce zamieszkać w obozie, wiedzieć o wszelkich planach, obrotach wojennych, posunięciach dyplomatycznych. Narzekał, że na świeżo wypuszczonych asygnatach nie ma jego wizerunku, że Rada Najwyższa nie zasięga jego opinii, miał czelność twierdzić, że gdyby przywódcy rewolucji więcej go słuchali do wielu niepowodzeń by nie doszło.

Szlachetny Kościuszko cmokał króla w rękę, okazywał mu nadmierny szacunek, zapewniał bezpieczeństwo. Lecz pełen zdrowego sensu rozumiał całą szkaradę jego skompromitowanej osoby; nie dowierzał mu też wcale, nie pozwalał mieszać się do niczego, odgradzał go zupełnie od świętego dzieła rewolucji. Nie zwracał nań więcej

uwagi niż na spróchniały kołek. Pilnował by nie uciekł, by nie zdradzał i by go nie powieszono.

80

WARSZAWA W OGNIU

Nocą 27-go lipca Prusacy uderzyli na Wolę i zdobyli ją po krótkim oporze. Kościuszko nie martwił się tym zgoła, właściwa pozycja Zajączka była na Czystem, Wolę obsadził z własnej inicjatywy i bez potrzeby.

Teraz zaczęła się piekielna kanonada. Prusacy prażyli z Woli granatami, chcieli koniecznie wzniecić w mieście pożary; wielka odległość - 3 klm! - zła amunicja oraz niezwykła tępota kanonierów udaremniały zmyślny plan. Pociski nie dolatywały, pękały za wcześnie, nie pękały wcale. Tygodniowe bombardowanie przyniosło w efekcie rozwalenie paru płotów i śmierć żydowskiej kozy.

Ale na Czyste kule padały gęsto, uwijał się wśród nich Kościuszko, dyrygował armatnią repliką. Odstrzeliwanie się oblężonych było udatniejsze, zdołano zapalić wieś Szczęśliwice - mimo pruskich kubłów wody spłonęła doszczętnie. Młodziutki 16-letni podporucznik Hoene-Wroński wyrychtował armatę i grzmotnął tak celnie w Wolę, że wzniecił srogi pożar. Kościuszko natychmiast wyciągnął z kieszeni złoty zegarek z łańcuszkiem i ofiarował go w nagrodę czerwonemu po uszy ze wzruszenia Wrońskiemu.

- Brawo! wołał Niemcewicz, co za celne oko! Wróżę ci młodzieńcze wielką przyszłość!

I rzeczywiście Hoene-Wroński został wielkim filozofem. Między zboże rosnące przed Wolą zapuszczali się w pojedynkę żołnierze-Kurpie, celni nadzwyczaj strzelcy; ubijali z wykrotów jeźdźców pruskich, gdy zapadał zmierzch czołgali się aż do nich, przynosili potem do obozu z tryumfem zdarte siodła i broń.

Polacy wypuszczali się za wały i w kompanii. Generał Ignacy Kamieński, bohater odwrotu spod Szczekocina, w dzień swych imienin podpiwszy należycie z kolegami wypadł z Madalińskim i 500 konnymi na baterię moskiewską, zagwoździli parę armat i przygwoździli kilkudziesięciu jegrów. Dąbrowski na trzeźwo urządził dwie wycieczki z Czerniakowa, zapędził się aż pod Wilanów i napędzał Rosjanom strachu.

Stołeczniacy wciągali się do wojny i coraz bardziej w niej smakowali. Szli na wały ochoczo jak dawniej w Zielone Święta na Bielany. Zakrzewski zorganizował ich wzorowo, podzielił na partie, które zmieniały się regularnie. Gosposie przynosiły mężom do okopów obiad w

dwojakach, majster odkładał karabin i brał się za łyżkę. Piwowary rozwozili wzdłuż frontu pękate beczki piwa i darmo częstowali obrońców masarze fundowali grube zwoje kiełbas.

Ojcowie Benoni, których handelek piwa przed cudowną kaplicą źle teraz funkcjonował, założyli nowe przedsiębiorstwo na czasie. W swym kościele na Nowym Mieście sprzedawali poświęcone kartki po 5 złotych sztuka. Miały one chronić nabywców przed śmiercią. Popyt był olbrzymi, a rezultaty świetne; jeśli ktoś zginął i rodzina przychodziła z pretensjami o zwrot 5 zł. ojcowie tłómaczyli, że najwidoczniej nieboszczyk miał grzech śmiertelny na sumieniu i dlatego kartka nie pomogła. Krewni nic nie otrzymywali i martwili się podwójnie. Kościuszko patrzył przychylnie na te praktyki Benonów, bo pospólstwo kartkowe szło w ogień jak w taniec.

Na strzelaninę już nawet żydy nie zwracały uwagi; warszawiacy zżyli się z nią jak młynarze z warkotem swych żaren; kumoszki niekiedy zrzędziły:

- Bo to moja pani dziś w nocy wcale spać nie mogłam - żeby choć jedna armacina pukła, bez tę ciszę oka nie zmrużyłam.

Na wieży kirchy ewangelickiej, jako na najwyższej budowie, był sztabowy punkt obserwacyjny. Używano najchytrzejszych forteli by się tam wgramolić. Za miejsce na dachu wysokiej altany w ogrodzie Saskim płacono drożej niż za pierwsze krzesło w teatrze.

Do okopów, postrzelać do Prusaków, chodzono jak na polowanie na kaczki. Kamerdyner hetmanowej Ogińskiej, Guminski, wymykał się co dzień z fuzją podczas poobiedniej drzemki swej pani. Strzelał celnie więc miał kupę uciechy. Ale raz udało się i Prusakom - położyli go trupem.

Gdzie Wincenty? zapytała obudziwszy się hetmanowa.

Przed chwilą właśnie Jaśnie Pani, został zabity na wałach...

- A łotr! Bez mego pozwolenia!

Bogacze co nie uciekli z miasta byli mocno skwaszeni: ta bezsensowna obrona się przedłużała, ten bezczelny Zakrzewski wciąż odrywał służbę od miotły do piki, kucharka przepaliwszy zupę, tłómaczyła spokojnie, że to pocisk wpadł do garnka.

Prusacy podciągnęli bliżej swe działa i granaty istotne zasypywały przedmieścia; Kościuszko wyznaczył cenę za przyniesienie nierozerwanego do obozu. Andrusy zbierały je pilnie po ulicach, rzucały się na syczące jeszcze i wołając radośnie: - oho, z nieba nam spadł! wydzierały zręcznie tuleję. Czasem któregoś trochę rozerwało, koledzy się

zaśmiewali z guzdrały. Niektórzy z koszykiem w ręku zapuszczali się o 1000 kroków przed reduty, nazywano to: "iść na kulobranie".

W ten sposób wielu biedaków żyło ze śmiercionośnych pocisków.

Nastrój panował w mieście wyśmienity. Widok Naczelnika podtrzymywał ducha, żarcie obficie dostarczane z Pragi - ciało. Lud z każdym dniem kochał więcej Kościuszkę. Wierzono weń ślepo, uważano za zesłanego przez Boga, padano przed nim na kolana. Matki taszczyły dzieci do obozu, by dotknęły, zobaczyły choć z dala Naczelnika. Nawet sceptyczny Trembecki nachodził Niemcewicza prosząc by go zapoznał z Wielkim Człowiekiem, bo chce pisać o nim dzieło. Ogromny, niechlujny, zawsze w brudnym szlafroku, Trembecki trawił całe noce na rozpuście, a dnie na grze z żydem w szachy. Niemcewicz nie lubił go za służalstwo względem króla, więc spławił z niczym.

Kościuszko mieszkał w namiocie na Mokotowie, z cynowych kubków pił kawę - najczęściej zimną, zagryzając skórką razowca. Opanowany, dla każdego z jasnym uśmiechem, w najtrudniejszych chwilach miał szybkie decyzje, zdenerwowanie objawiało się u niego tylko niewyraźnym mówieniem. Niemcewicz pisał przy kulawym stoliku, kręcił się, dyskutował z oficerami, wtrącał w każdą rozmowę. Od chwili rozpoczęcia oblężenia nie rozebrali się ani razu, nigdy nie gasili światła, osiodłane konie zawsze stały przed namiotem. Kościuszko zrywał się na byle alarm, a parne noce były niespokojne: ogniste kule rozdzierały ciemności, rozlegały się oderwane strzały w oddali, jakieś krzyki, jęki, rzężenia...

81.

MARNY ZGON I MARNA NOMINACJA

W taką to burzliwą noc z 12-go na 13-go sierpnia dano znać Naczelnikowi, że mimo ostrzyżonych włosów, pełnej salaterki musztardy, środka na wymioty, lewatywy zaaplikowanej przez doktora Dunkera i innych lekarskich zabiegów - prymas Michał Poniatowski wyzionął ducha na tłustym łonie swej kochanki, pani Oborskiej, żony jego marszałka dworu.

Zwłoki głowy stronnictwa rublochapów wystawiono publicznie; po paru dniach tak spuchły, sczerniały i zaśmierdły, że cała Warszawa wyobraziła sobie, iż prymas został otruty. Opowiadano jako znosił się z Prusakami, wydał im plany wskazujące którędy najłatwiej zdobyć stolicę; przyłapany na tej nowej zdradzie, by uniknąć belki, zażył truciznę, którą mu król z pierścienia, noszonego zawsze na palcu, użyczył. W rzeczywistości z palca wyssano tylko plotkę. Prymas może i popełnił zdradę, ale nigdy samobójstwo. Tyle

podłości uszło mu bezkarnie, Kościuszko był tak łagodnym - choćby go z 10 razy zdemaskowano na konszachtach z Prusakami, jeszcze by nie zażył trucizny. By przekładać śmierć na hańbę trzeba mieć odrobinę poczucia honoru, bracia Poniatowscy woleli być zhańbieni i żywi niż szlachetni i martwi. Paskudny stan zwłok był normalny w rodzie Poniatowskich, w parę lat później, król wyglądał podobnież w Petersburgu.

Smród i plotki dookoła trupa prymasa nie podziałały na Kościuszkę. Mokronowskiego, dowódcę odcinka powązkowskiego, wyprawił jako głównodowodzącego na Litwę. 33-letni Mokronowski, oschły, sztywny i uparty był krewnym króla, tkwił całkowicie w jego otoczeniu, nie lubił wyraźnie Naczelnika. Nie wierzył w możliwość pokonania Moskali, do wojsk rewolucyjnych wstąpił jedynie dlatego, że bał się, iż jako cywil będzie powieszony. Pod Zieleńcami nie uciekł i stąd uchodził za wybitnego stratega.

Powierzając mu odpowiedzialną misję, Kościuszko popełnił gruby błąd; entuzjasta Jasiński byłby o wiele stosowniejszy. Generałowie zimni i wyrachowani są bezkonkurencyjni na manewrach, a ryzykanccy i szaleni w powstaniach.

Komendę na Powązkach oddał Kościuszko ks. Józefowi. Sarkali mieszczanie, że pod łachudrą nie chcą służyć, tylko autorytet Naczelnika powstrzymał ich od strajku.

82.

TRUPY NA KOZICH TRAWNIKACH

Nadeszły wreszcie Prusakom wyczekiwane ciężkie działa. Pyzaty Fryderyk zniechęcony do Woli, którą zbyt mężnie bronił Zajączek, ustawił je naprzeciw Gór Szwedzkich koło Powązek, kazał strzelać dniem i nocą.

- No, teraz zdobędziemy ten przebrzydły kurnik! wołał. Tydzień prażyły grube Berty. Kościuszko przybył ostrzec księcia Józefa, że Prusacy najwidoczniej szykują na ten punkt generalny szturm. Proponował posiłki i swoją pomoc.

- Nie potrzebuję, dam sobie sam radę! burknął książę wciąż nieprzychylnie usposobiony względem Naczelnika. Nie mógł strawić, że on - książę i głównodowodzący sprzed dwóch lat - teraz jest zaledwie podrzędnym szefem małego odcinka; lekceważył swe funkcje, sądził, że taki drobiazg sam się obroni.

Wieczorem 25-go sierpnia pojechał do Zamku na kolację i manewry z damami. Wrócił zmordowany, zwalił jak kłoda do łóżka. Z trudem przebudzono go o 4-tej rano. Prusacy ruszyli do szturmu, energicznym rzutem zajęli Okopy Szwedzkie, wioskę Wawrzyszew,

zdobyli 8 armat; książę Józef szarżował na czele kawalerii, rąbał, kłuł, koń pod nim został zabity, Madaliński ledwo go wyciągnął żywego z tłoku. Jako kapral książę Józef zasłużył na order, jako wódz na odwach. Zmaltretowany usunął się pod Blachę, tłum zgromadzony pod jego oknami pomstował, że zdrajca.

Sytuacja była arcypoważna. Prusacy, umocniwszy się w zdobytych szańcach, rankiem 28-go przypuścili nowy wściekły szturm, po morderczej walce zajęli lasek powązkowski.

Komendę na Powązkach sprawował obecnie Dąbrowski, odpór był rzetelny; jednak przewaga liczebna wroga przechylała szalę na jego stronę. Chwiały się, słabły polskie szeregi.

Kościuszko na czele piechoty, kosynierów i zbieranych po drodze kup mieszczańskich gnał z Mokotowa na Powązki. Prędzej, prędzej, każda chwila cenna. A tu armata ugrzęzła w ulicznym bajorze. Niemcewicz skoczył do niej.

- Dobry dzień, jak mnie cieszy was widzieć! usłyszał nagle śmieszny akcent, to Linde stał z książkami pod pachą i uśmiechał się przyjaźnie. Mówił:

- Wiecie, dowiedziałem się co jeszcze oznacza słowo - bunt. Oprócz naręcza futer to znaczy też: sojusz, wiązanie się w godziwym celu. Jonatan z domem Dawidowym uczynił bunt...

- Na miłość boską, panie, pchaj lepiej armatę!

- Dobrze, lecz to wcale nie jest armata. Skarga pisał: "hetmana z armatą wodną wyprawił", Żebrowski podobnież: "armata strudzona weszła na brzegi", widzi pan tedy, że armata oznaczała dawniej wojsko...

Parę granatów rymnęło w kałużę. - O Boże, wykrzyknął Niemcewicz, Prusacy zajmą Warszawę i zniszczą biblioteki, na pomoc! i zostawiwszy Lindego przy armacie popędził za Kościuszką na Powązki.

Tu bito się na całego. Lasek w którym tyle warszawianek straciło wiarę w bociana obecnie stanowił klucz sytuacji. Dąbrowski go odebrał. Prusacy wyparli go zeń znowu.

Kawaleria pod brygadierem Kołyską szarżowała na baterie. Pludry próbowały uderzyć z Bielan i Marymontu - celna kanonada Rymkiewicza powstrzymała ich. Pod wieczór Szwaby ruszyły jeszcze raz hurmem do ataku. Przełamali polską linię, poprzez rowy i krzaki darli się niepowstrzymanie, wyglądało, że to już koniec. Kościuszko osobiście poprowadził pospólstwo naprzeciw.

Z pikami w dłoniach, z kartkami Benonów w kieszeniach, z okrzykiem - Bóg i Kościuszko! na ustach - szli mężnie wiotcy czeladnicy o rozwianych włosach, brzuchaci, zasapani majstrowie, wyelegantowani pańscy hajducy, obdarte skotopasy. Zwarli się z Prusakami, wpili w nich jak wściekłe psy. Trzaskały piki w natłoku ciał, szewcy dobywali szydeł zza pasa, krótkimi potężnymi pchnięciami wbijali je od dołu we wraże kałduny. Siekierami rozpłatywano czaszki, dłutami dźgano w oczy, ranni na ziemi gryźli po nogach. Trawniki wśród grot i strumyków gdzie księżna Izabella wodziła kozy na wstążce, gdzie tyle wierszy o pasterzach i miłości deklamowano - zaścielały pokotem trupy.

Niemcewicz ze wzniesioną szablą lazł w ogień, ale co się zamachnął - ledwo nie zdzielił swojego. - Trudniej zabić Prusaka, niż napisać księgę! przemknęło mu w myśli. Ujrzał jak padł wśród grupki uczniów 70-letni Raquillier, fechmistrz kadetów, który i jego niegdyś musztrował. 14-stoletni syn walczył nad ciałem ojca.

Nie strzymali Prusacy przed zajadłością motłochu. Uciekli na czworakach, lasek odebrano, po 16-stogodzinnych zmaganiach zwycięstwo Polaków było bezapelacyjne. Kościuszko i Niemcewicz wrócili do obozu mokotowskiego, padli na snopki słomy jak kamienie, zasnęli.

Szum zbudził Niemcewicza o świcie, wybiegł na dwór - to Kiliński na czele wesołych mieszczan układał karabiny wokół namiotu.

- Co to? Skąd?

- A no, tak się nam znudziło bez Prusaków boć już ze 4 godziny jak ich nie widzieliśmy, że poszliśmy z generałem Zajączkiem wycieczką na Wolę. Szwaby z żałości spiły się dokumentnie, pomęczone leżały jak te wieprze. Kłujem ich bagnetami, a oni mruczą: - Daj spokój Hans, głupie żarty, spać się chce! Wyrąbaliśmy ich tak żartując 80, armat 9 zagwoździliśmy, a to zdobycz nasza...

- Brawo, zaraz dam znać Naczelnikowi.

- O nie, niech se pośpi nieborak...

Wielce był rad Kościuszko gdy mu rano Niemcewicz obfity łup pokazał. Właśnie żydy przyniosły zamówione złote obrączki z napisem: Ojczyzna swemu obrońcy. Kościuszko wręczył numer I-szy Dąbrowskiemu, następne Zajączkowi, Kamieńskiemu, Zakrzewskiemu... Prości szeregowcy szaleli z radości, więcej się cieszyli obrączką niż magnat starostwem.

Do króla wysłał Naczelnik Orłowskiego, by mu opowiedział o ostatnich bojach i sukcesach.

83.

TROSKI KLUCHOSŁAWA

W sypialni zamkowej król podawał kleik księciu Józefowi, głaskał go po włosach i mamrotał:

- Jedz Pepi, musisz nabrać sił do dalszego leżenia w łóżku. O Boże, widzę, że masz katar, och, jakież okropne są skutki tej bezsensownej wojny...

Zżymał się ze złości: zgubne, bezecne powstanie! Już od dwóch miesięcy grosza ze skarbu nie otrzymał - a na niepotrzebne armaty to są pieniądze! Strzelanina spać po obiedzie nie daje, motłoch lata uzbrojony, urodziny Katarzyny nie były obchodzone, teraz Pepi się przeziębił i nabawił sińca na udzie. Ach, do czegóż to dojdzie!

Dano znać, że przybył generał Orłowski, Kluchosław wyszedł do salonu, słuchał z roztargnieniem relacji. Zawsze to samo: szarże, ataki, salwy, ranni, trupy, 5 kroków naprzód, 3 w tył... kto by się w tym orientował i co to ma za znaczenie. Przerwał Orłowskiemu:

- Bardzo ciekawe rzeczy mi waćpan prawisz, ale ja mam ważniejsze rzeczy do omówienia. Słuchaj pilnie, by Naczelnikowi powtórzyć.

I wyłuszczył co następuje:

Kucharz Tremo mu doniósł, że od pomywaczki słyszał jako narzeczony jej przyjaciółki widział, iż z Paryża przyszedł kopersztych Kościuszki z podpisem: Nigdy moje ramię nie splamiło się obroną króli! Dla dobra Polski trzeba surowo zakazać rozpowszechniania tego paskudztwa.

Gazeta Rządowa, wydawana przez Dmochowskiego, w spisie łapowników zamieściła i jego - podając, że po II-gim rozbiorze pobrał od Moskwy 6.000 czerwonych złotych. Zgroza! Pobrał, nawet znacznie więcej, ale to pieniądze należne mu z ekonomii zajętych przez rozbiór. Przyzwoici Moskale rozumieli, że można pozbawić Polskę prowincji, ale nigdy króla dochodów. Polska będzie zgubiona jeśli Gazety Rządowej się nie zamknie.

Kadeci i ich metrowie uciekają z korpusu do okopów. Cierpi na tym nauka, obyczajność, regulamin. Młodzież przebywa na szańcach w niestosownym towarzystwie, nauczy się tam brzydkich wyrazów i wulgarnych manier. Ot teraz zginął Raquillier - całe szczęście, że był tylko nauczycielem fechtunku, łatwo znajdzie się zastępcę, ale co robić, jeśli zginie

profesor tańca?

Na Zamku potrzeba koniecznie nowych oficerów - adiutantów. Wojska masa, więc różnicy w okopach to nie zrobi, a tu gdy Lulla chce pospacerować nie ma jej kto towarzyszyć.

Austriacy uwięzili kasztelana chełmskiego Poletyłłę trzymającego się z dala od powstania, oddanego tylko królowi. Trzeba by Naczelnik napisał czym prędzej do Wiednia z przełożeniami...

Umarł biskup sufragan lubelski Lenczewski. Niechże Naczelnik broń Boże nie przeznacza nikomu beneficjów. Trzeba koniecznie obdarować nimi jednego z 4 kapelanów królewskich - Woronicza, Lubońskiego, Stankiewicza, Bystrzyckiego...

Nie dowierzając pamięci i wymowie Orłowskiego, Stanisław August zasypywał Naczelnika listami w tychże materiach, podpisywał się łasząco: przyjaciel W. Pana. Zaharowany, bezsenny Kościuszko, między odpieraniem szturmu, a szykowaniem wycieczki, znajdował jeszcze czas, by dyktować Niemcewiczowi odpowiedzi, że kopersztych to plotka, Dmochowski sprostowanie zamieści, oficerowie za ujmę by sobie uważali gnuśnieć na Zamku, gdy inni giną, nie sposób zabronić kadetom i nawet metrom tańca spełniania powinności względem Ojczyzny, ani mu w głowie zajmować się sufraganią lubelską - niech król mianuje kogo chce...

Czytając tę ostatnią odpowiedź król uśmiechał się z politowaniem i myślał: Ciężko głupi ten Kościuszko! nie obchodzą go beneficja! A cóż jest ważniejszego? Nigdy nie zdobędzie takiej popularności jak ja, za cóż go będą ludzie kochać i za co go słuchać...

84.

RADOŚĆ I WŚCIEKŁOŚĆ

Dąbrowski odzyskał Wawrzyszew, oblężeni nabrali takiej fantazji, że co noc urządzali wycieczki trapiąc srodze zaspanych Szwabów. Pyzaty Fryderyk zaczynał pojmować, że trudniej zdobyć miasto niż kobietę.

A tu jęły nadchodzić katastrofalne wieści.

Sieradz, Pyzdry, Koło, Kalisz, Leszno, Kłodawa wyrżnęły przykładnie swe załogi, szlachta kupiła się po wsiach. Pod Włocławkiem kasztelan kujawski Mniewski napadł ze 100 ludźmi na galary wiozące proch i pociski dla Prusaków, zagarnął cały transport. Płomień rebelii szerzył się w Wielkopolsce błyskawicznie.

Fryderyk się przeraził; nie mógł dłużej tkwić pod Warszawą, gdy na tyłach wrzało. Ze sławy wielkiego wojownika musiał zrezygnować, ze spuszczonym ze wstydu nosem wydał rozkaz odwrotu.

Gorączkowy ruch w obozie pruskim wytłómaczyli sobie oblężeni przygotowaniami do nowego szturmu. Cała ludność podążyła do okopów, noce mijały w oczekiwaniu pełnym napięcia.

O świcie 6-go września oblężeni przetarli ze zdumieniem oczy. Ani śladu wrogów. Pod osłoną nocy Moskale pierzchli na Piaseczno, Prusacy na Raszyn. Warszawa była wolna.

Wszyscy biegali na Wolę oglądać pruski obóz; zostały długie stoły i ławy, stosy pustych butelek i naczyń; gosposie odepchnęły ciekawych mężczyzn, zabrały tę zdobycz.

W mieście panowała szalona radość. Na ulicach nieznajomi padali sobie w objęcia, ściskali się, całowali. Śpiewano:

Cesarz, Moskwa i król pruski

jest to mało dla Kościuszki.

Zadźwięczały dzwony milczące od 6 tygodni, by paniki nie wzniecać, wszędzie rozbrzmiewały wiwaty. Rada Najwyższa Narodowa jęła obmyślać program uroczystego obchodu zwycięstwa, skromny Kościuszko zaprotestował stanowczo:

- Nie chcę żadnych wjazdów triumfalnych; Bogu podziękować, spać się położyć - ot co!

Po raz pierwszy od 6 tygodni Kościuszko i Niemcewicz legli do łóżek rozebrani.

Za to najcnotliwsza Katarzyna oka zmrużyć z pasji nie mogła. Spodziewała się wieści o zdobyciu Warszawy, a tu - taka kompromitacja. Nawet pracowity Zubow nie zdołał jej uspokoić. Przekładał:

- Ależ król Fryderyk zrobił co mógł!

- Gówno zrobił! krzyknęła bogom podobna imperatorowa ze zwykłą sobie, tak wychwalaną w całej Europie, dystynkcją.

85.

WIESZANIE NIEOBECNYCH

Kryminalny Sąd Wojskowy był łagodny jak stadło owieczek i wymierzał zdrajcom mniejsze kary niż niańki we Francji dzieciom za wyjadanie konfitur. 11-go września stanął przed nim biskup chełmski Skarszewski - podła do szpiku kości kreatura.

Gorący Targowiczanin, w Grodnie rozwiązywał posłów z przysięgi 5-ciomajowej, organizował publiczne podziękowania dla Sieversa, poselstwo czołobitne do carowej. Klęczał przed rublem. Gdy na rozprawie zapytano czemu popierał II-gi rozbiór, odparł cynicznie:

- By wojska polskie dóbr biskupich nie niszczyły.

Sąd pod przewodnictwem Zajączka skazał zaprzańca na bardzo umiarkowaną karę, bo tylko na zwykłe powieszenie. Zawrzało w gadzinowych kołach. Król zaskowyczał:

- Wielka Katarzyno! Za co? Świątobliwy biskup czynił w Grodnie to co wszyscy. Wystarczy wstawić do wyroku moje nazwisko by mnie w całości dotyczył.

Interweniowali u Kościuszki król, kochanki biskupa, Zakrzewski, który za największy swój wyczyn życiowy uważał wydarcie paru łotrów spod stryczka. Przyjechał też do obozu nuncjusz Litta ostrzegając przed złym wrażeniem, jakie wywrze w niebie powieszenie jeszcze jednego duchownego.

Nie mógł wcale spać tej nocy Kościuszko, wiercił się z boku na bok, wreszcie rzekł do Niemcewicza:

- Czy śpisz?

- Owszem, śpię.

- To co myślisz o biskupie?

Niemcewicz zawsze wołał w swych pismach o chińskie tortury na zdrajców, teraz, gdy nadarzyła się okazja, zmiękł momentalnie; wywodził:

- Szczęsny i Branicki dużo więcej zawinili, ich należałoby powiesić.

- No tak.

- Jakżeż tedy Skarszewskiego, który mniej nabroił karać równie surowo.

- Heee, rzeczywiście.

- Zresztą, czy to nam przysporzy armat, wojska? I za granicą to się może nie spodobać...

- Masz rację.

Kościuszko olśniony trafnością teorii, iż nie wolno wieszać mordercy tuzina osób póki zabójca dwóch tuzinów jest na wolności i że zresztą to i tak ofiar nie wskrzesi - zamienił wnet Skarszewskiemu wyrok na dożywotnie więzienie. Ryczeli z oburzenia kołłątajowcy, rozzłoszczony Zajączek ustąpił z sądu (w dwadzieścia parę lat później, jako Namiestnik Królestwa, często jadał oficjalne obiady siedząc obok Skarszewskiego; gawędzili przyjaźnie wspominając dawne dobre czasy).

Zawiedziony lud powiesił na pociechę kilku drobnych szpiegów - żydów na Piaskach. By go udobruchać i okazać, że jednak jest pewna surowość, Kościuszko zezwolił na publiczne powieszenie wizerunków Branickiego, Potockiego i Rzewuskiego. Gdyby ich miał żywych w ręku na pewno by do tego nie doszło.

86.

SZPETNY SKNERA, TŁUSTY FUJARA, SKOŃCZONA NIEZDARA

Mimo wspaniałej obrony Warszawy sytuacja powstańców była ciężka. Fersen stał koło Kozienic, Prusacy między Łowiczem i Rawą, od Litwy, coraz wolniejsze mający ręce, zbliżał się jak gradowa chmura Repnin, wreszcie od wschodu, spod Niemirowa, pędził poszczuty przez feldmarszałka Rumiancewa Suworow na czele 15.000 stupajek.

- Tego draba trzeba koniecznie powstrzymać, zdecydował Kościuszko, nie dopuścić do połączenia się z Fersenem!

Oświadczył Niemcewiczowi, który uważając, że 18 godzin pracy dziennie to za mało wziął się do pisania w wolnych chwilach przebiegu oblężenia Warszawy, iż nazajutrz wyrusza do armii Sierakowskiego pod Kobryn objąć dowództwo.

- Pojedziesz oczywiście ze mną, wyjaśnił. Wieczorem poszli do Łazienek, spotkali króla rozwalonego na ławce.

- Dobrze, że waćpana widzę, zaskrzeczał Kluchosław, mam parę arcyważnych spraw...

I ględził przez kwadrans, że jego ex-adiutanci Kirkor i Deskur powinni awansować; że żona jednego z jego kamerdynerów jest w Kozienicach, kamerdyner z powodu samotnych

nocy jest rano w złym humorze co jest nieprzyjemne - czy nie można by wymienić tej żony na jakiegoś moskiewskiego generała? że lud stołeczny za mało mu okazuje szacunku; że rodzina jego chciałaby wyjechać gdzieś w bezpieczniejsze strony.

Kościuszko obiecał zrobić wszystko co się da, w końcu rzekł:

- Mam i ja jedną wielką prośbę do Waszej Królewskiej Mości.

- No?

- Wasza Królewska Mość ma znakomite mapy kraju. Przy obrotach wojennych dokładne mapy to połowa zwycięstwa, a my w sztabie posługujemy się śmieciami. Dla dobra ojczyzny usilnie proszę o pożyczenie mi tych map.

- Waszmościny jeniusz więcej wart niż moje mapy. W obozie pobrudzą się, zniszczą, będziecie je szpilkami nakłuwać. A ja 20 lat zabiegałem o nie, jeometrom płaciłem. Nie, nie mogę.

- Tak nam są potrzebne W. Kr. Mość, od wiernej mapy wygranie bitwy może zależeć.

- Mnie też są one niezbędne; podczas podróży kieruję się nimi gdzie na obiad, gdzie na nocleg zajechać.

- Rozumiem doniosłość tych rzeczy, ale tu mapy na rewolucji całej mogą zaważyć.

- Dam ja waćpanu co innego, ale map naprawdę nie widzę możności...

- Jak ja mogłem wierzyć w patriotyzm tego sobka! dziwił się własnemu zaślepieniu, wychodząc z Łazienek Niemcewicz.

19-go września Kościuszko i Niemcewicz przybyli do Siedlec. Ucieszyła się hetmanowa Ogińska, z powodu nieznośnej wojny ostatnio wcale nie miewała gości. Podarowała Naczelnikowi wielki turkus oprawny diamentami, rozpamiętywała z Niemcewiczem, kto, kiedy, w jakim kącie, z kim się miętosił.

Wieczorem przywlekli się pierwsi rozbitkowie spod Brześcia donieśli o rannej klęsce.

Otyły Sierakowski miał się za wielkiego stratega, bo jako instruktor w szkole rycerskiej przeprowadzał z kadetami udane manewry na podwórku; Kościuszko powierzył mu korpus na

Polesiu, zamiast znieść o wiele mniej licznego Derfeldena stracił 3 miesiące wykonując tysiączne wielce misterne, a zgoła niepotrzebne obroty. Wyobrażał sobie, że osłania

jednocześnie Wilno, Grodno i Brześć, a w rzeczywistości marnował jedynie czas. Codziennie wydawał do wojska długie jak nowele befele; ustanawiał krigsrechty; ferował sztandrechty; pilnował by przez wsie i miasteczka armia szła paradnym marszem; by za funt mięsa żołnierze płacili 4 grosze, a oficerowie 5; by doły kloaczne kopano równo o 136 kroków od obozu i by nikt w krzakach nie śmiał kucać, tylko koniecznie nad nimi; by je co 3 dni sumiennie zasypywano...

W tej czynnej bezczynności doczekał się Suworowa, będąc słabszym jął się cofać. Pod Krupczycami zadał nawet Moskalom pewne straty co go jednak tak zmęczyło, że w Brześciu, przeprawiwszy się przez Bug, uznał za niezbędne należycie wypocząć.

Ustawił na moście dwie armaty, z których jedna - chluba artylerii polskiej - była wydarta Rosjanom podczas dni kwietniowych, zaś Rosjanie z kolei zdobyli ją na Wielkim Fritzu podczas wojny 7-mioletniej ; zabronił puszczać kogokolwiek przez most z miasta lub do miasta - chyba że za jego biletem - i kontent, że tak fachowo unieruchomił wrogów, położył się spać.

Tymczasem Suworow, nie zajmując się brzeskimi żydami co całym kahałem wyszli doń uroczyście z chlebem i cebulą, przeprawił wojsko nocą w bród przez Bug, nie szanując snu grubasa, uderzył nań z boku. Takiej złośliwości mistrz podwórkowy nie przewidział, został rozgromiony. Stracił 28 armat i całą dywizję, uszły ledwo niedobitki.

Nie było nad kim obejmować dowództwa, Kościuszko wrócił spiesznie do Warszawy organizować sukurs dla Sierakowskiego.

W tydzień później w Wiszniowcu, 12 klm. od Siedlec, przeglądał całą armię otyłej niedołęgi. W rozkazie do żołnierzy, braci kollegów, obiecywał ziemię mężnym i salwę kartaczy tym co podczas bitwy tył podadzą, ustanowił sąd na oficerów co spod Brześcia uciekli i dotąd się nie odnaleźli. Skazywanie na szubienicę nieobecnych było jedyną srogością, którą stosował Naczelnik.

Z Wiszniowca, znów tylko w towarzystwie Niemcewicza, skoczył Kościuszko do Grodna. Kozacy włóczyli się wszędzie, cudem nie wpadli im w łapy. Podróż konno bez eskorty i rozgłosu uważał Kościuszko za najśpieszniejszą i najpewniejszą.

Armię litewską zastali w kompletnym rozprężeniu. Moskale mówili szyderczo, że nie trzeba z nią walczyć, bo sama w nieczynności stopnieje. Niestety mówili prawdę. Same niedojdy mianował Kościuszko głównodowodzącymi. Naprzód gnuśny Wielhorski spędzający ze swym sztabem całe noce przy faraonie, teraz apatyczny Mokronowski nienawidzący bardziej jakobinów niż Moskali. Generał Chlewiński, robiący z portek klozet na widok kozaka, był im prawą ręką.

Te trzy ciamajdy bez inicjatywy, energii i wiary poddały Wilno bez strzału, rozproszyły oddziały, zatraciły łączność, zniechęciły cywili, rozluźniły dyscyplinę. Z doskonałego, pełnego animuszu wojska, zrobiła się wystrachana banda.

Żałował poniewczasie Kościuszko, że miast tych fachowych głupców, nie mianował Jasińskiego. Powiesiłby nieco zdrajców, ale Litwę uratował. Przedsiębiorczy, śmiały, zarażony syfilisem Jasiński był wymarzonym wodzem. Czuł, że niedługo pociągnie więc nie oszczędzał siebie, ani tym bardziej innych.

Łatwo można było rozgromić starego, nieruchawego, nie podejmującego żadnej akcji Repnina i jego 30.000 mużyków. Ale Mokronowski mimo swych 33 lat był stokroć bardziej odeń zramolały i sflaczały. Daremnie Kościuszko przynaglał go ciągle listami do czynu, do jakiejkolwiek inicjatywy - stał tchórzliwie, bezmyślnie w miejscu, żołnierze wpadli w apatię; Moskale chociaż przebiegali okolicę szukając co by zrabować.

Podczas dwudniowego pobytu w Grodnie Kościuszko usiłował poderwać tę zgniłą armię. Zagroził bojaźliwym kartaczami, zostawił obrączki dla walecznych. Niemcewicz spłodził podniosłą odezwę w której cofał się tylko do wypadków z XVII-go wieku, Naczelnik kazał ją rozrzucić, czytać i objaśniać wojsku. Mokronowskiemu polecił zebrać swe 16.000, przysunąć się do Warszawy. Zamierzał połączyć go z Sierakowskim, rzucić wspólnie na Suworowa.

2-go października Kościuszko i Niemcewicz byli z powrotem w Warszawie.

87.

FERSEN NA PRAWYM BRZEGU WISŁY

Kościuszko nie tracił otuchy. Z Wielkopolski dochodziły przyjemne wieści: Dąbrowski był tam coraz ruchliwszy, powstanie szerzyło się jak pożar, cała armia pruska - 50.000 piwoszów - dała spokój Koronie i ściągała w poznańskie. Zupełnie odcięty Fersen błąkał się na prawym brzegu Wisły, Poniński bronił mu przeprawy. Stary Repnin drzemał na Litwie, do żadnych działań się nie kwapił; Suworow stał w Brześciu, dążył do złączenia się z Fersenem i tu tkwiło niebezpieczeństwo. Koniecznie należało fuzji tej przeszkodzić, stąd rozumny plan skomasowania Mokronowskiego z Sierakowskim i wypuszczenia ich razem przeciw Suworowowi.

5-go października o 3-ej w nocy kurier od Ponińskiego doniósł Kościuszce, iż Fersen przeprawił się przez Wisłę koło Kozienic. Zmieniało to radykalnie sytuację, teraz Fersena dzieliło od Suworowa zaledwie 150 klm., połączenie ich było kwestią dwóch tygodni, a

wtedy Warszawa byłaby mocno zagrożona.

Kościuszko zdecydował się momentalnie. Plan zniesienia Suworowa, wobec oddalenia i niegotowości Mokronowskiego, wymagał dłuższego czasu, postanowił uderzyć na Fersena. Jak najśpieszniej! Korpusy Sierakowskiego i Ponińskiego miały do tego posłużyć.

Dwa pułki piechoty wyprawił do Sierakowskiego tegoż dnia, sam postanowił udać się nazajutrz do armii i przewodzić rozprawie. Wtajemniczył w swe zamiary tylko Niemcewicza, Zajączka i Kołłątaja.

Wieczór spędził Kościuszko z Niemcewiczem u Zakrzewskiego. Nastrój był pogodny, gwarzono wesoło, nikt nie miał złych przeczuć co było tym łatwiej, że nikt z gości nie wiedział o jutrzejszej rozprawie. Ignacy Potocki olśniewał dowcipami, życząc mu dobrej nocy Niemcewicz był pewien, że najdalej za parę dni znów go zobaczy.

88.

STRATEGIA XVIII-GO WIEKU

Plan Kościuszki był dobry, jedyny. Koniecznie należało znieść Fersena! Miał rację, że nie posłuchał Zajączka i Kołłątaja, którzy mu radzili czekać - nie wiadomo na co. Bitwa gubi armię czasem - bezczynność zawsze.

Ale wykonał swój plan Kościuszko fatalnie. Jako organizator był nadzwyczajny. Potrafił na połowie obszaru, którym dysponował sejm czteroletni, na tym skrawku Polski, poderwać pod broń spośród zgniłego, tchórzliwego, egoistycznego społeczeństwa koło 150.000 ludzi. Jako wojskowy był niestety za uczony, za wiele studiował i przez to popełniał powszechne głupstwa.

Strategia europejska XVIII-go wieku polegała na rozdrabnianiu sił w nieskończoność na korpusy obserwacyjne, osłonowe, tamujące, łącznikowe - a potem, w obliczu bitwy - na zbieraniu oddziałów, co się z reguły nie udawało. Marsze, zwroty, obroty, kontrmarsze - jenerałowie bawili się jak dzieci, a żołnierze zdychali jak muchy ze zmęczenia. O Dżyngishanie już zapomniano, Napoleona jeszcze nie znano. Obaj na miejscu Kościuszki zmiażdżyliby Rosjan w mig. On był zbyt fachowym wojskowym swej epoki by skupienie wszystkich sił, uderzenie w jeden punkt - mogło mu przyjść do głowy.

Wojska polskie rozłaziły się jak karaluchy na wszystkie strony. Dąbrowski atakował w poznańskim, książę Józef łącznikował nad Bzurą, Jaźwiński obserwował Fersena spod

Warki korpus nad Narwią szachował Prusy Wschodnie, Wawrzecki operował na Żmudzi, Mokronowski tamował Repnina, korpus w lubelskim asekurował przed Austriakiem Harnoncourt, którego armię stanowili dwaj ordynansi, Sierakowski osłaniał stolicę od wschodu, Poniński patrolował na południu...

Każdy dowódca korpusu z kolei grał wielkiego Fritza i kiereszował swe siły na oddziałki, plutoniki... zawsze się gdzieś coś zawieruszyło, nigdy nie wiedziano dokładnie kto ile ma żołnierzy.

Kościuszko wyrachował, że Sierakowski i Poniński mają razem 14.000 ludzi. Był to błąd, gdyż Poniński miał cztery, a Sierakowski sześć tysięcy.

Z Warszawy mógł Kościuszko wziąć z sobą nie 2.000, a pięć razy więcej wojska. Nie uczynił tego, bo bał się, że w opustoszałym mieście motłoch zacznie znów zdrajców wieszać. Wolał narazić siebie i dobrych patriotów na powieszenie przez Moskali. Chciał też ustanowić grupę łączności między łącznikowym korpusem ks. Józefa, a Warszawą, posłać mu posiłki, mieć rezerwy...

Drugi potężny błąd! zamiast ściągnąć co tchu znad Bzury - 50 klm. od Warszawy - owe bezużyteczne tam parę tysięcy, zabrać je ze sobą przeciw Fersenowi - posyłał im jeszcze posiłki!

Wierny uczeń współczesnej mądrości wojskowej nie dążył wcale Kościuszko do skupiania sił. Grał z przeciwnikiem zawikłaną partię szachów - o jabłko, miast palnąć go znienacka szachownicą w łeb i zwaliwszy pod stół - jabłko zabrać.

89.

PĘDEM DO ZGUBY

5-go października o 5-ej rano, swoim zwyczajem tylko w asyście Niemcewicza, opuścił Kościuszko Warszawę. Nie przeczuwał, że widzi ją po raz ostatni w życiu, był pewien zwycięstwa nad Fersenem, więc w dobrym nastroju.

Za Pragą wypadli na trakt brzeski, pognali ile pary w koniach. Wśród przekleństw wieśniaczych zmieniali je po wsiach co dwie mile, nędzne chłopskie chabety, niepodkute, bez uzd, galopowały koszlawo, omal karku nie złamali. W Wielkich Dębach skręcili do Siennicy, na Latowicze, Stoczek do Okrzei. Od czasu do czasu próbowali skrócić drogę, więc nadkładali jej sporo. Wreszcie, po 12-stogodzinnym galopie, przebywszy 120 klm., dotarli do obozu Sierakowskiego w Okrzei.

48-letni Kościuszko, bez chwili odpoczynku, zwołał natychmiast radę wojenną. Poniński stojący nad Wieprzem o 24 klm. od Okrzei stawił się po rozkazy.

Naczelnik wyłożył generałom swój plan: on z Sierakowskim ruszą w stronę Wisły szukać Fersena; na miejsce spotkania przybędzie Poniński. Na razie niech wraca do swego korpusu i czeka na wiadomość gdzie mają się zejść. Był to nowy błąd. Zejścia się sił na samym polu bitwy są zawsze bardzo ryzykowne, często zawodzą. Napoleon przegrał Waterloo dzięki takiej kombinacji. Kościuszko nie wiedział gdzie znajdzie Fersena - należało go tropić wespół z Ponińskim, a nie oszczędzać mu kilkunastu kilometrów nadetatowej drogi.

We wtorek 7-go października otrąbiono general-marsz o świcie. Pogoda była piękna, słoneczna, wojsko pokrzykiwało wesoło. Cały dzień wleczono się zwykłym nieporządkiem: dziwki przy armatach - o ile na chwilę nie w rowie z kanonierami; oficerowie skupieni w tyle przy bagażach - miast przy swych oddziałach; żołnierze wstępowali do chat i karczm przydrożnych węsząc czy czego poprzednicy nie zapomnieli ukraść. Późnym wieczorem armia dotarła do Korytnicy; uszła tego dnia olbrzymi kawał - całe 30 klm!! W owych czasach wojsko zupełnie nie umiało się śpieszyć, normalny pochód dzienny wynosił koło 12 klm.

Korytnica, kiepska wioska, była doszczętnie splądrowana przez kozaków. Sztab rozlokował się w zrujnowanym dworze, gdzie nawet żadne krzesełko nie ocalało. We środę lał deszcz, zostano na miejscu oczekując na kolumnę warszawską.

Sztab badał schwytanego majora rosyjskiego i 10 huzarów. Major okazał się Polakiem spod Brasławia - Podczaskim. Renegatowi należał się stryczek - obiecano mu życie za dokładne informacje; przerażony wypaplał, że Fersen jest o 15 klm. stąd, pod Maciejowicami, że ma 16.000 ludzi i 30 armat. Na kolanach zaklinał Kościuszkę, by się nie wdawał w bitwę, cofnął póki czas.

- Wypada ich czterech na każdego waszego jednego! wołał.

Zdumieli się wszyscy. Przez miesiąc co upłynął od oblężenia Warszawy korpusy obserwacyjne Jaźwińskiego i tamujący Ponińskiego tak sprężyście zbierały informacje, że nawet nie dowiedziały się ile wojska ma naprawdę Fersen. Fenomenalne niedołęstwo!

Kościuszko uważał się zawsze za Litwina i był nim rzeczywiście pod względem uporu. Jasno widział teraz, że początkowe obliczenia o polskiej 14-stotysięcznej armii są mylne, że ma obecnie 5.000, po dołączeniu pułków warszawskich będzie miał 7.00 , razem z 4-tysięcznym Ponińskim może liczyć w dniu bitwy maksymalnie 11.000 ludzi. Nie uwierzył Podczaskiemu. Fersen nie jest tak silny. Kreśląc w zamyśleniu rysunki ołówkiem na stole

powiedział swoje zwykłe:

- Jeśli nie zwyciężymy, przynajmniej zgińmy z chwałą! I choć można było bitwę odwlec, sprowadzić posiłki, trwał w błędnym postanowieniu stoczenia jej niezwłocznie. Kazał zwerbować przewodników, zaopatrzyć przednie oddziały w łopaty do ulubionego okopywania się, skasować capstrzyk i pobudkę, być w ciągłym pogotowiu.

Niemcewicz spacerował po podwórku z generałem Kamieńskim, dawnym kolegą ze szkoły rycerskiej.

- Pobijemy jutro Moskali, mówił generał.

- Oczywiście, to nie ulega wątpliwości.

Ale nazajutrz nie doszło do bitwy. Rano przyczłapały dwa pułki wyprawione 5-go października z Warszawy; żołnierze byli źli i strasznie zmęczeni, bo w 4 dni uszli aż 80 kilometrów. Płomienna odezwa Kościuszki napisana przez Niemcewicza, obiecująca łatwe zwycięstwo, a potem wdzięczność i nagrody od Ojczyzny podniosła w nich trochę ducha, a wódka rozdana po pół kwarty na głowę - ogromnie.

W południe ruszono naprzód, o 4-ej, po 12-stu klm., armia wychynęła z lasu na wzgórze. Nie rosły na nim żadne drzewa, widać było przez lunetę w dole Moskali, z boku wioskę Maciejowice, hen daleko Wisłę. Opodal, na obszernym pagórku, stał szpetny dwupiętrowy dom z czerwonej cegły. Łagodny stok opadał przed domem ku bagnistym moczarom, z prawej strony ku długiej grobli, z lewej ku drodze i wsi Oronne. Tył i prawą stronę grobli osłaniała błotnista rzeczka - Okrzejka.

Kościuszko uznał pozycję za doskonałą; armia weszła na pagórek rześko jak odważny skazaniec na szafot, rozłożyła się wokoło czerwonego domu. Nażarłszy się klusek, zawinięci w siermięgi, marząc o przyszłych zagrodach i krowach, zasnęli żołnierze przy wielkich ogniskach. Liczne szyldwachy nie drzemały utartym zwyczajem, wartowały czujnie, w ciemnej, siepiącej deszczem nocy słychać było warknięcia:

- Parol?

- Proch!

- Hasło?

- Kadzidło!

Zawsze dotychczas parol i hasło były wesołe, nasuwały dziarskie skojarzenia jak: szabla - nadzieja; granat - fraszka; oręż - wygrana; poddaństwo - hańba; ucieczka - kula; tyran -

straszydło; zdrada - szubienica; akurat w wigilię bitwy wybrano proch - kadzidło, co brzmiało zaduszkowo, jak pogrzebna wróżba.

W ceglastej ruderze, szumnie zwanej pałacem Zamoyskich, rozlokował się sztab. Niemcewicz oglądał portrety starych grubasów w kontuszach z powystrzelanymi przez kozaków oczyma. Wszystko w pałacu było zniszczone.

- Bydło, mruczał, nawet książek nie uszanowali.

Pozbierał na podłodze w bibliotece trochę szpargałów - jakieś mowy sejmowe sprzed pół wieku - i przy kolacji odczytywał je generałom zaśmiewając się z napuszonych makaronizmów. Był bardzo wesoły - jak wypadało w przeddzień miażdżącego zwycięstwa. Kościuszko rozdzielił role na jutro: Kamieński miał dowodzić prawym skrzydłem, Sierakowski centrum, a Kniaziewicz lewym; roztrząsając pozycję Sierakowski narzekał, iż w razie porażki porządny odwrót będzie niemożliwy. Besztnął go Kościuszko, że o klęsce śmie myśleć. Wszyscy godzili się, iż front jest świetnie zabezpieczony przez błota, które są zupełnie nie do przebycia. Opinia ta okazała się nazajutrz gruntownie mylną.

Po wieczerzy przyłożono się nieco do snu. Nie na długo, o pół do drugiej w nocy przyleciał goniec od Ponińskiego z prośbą o rozkazy. Naczelnik obudził Niemcewicza, podyktował mu bilecik wzywający Ponińskiego do jak najśpieszniejszego przybycia. Kurier z tym SOS zapadł natychmiast w nieprzeniknioną noc.

Tak późne wezwanie Ponińskiego było fatalnym, przygważdzającym błędem, który ostatecznie spowodował katastrofę. Ale ten błąd nie obarcza Kościuszki. Nie otrzymawszy od króla dobrych, precyzyjnych map - posługiwał się wadliwymi paskudztwami z których wynikało, że Wieprz i Białki, gdzie stał Poniński, są odległe od Maciejowic o 21 klm. Cały sztab patrząc na rozpięte przez szczuplutkiego Fiszera mapy, sądził podobnież.

Naczelnik zatem obliczał rzeczowo: kurier doręczy rozkaz najpóźniej o 5-ej rano, Poniński jest w pogotowiu, ruszy niezwłocznie, przybędzie na pole bitwy o 9-ej, wyjątkowo może o 10-ej, no, idąc na czworakach nawet - najpóźniej o 11-ej przed południem. A z nim decydujący cios i zwycięstwo.

Lecz złe mapy zwiodły Kościuszkę. Białki były nie o 21 klm od Maciejowic, a o równe 35; te dwie mile więcej psuły całą kalkulację; jadący po omacku goniec nie mógł oddać rozkazu przed 7-mą rano, Poniński idąc najśpieszniej nie mógł zdążyć przed jaką 3-4-tą po południu.

Gdyby Kościuszko miał dobre mapy króla nie myliłby się w swych obliczeniach

odległościowych, ściągnąłby Ponińskiego w porę. Sknerstwo Kluchosława spowodowało klęskę. Odkąd wstąpił na tron, żadna katastrofa nie spadła na Polską bez jego udziału. Maciejowice - ostatnia, ostateczna nie była wyjątkiem.

* * *

Fersen był w pułapce; z tyłu Wisła, most przez którą już rozebrali chciwi kozieniczanie na opał, z przodu Polacy Ucieczka była niemożliwa.

- Musimy zwyciężyć lub zginąć! oświadczył swym sztabowym pałom.

I ten stary niedołęga, trzeciorzędny dowódca, w przystępie rozpaczy, ułożył plan bitwy pierwszorzędnie. Wiedział - dokładnie! - gdzie jest Poniński, postanowił rozpocząć bitwę o świcie, zakończyć ją przed jego przybyciem. Generałowie Denisow, Tormasow, Tołstoj, Chruszczew, Rachmaninow otrzymali precyzyjne dyspozycje.

Wojsko Fersena składało się z niedobitków Tormasowa spod Racławic, zastępów uratowanych przez Prusaków pod Szczekocinami, uciekinierów Igelstromowych z Warszawy.

Spragnieni zemsty, dobrzy znajomi tych tam z przeciwka na górze, z bronią u nogi, bez ogni - spędziły stupajki kacapskie noc na niecierpliwym wyczekiwaniu brzasku.

Paradoksalna sytuacja: Polacy chcieli bitwy, przyszli ją wydać, byli dwakroć słabsi, zajęli pozycję obronną. Ścigani Moskale szykowali się do natarcia, inicjatywa była w ich ręku.

90.

BITWA POD MACIEJOWICAMI

W piątek, 10-go października, o 4-ej min. 45 rano, zagrzmiała pierwsza rosyjska armata. Szarzało ledwo, do wschodu słońca było jeszcze półtorej godziny, Fersen się pośpieszył. Kościuszko i wszyscy oficerowie natychmiast wybiegli na dwór.

Bitwa zaczęła się na lewym skrzydle, Denisow obszedł szerokim łukiem moczary, gramolił pod górę od strony Oronnego. Armaty polskie miały łatwy cel - prażyły prosto w twarz Moskalom, spychały ich nazad w dół. By się nie przemknęli przypadkiem przez długie Oronne Kościuszko kazał je podpalić. Z pierzynami i gęśmi na plecach, pędząc przed sobą bydło i dzieci, uciekali w las kmiotkowie; buchnęły w niebo szlochy, przekleństwa i słupy dymu.

- Nareszcie jestem w prawdziwej, ziejącej grozą bitwie! konstantował z zadowoleniem Niemcewicz.

Niezrażony stratami Denisow nacierał dalej; powstrzymywał go mężnie Kniaziewicz, ale wobec przewagi nieprzyjaciół wciąż prosił o posiłki. Kościuszko spoglądał na las za Oronnem, stamtąd miał się wyłonić Poniński.

Na prawe skrzydło Kamieńskiego następowały główne siły rosyjskie pod wodzą Tormasowa. Wąska grobla uniemożliwiała rozwinięcie frontu, ustawiona przed pałacem bateria Sierakowskiego raziła z ukosa, Moskale co zrobili dwa kroki naprzód to półtora w tył. Polskie szeregi, wysoko na pagórku, wciąż były niedosięgalne strzałem karabinowym.

Fersen przygotował też niespodziankę. Środkiem, przez nieprzebyte - zdaniem Polaków - bagna, przedzierała się trzecia grupa poganiana kijem Chruszczewa. Chachłactwo z koźlim uporem brnęło przez mokradła, ciskało w nie bale, ścinało drzewa, grzęzło, zapadało po szyję, ale powoli posuwało się jednak, taszczyło armaty.

Przez trzy godziny opór Polaków był znakomity, artyleria utrzymywała Rosjan na obu skrzydłach w przyzwoitej odległości, żołnierze z suchego szczytu obserwowali jak wrogowie tłamszą się w dole, w błocie. Armaty kacapskie robiły dużo hałasu, ale znikome szkody. Było całkiem przyjemnie.

O 8-ej Fersen zdecydował się na śmiałe posunięcie: wycofał część wojsk Tormasowa, dołączył wszystkie rezerwy, kazał Tołstojowi iść z piechotą na lewo od grobli, Rachmaninowowi aż na prawy brzeg Okrzejki, okrążyć Podzamcze, ponownie przejść Okrzejkę, uderzyć z kozakami od tyłu.

Tylko dzięki dwukrotnej przewadze liczebnej i biernej taktyce Polaków mógł Fersen zaryzykować ten manewr. Był on niebezpieczny i wymagał sporo czasu; już Chruszczew nie brał udziału w walce, teraz jeszcze nowe pułki oddalały się od placu boju; gdyby w trakcie tego nadciągnął Poniński, Polacy przeszli do kontrataku - skończyłoby się niechybnie ich viktorią. Ale Poniński dopiero przed godziną otrzymał pisany przez Niemcewicza w nocy rozkaz wymarszu, znajdował się o przeszło 50 klm. od Maciejowic. Kościuszko ze swą garstką ani mógł marzyć o ataku nawet na chwilowo osłabionych Rosjan.

Zresztą Polacy nie orientowali się w ruchach nieprzyjaciela. Widząc przegrupowania oddziałów Tormasowa, Sierakowski z właściwą sobie bystrością rzekł do Naczelnika:

- Hee, Moskaluszki odchodzą...

Na lewym skrzydle wciąż wrzało. Trzy razy Denisowe stada przypuściły szturm, trzy razy

zostały odparte. Kościuszko przebiegał szeregi, pocisk przeleciał między nim i Niemcewiczem:

- Szczęściem nie bliżej, ledwo nie zginąłem, zauważył z uśmiechem.

Do żołnierzy wołał: - Odwagi! wnet przybędzie Poniński!

I sam coraz nerwowiej, rozpaczliwiej spoglądał na las za Oronnem. Pusto! Nawet żadna krowa się zeń nie wyłaniała. 11-ta! Poniński powinien od dawna już być!... Co się stało? Ach, czemuż tak zwleka...

Dla podtrzymania Kniaziewicza ogołocił Kościuszko zupełnie swe centrum. Właśnie na tym polegał plan Fersena: wiedział on, że Denisow nie sforsuje Podzamcza, ale nieustannymi atakami miał absorbować Polaków, ściągnąć na siebie gros ich sił, zyskać czas dla Chruszczewa i Rachmaninowa szykujących decydujący cios.

W południe zaczął się koniec. Wszystkie cięciwy, od rana misternie napinane, puścił naraz Fersen. Raptownie, jak ulewa z długo gromadzących się chmur, runęły ze wszech stron chachłackie kolumny. Chruszczew wyłonił się z bagien, wylazł nareszcie na suchy teren, ustawił armaty, jął prażyć Sierakowskiego od frontu. Piechota Tormasowa ruszyła ławą pod górę, Kościuszko osobiście rychtował działa, siekł jej w zęby kartaczami, nie zważając na ogień, straty - darła się niepowstrzymanie, już była w zasięgu karabinów. A tu z boku, od strony bezpiecznej dotychczas Okrzejki wypełzły nagle oddziały Tołstoja, wsparły atakujących od grobli. Denisow uderzył z nową furią. Na tyłach ukazali się kozacy Rachmaninowa... Sierakowski przypadł do Kościuszki wołając:

- Daj rozkaz odwrotu, ostatnia chwila ku temu!

- Nie masz tu miejsca rejterady, tu się zagrzebać, albo zwyciężyć potrzeba.

Nadbiegł Niemcewicz z wieścią, że środek przełamany. Padły wszystkie konie artylerii, wspaniałe konie cugowe zabrane ze stajen królewskich, zabrakło amunicji, Chruszczewowa tłuszcza wykłuła kanionierów na zamilkłych armatach.

Grenadierzy sybirscy Tormasowa wdarli się na stok, natarli bagnetami na stojący nieustraszenie pułk Działyńskiego - zostali odparci; rzucili się wściekle drugi raz - zdławili go masą. Nie cofnąwszy się ani o krok, tam gdzie stali, legli działyńczycy czerwoną smugą znaczoną ich krwią i rabatami. Rozbestwieni grenadierzy dźgali sztykami trupy tych przed którymi uciekali w dniach kwietniowych na Krakowskim Przedmieściu rycząc dziko:

- Eto za Warszawu! Pomnisz skatina Warszawu!

Prawe skrzydło było porwane w strzępki, daremnie starał się Kościuszko skupić resztki piechoty, utworzyć nową linię - fale wrażego żołdactwa wlewały się przez wszystkie szpary.

Stojąca za pałacem bezczynnie i bezpiecznie od rana kawaleria polska na widok sunących kozaków Rachmaninowa pierzchła od razu. Uciekał Wojciechowski na czele pułku ułanów królewskich krzycząc:

- Muszę ocalić dla króla jego ułanów! Podłym czynom zawsze patronował Stanisław August. Uciekał z całą gwardią konną major Kosmowski, odznaczony za waleczność złotą obrączką Nr. 58; uciekała milicja brzeska...

- Biegnijcie waćpanowie, zatrzymajcie tchórzów! wołał rozpaczliwie do otaczających go oficerów Kościuszko.

Skoczył Niemcewicz ze wzniesioną szablą, wysforował się na czoło milicji, usiłował ją w stronę wroga zawrócić. Kula pistoletowa ugodziła go w wyciągnięte ramię powyżej łokcia - opadło bezwładnie, wyśliznął się pałasz.

Oficer Drzewiecki szybko ścisnął mu ramię chustką. Widok swej krwi spływającej ciurkiem wprawił Niemcewicza w radosną dumę: przelał ją za Ojczyznę! To wspaniałe! Rzekł do Drzewieckiego.

- Jeśli zginę, pamiętaj, byś opowiedział jako pierwszą ranę otrzymałem prowadząc mych ziomków Brześcian do ataku!

W rzeczywistości cała kawaleria wiała w stronę lasów korytnickich, gnana przez kozaków i piechotę Tołstoja; z lewego skrzydła cofały się rozbitki Kniaziewicza, siedziały im na karkach Denisowe hordy. Miotał się Kościuszko, zbierał naokół siebie grupki jazdy, które wnet się rozpraszały, koń został pod nim zabity, wskoczył na innego, czynił nadludzkie wysiłki by powstrzymać ogólną debandadę. Sadząc przez jakiś rów zwalił się wreszcie z konia; wszystko było stracone, kozacy lecieli przez polanę, Naczelnik włożył sobie pistolet w usta - szarpnął za cyngiel - nie wypalił; w tejże chwili z wizgiem galopujący kozak ciął go w przelocie szablą w głowę, inni szturchnęli pikami w plecy - zalany krwią - zemdlał.

Z patetycznego uniesienia Niemcewicz przeszedł w apatię. Śmignęło obok niego kilkunastu jeźdźców:

- Łącz się z nami, uciekaj od nieprzyjaciela! krzyknął mu oficer.

Zobojętniały stał w miejscu, nie pognał do zbawczego lasu. Obskoczyła go chmara kozaków, rosyjski oficer, widząc, że to lepsza gratka, odpędził żołnierzy, zajął się sam

jeńcem. Zdjął zeń ubranie, dał w zamian jakieś łachmany zdarte z trupa, zabrał mu zegarek, z pogardą rzucił na ziemię wyjęty z kieszeni rękopis - Oblężenie Warszawy, by ściągnąć pierścień z opuchłego palca, wziął go w zęby i chciał odgryźć; Niemcewicz wyrwał dłoń i pośliniwszy palec szczęśliwie zdarł obrączkę.

Wiódł go potem oficer przez pobojowisko jak cielaka na targ; rozradowani kozacy, przebiegając, zdzielali Niemcewicza po plecach nahajką. Piesze mużyki krzyczały:

- Zaczem taskajesz polskuju swołocz? Ubiej sobaku!

Przed pałacem stał Fersen w otoczeniu roześmianych generałów. Ubrany w galowy mundur, z rzędem orderów na brzuchu, okryty czerwonym pluszowym płaszczem przypominającym firankę, ze szpadką u boku - wyglądał na starego głupca, którym był w istocie.

Przedstawiono mu Niemcewicza. Zbliżył się wnet Chruszczew, Tormasow, Denisow i Engelhard, którzy znali dobrze z pochodów przez brześciańskie pana Marcelego oraz Skoki i Kleniki nieraz przez nich z lekka okradane. Pocieszali Niemcewicza, że wszystko teraz będzie dobrze, bo wojna skończona i carowa rozda Polskę swym zasłużonym generałom. Wezwany lekarz opatrzył mu ranę, stwierdził, że to drobiazg, - kość cała, ciało tylko poszarpane.

Coraz tłoczniej było przed zamkiem; trzy wystrojone klempy - żona Chruszczewa, jego córka i siostrzenica - nadbiegały przez pobojowisko. Podnosząc wysoko suknie, zważając by nie wdepnąć pantofelkiem w kałużę krwi, kicały poprzez obdarte, nagie polskie trupy, zerkały ciekawie na męskie narzędzia nieboszczyków, chichocząc wskazywały sobie co wybitniejsze okazy.

Odprowadzono Niemcewicza do wielkiej sali, gdzie zastał wąsala Kamieńskiego, ogromnego Kniaziewicza, tłustego Sierakowskiego, chytrego jak mucha brygadiera Kopcia trzykrotnie rannego. Łzy ścisnęły im gardła, kilkanaście godzin przedtem radzili tutaj jak pobić Moskali, a oto byli jeńcami...

Wydzwoniła 3-cia po południu; o tej porze Poniński, zwiedziawszy się o klęsce, umykał spod Życzyna odległego o 10 klm. od Podzamcza. Łatwo mógł go Fersen dogonić, znieść, ani o tym pomyślał. Wystarczało mu odniesione zwycięstwo: 2.000 Polaków zabitych, 2.000 - przeważnie rannych - wzięto do niewoli, 114 oficerów, 21 armat, cała naręcz sztandarów; Moskali zginęło parę setek - nikt ich dokładnie nie rachował, bo za te trupy nie czekała żadna nagroda.

O zmierzchu stupajki przyniosły na związanych włóczniach kozackich, na garści siana przykrytej podartym płaszczem - największe trofeum: nieprzytomnego Kościuszkę.

Żołnierze, znalazłszy go w rowie, krzyczeli mu przeraźliwie w uszy by zobaczyć czy żyje; zrabowali mu buty, złote pierścienie, których zawsze miał kilka na palcach by rozdawać odważnym, zegarek...

Podeszły jaskrawo uszamerowane generatlerki, dziwiły się Naczelnika szarej krakowskiej czamarze, zielonym sznurkiem obszytej. Więc to ten skromny kmiotek porwał się na wielką imperatorową, stawiał pół roku czoło jej wielkiej armii! No, no...

Ze szlochem przypadł Niemcewicz do Kościuszki, całował jego długie włosy zakrzepłe we krwi, śmiertelnie blade oblicze; Fersen potrzebował sali na ucztę, zamknięto więc ich obu w małej izdebce obok.

Straszliwą noc przeżył Niemcewicz: zimno przenikliwe, rozbolałe ramię, nieprzytomny Naczelnik, poczucie ostatecznej zguby ojczyzny, zza ściany dolatywały pijackie wiwaty, spod podłogi jęki i rzężenia. Część Działyńczyków, walcząc do upadłego, schroniła się w piwnice zamkowe, poczęstowano ich tam kilku salwami, zostawiono trupy i dogorywających razem.

- Pić, pić! błagali umierający.

- Dobijcie nas, skróćcie te męki!

Złorzeczyli okropnie Kościuszce, Polsce, Bogu... przekleństwa mieszały się z charkotem konających.

Świecił w jesienną ciemną noc magnacki zamek jako symbol Polski na długie lata: wodzowie spętani w komórkach, lud skatowany w podziemiach, orgia rozpasanych Moskali nad ich głowami.

CZĘŚĆ CZWARTA

WIĘZIEŃ I TUŁACZ

91.

POCHÓD GRABIEŻCÓW

Nad ranem Kościuszko ocknął się nareszcie z omdlenia, otworzył oczy.

- Jesteśmy więźniami Rosjan! oznajmił mu na powitanie Niemcewicz.

Przyszedł dobrze wyspany Fersen i napatrzywszy się Kościuszce wybąkał parę banalnych kondolencyj. Ponieważ prostak umiał tylko po niemiecku i rosyjsku, a Kościuszko, jako normalny Polak nie władał wcale tymi językami - przeto Niemcewicz służył im za tłómacza. Nagryzmolił też lewą ręką liścik do Zajączka donosząc o smutnej sytuacji i prosząc o przysłanie niezbędnych rzeczy.

Dwa dni spędzono jeszcze w Podzamczu wśród salw radosnych i łażących na czworakach z przepicia Moskali. Fersen i jego generakarze nie mogli się nacieszyć miejscem gdzie seria błędów Kościuszki i sknerstwo Kluchosława dały im zwycięstwo.

13-go października ruszono w drogę. Fersen jechał wielką liliową karetą w 6 koni zaprzężoną, z 16-stoletnią śliczną prostytutką, która wesołym szczebiotem i zręczną grą rąk rozwiewała nudy podróży. Wokół - dłuższe niż wojska - szeregi wozów pełnych łupów; widok zrabowanego bogactwa cieszył Fersena jeszcze więcej niż utrzymanka. Wszyscy generałowie również w karetach o herbach magnatów polskich, z seksualnym prowiantem u boku. Więźniowie - oficerowie jechali stłoczeni w telegach, obok człapali szczękając z zimna zębami, jeńcy-żołnierze. Mówili szyderczo:

- Gdzie te ziemie obiecane?

- Na Sybirze!

- Gdzie ta ojczyzna zachwalana?

- Zła nam była pańszczyzna, teraz dopiero wolności zażyjem...

Półnagim rzucali Moskale świeżo zdarte z bydląt skóry, okrywali swe krwawiące rany krwawiącymi strzępami.

W Korytnicy zastali wysłanych z Warszawy murzyna Johna i kucharza Stanisława Balińskiego - służących Kościuszki, oraz jego adiutanta Biegańskiego z listami. Rząd Narodowy zawiadamiał Naczelnika, że powiesił jego portret w sali obrad i w trakcie mówienia każdy nań patrzy; przysyłał mu mnóstwo wyrazów czułości i 3.000 zł. czyli 500 rubli, złotą tabakierkę i 3 zegarki; Fersenowi proponował w zamian za Naczelnika 4.000 dukatów (13.000 rubli) oraz wydanie wszystkich jeńców rosyjskich - 3.000 sztuk z kilkunastu generałami. Propozycja ta ubawiła Fersena: carowa mogła przecież naznaczyć zaraz choćby 3.000 nowych durni w generały, a Kościuszko był dla Polski niezastąpiony.

Przybył też do Korytnicy służący Niemcewicza - Franciszek Bindziakowski, równie wierny jak ograniczony. Zamiast ubrań i ciepłej bielizny przywiózł skrzynię pełną ostatnich anonimowych publikacyj swego pana. Moskale, rewidujący każdy drobiazg 10 razy, skonfiskowali triumfalnie Biblie Szczęsnowe, Targowicką Formę Rządu, Elegię rozbiorową

- pełne inwektyw na kacapię i Katarzynę. Niemcewicz ciągle podkreślał, że jest majorem, gdyż jako jeniec cywil cierpiałby większe szykany, Franciszkowa usługa nie wyszła mu na dobre.

Bitwa maciejowicka zmieniła zupełnie plany rosyjskie. Nie było teraz mowy o leżach zimowych, Suworow zdecydował skończyć z Polską, zarządził koncentrację wszystkich sił przed Pragą. Fersen wydzielił Chruszczewowi 2.000 wojska, powierzył mu jeńców, wielkim łukiem na południe polecił wieść do Rosji. Z Korytnicy Fersen ruszył w dół Wisły, Chruszczew cofnął się, przeprawił na jej lewy brzeg i szedł w górę.

Kościuszko jechał z majorem Titowem, chirurgiem i murzynem w jednej kolasie. Niemcewicz z generałami w telegach; przed każdym powozem cwałował oddział kawalerii. Spotykali kozaków wracających z wycieczek, obładowanych zdobyczą; kozacy rabowali po dworach nawet książki, uważając, że im grubsza, tym lepsza; zawadzały jednak na siodle, więc znudzeni ciskali je jeńcom w telegi śmiejąc się do czkawki, gdy któremuś w nos trafiły. Z bólem odnajdywał Niemcewicz na wielu cechy biblioteki puławskiej.

Moskale szli jak chmura szarańczy, nic się nie ostawało przed ich łapczywością, od generała do kuchcika każdy chwytał, kradł co mógł. Chruszczew, który dzięki chytrości, sile fizycznej i tępej mordzie, wysforował się z prostego chłopa na generała dyrygował tym rabunkiem. W królewskim pałacu myśliwskim w Kozienicach grasowano cały dzień, wieczorem zamek wyglądał jak nowozbudowany - tylko gołe ściany. Titow szlochając skarżył się jeńcom, że chciwy Chruszczew zabrał sobie wszystko, jemu zostawił tylko czerwone firanki znad łóżka jakiegoś lokaja. Widząc uśmiechy zamiast współczucia, zakonkludował:

- Ach wy podłe Polaki! Jesteście bez serca!

Puławy już były oporządzone przez Bibikowa. Bystry ten wódz widząc sadzawkę z fontanną na dziedzińcu wnet domyślił się do czego ona służy: kazał w nią wrzucić stosy cytryn i cukru, wlać kilka beczek rumu, przyszła potem jego dywizja i odgarniając zdechłe ryby wyżłopała cały poncz. Chruszczew klął strasznie, bo w Puławach niewiele przysporzył do swych 40-stu wozów łupu.

Dalszy pochód był owocniejszy; wykalkulowano zawsze postój w jakimś dworze, gdzie zamknąwszy więźniów w klitce - wszyscy brali się do roboty. Oficerowie pędzili do swych działów: jeden do piwnicy, drugi do stajni, trzeci do obory, dziesiąty łapał żydów okolicznych i pakował do chlewa by wieprze zachęciły ich do wysupłania pieniędzy. Na wioski i miasteczka, pod grozą spalenia, nakładano kontrybucje.

Sam Chruszczew nie stronił od pracy. Powitawszy serdecznie gospodarzy, z żoną i dwoma lafiryndami obchodził dom, zdejmowali obrazy, lustra, portiery, opróżniali szafy, szuflady, zabierali bibeloty i urynały, nawet zabawki dziecinne dla małego synka Iwana, który je psuł momentalnie. Mebli, talerzy i książek nie unosili jako zbyt ambarasownych, łamali, tłukli, darli je tylko dla porządku, by na próżno nie zostały. Chruszczew szczycił się swą dokładnością w złodziejstwie, był przekonany, że to Katarzynie i bogu bardzo przyjemne. Dla mużyckiego żołdaka nierabowanie pokonanych było równie bezsensowne jak niebicie w zęby bezbronnego.

Oczyściwszy dwór horda kucała przed korytem. Chwytano rękoma ociekające tłuszczem placki, pierogi, mięsiwo. Niemcewicz konstatował ze zdumieniem, że największe obżartuchy szlacheckie jakie widział były głodomorami wobec tych żarłoków. Oficerowie zdawali sprawozdanie ile wina, koni, pieniędzy zdołali ukraść.

- Oczeń charaszo! Wot prekrasno! chwalił rozanielony Chruszczew.

Walił się potem spać, wstawał na kolację i napchawszy brzuch, znowu zasypiał chrapiąc jak nosorożec. Inni Moskale jeszcze szukali kogo by zgwałcić, młode dziewczęta uciekały do lasu, za to stare babsztyle szwendały się wszędzie bez potrzeby, mówiąc bohatersko:

- Trudno! Jak wojna to wojna!

W Kisielinie żona Kamieńskiego uzyskała widzenie z więźniami. Przywiozła swe ćwierć tuzina ślicznych dziatek - zawsze przepadający za brzdącami Niemcewicz zawołał:

- Tak łatwo Pani idzie z płodzeniem, gdy będzie nowy twór - niechże go Pani mnie, jako koledze po fachu, bo też płodzę - tylko wiersze co prawda - podaruje na pamiętkę.

Również do Kisielina przyjechał sześciokonną karetą młody podstoli i prosił Chruszczewa o zobaczenie sławnego Kościuszki. Otrzymał zezwolenie. Lecz Naczelnik nie chciał go przyjąć:

- Gdym czynnie krajowi służył, oświadczył, chętniem witał każdego nowego znajomego, ufając, iż żołnierza pozyskam, ale teraz niczyjej próżnej ciekawości zaspokajać nie myślę.

Stropił się młody cymbał i do karety wrócił; lecz zastał ją bez koni - w międzyczasie na rozkaz Chruszczewa, jegrzy je wyprzęgli i do generalskiego taboru dołączyli.

Chruszczew, lubiący rozmawiać z Niemcewiczem, jako że on jeden spośród jeńców trochę po rosyjsku dukał, pochwalił się przed nim przy kolacji tym pięknym dowodem swej przytomności umysłu.

- Prawdziwy Spartanin z was! rzekł Niemcewicz.

- He, he, he, a poczemu eto? spytał mile połechtany Chruszczew.

- Bo u nich zręcznie kraść też za wielką zaletę uchodziło.

- Pustiaki, kakoje tam worostwo, prosto riekwizicja...**[Drobiazg, jakie tam złodziejstwo, po prostu rekwizycja...]*

Wkrótce jednak Kościuszko musiał widywać obywateli.

Chruszczew dowiedział się, że kursuje pogłoska jako on prowadzi fałszywego Naczelnika, prawdziwy zaś uciekł i znowu zbiera wojsko. Wnet jął kijem spraszać okoliczną szlachtę do obejrzenia na własne oczy Kościuszki. Bardzo bolały Naczelnika te prezentacje, a oburzony Niemcewicz szeptał towarzyszom:

- Dotychczas zawsze człowiek pokazywał dzikie zwierzę pierwszy to raz, że bydlę pokazuje człowieka.

Rany Kościuszki zagoiły się już zupełnie, ale od cięcia w czaszkę miał straszne bóle głowy, jedyną ulgę znajdywał w mocnym ściskaniu jej szeroką wstążką; poza tym utracił władzę w nogach; zrazu kusztykał oparty na Niemcewiczu, później nie wstawał wcale z krzesła. Moralna depresja wpływała tu więcej niż rany.

Niemcewicz cierpiał od swej "powierzchownej" rany straszliwie. Dłoń spuchła mu jak bochen chleba, całe ramię szarpało, nocami nie mógł oka zmrużyć, jęczał, wył.

Pomocnik chirurga Xenefon przykładał mu kataplazmy z bułki rozcieńczonej wodą, pakował rękę do wrzątku - nic to nie pomagało. Major chirurg naczelny, znudzony ciągłymi skargami, schwycił w Radzyniu nóż i chciał całe ramię uciąć. Ledwo go ubłagano, by zaniechał tak radykalnej kuracji.

Rząd Narodowy przysłał lekarza, Francuza Maignau. Uczony mąż zastosował najwyszukańsze arkany medycyny: puścił Niemcewiczowi krew, dał mu na wymioty, przewiązał ranę czystymi bandażami, umieścił mu rękę na temblaku, podarował dwa tomiki Horacego i Plutarcha. Wyborne te zabiegi przyniosły naturalnie od razu wielką ulgę, niestety Maignau, przestraszony dzikością kacapów, odjechał po jednym dniu.

We Włodawie dopadła więźniów siostra Niemcewicza. Ostatni raz widziała brata w 88-ym roku, w Skokach; on wracał wtedy z łąki inflanckiej, upojony, że jest posłem, ona była markotna, że jeszcze jest panną. Teraz on był jeńcem, ona panią Duninową w ciąży.

Wobec ciągłej asysty stupajek nie mogli rozmawiać o Polsce i powstaniu, mówili więc o rzeczach nieciekawych - o rodzinie. Opowiedziała jak Skoki i Kleniki zostały doszczętnie zniszczone, jak kozacy wysiekli nawet kundle domowe, jak pan Marceli ledwo z życiem uszedł. Słysząc to Chruszczew, który dłuższy czas stacjonował w Skokach i wiele grzeczności tam zaznawał, wzdychał:

- Ot obłowiły się sukin syny, taki bogaty dwór! Czemuż ja durak ich nie uprzedziłem? Ach, umrę żebrakiem przez tę moją delikatność...

Ostatni raz w życiu widział Niemcewicz swą siostrę, umarła w parę lat później.

17-go listopada w Zasławiu przyszła wieść o wyrżnięciu Pragi, poddaniu Warszawy. Chruszczew zakomunikował więźniom z zadowoleniem jak to Suworow sobie pogulał... Dobiło ich to ostatecznie, więc insurekcja skończona... więc po wszystkim...

Właścicielka Zasławia, księżna Januszowa Sanguszko, odwiedziła jeńców z darami i słodkimi perswazjami: co pomoże upór? Niech się ukorzą, wyjawią wszystko co wiedzą, wydadzą zdrajców co powstanie przygotowali - a łaska wszechmocnej Imperatorowej na nich spłynie...

Zgnębieni jeńcy mieli jeszcze na tyle energii, że wyrzucili babsztyla z darami za drzwi. Typowa magnatka chciała swą podłością pozyskać względy Chruszczewa, powstrzymać go od rabunku. Była oburzona, że Kościuszko takim drobiazgiem jak zdrada nie chce zabezpieczyć tak wielkiej rzeczy jak jej majątku.

W Zasławiu nastąpiło rozstanie: Chruszczew otrzymał rozkaz wysłania Kościuszki, Niemcewicza i Fiszera extra pocztą do Petersburga, z resztą jeńców wlec się dalej powoli. Wywiad Moskali dobrze funkcjonował, wiedzieli, że Niemcewicz i Fiszer byli bliżsi Naczelnikowi niż wszyscy generałowie. Na nich skierowała się cała ich złość.

92.

NACHAJKĄ PO MORDZIE

Przedświtowe jeszcze panowały ciemności gdy wywleczono trójkę najgroźniejszych buntowników na dwór. Niemcewicz ledwo zdążył ścisnąć rękę przyjaciołom, wątpił czy zobaczy ich kiedy w życiu.

Sierakowskiego, Kniaziewicza, Kamieńskiego, Drzewieckiego zwolniono już po paru miesiącach w Kijowie za poręczeniem. Mogli rozjeżdżać po całej Rosji. Brygadiera

Kopcia, jako poddanego rosyjskiego, a więc zdrajcę, wysłano aż na Kamczatkę. Najsurowsze jednak kary szykowano dla Naczelnika i jego przyjaciół.

Major Titow był teraz głównym ich dozorcą. Kościuszko jechał z chirurgiem w jednej karecie, on z Niemcewiczem i Fiszerem w drugiej, dwaj grenadzierzy stali za każdą z tyłu, oddział kawalerii otaczał całość.

Przybyli do Międzyborza gdzie miał kwaterę wielki wódz kacapski Sołtykow. Jak wszyscy ówcześni rosyjscy dostojnicy zawdzięczał swą karierę wyczynom organu znikomo z mózgiem mającego wspólnego. On ponoć wykrzesał z Katarzyny następcę tronu Pawła, za co zresztą nie była mu wcale wdzięczna.

Rozpamiętywał Niemcewicz jak tu - w Międzyborzu - przed 12-tu laty walczył z Czartoryszczętami na ziemne piguły o torty. Wtedy też dostał się do niewoli.

- Najwyraźniej pechowa dla mnie miejscowość! zdecydował.

Kościuszko z melancholią wspominał, że tu przed trzema laty był jego ostatni sztab, tu kochał się w Tekli Żurowskiej, spędzał u niej wieczory bawiąc się w mruczka, cenzurowanego i ciuciubabkę, tu został przez jej papę - uważającego generała za marną partię - odtrącony. Teklunia poznała w 96-stym roku Kniaziewicza, przynaglana przez ojca, który nie mógł odżałować, że nie został teściem bohatera narodowego, już miała wychodzić za mąż za podwładnego swego pierwszego aspiranta - gdy wezwany przez Dąbrowskiego do legionów, Kniaziewicz rzucił narzeczoną i poleciał do Włoch. Ostatecznie Tekla wyszła za seryjnego łachudrę - Chwaliboga.

Marszałek Sołtykow uważał za poniżej swej godności odwiedzanie więźniów - buntowników, oznajmił więc, że przysyła tylko oficera. Lecz, że był ciekaw Kościuszki - przebrał się za własnego adiutana i jako taki rozmawiał z nim przez godzinę. Ot, dzikusowska niepotrzebna chytrość. Nagadał jeńcom mnóstwo grzeczności, zapewnił, że wkrótce będą wolni, obdarowani, uhonorowani, głośno polecał Titowowi wszelkie względy.

Na uboczu zaś kazał mu pilnować więźniów surowo, nie popuszczać w niczym, przysyłać co dzień szczegółowy raport co robią, co mówią, ile ujechali?

Titow należał do najkulturalniejszych oficerów rosyjskich - bąkał nawet odrobinę po francusku, lecz pisanie raportów przechodziło jego możliwości. Co wieczór, z podwładnymi oficerami, mozolił się parę godzin nad paru linijkami. Spierali się o każdy wyraz, poprawiali, przekreślali, zawsze wychodziła straszna bzdura. Niemcewicz leżąc na piecu dusił się ze śmiechu i ani myślał przyjść im z pomocą.

Udoma, najsprytniejszego praporszczyka, wyprawił Titow do Warszawy, by mu przywiózł

zostawioną tam kochankę Jewruszkę. Niemcewicz dał list do swego kuzyna Borysławskiego z prośbą o przysłanie 200-stu dukatów. Udom miał im przeciąć drogę na Białorusi.

Ponieważ jechali już przez carskie kraje Titow nie mógł grabić, używał zatem drugiej z kolei moskiewskiej rozkoszy - bił wszystkich nachajem. Ledwo gdzie stanęli przed pocztą smagał karczmarza, pocztmistrza, furmanów, pocztylionów, gapiące się dzieci, konie, karetę... Łoił też Xenofonta, pomocnika chirurga, oficerów, żołnierzy - by wzbudzić w nich szacunek dla władzy. Od ciągłego manewrowania batem omdlewało mu ramię:

- Wot izmuczyłsia na służbie! wzdychał opadając na poduszki karety.

Za nic nie płacił, nawet więźniów karmił tylko o ile dali mu pieniądze. W drodze klął ciągle Polskę, Niemcewicz godnie nasuwał czapkę na uszy i brał się do czytania Horacego co wprawiało Titowa w dziką pasję.

- Wszystko jedno będziesz pan mniej uczony od Pygmaliona, rzekł mu jadowicie.

- Cóż to był za Pygmalion? zainteresował się Fiszer.

- Ech, nieuki, nic wy nie wiecie; mędrzec Pygmalion nauczył dziewczynę z marmuru czytać, pisać i mówić rozsądnie...

- Z panem nie dokazałby tej sztuki, warknął Niemcewicz. Ominęli Kijów, 3 godziny przeprawiali się przez Dniepr. Titow cichaczem poleciał do Ławry Peczerskiej, spędził tam cały dzień. Opowiadał potem z zachwytem jak wysłuchał pół tuzina molebienów, wybił trzy setki pokłonów, wycałował swiatych Polikarpów i Polidurów, jak popy carstwo niebiesnoje mu zagwarantowały...

- Kosztowało, bo kosztowało, stwierdzał, ale w niebie to sobie odbiję.

- A za te pańskie knutowanie niewinnych popi nie robili panu wyrzutów? pytał Niemcewicz.

- Tyle rubli wzięli ode mnie i jeszcze mieliby wyrzuty robić? Nie, tak bezczelni nie są!

Pod Kijowem dołączył się do więźniów major Achmatow, przysłany dla lepszego ich dozorowania. Był to sławny z bohaterstwa oficer, chlubiła się nim cała armia rosyjska. Opowiadał o swym najpiękniejszym wyczynie: dowodząc galerą podczas bitwy morskiej ze Szwedami wywiesił nagle białą chorągiew; Szwedzi myśląc, że statek tonie podpłynęli by ratować załogę, a wtedy on plunął w nich kartaczami z najbliższej odległości. Szwedzi poszli na dno jak siekiery!

- Krzyż otrzymałem za ten heroizm, kończył.

Achmatow jeździł ten nieraz jako kurier do Chin. Na zapytanie Niemcewicza czy są jakieś fortece na granicy Azji zdziwił się bardzo: - jaka znów Azja? Co to takiego? Podobnież zresztą się zdumiewał na wiadomość, że godzina ma 60 minut i 3600 sekund. Za to prawił z powagą jak bieluga astrachańska ma pół wiorsty długości, a pojmana ludzkim głosem o wolność prosi.

Popasali w Szkłowie, siedzibie ex-kochanka Katarzyny Zoritza. Za bójkę z Potiemkinem w carskich salonach został wygnany na prowincję. Akurat w sąsiedztwie mieszkał Kossaków, też były nałożnik najjaśniejszej. Spędzali czas na rozpamiętywaniu swych ćwiczeń z Katarzyną i dyskusjach, która figura jej najlepiej dogadzała.

Koło Witebska dopadł ich Udom, ale bez Jewruszki; obrotna dziwka zaawansowała - wziął ją sobie jakiś suworowski pułkownik. Spragniony miłości Titow dostał ataku furii - sprał do krwi wszystkich żołnierzy.

Borysławski przysłał Niemcewiczowi 200 dukatów; Udom wręczył mu 120 mówiąc z uśmiechem:

- 80 wziąłem sobie za fatygę.

Titow pędził teraz bez wytchnienia. Zrywali się o świcie w brudnych chatach brodatych kacapów, gdzie hasały pluskwy i tarakany, a w rogu paliły się łampadki przed obrazami Katarzyny, św. Mikołaja i Boga Ojca, który spadł w Rosji na trzecie miejsce; ledwo przełknąwszy kubek czaju siadali do karet, gnali przez nieskończone, mroczne lasy zasypane śniegiem. Gdy martwa cisza obrzydła Titowowi kropił batem dragonów, kazał śpiewać; płynęło przez ponury las beznadziejne, niewolnicze wycie zziębniętego żołdactwa.

93.

W PETROPAWŁOWSKIEJ TWIERDZY

Równo w dwa miesiące po bitwie maciejowickiej, późnym wieczorem, dotarli wreszcie jeńcy do Petersburga. Zdjęto dzwonek poczty, kołując po ciemnych, pustych uliczkach wyjechano nad lewy brzeg rzeki. Jakieś milczące figury wyciągnęły więźniów z karet, rozdzieliły ich brutalnie: Niemcewicz tylko ścisnął rękę Fiszerowi - ujrzał go dopiero po 8-miu latach; bez słowa wepchnięto ich do łodzi. Zamarło serce w Niemcewiczu, sądził, że może wrzucą go do wody pod lód. Cała ta tajemniczość i groza miały właśnie na celu przerażenie nieszczęśliwych.

Na drugim brzegu, idąc wzdłuż muru fortecznego, doszli do wielkiego gmachu o szerokich schodach. Oślepiony światłem stał Niemcewicz z kwadrans w hallu, w swej cuchnącej wilczurze, rozczochrany, brudny, zmęczony i zgłodniały - wśród wygalowanych, zaaferowanych urzędników. Pochylili się w uniżonym ukłonie gdy nadeszło olbrzymie drabisko ubrane wspaniale w aksamity, z dwoma krzyżykami pod grdyką, trzema gwiazdami na prawej piersi, dwoma plakietami na lewej, opasane złotymi wstęgami jak koń cygański. Był to Aleksander Nikołajewicz Samoiłow, siostrzeniec Potiemkina, generalny prokurator.

Wpatrzywszy się uporczywie jak baran w Niemcewicza zapytał wreszcie:

- W jakim charakterze byliście przy generale Kościuszce?

- Jako przyjaciel i oficer woluntariusz.

Wysoki prostak pomedytował chwilę, wymełł parę grubijaństw i dał znak ręką.

Żołnierze obstąpili Niemcewicza, zaprowadzili go przez podwórze i zwodzony most do niskiego drewnianego domu. Wszedł na długi korytarz, mrok rozpraszała tylko jedna świeca w głębi. Buchnęło weń smrodem i zaduchem.

Po obu stronach korytarza były małe drzwi do cel, przed każdymi stał nieruchomo jak widmo sołdat. Zrewidowano Niemcewicza, zabrano co miał najniebezpieczniejszego czyli wszystkie pieniądze, wepchnięto do ostatniej z rzędu celi, ziejącej wilgocią i stęchlizną.

Chciał pić - dano mu wody w miseczce jak psu. 5-ciu żołnierzy, wydajnych w gazy jak cała fabryka, rymnęło się spać na podłodze w celi, 6-ty stanął na warcie.

10-go grudnia, o 11 w nocy, zatrzasnęły się za Niemcewiczem drzwi Petropawłowskiej twierdzy.

94.

ŚLEDZTWO

Parę pierwszych dni nie widział Niemcewicz nic poza tępymi mordami sołdatów; z większym powodzeniem niż do nich mógł mówić do ściany - kopani, steroryzowani przez praporszczyków nie odpowiadali nawet na pytanie jaka dziś pogoda na dworze.

Przyszedł wreszcie Samoiłow - dumny matoł, którego Katarzyna wysforowała tak wysoko jedynie by pokazać, że i z głupimi ministrami rządzić będzie doskonale!

Nie mogło się Moskalom w głowie pomieścić by ci potulni od lat Polacy z własnej inicjatywy porwali się nagle do broni. Upatrywali w tym jakąś intrygę Francji, jakichś tajemniczych czynników... Dla zachęcenia Niemcewicza do szczerych zwierzeń Samoiłow obiecał mu, że do końca życia nie wyjdzie z więzienia jeśli natychmiast nie wyjawi wszystkich nici z jakobinami.

W rzeczywistości nic nie było, a po wtóre Niemcewicz nic nie wiedział, więc zamiast rewelacjami o Francji poczęstował generalnego prokuratora wyjaśnieniami, że Polska to wielka rzecz, Polacy to szlachetny naród, a powstanie było wspaniałym przedsięwzięciem. Rozpytywany o Kościuszkę, Ignacego Potockiego i Kołłątaja zaprzeczył gorąco by pierwszy był głuptakiem, drugi intrygantem, a trzeci karierowiczem - to cnotliwi mężowie pełni ogromnych zalet!

Samoiłow miał coś lepszego do roboty niż słuchać przez kilka godzin pochwał o Polsce i Polakach, opuścił więc celę w bardzo złym humorze, zapowiadając Niemcewiczowi, że pożałuje swego oporu. Niemcewicz sądził, że teraz dadzą mu więzienny spokój - tymczasem tegoż wieczoru przyniesiono mu gruby zeszyt z pytaniami na które miał odpowiedzieć do rana. Przy jednej marnej świeczce - na lepsze oświetlenie zabrakło widocznie kredytów - skrobał z trudem lewą ręką całą noc.

Pytań było bez liku w rodzaju: jaki cel miała rewolucja? Co by się stało, gdyby się zakończyła sukcesem? Jak Kołłątaj otruł prymasa? Co robił król?

I druga seria o wiele istotniejsza: jakie więzy łączyły Czartoryskich z Kościuszką? Skąd czerpano pieniądze? Jacy ludzie subsydiowali akcję? Kto był czynny w rewolucji?

Chciwa sfora dworska łaknęła konfiskat polskich majątków, toteż każde nazwisko wydębione od więźniów było łupem tysiąców morgów. Lecz Niemcewicz więcej napisał w życiu niż całe carskie ministerium razem wzięte, przeto na wykrętach mu nie zbywało. Wypełnił zeszyt obfitym memoriałem pełnym wzniosłych uwag o czystości intencyj powstania, stwierdził, że ani Czartoryscy, ani w ogóle nikt poszczególnie go nie wspierał, tylko cały naród w komplecie.

Skończył dopiero o świcie. Bardzo to wypadło dowcipnie, ale inkwizytorów wprawiło w pasję. Sama wszechpotężna imperatorowa raczyła czytać te zeznania, na ich podstawie nic nie mogła konfiskować, czyli trud jej był daremny.

Dostarczono Niemcewiczowi drugi zeszyt z kwestionariuszem, kazano rozsądniej odpowiedzieć, znów wypalił panegiryk o rewolucji. Samoiłow odwiedził parokrotnie Niemcewicza, groził mu torturami, zgniciem w lochu - zawsze otrzymywał nawał uprzejmych nic nie wyjaśniających wyjaśnień.

Machnięto nań ręką. Chciano go wywieźć na Sybir, potem pomyślano, że jest za obrotny, gotów uciec, zostawiono go w twierdzy. Po gorączkowych indagacjach nastąpiły niekończące się dnie ciszy. Urzędniczy świat Petersburga przestał się interesować polskimi więźniami, zapomniał o nich zupełnie.

95.

W PROMIENIU KLOZETU

Za dowcipy o Katarzynie i drwiny z Targowicy Moskale byli bardziej zażarci na Niemcewicza niż na Kościuszkę za zwycięskie bitwy. Trzymano go w turmie najostrzej ze wszystkich jeńców, w najgorszych warunkach. Sąd i wyrok były europejskimi przesądami, nie stosowanymi oczywiście w Petersburgu: Niemcewicz nie wiedział jaki los go czeka, czy wyjdzie stąd kiedykolwiek; poza groźbami Samoiłowa nic nie usłyszał w tej materii.

Obiady przynosił Niemcewiczowi jego lokaj Franciszek z za rzeki, z pałacu Orłowa, gdzie więziono Naczelnika. Katarzyna uznała z wrodzoną bystrością, że Kościuszko jest poczciwym literalnym głupcem, którego wodzili na pasku sankiuloci; dała mu tokarnię do zabawy, pozwoliła wozić na krześle po ogrodzie, sołdaty i szpicle nie tkwiły w jego pokoju, tylko za drzwiami; cały Petersburg wynosił pod niebiosa łaskawość i gołębie serce imperatorowej. Sama wreszcie uwierzyła, że jest istotnie bardzo wspaniałomyślna.

Kościuszko miał manię samobójstwa, lecz na szczęście nigdy mu się ono nie udawało. Postanowił zamorzyć się głodem - po tygodniu tak osłabł, że nawet lekarz Rogerson to zauważył. Ledwo go odratował.

Przez Franciszka miał więc Niemcewicz wiadomości o Naczelniku, dzięki zaś obiadom o innych więźniach. Był zupełnie bez apetytu, mierziło go jeść palcami, oddawał tedy niemal wszystko swym dozorcom. Te żołądkowe łapówki upodobniły trochę sołdatów do ludzi. Kapral doniósł mu, że Fiszera wywieziono do Kaługi, zgodził się przenosić książki do innych więźniów.

Niemcewicz usłyszał któregoś dnia stłumiony śpiew za ścianą - głos był jakby Mostowskiego; zanucił więc francuską piosenkę z refrenem "Dupont", Mostowski odpowiedział piosenką z wyrazem Allemand. Przyjaciele się poznali.

Posyłając książkę Mostowskiemu Niemcewicz wyrył ostrożnie na marginesie, zębem grzebienia, wiadomości o sobie. Mostowski, który dał kapralowi całego dukata, zapisał po prostu atramentem parę stronic.

Suworow sygnując kapitulację Warszawy zapewnił powszechną amnestię, taki drobiazg jak feldmarszałkowskie słowo honoru naturalnie nie obowiązywało Moskali - wywieźli wszystkich prowodyrów co zdołali ująć. Ignacego Potockiego i Zakrzewskiego osadzono po tamtej stronie rzeki; żona Mostowskiego - z domu Radziwiłł - póty tuptała w przedpokoju Zubowa aż wyjednała przeniesienie męża do przyzwoitej turmy.

Na miejsce Mostowskiego umieszczono Kapostasa. Maleńki, chuderlawy bankier warszawski, który dużo pomógł insurekcji, nie był rekreatywnym partnerem. Umiejąc po hebrajsku naczytał się rabinów i postradał zdrowe zmysły. Wierzył, że stosując surowy reżim, unikając wszelkich rozrywek i towarzystwa, wypowiadając w porę parę wersetów Biblii można wejść w kontakt z duchami. Nie odpowiadał więc na pukanie i korespondencję Niemcewicza, mozolił się całymi dniami nad Biblią, ale widocznie tryb życia miał zbyt urozmaicony, bo duchy wciąż nie przychodziły. Zabiegi okultystyczne jednak dały pewien rezultat - zapadł na epilepsję; Niemcewicz słyszał przez ścianę jak ryczy w furii, pada z łoskotem - nie mógł mu przyjść z pomocą, żołnierze zaś sądząc, że Kapostasa diabeł opętał uciekali w popłochu z celi.

Po drugiej stronie korytarza, przy klozecie, siedział prawdziwy wariat, jakiś młody Francuz, którego trzymano od lat - nikt nie wiedział już za co. Gdy dostawał ataku szału praporszczyk walił go nachajką aż zemdlał i zamilkł; wielce był dumny, że wymyślił tak skuteczny środek leczniczy.

Był też i drugi Francuz - ekskonsul w Warszawie Bonneau. Nieprzychylne jego raporty o Targowicy przyłapał w 95-cim r. Sievers, od tego czasu siedział w Petropawłowskiej. Niemcewicz ledwo go znał w Polsce, teraz korespondował z nim obficie. Dyskutowali o książkach, o rewolucji francuskiej, Bonneau wychwalał teror i jakobinów; karteluszki wsuwali w szparę w ustępie, który odwiedzali kolejno - była to ich poczta.

Obok Bonneau miał celę król Kiliński jak go zjadliwie nazywał Samoiłow. Moskale znienawidzili go specjalnie za poruszenie ludu, za pogrom kwietniowy; przeznaczyli mu za karę na utrzymanie tylko 25 kopiejek dziennie, z czego praporszczyk jeszcze kradł połowę. Ale więcej niż głód męczyła Kilińskiego nieznośna cnota. W długich listach uskarżał się Niemcewiczowi i o tę przymusową bezczynność miał do Moskali największą pretensję.

Fantazji nie tracił, żołdakom przypominał, że jest pułkownikiem, postów ściśle przestrzegał, w święta ubierał się w paradny żupan i pod okiem zdziwionych oprawców szedł z pompą do klozetu. Za radą Niemcewicza wziął się do pisania wspomnień; przeglądając jego kulfony cieszył się Niemcewicz, że świat otrzyma tak jedyny w dziejach utwór jak pamiętniki szewca.

Resztę cel na korytarzu wypełniali Rosjanie; nie utrzymywano z nimi oczywiście żadnych stosunków.

96.

BEZNADZIEJNE DNIE

Niemcewicz przeczytał w więzieniu 218 tomów - od historii Condillac'a do ekonomii Smitha. Przetłómaczył na polski Żywot Katona, parę drobiazgów Popego, Bernardin de St. Pierre i Voltaire'a; napisał kilka elegii, satyr, dwie części pseudo-pamiętników największego zarozumialca warszawskiego Bielawskiego, paszkwil na Katarzynę...

Nie wychodziło mu. Za dużo miał czasu, żadnych podniet z zewnątrz. W ciszy, skupieniu i samotności nigdy Niemcewicz nic wartościowego nie mógł spłodzić.

Straszliwie ciążyła mu ta samotność. Raz na kwartał wpadał na minutę Makarow, sprawdzić czy żyje - poza tym widział tylko wiernego Franciszka, który uważał za zupełnie naturalne, że odsiaduje ze swym panem więzienie. Nie był on żadną atrakcją, Niemcewicz wolał towarzystwo burego kota otrzymanego w drodze łaski.

Męczyła przy tym wieczna obecność w celi milczącej sołdackiej pały. Jakżeż przeszkadzał ten tępy, bezmyślnie utkwiony mużycki wzrok, podczas bezsennych nocy to końskie chrapanie. Praporszczyk był takimże chamem; w Rosji karierę wojskową robiło się tylko przez małżeństwo: należało poślubić albo młodą, ładną dziewczynę, która spółkując z przełożonymi męża, wyrabiała mu protekcję, albo starą, brzydką wiedźmę pochodzącą z wyższych i wpływowych sfer. Praporszczyk wybrał tę drugą drogę, ożenił się z córką osobistego furmana Samoiłowa i dzięki temu zaawansował na oficera. Bił on swych podwładnych żelaznymi prętami, co dzień przypadała na innego kolejka. Nieludzkie ryki wstrząsały turmą, Niemcewicz nieraz pytał praporszczyka co katowana stupajka zrobiła.

- Nic oczywiście. Jeszcze by tego brakowało! Dlatego nie tłukę go na śmierć.

- Św. Mikołaj na pewno z tego bicia bardzo niezadowolony.

- Św. Mikołaj sam by bił gdyby był oficerem; nie podobna przecie pensję brać za darmo. Mnie też bili póki byłem szeregowcem.

Prędzej osłom przyjdzie do głowy wierzgnąć niż tym maltretowanym mużykom wszcząć jakiś bunt! myślał z goryczą Niemcewicz.

Na spacer po dziedzińcu nie wypuszczono go ani razu; jedyną przechadzką był marsz pustym korytarzem do ustępu. Wpatrywał się latem w skrawek błękitnego nieba widoczny przez wąskie okno, marzył o Włoszech, o baronowej, która pewnie już z innym nasyca się pięknem Florencji...

Zimą, gdy zmrok tak wcześnie zalegał, z braku świecy, godzinami tkwił w ciemnościach. Chodził wtedy po przekątnej swej celi - w której Beniowski spędził dwa tygodnie przed zesłaniem na Sybir - z kąta w kąt, było równo 7 małych kroków, wydeptał w podłodze ścieżkę niższą o dwa cale.

Fizycznie zapadał coraz bardziej: urosła mu wielka broda, schudł, stracił siły, wciąż gorączkował, pił wodę, pocił się, ciągle miał zawroty głowy, wymioty, rozstroje żołądka.

Miewał halucynacje, zdawało mu się, że jest w sejmie, w salonach Czartoryskich... śnił by stać się niewidzialnym, popędzić do Katarzyny, męczyć, kopać, dręczyć ją bez wytchnienia. Były to jedyne przyjemne sny.

Wlokły się okropne w swej jednostajności dnie znaczone tylko rano i wieczorem wystrzałem z armaty. Niemcewicz zwątpił by kiedykolwiek wyszedł z tej stęchłej komórki pełnej ogromnych szczurów , popadł w tak wielką rozpacz, że raz usnąwszy wyjątkowo w dzień na dwie godziny - obudził się z uczuciem gorzkiego zadowolenia: - o dwie godziny bliżej śmierci - wyzwolenia!

97.

ROZTAPIANIE SIĘ WE ŁZACH WZRUSZENIA

17-go listopada 96-go r. Franciszek wraz z obiadem przyniósł Niemcewiczowi wiadomość, że chyba zaszło coś ważnego, bo wszyscy szepczą w mieście. Dozorcy postawali na korytarzu, każdy przed drzwiami swego więźnia, Niemcewicz przyłożywszy ucho do drzwi usłyszał ich rozmowę

- Stara kurwa nareszcie umarła.

- Dość się zabawiła w życiu, pora już było dać innym odetchnąć.

- Podobno tych z nas co już wysłużyli po 50 lat zwolnią do domu.

- Te niebożęta co tu siedzą też chyba wypuszczą.

- Daj Boże!

Niemcewicz aż zatoczył się z radości. Więc przyjaciółka wolności, nieubłagana ciemiężycielka Polaków, fajtnęła; teraz na pewno odzyskają swobodę; Paweł, choć wariat, jest rozsądniejszy od matki i zrozumie, że więzienie najlepszych Polaków, skoro Polska przestała istnieć, do niczego nie prowadzi. Nie mógł usiedzieć, tknąć książki, ciągle nadsłuchiwał czy nie przychodzą go oswobodzić. Śpiewał de profundis na nutę krakowiaka, via klozet poinformował towarzyszy.

Minęło głucho parę dni. Niemcewicz pojmował, że nowy car ma ważniejsze rzeczy na głowie niż otwierać turmy, jednak miał chwile zwątpienia. A może i Paweł nie zwolni? A może Katarzyna wcale nie zdechła? Przeprowadził doświadczenie: nawymyślał od ostatnich praporszczykowi. Dawniej nie uszłoby mu to na sucho, obecnie praporszczyk pocałował go w rękę i prosił o przebaczenie. Nie ulegało więc wątpliwości, że coś się zmieniło.

27-go przyniósł obiad Niemcewiczowi służący Kościuszki pijany z radości i wódki. Opowiedział, że rano car i młody Aleksander byli u Naczelnika, wycałowali go, wypłakali się, uwolnili podobnież jak innych Polaków. Niemcewicz liczył już nie godziny a minuty.

1-go grudnia wsunął się do celi praporszczyk i z miną tajemniczą wyszeptał:

- Umarła!

- Na Boga, czyżby jakie nieszczęście? Kto taki?

- Najjaśniejsza gosudarynia raczyła umrzeć.

- Jestem niepocieszony, ale wątpię, bym co na to poradził.

- Jutro się rozstaniemy. Mam pewne wiadomości.

Noc dłużyła się w nieskończoność. Wreszcie o 11-ej rano wpadł zasapany Makarow i pokazując papier podpisany przez cara zawołał:

- Jesteście wolni. Obetnijcie sobie brodę, bo car ich nie znosi i chodźcie.

Protestował trochę Niemcewicz, gdyż już sobie ułożył, że pojedzie do domu z tym widomym znakiem swej dwuletniej niewoli, ale skombinowawszy, że wolność warta jest brody - zgolił ją i schował na pamiątkę do kieszeni. Zapytał:

- A co z Kapostasem, Kilińskim, Bonneau?

- Będą też wolni, jutro, pojutrze...

Kubełki łez wylelі na widok Niemcewicza Mostowski, Ignacy Potocki, Zakrzewski i Sokolnicki. Ledwo go poznali, tak schudł.

- Postarzałeś o 10 lat! stwierdzali.

Oni również wynędznieli i wyglądali na własnych dziadków.

U Kościuszki Niemcewicz roztopił się we łzach jak lodowiec. Naczelnik leżał na szezlongu z bezwładnymi nogami, z obwiązaną głową, błędnym wzrokiem. Nie mówił, a bełkotał martwym głosem, ciągle brakło mu słów, był przerażony, wskazywał palcem na drzwi za którymi stali lokaje i powtarzał: - ciszej, ciszej!

Za nic nie chciał wrócić upokorzony, pobity do Polski, której nie zdołał oswobodzić; wyjaśnił Niemcewiczowi, że postanowił wyjechać do Ameryki, tam spokojnie dni swoich dokończyć.

- Sam, bez przyjaciela nie dam sobie rady, mówił, jedź ze mną.

- Rodziny od 6-ciu lat nie widziałem, ojciec stary, może umrzeć, chciałbym do domu...

- Widzisz fatalny mój stan, nie dojadę sam do Ameryki, musisz się poświęcić, pojedź choć na krótko; jeśli mnie teraz opuścisz, cóż pocznę?

I Kościuszko załkał głośno.

- Jadę do Ameryki! wykrzyknął Niemcewicz.

Po południu wszyscy jeńcy poszli do Samoiłowa gdzie złożyli przysięgę na wierność carowi. Przysięgali ślepe posłuszeństwo, oddanie ostatniej kropli krwi za cara, donoszenie mu o wszystkim, rzucanie wszystkiego i pędzenie mu na pomoc choćby z końca świata. Naturalnie, podobnież jak i Moskale, nie brali tego na serio. Dozgonnych przysiąg wierności nie dotrzymuje się ślicznym panienkom - cóż dopiero wstrętnemu carowi.

Wieczorem jeńcy wystąpili w salonie pełnym Potockich, Radziwiłłów, Działyńskich, Poniatowskich... Mogło się zdawać, że to salon warszawski...

Za dużo było wrażeń na jeden dzień; Niemcewicz drżał ze wzruszenia przy każdym powitaniu, ronił łzy słysząc rzempolenie jakiejś panny na klawikordzie, rozpłakał się jak pensjonarka, ujrzawszy dwóch wysmukłych młodzieńców - książąt Adama i Konstantego Czartoryskich.

98.

WŚRÓD KACAPSKIEJ ELITY

Petersburg wyglądał jak dom wariatów w którym najgroźniejszy furiat został raptem naczelnym dyrektorem. Wszystkie głupstwa jakie Paweł od 40-stu lat obmyślał w Gatczynie - teraz wprowadzał błyskawicznie w życie.

Za fryzurę francuską, za okrągły kapelusz szło się na Sybir - należało nosić płaskie peruki pruskie z warkoczykiem i spiczaste pierogi. Spotkawszy powóz cara na ulicy trzeba było czym prędzej wyskoczyć ze swojego i paść plackiem w błoto, Paweł patrzał czy jest to wykonane przepisowo. Faworyci Katarzyny byli zsyłani na Ural, a jakieś lokajczuki awansowały na ministrów. Konfiskata dóbr lub otrzymanie całych gubernij zależało od zręcznego ukłonu albo kaszlnięcia nie w porę.

Jedyną wytyczną Pawła było czynienie wszystkiego na odwrót niż Katarzyna, jedyną przyjemnością musztrowanie żołnierzy i tyranizowanie otoczenia. Wciąż podniecony, węszący zamach na swe życie, za mały szacunek dla swej osoby, złą wolę, opór - Paweł wydawał dziesiątki ukazów rano i tuziny wręcz przeciwnych wieczorem. Wszystkich całował w policzek i nikomu nie ufał. We wszystko wglądał, a nic nie rozumiał. Ciągle coś robił i zawsze bez sensu.

Niemcewicz w dworskim stroju żałobnym, obmyślonym nie przez krawca, lecz przez cara (trzy guziki przykryte krepą - z tyłu, broń Boże żadnego z przodu) poszedł wraz z innymi ex-jeńcami przedstawić się carowi.

Przeszedł wśród szpaleru ogromnych jak dęby kawalergardów - z tych to ogierów Katarzyna czerpała kochanków - wśród luster, złoceń i całego w najgorszym guście przepychu; marszałek dworu Natujew musztrował tłum gości niczym kapral żołdaków, dawał pouczenia, wypychał szturchańcem tego na kogo przypadała kolej podejść do cara.

Przyklęknąwszy, Niemcewicz mlasnął głośno, wedle ceremoniału, dłoń carowej - a że była miękka i biała nawet z przyjemnością, oraz twardą, kosmatą Pawła z obrzydzeniem, potem odszedł jak w kościele od ołtarza.

- Ten jegomość ma jeszcze swą jakobińską czapę na głowie; syknął Paweł; podbiegł Natujew: - Boże, idziecie tyłem do cara, żebyście tylko do turmy tak z powrotem nie zaszli!

Przerażony Niemcewicz cofnął się więc jak rak, depcząc wszystkim przepisowo po nagniotkach.

Uczęszczał też do salonów arystokracji rosyjskiej, oczarowywał damy dowcipem, komplementami i zachodnimi manierami; przyzwyczajone do prostactw i kłaków na łbie wysmarowanych szuwaksem nie posiadały się ze zdziwienia.

- My rozumiały, że polscy rewolucjoniści to okropne i zasępione figury, aż tu wcale przeciwnie się pokazało, skrzeczała księżna Dołgorukow.

Powodzenie Polaków-jeńców przestraszyło Polaków-zdrajców. Bali się, że Paweł - na złość Katarzynie - zacznie tamtych obsypywać łaskami, a ich zamknie w twierdzy. Roiło się od targowiczan w Petersburgu, jęli intrygować przeciw patriotom by ich wykurzyć.

Niemcewicz w ferworze wizyt odwiedził i starą księżnę Czetwertyńską, wdowę po wisielcu warszawskim z dni czerwcowych. Szkaradne babsko poskarżyło się Archarowowi, naczelnikowi policji, że ją - damę dworu! - nachodzą takie polskie opryszki. Archarow wezwał Niemcewicza, przetrzymał go 3 godziny w ponurej izbie z widokiem na zaprzęgnięte kibitki na podwórzu, wreszcie, dopuściwszy przed swe groźne oblicze, oświadczył:

- Dopiero od paru dni wy na wolności i znów ciężkie przestępstwa popełniacie. Radzę jak najprędzej wyjechać z Petersburga.

Niemcewicz pragnął tego również i czynił z Kościuszką wytężone przygotowania; lecz do Ameryki nie mogli jechać jak do Maciejowic - konno, na oklep, w siermięgach...

99.

POŻEGNANIE Z PETERSBURGIEM

W Grodnie Stanisław August abdykował posłusznie na rozkaz Katarzyny. Łasił się Repninowi, pił jego zdrowie w dzień imienin, czynił przeglądy jegrów, sprzedawał tytuły szambelana za 100, a pułkownika za 200 dukatów, zaciągał długi, bo pensja rosyjska 13.000 dukatów miesięcznie mu nie wystarczała, zapraszał na obiadki grubego szlachcica Zbyszewskiego i słuchał jego wierutnych bujd o podróżach włoskich, zapewniał swe paręset osób służby, że póki jemu dobrze, to i im będzie również.

Ledwo Paweł wdarł się na tron - wezwał Poniatowskiego do Petersburga; ulokował go w pałacu, odwiedzał, by mu zrobić przykrość, zapewniał, że jest jego synem, co było zresztą z gruntu nieprawdą. Sam diabeł by nie doszedł czyim był w istocie.

Niemcewicz z przyjaciółmi poszedł do króla. Zastali go w szlafroku, zdziadziałego, nad

rękopisem - klecił swe pamiętniki.

Zapomnieli o urazach, o jego zdradzie, o całym złu jakie Polsce wyrządził, wycmokali go - jak ongiś - po rękach. Skarżył się im król, że Paweł wyznaczył mu tylko 200.000 dukatów rocznie; że go na uczty niesmaczne i niestrawne zaprasza; chełpił się, że on cara i wielkich książąt obiadem ugotowanym przez genialnego Tremo olśnił; że nigdzie socjeta petersburska tak dobrze się nie bawiła jak w jego salonie. Kłopotał się jakie menu na jutro wymyślić, który frak na wieczór włożyć, jaką dykteryjką najlepiej panią policmajstrową rozweselić.

Swe częste widzenia się z Pawłem wykorzystywał i na poważne sprawy państwowe: prosił go mianowicie o wpłynięcie na Prusaków, by królewskie dobra w swym zaborze nie konfiskowali, lecz drogo kupowali.

- I tu troszczę się o moją kochaną Polskę! mówił z dumą.

Na wspominaniu ostatniego sejmu, na opowiadaniach o niewoli w turmie i na zalewaniu podłogi łzami zeszło im parę godzin bardzo przyjemnie.

Niemcewicz słuchał z lubością relacyj o zgonie Katarzyny. Opowiadano, że kazała sobie zrobić z tronu polskiego krzesło ustępowe; śmierć jej w tak mało reprezentacyjnym miejscu jak klozet, cieszyła go wielce.

- Jedyne stosowne! mruczał.

Wyekwipowanie, przygotowania do podróży były ukończone. Niemcewicz nie miał grosza, Moskale zabrali mu wszystko, ks. Adam był daleko, z domu nic nie otrzymał. Po upadku powstania zramolały pan Marceli, uważając Julianka za bezpowrotnie straconego, podzielił majątek między dwóch młodszych synów. Jan otrzymał Skoki, Kajetan Kleniki, córki błogosławieństwo; synowie mieli płacić ojcu dożywotnią rentę - 3.000 zł. Klepiąc z księżmi w mariasza, żalił się im pan Marceli:

- Julianka już nigdy nie zobaczę, Jan płaci, ale się nie modli, Kajetan modli się bez przerwy, ale nic nie płaci, któregóż tu kochać dobrodzieju?

Całą wyprawę finansował Kościuszko obdarowany przez Pawła wsią z tysiącem chłopów, którą wnet sprzedał za 12.000 rubli. W przeddzień wyjazdu otrzymał jeszcze od cara ogromną karetę, w której mógł jechać leżąc, baterię kuchenną, wyprawę bielizny, wspaniałą maszynę tokarską, futro. Niemcewicz też dostał dachę. Rodzina carska obsypała Kościuszkę karesami, łakociami, prosiła o częste listy, o próbki ziaren amerykańskich... Kościuszko, który by ich wszystkich chętnie zadławił musiał robić przyjemne miny i rozpływać się w podziękowaniach. Chwile te były dlań cięższe niż w

więzieniu, projektował sobie, że zaraz zza granicy odeśle te paskudztwa.

Niemcewicz odesłał swe więzienne utwory Mostowskiemu, by wydrukował co uzna za stosowne; żegnał przyjaciół tkliwie - pewien, że już ich nigdy więcej nie zobaczy, że dokona żywota w tej Ameryce. Zawsze miał mało wyobraźni co do swych przyszłych losów.

100.

PO LODZIE CIEŃSZYM OD KOTLETA

19-go grudnia Kościuszko i Niemcewicz opuścili z westchnieniem ulgi Petersburg. Towarzyszyli im: Libiszewski, wesoły porucznik, ex-adiutant Wawrzeckiego, niezwykle silny, zręcznie wkładający i wynoszący z karety Naczelnika; kucharz Jan, murzyn John i major Udom, Chruszczewowa stupajka. Za rogatkami rozstał się z nimi Nelidow, adiutant Pawła, a na pożegnanie zwędził szlafrok Kościuszki; dla oficera rosyjskiego nie ukraść czegoś mając okazję było dyshonorem.

Ogromną kolasę musiało ciągnąć 12 koni, na wszystkich postojach dochodziło z tego powodu między Udomem i pocztmistrzem do solidnego mordobicia. W ten oszczędny sposób regulował rachunki.

Jechali przez Finlandię; kareta zapadała się w olbrzymie zaspy śnieżne, Niemcewicz się denerwował, fińscy pocztylioni spokojnie palili fajki, po paru godzinach przychodzili chłopi z konikami, wrzeszcząc: - hi, hi, ha, ha! wyciągali karetę, jechano do następnej zaspy. Dopiero w małej mieścinie generał Wrangel wpadł na genialny pomysł zdjęcia kół i umieszczenia karety na płozach. Odtąd szło dużo raźniej.

Kraj wydawał się Niemcewiczowi rozpaczliwy: brązowe skały, marne sosenki uginające się pod śniegiem, bryły lodu, mróz stale powyżej 30°, dzień trwający zaledwie 5 godzin, a zima za to 8 miesięcy, nazwy miejscowości łamiące język i niemożliwe do zapamiętania...

Tubylcy jednak byli zachwyceni i przekonani, że Niemcewicz ich nabiera, gdy im opowiadał, że są przyjemniejsze kraje na świecie. W Frederikshamm oberżystka licząca równo 100 lat wyszła na dwór na ich powitanie w perkalikowej sukni i potem biegiem taskała walizki do izby.

- Dzięki Ci Stwórco, żeś Katarzynie nie dał takiego zdrowia, westchnął pobożnie Niemcewicz, siedziałbym do śmierci w Petropawłowskiej.

Ze wzruszeniem przebrnęli rzeczkę Kymene - granicę Szwecji. Barbarzyńska Rosja była poza nimi, poczuli się nareszcie bezpieczni. Każdy jeździec na horyzoncie wydawał im się dotąd kurierem carskim odwołującym ich z powrotem; przy szaleństwie Pawła było to całkiem możliwe.

Kościuszko wciąż nie władał nogami i był bardzo osłabiony; dwie filiżanki kawy, trochę mięsa z drobiu i kilkanaście łyżek lekarstw, których doktór Rogerson dał mu wielką pakę, stanowiło całe jego pożywienie.

Niemcewicz za to odrabiał dwuletni post. Stękając, że chcą za drogo kupował u chłopów białe zające, ryby cudaczne, tłuste cietrzewie, jarząbki, osełki sera i masła... wraz z żarłokiem Libiszewskim z każdym kilometrem był w lepszej formie. Ciekawy jak zawsze wałęsał się podczas popasów po okolicy, rozmawiał przez tłómaczy z tubylcami. Finnowie cedzili słowa szalenie powoli, z takim namysłem jakby zdradzali niezwykłe sekrety, okazywało się wreszcie, że mówią: - dzień dobry! Jak się spało? Piękna dziś pogoda!

Nocowali w chałupach rybackich. Czyste, schludne, ciepłe domy imponowały Niemcewiczowi, a wysmukłe, wesołe, blond dziewczęta wprawiały go w zachwyt. Libiszewski grał na waltorni, śpiewał, wprawiał wszystkich w dobry humor; obrotniejszy od Niemcewicza, wynosił po pięknych Finkach wspomnienia nie tylko wzrokowe.

Przejazd Kościuszki był wielką sensacją; schodziła się tłumnie ludność z odległych wiosek, patrzyła z zainteresowaniem na wodza Polaków, z podziwem na ogromną karetę, którą nazywała - Kungstot - pałac królewski, i z entuzjazmem na murzyna.

- Nadzwyczajny człowiek! wołali olśnieni, najodważniejsi nawet go dotykali.

Dla skrócenia drogi przeprawili się przez zatokę. Naprzód od wyspy do wyspy po lodzie, który wedle twierdzeń przerażonego kucharza, nie był grubszy od kotleta, potem szalupą wśród kry.

W Szwecji drogi były dobre, poczta sprawna, w ostatnich dniach stycznia dotarli do Sztokholmu.

101.

PRZEZ SŁONĄ GNOJÓWKĘ - DO FILADELFII

Kościuszko w Sztokholmie stał się sensacją dnia. Zgnębiony więzieniem był pewien, że świat już o Polsce zapomniał, a dla niego nie ma nic prócz szyderstwa względem

pokonanego. Tymczasem powitano go jak tryumfatora; wolność była modna, a on uosobieniem walki o nią. Najlepsza socjeta szwedzka składała mu wizyty, każdy chciał uścisnąć rękę bohatera, nie mógł się opędzić od gości.

Król zaprosił go do siebie, lecz Kościuszko uznał etykietę audiencjonalną za upokarzającą i wymówił się od tego zaszczytu. Król przesłał mu więc tylko w darze wspaniałą szablę.

Niemcewicz zwiedzał miasto, pałace, galerie obrazów, zawierał znajomości ze wszystkimi wybitnymi ludźmi, był znowu tym dawnym, wszędobylskim turystą; gdyby nie Kościuszko, co wciąż popędzał do dalszej podróży, ugrząłby w Sztokholmie chętnie i na rok.

Rozstali się z Udomem, przez którego ze zgrzytem zębów posłał Kościuszko liścik z podziękowaniem do Pawła, oraz z kucharzem Stanisławem i murzynem Johnem.

Zastąpił ich kamerdyner Prota Potockiego, ostatniego posła Rzeczypospolitej w Szwecji - będącego obecnie w takiej nędzy, że nawet go nie stać było na lokaja.

Od 23-go lutego czekali w Goteborgu na statek do Anglii. Wreszcie wsiedli 16-go maja na mały, podły bryg i już 30-go wylądowali w Londynie. Tu owacjom i hołdom nie było końca. Gazety poświęcały Kościuszce prawie tyleż miejsca co mordercy dwóch rodzin po 12-ście osób; Grey Fox, Sheridan składali mu wizyty; nieprzyjęci posłowie parlamentu - wizytówki; piękne panie pchały się natrętnie; wszyscy doktorzy chcieli go leczyć; wszyscy malarze portretować; wobec niechęci Naczelnika do pozowania, rysowali go przez dziurkę od klucza, ułatwiał im to lubiący reklamę Niemcewicz.

Właściciel gospody gdzie mieszkali robił majątek: wywiesił na szyldzie rycinę Kościuszki leżącego na sofie - tłumy sterczały przed nią nieustannie.

Whigowie ofiarowali Naczelnikowi pałasz z napisem; znoszono stosy prezentów Kościuszko nie przyjmował cennych; chciał też koniecznie odesłać Pawłowi jego dary - tylko na prośby Niemcewicza odłożył tę demonstrację na później.

W Bristolu spędzili dwa tygodnie. Fetowano ich równie gorąco: miasto podarowało Kościuszce srebrną zastawę stołową z jego cyfrą, uchwaliło mu dożywotnią rentę pieniężną; tłumy kupiły się dniem i nocą przed oknami wznosząc wiwaty.

Whigowie skorzystali z okazji, by pomstować na rząd, że dopuścił do rozbioru Polski. Każdy krzyk na cześć Kościuszki był tym samym okrzykiem przeciw Pittowi - wznoszono je z tym większym zapałem.

W końcu czerwca, żegnani przez tysiące ludzi, odpłynęli na Adrianie do Ameryki; Niemcewicz, w którego rodzie największym wodnym wyczynem był spływ pana

Marcelego tratwą do Gdańska, miał porządną tremę przed podróżą.

Spotykali okręty z nieprawdopodobnie dalekich krajów, zatrzymywali się by zapytać i opowiedzieć co słychać, raz, mijając flotyllę kilkudziesięciu statków z Jamaiki, z braku zapewne miejsca na oceanie, zaczepili o jeden z nich. Splątały się liny, żagle, maszty, trzeszczały drewniane gruchoty - zdawało się, że to już koniec, że zaraz zatoną. Pasażerowie - emigranci irlandzcy, padli na kolana śpiewając psalmy, marynarze rzucili się z siekierami rąbać sczepione sznury i maszty. Jedno z dwojga widocznie pomogło, bo okręty się rozeszły i ocalały.

Szalona jednostajność podróży znudziła z kretesem Niemcewicza. Miał dość tej bezkresnej wody wokoło, tych rozmów z kapitanem, modlitw kapłana-Kwakiera, przechadzek piętnastokrokowych, słonego mięsa, ciągłego wymiotowania... Uważał, że zabawniej być w brześciańskim furmanem niż marynarzem po oceanach.

Wreszcie, po bitych 62 dniach, Adriana zawinęła do portu w Filadelfii, zarzuciła kotwicę o kilometr od brzegu. Spuszczono Kościuszkę na krześle do łodzi w której ośmiu dostojnych kapitanów okrętowych siedziało u wioseł.

Całe miasto wyległo na plażę, machając kapeluszami, wrzeszczało wniebogłosy:

- Hip, hip Koskiausko!

Gdy bat już był blisko brzegu, skoczyli ludzie po pas w wodę, wynieśli na barkach Kościuszkę i jego towarzyszy.

Stanąwszy na amerykańskim piasku, zaczerpnąwszy głęboko amerykańskiego powietrza, Niemcewicz westchnął z ulgą:

- Uff, przecież się to nudziarstwo nareszcie skończyło!